

OBRAZY I STUDYA HISTORYCZNE

Serya II

OBRAZY

I

STUDYA HISTORYCZNE

SKREŚLONE PRZEZ

MARYANA DUBIECKIEGO

SERYA II

TREŚĆ:

KAFFA, OSADA GENUĘSKA I JEJ STOSUNEK DO POLSKI W XV. W.
ZAWIAZKI DZIEJÓW SICZY ZAPOROZKIEJ
ZARYSY INSTYTUCYJ ZAPOROŻA — MOHORT, RYCERZ KRESOWY
DWIE KRÓLOWE — PRZEDSTAWICIELKI DAWNYCH DYNASTYJ
KATARZYNA JAGIELLONKA, KRÓLOWA SZWEDZKA



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER SPÓŁKA

1899

ОБЪЯВЛЕН

СТУДИИ ИСТОРИЧНЕ

ИСТОРИЧНОЕ

МАТЕМАТИКА ИСТОРИЧНОЕ

ИСТОРИЧНОЕ

Дозволено цензурою.

Варшава, 30 Декабря 1898 г.

K A F F A

OSADA GENUĘSKA

I JEJ STOSUNEK DO POLSKI W XV. WIEKU.

STUDYUM HISTORYCZNE.



АТЛАС

АТЛАС

АТЛАС

АТЛАС

K-32/78



56003

I.

Wśród rad i przestróg, jakie umierający kancierz i hetman w.kor., Jan Zamoyski, zostawił swym współobywatelom, spotykamy następującą przestrożę: „...a związku na zawojowanie kraju obcego niech Rzeczpospolita nigdy nie czyni“... Nie nowa to przestroga dla synów ówczesnej Rzpltej; wygłaszać ją wszakże rzeczą zbyteczną wcale nie było. Chodziło o utrwalenie tego, co stanowiło jedną z fundamentalnych zasad społeczeństwa polskiego; podbój dla Polski wstrętą był rzeczą; nie oręż i przymus wytwarzały cement spajający różnorodne szczepy w jedną budowę państwową. Hetman Zamoyski pragnął, by ta zasada prastara przyświecała i dalszej wędrówce dziejowej Rzpltej, i dla tego nie zapomina o niej w swych upomnieniach przedśmiertnych. Nie czyniono, ani przed jego epoką, ani też po niej, żadnych zabiegów ku sojuszom ujarzmiającym innych. Słońce wolności, przyświecające dziedzinom Jagiellońskim, i enota królów, co włodarzami byli tych dziedzin — to jedyna moc spajająca bliższe, a przynaglająca i skłaniająca dalsze ziemie ku jednoczeniu się z państwem Jagiellońskiej dynastii. Ten proces asymilacyjny odbywał się powoli, ale wciąż szedł jedną drogą, daleką od wszelkiego przymusu. Wieki średnie i nowsze dziejów naszych sporo nam dają przykładów tego rodzaju. Co więcej, rozrastanie się granic owych dziedzin nie szło systematycznie, przypadek stanowił o wszystkim: płynęła łódź Rzpltej

od fali do fali, niby statek bez wiosła i bez steru. Zabezpieczyć ten lub ów węgiel państwa, oprzeć się o morze, wytworzyć stałą gdzieś obronę, docierając do naturalnych a trwałych granic — nie były to hasła, pod któremi walczono, lub u stołu obrad systematycznie pracowano. Czasami pojedyncza jakaś jednostka podnosiła tego rodzaju hasła, ale poparcia nie znajdując w sejmie i wśród ogółu, upadała pod brzemieniem własnej pracy, lub z żalem patrzyła, iż jej głos pozostaje bez oddźwięku. To ostatnie najczęściej się zdarzało. Niekiedy siła atrakcyjna starej enoty republikańskiej tak była wielką, iż nawet bardzo oddalone bądź szczepy, bądź grody, szukały schronienia w fałdach królewskiej purpury Jagiellonów. Wiek XV. niejednego tego rodzaju przykład zarysowuje przed okiem badacza. Jednocześnie z potężną rzecząpospolitą z nad Ilmenia, jednocześnie z grodami Dolnego Powiśla, temi cngi krzyżackimi osady, garnie się pod Jagielloński protektorat Tauryckie pobrzeże, gdzie wznosił się jeden z najbardziej kupczących grodów nad wodami Pontu — Kaffa, odwieczne targowisko Wschodu z Zachodem, obecnie malutka miejscina, znana pod nazwą Teodozyi.

Tak szczęśliwa chwila, jak rządy Jagiellończyka, w życiu państw zjawiskiem nader jest rzadkiem; ująć wszystkie korzyści takiej chwili, podnieść, zużytkować, zdoła tylko dłoń wyjątkowo uzdolniona, dopatrzyć potrafi oko bardzo wprawne w śledzeniu spraw ludzkich i ich dziwnych zawikłań. Lecz oko i dłoń najwytrawniejszego statysty niewiele zdziałać są mocne w obec ze wszech stron stających oporem nieprzyjaznych okoliczności. A tak właśnie wówczas się działo. Po myśli idące konjunktury polityczne, rozciągające wpływ Kazimierza Jagiellończyka ku Fińskiej zatoce i na pomorze Taurydy, wtedy właśnie świtać zaczęły, gdy Rzplita wplątana była w uporczywą walkę z przemożnym zakonem Krzyżackim. Nie zdołano przeto nieść skutecznej pomocy, ani Nowogrodowi Wiel-

kiemu, ani też Kaffie; niemniej jednak z tą ostatnią nawiązały się ściślejsze stosunki i ślad ich pozostał w Polsce na długie lata. Niezdoławszy ocalić Kaffy od muzułmańskiego podboju, nie od niej nie biorąc i nie żądając, Rzplita poczuwała się do pewnych obowiązków dla tego nieszczęsnego grodu. Obowiązki te pojmovano po swojemu, chciano nieść Kaffie pomoc moralną, kiedy nie stać było na materialną; i rzeczywiście, niesiono ją w postaci misyj religijnych, niesiono, mianując biskupów do grodu, co jęczał pod naciskiem pogańskiego fanatyzmu. Trwało to nie rok, nie dwa, ale wieki; protektorat Polski nad Kaffą istniał zaledwie trzynastcie lat, a jej apostołstwo na zgłiszczach zgasłej potęgi Kaffy widziały dzieje w ciągu trzech stuleci. Juryzdykcyi duchownej, prawnej, jawnej, uznanej przez hanów krymskich, biskupi kaffeńscy, w Polsce mianowani, mieć nie mogli i nie mieli, a byli to apostołowie również gotowi, jak i inni głosiciele Ewangelii, iść na śmierć, na męczeństwo, do wiosłowania na galarach Helespontu, lub dźwigania brzemienia niewoli, gdzieś zaprzędani w głębi Azji, lub perskim kupcom. Czyniła Polska owe poświęcenia nie dla każdego z krajów jęczących pod jarzmem mahometańskiego fanatyzmu; Kaffa tu była, obok Wołoszczyzny, wyjątkiem (w Krymie mianowano biskupów Kaffińskich, na Wołoszczyźnie Bakońskich); oba bowiem rzeczone kraje używały czas jakiś praw polskiego protektoratu, dla obu przeto pozostały jakieś względy i obowiązki w głębi sumienia narodowego — i tym obowiązkom czyniono zadość. Politykę takową nazwać mógłby koniec XIX stulecia bezwzględnie idealną; ubiegłe wieki uprawiały ją u nas, nie troszcząc się o jej określenie, lecz szły jeno za głosem obowiązku i drogą wskazaną przez tradycję — była to polityka enoty, której przedewszystkiem hołd dziś oddać należy, jako czynom poświęcenia bezinteresownego siebie dla innych...

Czemże była owa Kaffa, zanim okoliczności nie znie-

wolili jej do szukania protektoratu Kazimierza Jagiellończyka? Chcąc na to pytanie bodaj pobieżnie odpowiedzieć, cofnijmy się choć na chwilę, o wiele stuleci wstecz.

II.

Na północno-wschodnim węgle Tauryckiego półwyspu, nad zatoką obszerną, tworzącą port wygodny, znany i nader ceniony, na pograniczu dwóch lądów, które po wsze czasy kolebką dwóch cywilizacji były, a rdzennie się swem usposobieniem różniły, nader wcześnie dłoń człowieka siedzibę dla siebie klecić zaczęła. Już bowiem w głębokiej starożytności, bo jeszcze na trzy wieki przed Chrystusem, przedsiębiorczego ducha, greccy, z Miletu, osadnicy założyli miasto, które wnet po swem wzniesieniu kupczyć i wzbogacać się zaczęło, a więc wzrastać i górować, wpływ rozciągać na półwyspie.

Szesnaście wieków od owej doby przesunęło się nad wodami Euxynu, o szesnaście wieków rzeczona osada stała się starszą, ale jej losy nie zawsze były jednakie. W pół tysiąca lat po założeniu, a zatem w II. wieku po Chrystusie, została zburzoną; dzikie tłumy koczowników, wpadając na półwysep, niepokoiły ją, miecz zwycięski królów Bosforu nad pasmem jej przeznaczeń zaciążył; wreszcie, gdy liczyła już szesnasty wiek istnienia, a snąć znowu z kolei pustkowiem stanęła, rozpoczęli genueńscy żeglarze i kupcy szczepić na jej wybrzeżach młodą latorośl rzymskiej kultury. Działo się to w XIII. stuleciu. Prastare osady greckie legły już były w gruzy; potężny ongi Chersones coraz to bardziej w proch się rozsypany; jego sławna przeszłość stała się legendą, a hordy nomadów ze stepów od północy, cisnąc się przez wąziutkie Cymeryjskie miedzymorze, zalewały Taurydę, w pień wycinając wszystko,

co na swej drodze spotkały; — wśród fal krwi przelanej tonęły i resztki tych co pamiętali dni sławy Chersonesu.

Genueńskie bądź większe, bądź mniejsze osady rozpoczęły nową dobę życia dla Tauryckiego półwyspu i okolic ościennych Meotyjskiemu morzu. Były i takie, które chciały przewodniczyć innym: Kaffa mieniła się najpotężniejszą; mniej szczęśliwie położona Tana, od rzeki Tanaisu (Donu) biorąca nazwę, napróżno z nią współzawodniczyć usiłowała. Język włoski brzmiał wówczas na całej przestrzeni, również meotyjskiego, jak i tauryckiego pomorza; stosunek z Genuą trwał ciągły i to bardzo ożywiony; wszystko wróżyło, iż zachodnia kultura stanowczo zwycięży na północnych Euxynu wybrzeżach. Kaffa górowała nad cyklem całym owych osad genueńskich, ona w swej dłoni miała przodownictwo nad innemi genueńskimi koloniami, które się rozsiadły nad morzem „wielkiem“ i „małym“. Pod pierwszym mianem rozumiano Pont Euxyński, pod drugim morze Meotyjskie — dziś Azowskie.

Dwa stulecia XIII. i XIV. wzmagala się potęga Kaffy. Zależną ona jednak była od swej metropolii włoskiej w Genui. Corocznie przybywał z Genui konsul, przedstawiciel metropolii, sprawujący władzę naczelną nad Kaffą i paru miasteczkami jej podległymi. Nosił on tytuł „Dowódcy całego morza Większego oraz Genueńczyków w całym państwie Chazarów“¹⁾. Rok rocznie zmieniali Genueńczycy konsula, aby tem łatwiej zabezpieczyć się przed ambicją którego z tych wielkorządców, mogących łatwo pomyśleć o zerwaniu węzłów zależności od metropolii. Kaffa, podobnie jak każda z osad genueńskich na euxyńskich wybrzeżach, rządziła się wedle statutu opracowanego

¹⁾ W brzmieniu łacińskim zupełny ów tytuł kaffeńskich konsułów był następujący: *Consul Caffae et capitaneus totius maris Majoris ac Januensium in toto imperio Gazariensi*. (Patrz oryginały listów w Metryk. koronnych, przytoczone przez L. Huberta, w *Pamiętnik. Histor.*).

i wydane dla kolonij, w Genui, r. 1449. — Wydanie to cytujemy, gdyż ono bardziej znane, acz i inne dawniejsze teksty ustawy rzeczonej bez wątpienia istniały.

Podboje tureckie w Europie i tatarskie wtargnięcie na Taurycki półwysep zachwiały potęgą Kaffy. Co zdobywały wieki, lata rozpraszają: moc polityczna oparta na potędze handlowej wzrastać już odtąd nie może w obec najść barbarzyńskich ludów, w obec odciętej przez Turków drogi morskiej na zachód, do metropolii, na targowisko wielkie wschodnich towarów.

W latach ścieśnionych komunikacyj morskich z italskim półwyspem, Kaffa wytwarza drogę inną w głąb Zachodu, drogę lądową. Towary Lewantu szły z Kaffy falą Czarnego morza do ujść Dniestru, do Białogrodu, a stamtąd pobrażem Dniestrowem, Podolem, ku małopolskim ziemiom, przez Lwów do Krakowa, a dalej przez Cieszyn na Szląsku, do doliny Dunaju, ku niemieckim dziedzinom.

Tak znaczna długość handlowych szlaków wymagała bezpośredniego czuwania na głównych przynajmniej targowiskach. Kaffa zatem już za dni starego Jagielly posiada agentów handlowych w Polsee. Od owych to dni nawiązywać się zaczynają pierwsze bliższe stosunki Polski z Kaffą. W środkowym punkcie tych szlaków przez dziedzinę Jagiellońską przebiegających, we Lwowie, który od wieków odgrywał u nas rolę wielkiego rynku dla handlu z Lewantem, mieszkał agent kaffeński. W r. 1409 był nim Franciszek Kantelt¹⁾. Białogród (*Album castrum*) i Kocuba (lub Kociuba²⁾), zapewne również posiadały takichże agentów, jako punkta leżące na wybrzeżu Pontu, gdzie się rozpoczynały kraje Rzeczypospolitej. Port Kocuby

¹⁾ L. Hubert, *Pamiętniki Historyczne*, str. 3.

²⁾ Późniejszy Kaczubej, w tem miejscu dziś Odessa. Białogród nosi nazwę Akerman.

(Kaczubej), acz nie posiadający jeszcze wówczas sztucznych zabezpieczeń w zatoce, należał do lepszych żeglarskich stanowisk na północnych brzegach morza¹⁾. Zamożna rodzina Kociubów-Jakuszyńskich jeszcze w XVI. w., w okolicach Winnicy, w Jakuszynie znana, kolonizując te ziemie nadmorskie w końcu XIV. wieku, wzniosła nad zatoką osadę, i już na zaraniu XV. stulecia, jeśli nie w latach ostatnich XIV., dała jej miano swego nazwiska. Tamsamem ustaliła dla dziedzin Jagiellowych posiadanie granicy stałej, o morze opartej. Za dni Stefana Batorego, Kociubowie-Jakuszyńscy na własną rękę urządzają wyprawy na Wołoszczyznę: więc jeszcze kwitną wówczas, gdy ich posiadłości nadmorskie są już tatarskimi.

Z portu Kocuby, a niemniej i Białogrodu, korzystali pierwsi Jagiellonowie; temi więc drogami wszedł i do Polski handel z Kaffy i pierwsze zawiązały się stosunki. Późniejszymi laty, jeśli kto chciał z Polski przedrzeć się w głąb Krymu, zawsze drogę morską obierał. Tak poselstwa jak i kupcy trzymali się tych kierunków; wsiadano na okręty w Kocubie lub Białogrodzie, a wylądowywano w Kaffie, aby w ten sposób ominąć i „Dzikie pola“ na przeddnieprzu, i zadnieprskie pustkowia, zajęte przez hordy koczujące, wpółdzikie, wrogie. Gościńca tego używano do drugiej połowy XV. wieku.

Wcześniej tedy roić się zaczęły ulice i place wspinałej podówczas a ludnej Kaffy ludźmi z Polski przybyłymi. Sam rząd kaffeński mówi nam o tem w listach pisanych do Kazimierza Jagiellończyka. „Pragniemy ubezpieczać wolny, swobodny i spokojny wstęp, pobyt i powrót, nawiedzającym nasze strony“... pisze konsul Monterubro

¹⁾ Mylnem jest mniemanie, iż nazwa „Kaczubej“ ma pochodzenie tureckie, bądź tatarskie; o rodzinie Kociubów-Jakuszyńskich, patrz *Lustracje* z r. 1545, umieszczone w *Źródłach dziejowych*, wyd. A. Jabłonowskiego, T. VI, str. 116 i XXXIX.

do Jagiellończyka, a w innym znów liście dodaje: ...„posłowie, których W. Król. M. corocznie do cesarza tatarskiego wyprawiasz, często przybywają do tego naszego miasta Kaffy“... „którym to posłom Waszym, mówi w innym miejscu tenże Monterubro, przyjmując ich radośnie, oddajemy należne względy, stosowne do szacunku, jaki mamy dla Waszego imienia“... Skrzętnie parę tych szczegółów podnosimy, aby wskazać, iż stosunki te nie były rzeczą nową, a później coraz ściślejszemi węzły zadzierzgały się. Przytaczany przed chwilą list zawiera stanowcze twierdzenie, iż ci „często przybywający“ goście z Polski byli z mieszkańcami Kaffy „połączeni życiowością i niejako domowymi związkami¹⁾ zbliżeni“...

Gości tych bywało więcej, niż możnaby mniemać. Oprócz posłów, prawie co roku przyjeżdżających, kupcy z głębi Rzeczypospolitej niejednokrotnie osobiście przywozili towary do Kaffy, lub do miasteczek nadmorskich od niej zależnych, jak do Soldai, do Cembalo, (starożytnie *Palakion*) i tam, kupecząc, czas dłuższy gościli²⁾. Małopolskie nasze, podkarpackie miasteczka, srodze w XVII. wieku przez Szwedów złupione, zatraciły od dawna swój przemysł, wśród którego poważniejsze miejsce zajmowało tkactwo; wyrób płótna żaglowego u nas, w małopolskich miejscinach, i na Rusi czerwonej, znajdował odbyt na dalekich rynkach nadmorskich. Długoletnia wojna ówczesna z Krzyżakami (1454 – 1466) zamykała odbyt w Gdańsku, Elblągu, dla naszego tkackiego przemysłu, potrzeba więc było zwracać się do Kaffy, do „*Portus Symbolorum*“ (Bałakławy), na Tauryckim półwyspie. Wszystko to przyczyniało

¹⁾ *Domestica familiaritate*.

²⁾ *Soldaja* jest dziś ubożuchną miejsciną i nazywa się *Sudak*. Resztki budynków genueńskich świadczą o zgasłej świetności *Soldai*. *Cembalo* — również genueńska osada, obecnie zowie się *Balakława*, a jej zatoka nosiła nazwę *Portus Symbolorum*; Grecy zaś nazwali ją *Symbolon leimon*.

się do utrzymywania coraz liczniejszych stosunków Polski z Kaffą, i stawało się niejako podścieliskiem do późniejszego bliższego, politycznego zespolenia.

Lecz na tych kupieckich stosunkach wcale się nie skończyło.

Taurycki półwysep w XV. stuleciu już tylko na wybrzeżach posiadał ludność chrześcijańską, w głębi koczowały hordy tatarskie; gdzieniegdzie tylko wyglądała osada chrześcijańska, niby samotna oaza, jak na przykład miasto Kirkor, genueńska kolonia na niedostępnej skale wznieśiona¹⁾. Otóż, wśród tej garstki chrześcijan, spotykamy misjonarzy z zakonu św. Dominika, tak zwanych „Braci pielgrzymujących“ *Societas fratrum peregrinantium*, którzy nieśli im duchowną pomoc, a niewiernym głosili słowo Boże. Ziomkowie nasi, jako zbliżeni do Wschodu, znający dość często język tatarski i turecki, zaciągali się chętnie pod sztandar owych prawdziwych apostołów wiary, którzy walczyli na polu misyjnym nie mieczem, ale pokorą, ubóstwem, poświęceniem. Ci to więc siewcy ewangelii opierali się o Kaffę, zwłaszcza, iż już od r. 1375, w liczbie czterech klasztorów, (Chios, Pera, Trebizonda, Kaffa), jakie owym „Braciom pielgrzymującym“ za schronienie, ku chwilowemu odpoczynkowi służyły, spotykamy i Kaffę. Nasi Dominikanie, tak należący jak i nie należący do owych „Braci pielgrzymujących“, zasypali swemi kośćmi olbrzymie Wschodu przestworza. Tauryda wielokroć była polem ich pracy, częściej nawet w szeregach tych misjonarzy spotykamy ziomków naszych, niż zakonników innych narodowości: misye Dominikanów wyróżniały się poświęceniem iście ewangelicznym. Tak też działo się i później, znacznie później; tenże stosunek liczebny spotykamy już i w tych czasach gdy na tauryckich pomorzach nie było

¹⁾ Teraz Czufut-Kale; są tam do dziś ślady budowli genueńskich.

chrześcijan, chyba jeńcy, lub gdzie ukryci i w poniewierce będący u muzułmanów, wyznawcy Chrystusa. Im to niesiono pociechę ducha, moc ku wytrwaniu.

We właściwym miejscu wskażę, jak ci polscy apostołowie wiary pracowali później, nawet na zgliszczach Kaffy, w połowie XVII. wieku. O parę wieków wstecz, gdy gród był jeszcze chrześcijańskim, tem liczniej i tem częściej spotykano tam owych naszych bojowników wiary, którzy, odpocząwszy na chwilę w Kaffie, wyruszali do dalszych prac.

Ci ubożuchni kapłani, którzy oprócz sukni zakonnej, brewiarza i czerwonego pasa — tej widomej oznaki swego przeznaczenia na męczeństwo — nie posiadali, to Niemniej silny cement jednoczący Kaffę z Polską, jak możni nasi posłowie lub przedsiębiorczego ducha nasi kupcy ormiańscy.

III.

Genoa, na początku XV. stulecia, dobiegła kulminacyjnego punktu rozwoju swej potęgi. Jej faktoryje zajmowały całą przestrzeń środkową znanego wówczas świata. Spotykano je na każdej większej wyspie, w każdym większem nadmorskiem mieście na tej olbrzymiej przestrzeni, co legła między Gibraltarem a Bagdadem. Niosąc w jednej dłoni twory ówczesnego przemysłu, lub płody ziem odległych, a w drugiej miecz, Genuńczycy zakładali nowe, maluczkie rzeczpospolite, które zaszczipiały na pustkowiach lub zdziechałych wybrzeżach latorośl kultury wyższej. Jeśli nad ujściami Tanaisu, na płaszczyznach Meotyjskiego pomorza, zniknęły zupełnie z powierzchni ziemi ich zamożne, kupujące grody, ze świątyniami, klasztorami, z ludnością ongi liczną, tak, że określenie miejsca, gdzie wznosiła się „Tana“ jest dziś zagadką dla archeologów, to Tauryda sporo jeszcze i obecnie posiada zabytków bu-

downictwa genueńskiego, chociaż wszystko już w ruinie; oszpecone nie tyle dłonią dawniejszych, muzułmańskich władców, ile niedbalstwem i złą wolą obecnych.

Szczątki budynków, zamków, twierdz, świątyń, gmachów publicznych, świadczą o wysokiej kulturze tamtoczesnych Genuńczyków, o potędze materyjalnej owych niegdyś panów wszystkich mórz, w dobie średniowiecznej. Trzynasty i czternasty wiek są okresem najbardziej wybuchającej ich pomyślności. Wystawić 200 galer zbrojnych, rzucić czterdzieści i więcej tysięcy wojska pod mury współzawodniczących grodów, upokorzyć nieprzejednanych wrogów, Wenecję i Pizę, było dla Genuńczyków rzeczą łatwą. XV. stulecie jeszcze rzuca im promienie pomyślności — lecz nietrwałe, przemijające. Energia ich nie opuszcza, ale powodzenie omija. Chwila owa dziejowa była dla wielu dawnych potęg nader stancwą. Padaly, bądź pod mieczem sił dotąd nieznanych, świeżych, groźnych, niezwytych, bądź pod naciskiem okoliczności niespodzianych, jakie wytworzyły nowe morskie odkrycia, zmiana kierunków dróg handlowych. Świat się olbrzymio rozrastać zaczynał. Na niewiele lat przed tą dobą stanowczą, blask sławy genueńskiej gaśnie. Kto nie posiadał większych zasobów mocy, sił, szczęścia, a wówczas padł — to padł bezpowrotnie.

Takim się stał los W. Nowogrodu, los Krzyżackiego państwa, a wreszcie genueńskich osad na lądzie Taurydy. Pomoc metropolii dla tych ostatnich stała się nieodbitie potrzebną. Metropolia jednak pomimo swej dobrej woli i pragnień szczerych, pomocy dać nie mogła, i nie dała — a tem samem rozstrzygnęła losy własnej potęgi na wodach Euxynu.

Niejednokrotnie falą śródziemnych wód płynęły skargi, jęki, wołania o pomoc do Kaffy. Dobiegały one do „wspañalej Genui“ i brzmiały pod sklepieniami *Palazzo Ducale*, lecz, oprócz słów współczucia, nie zagrożonej Kaffie nie

przynosiły. Współczucie na szali wypadków zaważyć nie mogło. Potrzebnymi były nie słowa, ale czyny w postaci tłumów orężnych. Powódź tatarska wzmagala się tymczasem i rosła. Oprócz Tatarów zagrażał jej Turek, a nawet Wołoszyn. Kaffa, w epoce bezpośrednio następującej po zdobyciu Konstantynopola, była niejako samotną, małą wysepką wśród fal muzułmanizmu, dokoła przeciw niej bijących.

Jeden z wyżej przytoczonych listów rządu kaffeńskiego wyraźnie to stwierdza następującymi słowy: „my, to jest Kaffa, jedyne chrześcijańskie miasto, z dwoma naszymi miasteczkami nad morzem Czarnem“... W innym miejscu czytamy podobne twierdzenie, iż „dziwną jest rzeczą“, że mieszkają oni tylko jedni *in medio infidelium* (w pośród niewiernych) ...¹⁾. W takim położeniu znajdowała się Kaffa w roku dziewiątym wojny Kazimierza Jagiellończyka o odzyskanie dolnego Powiśla tj. w 1462.

Rok ten stał się właśnie chwilą, w której doszły stosunki Rzplitej z Kaffą do ściślejszego sojuszu.

Nawiązywać się one zaczęły już na kilka lat przedtem. Sprawy natury prywatnej stały się źródłem rokowań Kazimierza Jagiellończyka z Kaffą, których się ta ostatnia chętnie ujęła jako jedynej kotwicy ratunku. Kilka zaledwie pozostało piśmiennych autentyków, z zakresu owych rokowań, a jakże jednak i w małych okrucinach dużo przyświeca grozy dziejowej, która głównem była znamięm ówczesnych dni. Każda prawie myśl, każdy niemal wyraz są jękiem bólu; w każdym słowie uwydatnia się sytuacja bez wyjścia; jedyna droga ocalenia to Jagiellończyk, lecz on daleko; wyciągają ku niemu dłonie, ale zarazem wiedzą, są świadomi z pewną rezygnacją, iż i ta kotwica może zawieść. Powtarzają wciąż jedno i to samo; proszą, by ich bądź wcielono do Polski, bądź uważano za

„sprzymierzeńców“, byle tylko w traktatach, umowach Kazimierza z Tatarami i Turkami obok Polski Kaffa mogła figurować. Brak stosownej mocy do odparcia wroga zmuszał do opierania się na wątej podstawie zwojów pergaminowych, do których zbyt mało hanaty tatarskie wagi przywiązywały. Podpis, pieczęć, przysięga dla tych stepowych, koczujących dyplomatów hanatu zbyt mało miały powagi, unieważniano je za łada błahym powodem: zrywano umowy, rozejmy¹⁾. Duch zaborezy pędził ich coraz to dalej w głąb ościennych prowincyj; jeśli nie o podbój, — o łup im zawsze chodziło. Opierać się jedynie na traktatach, w obec dzikiej przemocy, złudzeniem było — i Kaffa ludziła się, acz niebezpieczeństwa nie tajono przed sobą.

Przy ciągłych stosunkach handlowych południowych okolic Rzplitej z Kaffą, o zajścia prywatnej natury było zbyt łatwo. Jedno z takich zadzierzgnęło piśmienne rokowania genueskiej osady z Kazimierzem Jagiellończykiem. Wiek ówczesny nie znał jeszcze subtelności rozróżniania różnych gałęzi zarządów. Bezpośrednio o tron najpotężniejszych państw niejednokrotnie opierały się sprawy wcale podrzędnego znaczenia, które mogły być załatwione przez niższe organa administracji. Tak się też stało i w r. 1459.

IV.

Rok 1459 był w pierwszej swej połowie dobą rozejmu w wojnie Jagiellończyka z zakonem Krzyżackim. Niemniej rok ten przyniósł wiele trosk. Rozpoczął się sejm w Piotrkowie, gdzie się rozstrzygało olbrzymiej wagi pytanie: czy wojna o Dolne Powiśle ma być dalej prowa-

¹⁾ Pam. Historyczne, wyd. L. Huberta, T. I., str. 6 i 5.

¹⁾ Długosz. — Dr. Wil. Heyd., „Geschichte des Levantehandels im Mittelalter“. T. II, str. 391.

dzoną, czy też król ustąpi znacznej większości chwiejnych, i ku pokojowi i słomianej zgodzie z Zakonem skłaniającej się, i rzecz tak uporczywie i mozolnie prowadzoną, w połowie przerwie. Już to jedno pytanie wystarczyłoby mogło do pochłonięcia całego czasu obrad, usunięcia najzupełniej rzeczy drugorzędnych poza zakres uwagi królewskiej. Stało się jednak inaczej. Już w dziewiątym dniu sejmku ma król czas na wglądanie w sprawy i zażalenia prywatne. Sejm rozpoczął się d. 14 stycznia, byli na nim od pierwszych dni obrad posłowie wyzwajających się grodów krzyżackich, proszący o przedłużanie walki z Zakonem; ich na sejm przybycie zaprzętało uwagę wszystkich, przyczyniając się do burzliwości obrad. Pomimo jednak tych spraw pierwszorzędnej doniosłości, wyszedł z kancelaryi królewskiej, d. 22 stycznia 1459 r., list do miasta Kaffy z zażaleniami, iż obywatel Rzpłtej, niejaki Klemens z Kodymy (*de Cadim*), doznał ciężkiego pokrzywdzenia na wybrzeżach osad genueńskich, w Krymie.

Krzywdzicielem miał być konsul, nie kaffeński nawet, ale z Soldai, (Sudak dzisiejszy), niemniej jednak król odwołuje się do Kaffy, jako do przedniejszego z genueńskich miast na wybrzeżach krymskich. Rzeczywiście Kaffa miała pewną zwierzchność nad mniejszymi genueńskimi osadami na tauryckim pomorzu, takie więc odwołanie się do niej było najzupełniej w porządku rzeczy, i rząd kaffeński zarządził śledztwo w tej sprawie, aczkolwiek dość późno.

Nazwisko pokrzywdzonego, a skarżącego się aż u stopni tronu, w Piotrkowie na sejmie, i niektóre okoliczności sprawy tej wskazują, iż nader ożywione stosunki łączyły południowe okolice Braclawszczyzny z genueńskimi osadami. Pokrzywdzony był mieszczaninem lwowskim, prawdopodobnie Ormianinem, trudnił się bowiem handlem na wielką skalę, sam rozwożąc towary po wodach i portach Euxyńskich. Dokumenta urzędowe przechowały jego nazwę — „Klemens z Kodymy“. Parę tych szczegółów wy-

starczają, aby wskazać, iż ów kupeczący mieszczanin, nie poprzestawał na handlu, lecz i rolę się znać bawił, mieszkając w Kodymie, a zatem w pośrednim punkcie między okolicą żyzną, do uprawy zdadną, a pustynią jałową, gdzie się pasterstwem tylko trudnić można było: Kodyma bowiem leży na granicy Braclawszczyzny i owych, w dziejach znanych „Dzikich Pól“.

Ów „Klemens z Kodymy“ śnać korzystał z sąsiedniego Dniestru i towary swe spławiał rzeczną drogą do morza, co pospolitą wówczas była drogą kupiecką, gdyż, jak widać z jego zażeń, płynął z ujść Dniestrowych „z Białogrodu“ do Kaffy (*Fr. J. Jekel, Pohlens Handelsgeschichte, Erster Theil*).

Od czasu listu królewskiego, w sprawie pokrzywdzonego w Soldai Klemensa z Kodymy, nawiązują się stosunki piśmienne miasta Kaffy, coraz to bardziej zagrożonego od Tatarów i Turków, z Kazimierzem Jagiellończykiem. Kaffa i w ogóle genueńskie osady na wybrzeżach Taurydy, dla których napróżno starali się papieże wytworzyć koalicję, w celu ich oswobodzenia od wiszącego nad nimi jarzma niewiernych, coraz to częściej wzrok ku Polsce zaczynają zwracać, widząc, i słusznie, w Jagiellończyku jedyne obrońcę wiary katolickiej na Wschodzie. Nieprędko atoli wytworzyło się w Kaffie przekonanie, iż Polska może się stać wyłącznym jej puklerzem. Długo Kaffa wyglądała pomocy z Zachodu, gdzie moc jej metropolii niezupełnie się jeszcze stępiła, ale już od r. 1452 zostawiono osady nad Pontem własnym ich siłom i opiece Stolicy Apostolskiej, która w tym względzie nie szczędziła szczerych a usilnych zabiegów.

Już na półtora wieku przedtem, bo przy schyłku XIV w., papież Bonifacy IX wydaje bullę, wzywającą na krucyatę przeciw Tatarom i Turkom, i w tym celu biskupowi krakowskiemu zaleca „aby osobliwie opowiadał“



krucyatę¹⁾. Późniejsze nieco lata przyniosły nowe dowody pieczołowitości Stolicy Apostolskiej, o ludy zagrożone niewolą, uciskiem pogańskim. Genueńskie kolonie stają się przedmiotem szczególnej troskliwości papieża, a Kaffa głównie była tu na celu; ku jej obronie zgrzybiały, ale nader czynny papież Kalikst III promulguje w r. 1455, a więc w roku swego wstąpienia na Stolicę Apostolską, bullę wzywającą do krucyaty przeciw niewiernym, którzy już wzniesli byli na murach Konstantynopola chorągiew Islamu, i nadaje odpusty tym, co bronić będą osad genueńskich w Krymie. Specjalni nuncjusze wysłani przezeń zostali z tą misją do różnych dworów. Legat Carvajal przybył do Polski, podczas gdy inni legaci pracowali w tym kierunku w Węgrzech, Anglii, Francji, Portugalii. W latach następnych — 1456 i 1457 — toż samo się powtarza. Na Apenińskim półwyspie powstaje ruch umysłów, skierowany ku wytworzeniu odsieczy dla taurydzkiego wybrzeża; zbierają się stosowne środki pieniężne; poborcy składek na tę wyprawę przebiegają cały półwysep. Składki nie idą opornie; przywileje papieskie są tu zachętą; interesa materialne niektórych miast włoskich, przeważnie Genui, również bodźcem niemałym: lecz dłoni do oręża brak zupełny, zapal dawnych krzyżowników prawie do ostatniej iskry już był wygasł w sercu społeczeństw XV. wieku. Zresztą, rządy i państwa ówczesne zajęte są często bliższymi sprawami; wikłają się tu interesa i kierunki sprzeczne; dawne zawiści ku przemożnej, a szczęśliwej, tak długo i statecznie Genui budzą się i dumnie głowy podnoszą, udaremniając bliską nieraz urzeczywistnienia pomoc dla biednej Kaffy. Jedna tylko Stolica Apostolska wierną jest w niedoli zagrożonemu miastu. W r. 1459 nie mogąc nieść

¹⁾ Bulla rzeczona nosiła datę „IV Non. Maji“, papieża X tj. r. 1399. Patrz *Skarbiec dyplomatów...* wyd. Ig. Daniłowicza T. I, str. 317, 318.

dla Kaffy pomocy materialnej, niesie duchową pociechę, szląc po zgonie biskupa, nowego pasterza Hieronima, który, przyjmując pastorał, składał jeno dowód poświęcenia. Nie czekały go tam wczasy, ale trudy i męczeństwo. Lata stawały się coraz to twardsze. Fanatyzm pogański wzbierał wciąż obfitszą falą... Jeszcze chwila — lat niewiele, a niszcząc wszystko co na swej drodze spotka, pochłonie ową maluczką kaffeńską oazę, oazę katolicyzmu i cywilizacji.

Po zgonie Kaliksta III, papież Pius II, ów znany ze światła, ongi dyplomata, Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, nie szczędzi zabiegów gwoli ccaleniu Kaffy. Wznawia przywileje swego poprzednika. Sprawy świeckie znowu udaremniają wytworzenie się poważniejszej krucyaty. Gro-mady zbrojne tu, ówdzie tworzące się, nie mogły doprowadzić do celu.

Strach padł na możną a szerocę na rynkach świata słynną Kaffę.

Udaje się przeto, jak już rzekliśmy, pod osłonę skrzydeł orla wawelskiego. Posłowie kaffeńscy błagają Jagiellończyka, aby ich miasto przyjął pod swą opiekę, i zawiązując rokowania bądź z Turkiem, bądź z Tatarem, „mówił o Kaffie jako o swem mieście“.

„Prosimy W. Król. Mości, wołają oni w roku poddania się Polsce (1462), pokornie prosimy, iż gdybyś z królem Tureckim przymierze, czy też punkta, albo jakie inne stosunki przyjaźni zawierał, i Kaffę jako sprzymierzoną, czy poddaną, wreszcie, jak się W. kr. M. podoba, w takowe zamieścić raczył, to bowiem wiele może nam dopomódz i zamiary króla Tureckiego względem nas odwrócić“¹⁾... Doświadczenia bolesne lat wielu przekonały znać wreszcie Kaffę, jak zwodniczymi są nadzieje, oparte jedynie na traktatach, w powyżej bowiem przytoczonym liście

¹⁾ *L. Hubert*, loco, c. str. 7.

swym nie zaniedbują dodać, iż bezpieczeństwo nie tyle polegać może na „przyjaźni“ zawartej z Turkiem, ile mogą być odeń bezpieczni „przez szacunek imienia i potęgę państwa i królestwa“ (Kazimierzowego)... Wymagania poddającej się Kaffy świadczą, że stosunki wewnętrzne państwa Jagiellończyka dokładnie nie były im znanymi. Kupujące miasto wiedziało o zasobach wielkich Rzpltej, o obszarach jej ziem, ale nie miało znać dokładnego pojęcia, jak to nieraz skąpą dłonią synowie tej wspaniałej Korony nieśli pomoc niezbędną swej macierzy, z jak niezmiernymi finansowymi trudnościami przychodziło waleczyć Jagiellończykowi właśnie w owym czasie, gdy z Zakonem długie a ciężkie wiódł boje. Rząd bowiem kaffeński prosi Jagiellończyka, aby ich wspierał „swą pomocą i pieniędzmi“, które im posiłków przysporzą. Zbyt ułudne były to nadzieje. Naglące sprawy domowe domagały się wielokrotnie a napróżno grosza publicznego; czegoż się więc można było spodziewać dla dalekiej Kaffy?

Jeśli massy powołane do życia politycznego niedość dobrze rozumiały doniosłość posiadania ujścia głównej swej rzeki rodzinnej, tem trudniej im było zrozumieć, jak ważnem dla Rzpltej mogłoby być posiadanie dalekiego, ale głównego ogniska handlu na Wschodzie. To niedostateczne zrozumienie doniosłości faktu, jakim było bezzapreczenia poddanie się Jagiellończykowi Kaffy, tłumaczy nam milczenie lub lakoniczne tylko wzmianki o tej kwestyi owoczesnych i późniejszych kronikarzy. Nie widzą oni w tem nie ważnego, omijają przeto prawie zupełnie całą sprawę kaffeńską. Długosz tylko jest w tym względzie do pewnego stopnia wyjątkiem, ale tylko do pewnego stopnia; o samym fakcie poddania się on zamilcza.

Straciwszy wszelką nadzieję zdobycia dla siebie posiłków, nie licząc już wcale na krucyatę, których usiłowania speliły na niczem, wysyła Kaffa poselstwo do Jagiellończyka, niosąc mu swe poddanie się.

Były to miesiące wiosenne 1462 r.

Kazimierz Jagiellończyk, który znaczną część życia na większych lub mniejszych podróżach spędzał, i w tym czasie prawie z wozu nie zsiadał. Wojna tak zwana pruska, rokowania z królem czeskim Jerzym, prowadzone w Głogowie, gdzie wśród innych spraw omawiano wspólne przeciwko Turkom przymierze, pochłonięły mu całą prawie wiosnę. Na początku lata, w dniach czerwcowych 1462 r., król stanął w Inowrocławiu, gdzie wreszcie poselstwo Kaffeńskie mogło mu złożyć prośbę o protektorat i swe homagium. Sprawa załatwiała się doraźnie, że tak rzekę — z konia; na deliberacye, na rokowania długie czasu nie miano — chwila była groźną.

Król „mile przyjął oświadczenia posłów“, ale długo tą sprawą acz ważną, zajmować się nie mógł; czasy były zbyt ciężkie; wojna wrzała dokoła. Ognie obozowisk krzyżackich płonęły tak blisko, iż dym ich prawie sięgał naszych zbrojnych stanowisk, a nawet królowa bezpieczną na zamku Toruńskim nie była¹⁾. Zewsząd zresztą dobiegały właśnie wówczas wieści groźne. Przesadna wyobraźnia tamtoczesnego społeczeństwa tworzyła zatrwajające różne *omina*, rokujące coraz groźniejsze klęski i niepomyślne walki. Nietylko na Dolnem Powiślu, gdzie było pole walki, ale i z Krakowa nadciągały wieści złowróżbne o „dziwach“, które widziano na niebie, a nawet na ziemi: „głowa św. Stanisława, noszona w procesyi, pocila się jako żywa“, a po zachodzie słońca widywano krucyfiks z mieczem na horyzoncie w stronie południowo zachodniej. Złe wróżby o tyle się wówczas ziściły, iż Kraków w znacznej części legł w gruzy, z powodu olbrzymiego pożaru. W obec niebezpieczeństw rzeczywistych a wróżb urojonych, sprawa kaffeńska szybko załatwioną została. 1-go lipca 1462 z kancelaryi królewskiej wyszedł list Kazimierza

¹⁾ *Bielski*, wyd. Turowsk., ks. IV, str. 780.

Jagiellończyka do miasta Kaffy, z oznajmieniem, iż protektorat został przezeń przyjęty.

Wiadomość ta, stosunkowo do czasu i warunków ówczesnych, dość szybko dobiegła do wybrzeży Tauridy. Już 16 września tegoż roku, Kaffa odpowiadała na powyższy list królewski, dziękując a radując się wielce, iż spokój zdobędzie pod osłoną królewskiego ramienia, którego dzicz muzułmańska nie mało się obawia, jak się owa odpowiedź kaffeńska wyraża.

Nierozgłosny akt inowrocławski, u nas wnet został zapomniany, tak, iż w XVI w. kronikarze nasi nic o nim nie wiedzą, natomiast źródła włoskie zachowały pamięć o nim ¹⁾.

Trzynastcie lat trwała jeszcze niepodległość Kaffy; ludzono się że tak pozostanie. Czas jednak rozwiął te nadzieje. Polska za dni Kazimierza Jagiellończyka, umowami tylko wstrzymywała miecz Turków i Tatarów, wiszący nad nią. Polityka Kazimierzowa, jak widzimy, wobec groźnego islamizmu, obronną była jedynie: ocalało to Polskę, ale dla zabezpieczenia Kaffy wystarczającym być nie mogło. Wojna jedynie zaczepna, przeniesiona na terytoryum tureckie, mogła była wstrzymać ów nacisk mahometanizmu; rozumiano to dobrze, i dla tego też czyniono pewne kroki ku zawiązaniu koalicji państw zachodnich, ale wszystkie te starania najzupełniej zawiodły.

Krzążając się o jakąś zewnętrzną pomoc, Kaffa nie zapominała i o własnych siłach; wzmacniała przeto swe mury, sypała wały, zbroiła się. Resztki murów rozsianych na znacznej przestrzeni, zdala od dzisiejszej Teodozyi, świadczą o ogromie owych fortyfikacyj. Liczyła ona wtedy cztery tysiące domów, zamieszkałych przez sto tysięcy, czy też więcej mieszkańców, nie mówiąc o tłumach przy-

byszów, bądź kupców, bądź przejezdnych wędrowców. Polak, Wołoszyn, Włoch, Litwin, Grek, Armeńczyk, Pers, Rosyanin, góral z wyżyn Kaukazu, mogli tam prawie w każdej chwili roku znaleźć swych współbraci, usłyszeć wśród jej murów dźwięk mowy rodzinnej.

Ten tłum obcych, to ciągle kupezenie, ocieranie się o ludy niższej kultury, które gwoili pomocy starano się zjednać, a z konieczności z nimi obcowano, wywierały wpływ wielce demoralizujący. Cnota domowa, owa podwalina społeczeństw, chwiać się zaczęła: i gdy z czasem podwalina ta runęła, nie już nie mogło wstrzymać upadku Kaffy ¹⁾.

V.

Podczas trzynastoletniego stosunku hołdowniczego Kaffy do naszej Rzpltej, ta ostatnia, zbyt mało niosła jej czynnej, zbrojnej pomocy; powtarzamy — nieść nie mogła. Po dniu aktu inowrocławskiego cztery lata trwały jeszcze ponad Dolną Wisłą orężne zapasy z Zakonem. Pokój, w r. 1466, w Toruniu zawarty, zamknął wprawdzie okres walk z Krzyżakami, lecz zarazem rozpoczął dobę wielkiego wycieńczenia. Polska znużoną się czuła po trzynastoletnich nie zawsze szczęśliwych wysiłkach i walkach z Zakonem.

W one to lata wypoczynku Polska na nic innego zdobyć się nie mogła dla Kaffy, jak jeno na pozwolenie robienia zaciągów płatnych w obrębie swych granic. W tym celu, w r. 1469, przybywa do Polski kaffeńskie poselstwo, na którego czele stał niejaki Galeacer z orszakem zło-

¹⁾ Patrz o źródłach włoskich *Dra W. Heyd'a Geschichte des Levantehandels...* T. II, 391, przyp. 11.

¹⁾ Długosz, współczesny rzeczonym chwilom, upadek Kaffy przypisuje demoralizacji jej społeczeństwa. Patrz *Długosza Historiae Polonicae libri XII*, pag. 629—630, ed. Crac,

żonym z siedmiu Kaffieńczyków. Posłowie, przebiegłszy całą Rzpltę, dopiero na Litwie znaleźli króla. Jagiellończyk chętnie na czynienie zaciągów zezwolił i było to dlań najłatwiejszem; inna, bardziej stanowcza akcja wymagałaby zgody sejmowej, który właśnie w one lata już z dwóch izb zaczął się składać. Bez sejmowej wojny wypowiadać, ani też środków do jej prowadzenia wydobyć z kraju niepodobna było, ale pozwolenie do wynajmowania zaciągów nie wchodziło do zakresu kompetencji sejmowej; król mógł dać takowe, że tak rzekę od ręki, i rzeczywiście wydał natychmiast. Galeacer z siedmiu towarzyszami udał się na Ruś, gdzie zaciągnął pod sztandar Kaffy hufiec 500 kiryśników, wyłącznie ze szlachty polskiej złożony. Są niektóre wskazówki dziejowe, iż był to lud możny, który nie gwoili nadziei łupu, nie gwoili jurgieltowi ciągnął na krymskie wybrzeża. Gdy bowiem pewna klęska Kaffy wstrzymała ich w pochodzie, a i mieszczenie Braclawscy, przy pomocy okolicznych wieśniaków, wciągnawszy ich w zdradziecką zasadzkę, porazili na głowę, tłum zwycięski znalazł przy nich łupu na 30.000 lub i więcej¹⁾. Rycerze ciągnący wielokroć z Zachodu do siedzib krzyżackich, rzadko tak suto byli opatrzeni, jak ów polski hufiec kiryśników, dążący z odsieczą Kaffie, wciąż przez Turków zagrożonej, a przez Tatarów mniej lub więcej niepokojonej. Sułtan pobierał nawet daninę od Kaffy w ciągu ostatnich kilkunastu lat jej niepodległości.

Przyczyna niespodzianej porażki tego hufca, na terytorium Rzpltej, miała swe źródło w zwadzie jednego z rycerzy, czy też pachółków rycerskich z butnymi mieszczanami Braclawia, gdzie owa odsiecz noc spędzić zamierzała. Zwada wprędce przybrała rozmiary znaczne. Wszysey rycerze ujęli za miecze, by hardych mieszczan poskromić. Wśród boju powstał pożar, o który pomawiano wojsko

¹⁾ L. c.

polskie, i gdy przy blasku łuny gorejących domów hufiec się z boju wycofał, by udać w dalszą drogę, mieszczenie odbiegli swych siedzib palających i rzucili się w pogoń. Ścigających kilkakrotnie odparto, ostatecznie wciągnięty w zasadzkę przez lud okoliczny, hufiec polski cały wyginął. Galeacer tylko i siedmiu jego towarzyszy ocalić się zdołali... Łup bogaty stał się zdobyczą wieśniaczą, a może poczęści i dom starosty braclawskiego zubożać się cennymi trofeami zdobytymi na własnych braciach¹⁾.

Ostatni to raz spotykamy się z pomocą niesioną przez Rzpltę dla nieszczęsnej Kaffy. Stolica Apostolska wciąż do krucjaty nawoływała, ale do rzeczywistej krucjaty wcale nie przychodziło; zanim grom mógł uderzyć w potęgę Islamu, chmury się rozprasały. Jedną z takich wypraw (w r. 1446) zebrana pod znakiem krzyża, która przez Węgry ciągnąć miała na półwysep Bałkański, i tam wtargnąć do siedzib pogańskich, znalazła niewiernych znacznie bliżej, gdyż na bruku Krakowa. Żydzi, zamieszkujący ulicę św. Anny, stali się celem pocisków owych krzyżowców. (*Bielski*). Zrobiono wielką burdę uliczną, 30 Żydów zabito, domy zrabowano — innymi czyni ta rzekoma krucjata nie upamiętniła się.

Pojedynczo rycerstwo Rzpltej wielokroć ciągnęło do Kaffy, by zmierzyć się z poganinem; spotykamy bowiem wśród jej murów, w chwili gdy się stawały łupem Turków, między innymi cudzoziemcami, pewną ilość „Polaków i Rusinów“²⁾. Rząd polski, jeśli co czynił dla jej ocalenia, to chyba na drodze układów. Zaborce zamiary tatarskiego hanatu mogły być wstrzymywane przez Jagiellończyka, hanat bowiem cenil wówczas Polski powagę, która do

¹⁾ L. c. i *Bielski*, wyd. Turowsk., ks. IV. — *Nuruszewicz*, *Tau-ryka*, wyd. 1787 r., str. 98.

²⁾ *Heyd*, *Geschichte des Levantenhandels im Mittelalter*, T. II, str. 403.

pewnego przynajmniej stopnia mu imponowała. Po zgonie Hadżigireja, Tatarzy, osadzając na swym hanacie syna jego, nie zaniechali uroczyscie Kazimierza Jagiellończyka o tem zawiadomić. Tatarskie poselstwo na Lwowskim zamku poleca nowego hana względem królewskim¹⁾; i tym względem, które znać cennymi dla hanatu krymskiego były, zawdzięczała poniekąd Kaffa, po części przynajmniej swój spokój. Polityce Tatarów, jak już wyżej rzekłem, wiele ufać nie można było: bez względu na wielokrotne submitowanie się ich hanów polskiej koronie, bez względu nawet, że ci hanowie zawdzięczali niekiedy swą stolicę polskiej przewadze, czambuły tatarskie nie przestawały niepokoić krajów tejże Rzpltej. Hanat krymski, wytworzony z dziedzin Kipczaku, nie hołdował jeszcze wówczas Turcyi, a gotów był niekiedy, za Hadżigireja szczególnie, uznawać protektorat Polski. Hadżigirej, z powodu swej osobistej sympatii ku Polsce, wyróżniał się wśród całego szeregu hanów.

Przytoczymy tu poważne świadectwa króla Aleksandra Jagiellończyka, który w liście swym do hana Perekopskiego Mendligireja, syna i następny Hadżigireja, tak się wyraża: „Potrzeba, abyś wspominał na dawne sprawy, które od wieków się toczyły, za przodków naszych i za twoich, za ojca naszego i za twojego ojca; jeżeli bowiem któremu z hanów (Perekopskich) przytrafiła się przygoda, nigdzie on konia polnego nie rozsiadł, jeno w naszej ojczyźnie i w W. ks. Litewskim, i chleba i soli im nie broniono, jak długo kto chciał zamieszkiwać. I jak dobrowolnie przyjeżdżali, również dobrowolnie odjeżdżali... Także i to wiadomem ci jest, że ojciec twój Hadżigirej u ojca naszego chleb i sól jadł i tron hański otrzymał“²⁾.

¹⁾ *Naruszewicz, Tauryka*, wyd. 1787 r.

²⁾ W oryginalnym białoruskim tekście, z którego przekład damy, ostatnie wyrazy brzmią tak: *i stolca carskiego dostał*. Rzeczony

Charakterystyczne powyższe wyrazy wskazują, iż, podczas ciągłych stepowych waśni, przodownicy hord szukali nie raz schronienia wśród dziedzin Jagiellońskiej dynastii, a dłoń panów na Wawelu nie tylko nie odmawiała im gościnnego schronienia, lecz posiadała moc podnoszenia ich nawet do godności hanów, osadzania tych lub innych pretendentów na tronie stepowym. Takim był los znanego w dziejach Hadżigireja.

W Eski-Krymie ówczesnej rezydencji hanów Perekopskich, odległym o kilka tylko godzin drogi od Kaffy — pamiętano i wiedzano o tem w XV stuleciu; polityka przeto układów, jaką Jagiellończyk prowadził, nie okazywała się bezowocną dla Kaffy. Tatarzy, acz się łupiestwem wciąż bawili, oszczędzali, w pewnym stopniu przynajmniej, Kaffę; była ona wielokroć schronieniem dla hanów, pozbawionych władzy przez swych współzawodników. Tak Mendligirej wśród Genuńczyków, w Kaffie, kształcił się, i tam młodość spędzał. To też gdy wybiła dla owego *emporium* ostatnia godzina nie widzimy Tatarów w szeregach Turków — zwycięzców i burzycieli Kaffy.

Ostatnia godzina niepodległości Kaffy wybiła w czerwcu 1475 r. Sułtan Mahomet II, nie z jakichś widoków wyższej polityki, lecz pędzony dziką żądzą zdobyczy i poddawania kulturze islamu wszystkiego, co na bliższych i dalszych gościńcach oręż jego spotykał, postanowił Kaffę zdobyć. Postanowienie to było jednoznaczem z wyrokiem zupełnej zagłady. Gdzie stawała wówczas noga islamu tam trawa już nadal nie rosła: tam zapadała się w grób odwieczna cywilizacya, a na jej miejscu wyrastały: niewola, zagłada, zniszczenie.

Sułtan Mahomet II, nie poprzestając na corocznych haraczach i darach, jakie mu Kaffa składała, pragnąc w ten

ustęp w pierwotnym tekście patrz u *Naruszewicza: Tauryka...* wyd. 1787 r. str. 93 przyp.

sposób zabezpieczyć swej floty handlowej przejście przez Bosfor, postanowił ją zdobyć, zetrzeć z powierzchni ziemi ślady jej istnienia. Zachęcił go ostatecznie do tego nowego podboju Aidor, brat Mendligireja, współubiegający się z bratem o władzę nad ordą. Na początku 1475 r. począł Mahomed zgromadzać olbrzymią armię nad Dunajem, co rzuciło postrach na holdującą Polsce Wołoszczyznę i Multany. Kazimierz Jagiellończyk, mniemając, że cały ten ogrom wojsk ma jedynie na celu ziemie między Dunajem i Dniestrem, bezpośrednio do miedz Rzeczypospolitej przyległe, posłał do Turcyi wezwanie, aby Wołoszczyznę zostawiono w pokoju.

Nie domyślano się, iż cały ten ogrom potęgi tureckiej spadnie na Kaffę, do której właśnie wówczas król wysłał również gońca z poleceniami do hana Mendligireja. Poselstwu do Turcyi przewodniczył stary rycerz z pod Warny, Marcin Wrocimowski, podstoli krakowski, niebiegły dyplomata, ale biegle władający językiem tureckim, którego wyuczył się w niewoli, w którą popadł po warneńskiej potrzebie. Znajomość języków wschodnich mniej niż możnaby mniemać była u nas upowszechnioną. Nawet znacznie później, w XVII w., Wojciech Miaskowski, podkomorzy lwowski, poseł Rzeczypospolitej do Sultana Amurata, (1641 r.), uskarża się na ów brak u nas biegłych tłumaczy, obeznanych ze sprawami oryentalnemi a pewnych zarazem, oddanych interesom Rzeczplitej¹⁾. Płatni, naprędce wyszukani Ormianie rzadko bardzo byli pożytecznymi; częściej szkodę, niż pożytek przynosili naszym poselstwom; przekręcając bądź rozmyślnie, bądź z nieświadości słowa posła. Jeżeli po kilkowiekowych stosunkach

¹⁾ Patrz „Rękopis“ w Bibliot. Ks. Ks. Czartoryskich w Krakowie: Vol. 373, str. 369—385, pod nap. *Relacya Legaciy Pana Wojc. Miaskowskiego podkom. lwow., posła W. do Amuratha y Ibraima cesarzów Othomańskich.*

z Portą, za Władysława IV, uczuwano brak tłumaczy, to daleko dotkliwiej ów brak oddziaływał na dyplomatyczne stosunki Polski z Turcyą za dni Jagiellończyka. Wrocimowski przeto, doskonale umiejący po turecku, wybornym był posłem, względ na dyplomatyczne zdolności podrzędną tu grał rolę. Żaden, by najbieglejszy statysta, wstrzymać burzy wiszącej nad pomorzem Pontyjskiem już wówczas nie zdołałby. Osady cywilizacyi i katolicyzmu miały ledz w proch nicestwa na długie wieki — może nazawsze.

W tych ostatnich dniach wielkiego nad Pontem i w Tauryce przedburza dość jest śladów krzątania się dyplomatycznego gwoi skleceniu przymierza mocarstw chrześcijańskich, nawet z pewną domieszką pierwiastku muzułmańskiego. Wiazała się nie krucyata, ale koalicya przeciw zaborem roszczeniom Turcyi. Persya, wciąż z nią wówczas współzawodnicząca, miała działać od wschodu, w Małej Azji, podczas gdy mocarstwa chrześcijańskie wzywano do współudziału w walce z zachodu. Poseł perski, Izaak z Trapezundu, objechał, począwszy od Polski, wszystkie dwory zachodniej Europy, nie zapominając ani o odległej Hiszpanii, ani też o również odległej Anglii. Rok 1476 miał być chwilą działań owej olbrzymiej koalicyi. Jagiellończyk, acz mawiał pospolicie, iż nie ma milszego na świecie nad pokój, w zasadzie zgadzał się na propozycye koalicyi, gotów był podjąć walkę, byle miał sprzymierzeńców z Zachodu. Lecz perskie propozycye gdzieindziej obojętnie przyjęto i poseł perski z niczem wrócił do Iranu. Jeszcze przed jego powrotem na azyatyckie wybrzeża, Kaffa stała się łupem tureckiej potęgi.

Liczne świadectwa, przeważnie włoskie, opowiadają szczegóły tego dziejowego dramatu.

Mahomet II uderzał na Kaffę z dwóch stron: z jednej ciągnęły tłumy lądem, zwycięsko depeząc Wołochów, z drugiej liczna flota, płynąca od Bosforu pod naczelnictwem Achmet Baszy, tworzyła główny taran, który miał

zburzyć, i rzeczywiście zburzył osady Genueskie na Tauryckiem pomorzu. Olbrzymie przygotowania i wysiłki, czynione przez Kaffieńczyków, w celu obrony swego grodu, nie przyniosły oczekiwanych owoców. Obszerne dawniej, a później zwiększone znacznie fortyfikacye nie stały się tarczą skuteczną w obec wroga, tem potężniejszego, iż posiadał urok sławy szeroko brzmiącej po obszarach owoczesnego świata.

Pięć dni (od 31 maja do 4 czerwca) wystarczającym były przeciągiem czasu do zdobycia Kaffy. Świat ówczesny zdumiał się i zatrwożył niemało, iż zwycięstwo otrzymano tak łatwo. Wieść o niem ze zdumiewającą szybkością dobiegła do Aleksandryi i Lizbony; od Atlantyku do Iranu, w każdym większem ognisku handlu, węzły interesu łączyły massy kupczące z Kaffą: jeden przeto prąd trwogi przebiegł szerokie obszary globu. Rozmaicie komentowano sobie szybki rezultat wyprawy wojsk Otomańskich do Kaffy, i wyraz „zdrada“ uznano za najłatwiejsze rozwiązanie owej zagadki. Długosz wniósł ten wyraz fatalny na kartę swej kroniki, i nie bez pewnej podstawy; demoralizacya, jak wyżej wskazaliśmy, wstrząsała jak dawniej filarami bytu owego przedniejszego wśród grodów kupczących tamtoczesnego świata.

Dnia 4 czerwca 1475 r. wdarł się wróg na mury Kaffy, a już 22 tegoż miesiąca stanął na Zawichockim zameczku przed Kazimierzem Jagiellończykiem goniec, wysłany z Krymu przez Macieja z Łomży, którego na niewiele przedtem król był wysłał do Tatarskiego hanatu. Goniec ten niósł wieść hiobową o upadku Kaffy i srogościach zwycięzców.

Wieść zaiste była hiobową, gdyż pióro wypadło nawet z dłoni owoczesnego kronikarza, przyzwyczajonego poniekąd do okrucieństw, w jakie obfitowała średniowieczna doba ludzkości... „Nie mam w sobie tyle siły — pisze Długosz — abym wypisać zdołał wszystkie okrucieństwa

i prześladowania, które Bóg w sprawiedliwej zemście przepuścił na Kaffieńczyków, za ich ciężkie grzechy, wydawszy ich w srogie ręce barbarzyńców“...

Powyższe słowa Długosza, jak z jednej strony stwierdzają świadectwa o swawoli, która wśród zbytku, długoletniej, wzrastającej pomyślności rozwinęła się, tak niemniej malują ów wielki dramat dziejowy, co się srożył nad Kaffieńską zatoką. Pióro historyka z dłoni mu wypadające, zaledwie, oprócz powyżej przytoczonych wyrazów, mogło dodać o upadku Kaffy i nieszczęśliwym losie jej mieszkańców następujące słowa: „Srożył się miecz mściwy na ludziach wszelkiego stanu i wieku“...

Kronikarz nie przesadzał; inne historyczne źródła najzupełniej słowa jego stwierdzają¹⁾... Biskup kaffieński Symeon, włos, który, w obec zbliżającej się zagłady, udał się był do Rzplitej żebrać o pomoc, padł rażony apopleksją podczas obiadu u wojew. Kijowskiego Gasztolda, gdy go wieść doszła o upadku Kaffy... Całe tłumy mieszkańców były wywiezione w niewolę; wszyscy, co znakomitsi, bogatsi, składali okup z całego prawie mienia, a potem szli w pęta pogańskie; niebawem wygnano i prosty lud z odwiecznych siedzib. Turcy stali się panami zgliszcz Kaffy, której blask na zawsze już odtąd zagaś.

W ślad za owym gońcem, który pierwszy królowi zdawał sprawę w Zawichoście, z wypadków towarzyszących upadkowi Kaffy, płynęły ku nam i falą dniestrową, i starym „Greckim Szlakiem“ t. j. wodami Dniepru, i wypaloną promieniami słońca powierzchnią „Pól Dzikich“, coraz to inne, a nowsze wieści o czynach gwałtu i ucisku którymi Turcy zaznaczyli pierwsze tygodnie swego panowania w Kaffie. Tłumy cudzoziemców padły pod mieczem

¹⁾ Porównać u Heyd'a, *Geschich. des Lewantehandels* (T. II, str. 402, 403) cytowane przezeń źródła, (*Landivio da Vezzano, Malipiero* i inne).

zwycięzców. Samych wołoskich kupców, goszczących tam; ujęto wśród murów zdobytego miasta około 160, i wszyscy oni złożyli swe głowy pod mieczem tureckim na kaffeńskim rynku. Co nie wytępił miecz niszczyła sroższa odep niewola. Kilkuset młodzieniaszków, dla sprośnych uciech sultana, wyrwano z łona rodzin i posłano do Carogrodu. Nie jedyny to był łup, gdyż cała flota złożona z siedmdziesięciu statków, obładowana bogactwami, zagarniętymi w owym nieszczęsnym grodzie, płynęła również do stolicy tureckiej... Co dwa wieki szczęścia, pracy, zapobiegliwości przysporzyło, to kilkodniowe rabunki i wywłaszczenia zniszczyły. Było to jedno z tych licznych starć Wschodu z Zachodem, jakie tylokrotnie niszczyły długowieczną pracę społeczeństw.

VI.

Ruina, brutalna przemoc, zdziczenie moralne, a nędza materyalna rozwieliły się i ustaliły odtąd nad śliczną zatoką Kaffeńską. Resztki tu i ówdzie rozproszonych ułamków napisów, rzeźb, kolumn, resztki olbrzymich umocnień, na szerokiej przestrzeni rozsianych, to jedyne dziś zabytki przechowujące dla badacza ślady potężnej ongi Kaffy. Miejscowa tradycja o jej potędze przedwiekowej wśród ludu oddawna zniknęła: lud tam napływowy a mało zasiedziały, ruchomy, niby fala morza, nad którego brzegiem obecnie frymarczy lub drzemie w gnuśnej kontemplacji. Ze zburzonych zabytków średniowiecznego życia Kaffy, przechowowała się do obecnej chwili tylko jedna wieża w kształcie baszty, której mury wskazują jak pięknymi a silnymi były budowy Genuńczyków na Krymskich wybrzeżach. Wieża ta stanęła sumptem papieża Klemensa V, a zatem ku końcowi pierwszej połowy XIV stulecia,

lecia, i jest do dziś wymownym świadectwem jak Rzym czynnie zapobiegał, aby zawiązki cywilizacji zachodnioeuropejskiej nie ginęły pod stopą hord najeźdźczych, ze Wschodu ciągnących, aby romańska cywilizacja szerzyła się na tych dalekich pomorzach¹⁾. Nie mogąc orężem, bronił on groszem, wpływem, zachętą do boju z dzikimi tłumami.

Wychodźcy z Kaffy rozbiegli się po świecie. Pewna ich część osiadła nad Bosforem, na przedmieściach Konstantynopola — byli to kupcy. Lecz wygnańcy wyższego wykształcenia chcieli odetchnąć na wolniejszej przestrzeni, mieć większą swobodę dla myśli i pracy, udali się przeto na północ — do Polski. Widzimy ich w Kijowie. Właśnie wtedy Gasztold, wojew. kijowski, wraz z tamecznym biskupem, Wojciechem Narbuttem, pracowali nad wytworzeniem szkół na zdzieczalym, naddnieprzańskim ugorze — w Kijowie. Przybycie kilku wychodźców ze zburzonej Kaffy do Kijowa było rzeczą dla nich nader pożądaną; jakoż użyli ich do wykładów języka łacińskiego, greckiego i innych przedmiotów. Tą pracą pożyteczną spłacali oni dług gościnności, jaką ich Rzeczpospolita obdarzała.

Upadek Kaffy nie był jedyną klęską cywilizacji na Krymskim półwyspie. I inne miasta i zamki genueńskie „nawet najwyższe“ — jak się Długosz wyraża — zostały wzięte po jej zdobyciu. Soldaja uporeczywie broniła się, ale i ona padła, acz z chwałą, mieszkańcy jej zostali wytępieni... domy i kościoły, w których rozpaczliwie walczyli stały się ich grobem²⁾.

Współ z niezależnością Kaffy upadł i nominalny protektorat Polski. Rząd Rzplitej nie ma już odtąd żadnych zobowiązań wobec Kaffy, niemniej jednak snąc naród

¹⁾ Heyd, opierając się na innych, przeważnie na prof. Władysł. Jurgiewicza pracach, i posilując się wydaniem źródeł włoskich.

²⁾ Heyd, T. II, str. 404.

poczuwa się do obowiązków — pewna nie moralnego stosunku wciąż go łączy w ciągu wieków z tym nadmorskim, dalekim zakątkiem, otoczonym falą muzułmańskiej, fanatycznej dziezy.

W sferze polityki nie zobowiązań Inowrocławskich stargana, zapomniana, poszła na zagładę; w sferze duchowej Rzeczypospolita, i za Jagiellonów, i za Wazów, jest kolatorką biskupstwa Kaffeńskiego, a zgłiszcza tego znakomitego *emporium* są celem wędrówki naszych misjonarzy — pieśń pobożna polska brzmi u Kaffeńskiej zatoki w czasach najbardziej wybujałego fanatyzmu muzułmańskiego, wśród dziedzin hanatu.

Zakon kaznodziejski Dominikanów, prawie wyłącznie z prowincyi ruskiej, nader zasłużonej dla wiary, wydaje ze swych szeregów i bojowników wiary, i biskupów dla Kaffy. Dziwnym zbiegiem wypadków, zanim Kaffa weszła z Polską w bliższe stosunki protektoratu, wcześniej nawet zanim Genuńczycy zdołali tam wytworzyć potężną swą kolonię, już biała szata polskiego Dominikanina powiewała u jej wybrzeży, Jacek Odrowąż, ów znany bojownik wiary — później kanonizowany — zakłada klasztor swego zakonu w Kaffie, w pierwszej połowie XIII wieku. Był to niejako rzucony węgielny kamień przyszłej, tamecznej działalności, na misyjnym polu naszego duchowieństwa.

Działalność ta rozwija się już po upadku Kaffy. Przedtem, za dni pomyślności Kaffeńczyków, Stolica Apostolska posyłała do nich ludzi z Zachodu: Włochów, nawet jednego Anglika. Po r. 1475 Rzplta przez zakonników polskich spłacać zaczęła Kaffie swe zobowiązania Inowrocławskie.

Źródła historyczne niewiele dają szczegółów, uwydatniających postacie pracowników polskich na polu kaffeńskiego kościoła, z okrucichów zatem odtwarzamy bodaj blade i niewyraźne kontury.

Pierwsze kilkanaście lat po upadku Kaffy nie wi-

dzimy na jej popieliskach i świeżych jeszcze grobach polskich misjonarzy. Już jednak w r. 1493 Wojciech z Siecina, Dominikanin, otrzymuje bullę prekonizacyjną na biskupstwo kaffeńskie, którego snąć nie piastował do zgonu, gdyż już r. 1506, a zatem na sześć lat przed śmiercią Wojciecha, zasiadał na tej stolicy mąż ducha apostolskiego Jan z Radziejowa. Godność kaffeńskich biskupów nie uważano u nas za tytularną *in partibus infidelium*, acz rzeczona owieczarnia leżała wśród niewiernych, i częstokroć biskupi swej siedziby widzieć nawet nie mogli. Jeżeli więc z kaffeńskiej stolicy szedł który biskup na inne wyższe krzesło biskupie — opróżnione po nim miejsce zajmował nowy nominat. Skoro więc Jan z Radziejowa objął sufraganię gnieźnieńską, kaffeński pastorał dostał się do rąk Jakuba z Michowa herbu Lis, zwanego czasem Michowskim. Godnem jest zaznaczenia, iż zgłiszcza Kaffy straciły nawet na jakiś czas dawną, światu znaną, nazwę. Turcy, ujarzmiwszy Kaffę, przestali ją nazywać, jak ongi, *Kuczuk Stambuł*, (mały Stambuł). Grecy, co tam się później osiedlili, aby małym frymarkiem się bawić, nazywali nową osadę, kleconą z ułamków dawnej, „Teodozya“. Podobało się to nowym panom; Kaffa dziś nosi nazwę Teodozyi. Otóż i Stolica Apost. w bullach często nowej nazwy używa, nie zapominając wszakże o dawnym „gminnem“ nazwisku. Lud bowiem, wszędzie i zawsze konserwatysta, nie mógł się rozstać z dawną nazwą i przechował takową aż do XVII w., kiedy ona znowu wzięła górę nad nazwą wymyśloną przez Greków. Dla nas jednak nazwa nowa nie istniała: postaremu wiedzano tylko o Kaffie. W Jędrzejowie, w województwie Krakowskim, w opactwie Cystersów, czytano w XVI stul. na nagrobku Michowskiego, iż był biskupem „Kaffeńskim“¹⁾.

¹⁾ Mówi nam o tem *Paprocki*, patrz. „Herby rycer. pol.“ wyd. 1858 r., iż w Jędrzejowie na kamieniu był wyrity herb Lis, a pod

W owej epoce już kroniki i akta urzędowe milczą o Kaffie — mówią o niej jednak często akta klasztorne, wspomnienia zakonu Kaznodziejskiego, ta nasza domowa, mało znana, a wszakże chlubna dla narodu martyrologia. Szereg biskupów kaffeńskich prawie bez przerwy ich wątku, możemy wyliczyć aż do epoki króla Michała, późniejsi bez zaprzeczenia również istnieli, ale ich ślady dotąd nie odzyskane. Przyszłość odsłoni imiona i czyny pozostałych. Do kaffeńskiej infuły nie garnięto się: blasku dawała ona maluczko, na senatorskiej ławie jej dostojnicy nie zasiadali, a więc i skromni zakonnicy św. Dominika, co ją nosili, poszli w zapomnienie. Szczęśliwszy los był Cereteńskich (czyli Bakowskich) biskupów, pracujących na Wołoszczyźnie; ci, acz w pozycji analogicznej z kaffeńskimi, wszakże od początku XV wieku mieli miejsce swe w sejmie; pasterze kaffeńscy nie zasiadali nigdy u nas w izbie obrad, co jeszcze bardziej przyczyniało się do zatarcia śladów ich istnienia¹⁾.

Od XV stulecia do drugiej połowy XVI ośm nazwisk biskupów Kaffy Polaków, wskazać możemy: Wojciecha z Siecina, Jana z Radziejowa, Jakuba z Michowa,

nim napis: *Hic jacet Jacobus, haeres de Michow, episcopus caphensis. Obiit anno 1531.*

¹⁾ Pierwszy ślad stosunków biskupów kaffeńskich do Polski odnajduję w małej wzmiance, zapisanej na jednej z kart rękopismu XV. wieku, będącego własnością niegdyś Sebastjana Petrycego, a obecnie od r. 1602 Bibliot. Jagiell. Akademii w Krakowie. Wzmianka ta, zapisana ręką pamiętnikarza jakiegoś XV w., brzmi tak: „Item a. d. 1462, infra Octavas Corporis Cristi“, (a zatem w dniach Inowrocławskich układów Kaffy z Kazimierzem Jagiellończykiem) „Reverendus in Xistro pater dnus epus de Kapha una cum capitaneo ejusdem civitatis, nec non dno generali ordinis s. Bernardini, pergentes Romam, constituti fuerunt in Cracovia“. ... Prawdopodobnie wzmianka ta tyczy się właśnie tych osób, które udział brały w poselstwie rządu kaffeńskiego do Jagiellończyka. (Patrz *Manuskrypt w Bibl. Jagiell. Vol. 2569*).

Rajmunda Charczewskiego († 1550), Feliksa (Casmurianus), († około 1554), Jędrzeja Nałęcz Gębickiego, który przed Łucką posiadał infułę Kaffeńską (w r. 1628), Zyg. Miaskowskiego († 1648) i Marcina Skempskiego († 1664).

Skromne wskazówki, jakie o nich się przechowały, wybitnie ich wyróżniają z grona innych, naszych biskupów — senatorów. Każde z tych imion upamiętniło się bądź to wiedzą wyższą, bądź wreszcie poświęceniem, a tego ostatniego najwięcej podobno potrzeba było dla Kaffy. Charczewski, Dominikanin, z powołania poświęcał się nauce (jak świadczy o tem ks. S. Barącz), opuścił jednak życie klasztornej pracy wśród ksiąg, zamieniając je na ciężką tułaczkę misyonarza po pustyniach, dzielących nad Tanaisem Europę od Azji. Więcej niż 500 nawróconych pogan — to trofea jego pracy; a mitra ciernista w Kaffie — nagroda, a zarazem nowe pole bojowania. Złożył on swe kości pod południowem niebem Tauridy, pochowany w Kościele św. Piotra i Pawła w Kaffie, którego ślad nawet oddawna zaginął¹⁾. Biskup Felix również przechodził ciężką drogę prac misyjnych, mianowany biskupem sufraganiem Wileńskim, niedługo używał zasłużonego wczasu pod niebem Litwy.

Choć podajemy zupełniejszą listę kaffeńskich pasterzy, niż tego inni dokonać zdołali, niemniej jednak trudno nam zapłacić próżnię od czasów wspomnianego wyżej Feliksa do Miaskowskiego, współczesnego Władysławowi IV.²⁾ Próżni tej nie zapłacił nawet nazwisko

¹⁾ *Pruszczyk* w swej *Fortecy monarchów...* (Kraków 1673, wyd. 2) obszernie o nim mówi, wspominając, iż przez Urbana VIII. posłanym był do Rzymu.

²⁾ Jul. Bartoszewicz wylicza zaledwie trzech biskupów kaffeńskich, o innych nie wie, domyśla się ich. Miaskowskiego, jak widzimy, mylnie nazywa ostatnim kaffeńskim biskupem. (Patrz „Encykl. Powsz. S. Orgelbranda“). W niniejszej pracy naliczyliśmy ich ośmiu. Przyszli badacze, nie wątpię, spis ten uzupełnią.

biskupa Jędrzeja Gębickiego, który krótko dzierżył pastorał Kaffy i zbyt daleko, bo w W. Polsce zamieszkał, by go można do bardziej czynnych biskupów kaffeńskich zaliczyć.

Biskup Zygmunt Leliwa Miaskowski przebywał w pogranicznych dominikańskich klasztorach, w województwach ruskich, gdzie w owe lata duch poświęcenia, męczeństwa za wiarę, płomieniał się żywym blaskiem i oświecał szeregi zakonników św. Dominika ochotnie na śmierć idących. Miaskowski słynął ze swej nauki; i, jako o teologu, mówią o nim źródła historyczne, nie mamy wszakże wskazówek, by w Kaffie przebywał, snąc był on wciąż biskupem *exulantem*, a zatem rządził rozproszoną, ubożuchną kaffeńską dyecezyą z pogranicza Rzpltej; na pograniczu też tem, w Kamieńcu Podolskim, życia dokonał na kilka miesięcy przed rozpoczęciem się burzy kozackiej¹⁾. Zdziaczałe tłumy, przez Chmielnickiego prowadzone, w ciągu niewielu tygodni zamieniły w pustynię południowe okolice Rzpltej, z całą wściekłością rzucając się na Dominikanów, których topiono, krzyżowano, i bardziej niż inne zakony wytępiano. Pomimo tych uszczuplonych szeregów, misye szły do Kaffy, acz rzadsze, i nawet jeden z takich misyonarzy, Dominikanin, Marcin Skempsi, był już podczas doby walk Chmielnickiego kaffeńskim biskupem.

Poza biskupami, w stosunkach Polski z Kaffą, szczególną naszą uwagę zwracają owi, pełni poświęcenia cisi pracownicy, którzy stawali nad Kaffeńską zatoką, czyniąc zadość własnemu natchnieniu. Pożytek ich prac misyjnych przynosił swą doniosłością prace biskupów, którzy często z Polski zarządzili, nie widząc Kaffy: ale ci nieznani, cisi pracownicy to, zaiste, nie prawdziwa stosunku Polski z Kaffą. Jeśli Rzeczplita wypłaciła dług swych zobowiązań

¹⁾ *Niesiecki*, (T. III, str. 247, wyd. 1740 r.). Mówiąc o Z. Miaskowskim nic nie wie, że był biskupem w Kaffie.

wobec owej dalekiej, genueńskiej kolonii, to wypłaciła go jedynie ich dłonią. Tymoteusz Makolnicki z bratem Aleksym, Dominikanie — misyonarze — w pierwszych latach rządów ostatniego z Wazów zdobywają tam więźność niemalą: cześć ich ukryci, nieliczni wyznawcy Chrystusa, uwielbiają brańcy i niewolnicy, szanują władze muzułmańskie. Islam stracił był wówczas na ostrości fanatyzmu, postać zaś Makolnickiego, pełnego zapału religijnego, poświęcenia, apostołskiego zaparcia się siebie, budzi cześć wśród zwierchności tatarskiej. Makolnicki używa u Tatarów takiej więźności, iż nie w ukryciu, ale publicznie, odprawia nabożeństwa, głosi nauki po ormiańsku, śpiewy, godzinki i różańce odmawia po polsku. W XVII wieku brzmi pieśń polska religijna wśród gór otaczających przeźrocza wód kaffeńskich, brzmi na rynku ubożuchnego już wówczas grodu, wśród ruin i zgłiszcz dawnej jego potęgi — tam bowiem Tymoteusz Makolnicki odbywał swe publiczne, różańcowe procesye, tam niósł słowo pociechy, umocnienia w wierze, słowo nadziei jeńcom i resztkom chrześcijan miejscowych.

Podczas jednej z takich procesyj, wśród ulic Kaffy, Tymoteusz Makolnicki padł rażony apopleksją. Ostatnie wyrazy hymnu do Bogarodzicy, ostatnią zapęłniły chwilę tego żywota bliźnim poświęconego. Pamięć jego długie przetrwała lata, nie zgasła wśród mas kaffeńskiej ludności, przechowywała się w rocznikach dominikańskich¹⁾; podczas

¹⁾ Porównać: *Rys dziejów Zakonu Kaznodziejskiego w Pol.*, przez X. S. Barącz. T. II, str. 56, 57, 62, 69 i inne; również T. I. X. Barącz, acz podaje bisk. Charczewskiego, jako profes. Jagielloń. akademii — jednak nader ogólnie należy przyjmować to twierdzenie. Spis profesorów Jagielloń. akademii, ułożony p. uczonego bibliografa Dr. Wł. Wisłockiego, nie zawiera takiego nazwiska. Może Charczewski był profes. u Dominikanów w Krakowie, lecz w Jagielloń. akademii nie zajmował katedry.

gdy imiona innych, poprzedników, bądź naśladowców Tymoteusza Makolnickiego, uległy zapomnieniu. Nie dla ziemskich blasków nie czyniono, acz ziemia owoce zbierała z ich prac...

Ostatnim znanym Polakiem, mającym stosunki z Kaffą był Marcin Skempski, później nader gorliwy biskup Kijowski. Poza nim już cisza w dziejowych wskazówkach o kaffeńskich pasterzach. Godność owa tak dalece nominalną się staje, iż w rocznikach zakonu Dominikańskiego nie masz o niej wzmianki. Od Kaffy już odgradza Rzpltę przy końcu XVII w. i na początku XVIII, nie tylko hanat tatarski, jak dawniej, ale zdziczała, w pustynię zamieniona, przytuliskiem łotrzyków będąca Ukraina. Przedrzeć się przez te ruiny świeżych zniszczeń również trudno było wtedy dla misjonarza, ba, może trudniej, niż przez koczowiska Tatarzyna. Najdalej ku południowi wysunięty posterunek Dominikanów, miejsce wypoczynku dla tych „braci pielgrzymujących“, co obyczajem dawnym szli na zatracenie do niewiernych — klaszterek u pierwszego progu dniewprwego, w Kudaku, — uległ już był oddawna zagładzie; niemniej i w one dni ciężkie, przy warunkach coraz uciążliwszych, spełniano swą powinność, spełniano ją tak długo, póki migotało jeszcze chociaż słabe światelko w gasnącej lampie istnienia Rzpltej. Nie zrzekano się nigdy kolatorstwa Rzpltej na biskupstwo kaffeńskie, acz ono ze zwyczaju się wytworzyło, i żadnemi umowami nie było określone; przedłużano ów prastary stosunek, związany ongi w Inowrocławiu, dłonią Kazimierza Jagiellończyka, stosunek moralnego a uczeiwego wpływu; przedłużano ów stosunek do ostatniego prawie tehnienia, jeżeli nie państwa Jagiellonów, to do ostatnich dni istnienia hanatu. Było to bezwiedne spełnianie misji dziejowej i przedłużanie prastarej polityki opartej na enocie, polityki w zastosowaniu praktycznem nie zawsze udolnej, ale

zawsze uczeiwej. Polityka, jaką rządziła się Polska, nie wytworzyła państwa o silnej spójni, o zrębach, mogących się oprzeć wichrom i burzom dziejowym; inne tego przyczyny i nie tu miejsce je roztrząsać. Ale polityka ta z enotą i wiarą rozejmu nie brała...

ZAWIĄZKI DZIEJÓW SICZY ZAPOROZKIEJ.

Druga połowa XVIII w., która patrzyła na wielkie przewroty polityczne i społeczne, dokonane w środkowej i zachodniej Europie, która była świadkiem gwałtownego rozsypania się w gruzy Polskiej Rzplitej, prawie nie spostrzegła, iż gdzieś poza Polską, na skrajach świata, poza południowo-wschodnią ścianą polskiego gmachu, co się ku zupełnemu upadkowi stanowczo wtedy chylił — runęły dwie potęgi, dwie siły pewnego znaczenia: hanat Krymski i Sicz Zaporozka. Dla Polski oba te organizmy państwowe miały pewne i nawet niemałe znaczenie: zaważyły one nieraz potężnie, szczególnie hanat Tatarski, na szali naszych przeznaczeń, a i świat dalszy, świat zachodni wiedział o nich, i wielokroć rachować się był zniewolony z ich istnieniem. Nie polski oręż pogrzebał owe dwa czynniki niepokojów u miedzy Rzplitej, ale Polskę najwięcej obchodziły losy tych dwóch, dość dzikich sąsiadów. Bez względu na węzły interesów, które łączyły nas z owymi sąsiadami, bez względu, iż w ciągu naszego życia dziejowego nieraz przemyśliwaliśmy o położeniu tamy rozwojowi rzeczonych wrogich dla nas czynników, my, najbliżsi przestrzenią i wspomnieniami, nie spostrzegliśmy prawie ich zniknięcia z widowni wypadków. Sicz Zaporozka trochę wcześniej, hanat, nieco później, zniknęły wśród głuchej ciszy, ale słabe tylko echo ich upadku dobiegło do uszu naszych. Przyjęliśmy tę wieść obojętnie — poczęści dlatego, iż

sprawy obce, a nas dotyczące, oddawna bez nas załatwiano, a sami wówczas upadalśmy pod brzemieniem przytłaczających nas objawów rozprężenia stosunków państwowych, poczęści iż sami byliśmy niepodlegli już tylko z imienia, poczęści zaś, iż zarówno Krym, jak i Sicz Zaporozka straciły już wtedy swe znaczenie. Hanat niczem innym nie był już wówczas jeno igraszką w ręku obcych, Sicz zaś oddawna straciła swe dawne, rycerskie cnoty, jeśli je i miała kiedy w większej ilości. Duch rozkielzanej zbójckości, zdziczenie zupełne — to były znamiona, które coraz to częściej czarnemi plamy występowały na starym pomniku przebrzmiałej sławy niżowego wojska.

Zaporoże, jako organizm państwowy, jeżeli tak możemy je określać, raczej jako instytucja zbrojna, żyć przestało w pierwszych dniach czerwca star. st., 1775 roku. W tych bowiem pamiętnych dniach dla Zaporozia, wódz rosyjski, Tekeli, odczytał ukaz imperatorowej rosyjskiej, Katarzyny II, rozwiązujący instytucję zaporozką. Sicz, siedziba główna Zaporozców, zniesioną została. Po dwóch przeszło wiekach istnienia, zapisanego na karcie dziejowej, po dłuższem istnieniu w rzeczywistości, bo istnienie to ma swe dzieje nawpół mityczne, i cofniętem być może znacznie wstecz poza swą jutrzenkę historyczną; członkowie zbrojnej instytucji zaporozkiej rozproszyli się po świecie, a wspomnienie po nich w pieśni tylko pozostało i w tradycyi tułającej się po futorach i siołach naddnieprza. Historia niewiele dotąd pracowała nad wyświetleniem procesu wytworzenia się i rozwoju instytucji wojska niżowego, szczególnie u nas na tem polu mało zrobiono. Ci zaś, którzy pracowali nad zbadaniem dziejów niżowych, grzeszyli, bądź niewiadomością, bądź fałszem, bądź przesadą, idealizowaniem tego, co nie mogło stać na piedestalu. To idealizowanie zbyt znaczne naszym przedewszystkiem stało się udziałem. Odsunięci od źródeł, nie posiadając pracowników, którzyby w tym kierunku czynili wyczerpu-

jące studia, poprzestawaliśmy na wiadomościach wysnutych z poetycznych utworów, na powieściach, nie mających nic wspólnego ze światem rzeczywistości, rzadkim przeto trafem wytworzyliśmy sobie pojęcie dziwnie barwne, a dalekie od prawdy o tem wszystkim, co się tyczy Zaporozia. Począwszy od samej przyrody owych okolic mało znanych, którą idealizowaliśmy, powtarzając niewolniczo poetyczne zachwyty poetów, a kończąc na postaciach, grających pewną rolę dziejową w tych krajach nie należy zbadanych, wszystko w sposób fantastyczny najczęściej przedstawialiśmy. Poza jasnemi barwy urojonego piękna, rzeczywistość, najczęściej wcale niepoetyczna, z trudnością dawała się spostrzegać; a że obrazy fantastyczne, iskrzące się barwami jasnemi, w szatę poetyczną odziane, do umysłów łatwiej wchodzą niż balast wiedzy dziejowej, nie dziwimy się przeto, iż fantazyja szerokie dziedziny posiadała, podczas gdy wiedza poprzestać musiała na skromnem a dalekiem stanowisku, z kąd jej głos prawie nie daje się słyszeć. Dla dziejów wszakże prawda, niosąca wieść miłą lub niemiłą, złą lub dobrą, o ciemnych czy też jasnych barwach, prawda bezwzględna jest niezbędną — bez prawdy nie ma historii. Jeżeli w ogóle dla historii prawda jest konieczną, to w stosunku do naszego społeczeństwa, naglącą prawie jest potrzeba posiadania dokładnych, na prawdzie opartych wiadomości z dziedziny historii tych okolic, które dłuższy lub krótszy czas stały pod sztandarem Rzplitej, z dziedziny historii tak zwanych awulsów, a taką okolicą, stojącą pod sztandarem Rzplitej, takim jednym z jej awulsów, było Zaporoże. Wpatrzywszy się w dzieje związków i rozwoju Zaporozia widzimy, że było ono czemś bliższem niż awuls, iż urosło ono z nasion polskiej kultury, ale późniejsze już burze i szarugi dziejowe z kłosów, z owych nasion urosłych, wywiały zdrowe ziarno lub rdzą je skaziły.

Bez względu jednak na to późniejsze odstryknięcie

się Zaporozża od Polski, bez względu na jego zdziczenie, na porwanie wszystkich nici łączących Polskę z Zaporozżem, w tem ostatniem pamiętano bardzo długo, iż Biały orzeł na ostrokołach Siczy kiedyś — nie rok, nie dwa, ale lat dwieście powiewał, i w chwilach gdy ostatnie już były godziny istnienia Zaporozża, sięgało ono po stare pergaminy przywilejów królewskich; przywileje te, a szczególnie Batorowski przywilej, z sierpnia 1576 roku — miały być dla nich deską ratunku. Przypomniano o swej prastarej macierzy, lecz przypomniano zapóźno — przypomniano w chwili jej i swego zgonu.

Zaporozże nie było jedynie instytucją wojskową, pewnego rodzaju średniowiecznem bractwem rycerskiem, jak to później wskażemy, lecz zarazem i państwkiem, posiadało swe terytorjum, swą organizację administracyjną, swą władzę naczelną, swe prawa i sądownictwo. Był czas, że zawierało ono traktaty, wysyłało poselstwa do sąsiednich mocarstw, zawierało przymierza i starano się o jego przyjaźń, ubiegano się o sojusz. Sam cesarz niemiecki, powaga wielka w świecie chrześcijańskim, słał do nich poselstwa, starał się o ich współdziałanie w zamierzonych do Turcyi wyprawach, potęga zaś otomańska drżała nieraz w obec śmiałości ich oręża. Zaporozże przeto możemy uważać nie tylko jako bractwo rycerskie, ale jako państwko o dość oryginalnej organizacji.

Zanim wskażemy pewną grupę faktów, dotyczących się pierwszych związków dziejów Zaporozża, rzucimy okiem na geograficzną pozycję terytorjum tworzącego państwko wojska zaporozkiego. Punktem wyjścia dla nas nie będą czasy dawne, nie peryod mityczny dziejów zaporozkich, który sięga początków panowania Kazimierza Jagiellończyka, nie peryod doby Batorego, ale rok 1775, rok zniknięcia Siczy z widowni wypadków.

Granice ziem Zaporozża były niestałe; mniej więcej jednak opierały się o pewne punkta, które tworzyły mie-

dzę nie ulegającą zaprzeczeniom. Pomimo braku granic ściśle określonych, Zaporozże, jako organizm państwowy, wiedziało o głównych przynajmniej punktach między swych ziem i troskliwie ich strzegło, w XVIII szczególnie wieku, kiedy wdzierać się zaczęła obca kolonizacya do siedzib zaporozkich, wbijając klin, który oddzielił Rzpltę od siedzib niżowych. Na północy granica ta biegła rz. Orelą, która jest lewym dopływem Dniepru; ziemie leżące na południe od rz. Oreli (na lewych dniewprowych porzeczech) były siedzibami wojska zaporozkiego; dobiegały one do wpadających w Dniepr Końskich-wód na południe, do rzeki Berdy na południo-wschodzie, i tą rzeką biegły do morza Azowskiego. Wybrzeże Azowskie do ujścia Kalmiusa i wody tegoż Kalmiusa, w górę ich biegu, tudzież wyżyny rz. Samary i Wołczy uzupełniały wschodnią granicę, dobiegając do górnej Oreli. Taki to był obszar ziem zaporozkich na lewych porzeczech dniewprowych. Prawe wybrzeże również znaczny obszar zaporozkich posiadłości obejmowało, i na prawem głównie rozsiadły się Sicze, stolice Zaporozża, trzymając się Dniepru. Sięgały one niegdyś na prawym brzegu na północ daleko, bo aż do Wysi i Taśminy, do granic Rzpltej, ale około r. 1750, na ćwierć wieku mniej więcej przed upadkiem Siczy, kolonizacya Serbów i różnych odprysków południowo-słowiańskich szczepów odsunęła między ziem Zaporozża ku południowi, wszedłszy klinem między dziedziny Rzpltej a ziemie zaporozkie. Ścieśnione w ten sposób granice siedzib wojska zaporozkiego zaczynały się od małego dopływu prawego brzegu Dniepru, Samotkani, i biegły przez step bezbrzeżny na zachód w prostej linii ku ujściom Sinich wód do Bohu; ujście Sinich-wód i mała przestrzeń wybrzeża Bohowego, gdzie był tak zwany Gard Bohowy czyli Zaporozki, jedyny tworzyły punkt zachodniej granicy, która na przestrzeni mil czterech, lub coś około tego, dotykała Bohu. Łamana linia, złożona z kilku linii prostych, od Bohu ku

dolnemu Ingulcowi, przecinająca kilka rzeczek stepowych, jak Martwe-wody, wreszcie przecinająca Ingul, tworzyła zachodnią granicę, która z biegiem dolnego Ingulea do Dniepru dochodziła. Państwa graniczące z Zaporozem były tylko trzy: Rzplita Polska i rosyjskie posiadłości na północy, też posiadłości na wschodzie; południowe zaś i zachodnie granice opierały się o stepy i koczowiska tatarskie. Rzeka Końskie-wody i rzeczka Berda to miedza ziem siczowych od stepów hanatu Krymskiego. Te ostatnie nosiły jeszcze nazwę „Pól Dzikich“, i w ogóle wszystko, co legło równiną bezleśną od południowych kończyn Polski, od tak zwanej „ostatniej“ Ukrainy, jaką w XVIII w. była nasza południowa Bracławszczyzna, nosiło miano „Dzikich Pól“. Z owych Dzikich Pól wykroili sobie części swych posiadłości Kozacy Niżowi, czyli tak zwani Zaporozcy. Lecz ziemie siczowe rozłożyły się szerokimi rozłogi nie tylko na prawym brzegu Dniepru, ale po obu wybrzeżach widzimy je. Główną arterią, którą płynęło życie orężnych gromad, co się gnieździły na Zaporozu, był bez zaprzeczenia Dniepr. On jednoczył Zaporozie ze światem, on był gościńcem, którym doń płynęły wieści z ziem innych, od północy i południa; on niósł na swej fali, od północy z Polski, isierki postępu, lub z innych wybrzeży instynktu wręcz postępowi i chrześcijańskiej cywilizacji przeciwne, on niósł, głównie z południa, towar koniecznej potrzeby lub nawet zbytku, on wreszcie był obroną siedzib siczowych. Jego głębie żywiły ich wielokrotnie, wyspy i sitowia były puklerzem ochraniającym niby twierdza, i na jego „progach“, tak zwanych z rusińska „porohach“, próbowano dzielności, męstwa, zręczności, a przytomności umysłu tych, co przed wiekami chcieli stanąć w szeregach siczowego bractwa.

Wody Dniepru, w jego niższym biegu, odgrywały większą rolę w życiu Zaporozia, niż inna jakakolwiekbydz miejscowość, większą niż obszary stepowe i drugorzędne

dopływy dniewrowe, dla tego też tym wodom dolnego Dniepru poświęcimy tu szerszy ustęp. Całe pasmo dziejów Siczy, tak pierwotnej jak i późniejszej doby, wije się około wybrzeży i wód Dniepru; tam rozpoczyna i kończy istnienie swe, jak latorośl powoju, która istnienie swe rozpoczyna i kończy u pnia tegoż samego starego dębu, co patrzył na kiełkowanie, wzrost, kwiat i zwiędnięcie powoju. Wspaniały powój piał się wysoko ku szczytom dębu, uschnął i legł prochem, podczas gdy dąb pozostał tymże dębem nietkniętym dłonią czasu...

Wybrzeża Dniepru należą do okolic, które się najbardziej upamiętniły w przeszłości, nie tylko Siczy, ale i naszej, a fakta, co wielokrotnie miały miejsce nad wodami tej rzeki, zaważyły stanowczo nieraz, na szali naszych przeznaczeń. Ze wszystkich wód naszego społeczeństwa, po Wiśle, Dniepr najczęściej przez poetów opiewany, a historia nasza więcej o nim niż o Odrze mówi, acz ta bliższa nam, nie pokrewna tylko, lecz rodzona nasza, i germanizm niezupełnie jeszcze wyparł nas z jej brzegów. Dniepr opiewany wielokrotnie przez poetów naszych — Odra zapomniana. Od źródlisk aż do ujść, na całym długim pasie porzeczka Dnieprowego, nie ma pono ani jednej piędzi ziemi, którąby nie można było mienić historyczną; każda garść piasku przesiąkła tam krwią i łzami bied wielorakich, a każdy niemal kamień, każde prawie wzgórze mówi tam do nas podać głosem. Wody tej rzeki dzieliły dziedziny dwóch wpływów, dwóch cywilizacji, były to miedze dwóch światów, i poniekąd do dziś są takimi. Przekraczając je, zrywało się niejako z tem wszystkiem, co wędrowiec spotykał na swej drodze, gdy dążył od zachodu ku tym nieba stronom, gdzie codziennie płoną blaski jutrzeńki.

Już w połowie XIII stulecia nasi wędrowni mnisi, posłowie ku taborom mongolskiego hana Gajuka dążący, spotykali na Zadnieprzu świat zupełnie inny, który nagle na lewych porzeczach, zmieniawszy swą postać, już dla

nich oblicza swego nie zmieniał wcale, aż do głębin nieznanych, dalekich dziedzin Gajuka. Późniejsze wieki zmiany sprowadziły, nieolbrzymie wszakże i niestanowcze: poza górny tylko i poza środkowy Dniepr przedzierały się promyki wpływu cywilizacyjnego, zachodniego, lecz się tam utrzymać nie mogły, chyba nieco poza górnym — za dolny Dniepr ten wpływ nie sięgnął i, rzucany niekiedy dorywczo, wcale się nie ustalał. Krainy te, „Niżem“ nazywane, pozostały dziewiczemi co do oblicza swego; ponurem ono dotąd i nieociosanem, niby dziś wyszło z pierwotnej chwili tworzenia się.

A właśnie ten dolny Dniepr najbardziej upamiętnił się w przeszłości, najbardziej głośną sławą rozbrzmiewał. U jego wybrzeży uwiły swe gniazda siedziby Kozactwa — sławne, a mało dotąd krytycznie, bezstronnie przestudowane Sicze Zaporozkie. Na porzeczach dolnego Dniepru znalazły dla siebie teren dzikie sceny wyuzdanej swawoli, mordy, pożogi... ztamtąd, niby z piekielnej otchłani, wychodziły rozszalałe tłumy Chmielnickiego, a krwawe widma hajdamackich zbrodni znajdowały tam zachętę; sitowia, a ługi dniewprowe wciąż piastowały nowych szeregowców hajdamackich tłuszczy. Do początku obecnego stulecia wybrzeża dolnego Dniepru były nadzwyczajną wśród ucywilizowanego świata siedzibą społecznych fermentów różnego rodzaju. Większe zaludnienie, zniknięcie Siczy, zmiana warunków politycznych na całym porzeczu dniewprowem, zatarły ślady dawnego życia, które, acz głośne, nie było ani tak chlubnem, ani tak pożytecznem dla ludzkości, jak mówią poematy i piosnki. Apoteoza kozaczyzny może się czynić bądź ze złą wiarą, bądź z powodu zupełnej nieświadomości dziejów; a jeżeli w dobrej wierze, to gwoił jakiejś fantazyi, wśród marzeń poetów, lub — co najczęściej bywa — przez natury skłócone z porządkiem społecznym.

Apoteozę wytworzyła z Kozaczyzny poezya polska w pierwszych dziesiątkach lat naszego wieku. Wyłynęło

to z obfitego, nieprzebranego, zaiste, źródła dobroduszości naszego społeczeństwa, pospolicie chętnego do budowania złotych gmachów dla innych, kiedy się nie posiada nawet słomianej strzechy nad własną głową... Zresztą, jakiś pociąg dziwny, niczem nie dający się objaśnić, chyba dziejowym atawizmem plemion, ciągnął nas ku Dnieprowi. Dążyliśmy w tym kierunku od dawna, od wielu wieków. Dążyliśmy z rycerzami Bolesławowymi w postaci zdobywców, z mnichami młodocianego zakonu św. Dominika, z Jackiem Odrowążem na czele, którzy tam niesli słowo pokoju, słowo chrześcijańskiej miłości, rzucali pomost cywilizacyjny, który tę daleką krawędź świata miał połączyć z ogniskami zachodniej kultury. Nad górnym i po części nad środkowym Dnieprem stanęliśmy podczas doby bardzo wczesnej, za dni Władysława Jagielly; pierwsze usiłowania połączenia Polski z Litwą postawiły nas w bezpośrednim zetknięciu się z wyższym Dnieprem i ze znaczną częścią środkowego. Dolny Dniepr, ów tak zwany *Nyz* w mowie Słowian naddnieprzańskich, tak zwany u nas *Niż* (co jest wyrazem urobionym z tylko co przytoczonego wyrazu Polan naddnieprza) głównie nas obecnie zajmuje, gdy mówimy o pierwotnych dziejach Siczy. Dolny Dniepr zaczyna się tam, gdzie żegluga jest już nieco utrudnioną, gdzie spotykają się pierwsze „zapory“ — t. j. podwodne kamienie — zwiastuny „progów“, gdzie wybrzeża Dniepru połączonego z Taśminą, żegnają ziemię bardziej uprawną, bardziej zaludnioną, gdzie wreszcie wody tej rzeki, szeroką ławą rozlane, wchodzą na step szeroki, na stare koczowiska Połowców, Torków, Berendajów, Czarnych Kłobuków, gdzie przerzynają wysoczyzny stepowe, spieczone promieniami południowego słońca, mało urodzajne, długie wieki ugięte leżące, słowem, na tak zwane „Dzikie Pola“.

Na straży „Pól Dzikich“, na północnej krawędzi Dolnego Dniepru, (ale na lewym jego wybrzeżu) jeszcze za Zygmunta Augusta, stanęła obronna siedziba — zameczek

który do dziś istnieje, lecz już nie jest warownią stepową, ale miastem — nazwisko jego *Krzemieńczuk*. Osadczym tej prastarej siedziby był polski szlachcic, postać znana i zapisana chlubnie na pierwszych kartach dziejów Zaporozża, szlachcic rodem z okolic Lublina, Jan Świerszczowski (Świergockim nazywany).

Od skał krzemienistych, na których za dni ostatniego z Jagiellonów wbijał Świerszczowski pierwsze ostrokoły zameczka, który od krzemieni tam spotykanych, nazwał „Krzemieńczukiem“ do dniewowego przylądka „Kiczkas“, na przestrzeni mierzącej około półtorasta kilometrów, żegluga jest bądź utrudnioną, bądź zupełnie niemożliwą. Z początku spotykają się małe przeszkody, kamienie podwodne, tak zwane „zapory“ (po rusińsku „zabory“), lecz w miarę posuwania się dalej z biegiem rzeki, skały i wiry podwodne stają się coraz to uciążliwsze, trudniejsze do przebycia, i gdy bieg Dniepru południowo-wschodni zmienia nagle kierunek na południowy, żeglarz spotyka szereg kamieni, skał granitowych, które, tworząc groble podwodną, zagradzającą całą szerokość rzeki, wstrzymują stanowczo żeglugę. Pierwszy to „próg“, przez który fala z łoskotem przepływa i w licznych wirach rozpryska się na tysiączne bryzgi. Groble podwodne z granitu, tworzące „progi“, składają się z kilku ustępów, niby schody olbrzymie; liczba ich rozmaita, niekiedy dochodzi na większych progach liczba tych ław podwodnych do 12 nawet. Każdy z progów groźną jest tamą dla żeglugi, ale sternik, znający miejscowość, wie pospolicie o przejściach bardziej bezpiecznych, przez które może prześliznąć się łódź śmiała, a nawet i nieco większy statek. Są to wklęsłości, wytworzone dłonią przyrody; doświadczony sternik zawsze, przy większym lub mniejszym wód poziomie, umie je odnaleźć i tą krętą, a najeżoną niebezpieczeństwami drogą, przeprowadza żeglujących. Ścieżki te wodne noszą u tamecznych żeglarzy nazwę „starej“ lub „kozackiej“ drogi. Nazwa jest tu

dla nas wskazówką, iż owo obowiązkowe przepływanie przez kilka progów kandydatów do siczowego bractwa rycerskiego odbywało się właśnie tą „starą, kozacką drogą“, owymi krętymi ścieżkami, co pod śpioną falą biegną przez wklęsłości ław granitowych. To przypuszczenie wcale nie uwłacza dzielności młojców siczowych, gdyż i na owej ścieżce, zwłaszcza bez doświadczonej dłoni sternika, potrzeba było posiadać niemało zręczności, aby nie zmylić tropu okrytego falą spioną, potrzeba było dużo zimnej krwi, aby przez długie chwile z śmiercią się bratać i jej śmiało patrzeć w oczy.

Długość przestrzeni katarakt, czyli progów dniewnych mierzy około 10 mil. pol.; a wysokość spadku wód od pierwszego wodospadu, u podnóża dawnej, polskiej twierdzy Kudaku, do poziomu wód około przylądka „Kiczkas“, wynosi 113 stóp. Liczba wodospadów, t. j. progów, w różnych czasach rozmaicie była podawana. Pisali o nich i w starożytności, i później. Grecki cesarz Konstanty Porfirogenita liczy ich tylko siedm; inżynier polski, za dni pierwszych dwóch Wazów, Francuz, Beauplan, piszący około r. 1636, naliczył ich trzynaście; wprędce potem pamiętnikarz, Bogusław Kazimierz Maszkiewicz, dworzanin księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, zwiedzając je z księciem Jeremiaszem, w jesieni r. 1647, widzi tylko 12 progów; obecnie liczą ich, wedle urzędowych wykazów, zaledwie 9, a oprócz tego 6 zapór, tj. mniejszych przeszkód do żeglugi, w których to ostatnich groble podwodne nie zamykają całej szerokości rzeki¹⁾.

Ta różnica liczb, która nawet w czasach już naszych była przyczyną polemiki, nie jest ani błędem liczących i piszących, ani też zjawiskiem tak dziwnem, jakby można mniemać, nie będąc świadomym miejscowych warunków.

¹⁾ *Dyaryusz Bogusława Kazim. Maszkiewicza*, umieszczony w *Zbiorze Pamiętn. do Dziej. Pol. Niemcewicza*, T. V.

Poziom wód wyższy bądź niższy ważną rolę tu odgrywa. Przy wyższym stanie wód łatwo znikają groźne zapory ław granitowych; ponad ich ostre szczyty fala głęboka płynęła, można było zatem próg mienić zaporą; i na odwrót — zaporą podnoszoną bywała do godności progów — tj. groźnego wodospadu — gdy niższy wód poziom obnażał szczyty ław, gdy cała groza progów wychylała swe oblicze z głębin pieniających się wirów.

Według wskazówek Beauplan'a, podajemy liczbę, porządek i nazwiska „progów“, gdyż świadectwo jego, sięgające pierwszej ćwierci XVII w., ważne jest dla nas, bliższe ono bowiem doby zawiązków bractwa rycerskiego na Zaporozu. Beauplan w takim porządku wylicza „progi“, używając nazw ludowych: Kojdacki (czyli Kudacki), Surski, Łochanny, Strzelczy, Dzwoniec, Kniaży, Nienasytec, Woronowa zaporą, Górny Wolny, Budyło, Zawulżany, Leśny i Dolny Wolny. Wszystkie te nazwy są z owej doby, gdy szczepy niesłowiańskie zniknęły z wybrzeży dniewnych. Spadek wód i długość samej katarakty są nader różne. Prawie każdy próg inne posiada swe właściwości. Podczas kiedy Kojdacki wodospad składa się z 4 ław, a spadek jego wynosi 8' na przestrzeni 900 stóp, tuż za nim spotykamy Surski wodospad znacznie niższy (spadek jego wynosi 3½ stóp), a przebiega zaledwie przestrzeń 300 stóp, i dwie tylko podwodne groble zagrażdżają łożysko rzeki. Najznakomitszym i zarazem najgroźniejszym ze wszystkich progów jest „Nienasytec“ (Nienasyteć), chociaż spadek jego wód znacznie mniejszy niż Kojdackiego, bo wynosi tylko 5½ stóp i nie więcej nad 7 ław skał granitowych, biegnących przez całą szerokość łożyska dniewnego, wstrzymuje nurty spienione. Wiry tu jednak liczne, ostre szczyty skał, wznoszące się nad wód powierzchnią, spadek gwałtowny, dla oka widoczny, fale rozpryskujące się z szybkością 18 stóp na sekundę, wytwarzają wśród tej katarakty nader niebezpieczne warunki żeglugi.

Żaden z wodospadów dniewnych tyle nie pożarł ofiar, ile otchłań Nienasytea rok rocznie od wielu wieków pochłania. U starożytnych z tak groźnych właściwości swych był on już dobrze znanym. Porfirogenita, który podaje nazwy progów brzmiące dziwnie, gdzie napróżno niektórzy, jak n. p. Szafarzyk, starają się wyszukać pierwiastków słowiańskiego pochodzenia, nazywa ten próg *Neasyt*. Kto wie, czy nie jest to nazwa słowiańska, czy nie oznacza później spotykanej nazwy „Niesyty“, „Nienasycony“. Bog. Maszkiewicz w swym pobieżnym opisie progów, w XVII w. dokonany, tak o tym groźnym wodospadzie wyraża się: „Między wszystkimi też porohami najgorszy Nienasytec, który w siedm grobli idzie zaraz obok siebie, gdzie lubo kozacy czółna swe ładem przeciągali, przecie zawsze i sam i tam idąc, na tym porohu przynajmniej po jednemu, jeśli nie więcej utonąć musiało — zkad nazwano go Nienasytec...“¹⁾ Mogiły grupujące się licznie około progów, przeważnie w okolicy Nienasytea, świadczą, iż ludy prastare, które na stepach Niżu poprzedzały swem istnieniem orężne bractwo niżowe, walczyły tu nieraz. Progi, gdzie wylądowywano, by przeciągać łodzie „przewłóczyć“, jak mawiano, brzegiem rzeki, stawały się często miejscem zasadzki. Niejeden z waregskich książątek, niejeden z greckich kupców był napadnięty i zdradziecko zamordowany u progów dniewnych, na fali dniewnej, na tym „greckim szlaku“, jak Nestor nazywa Dniepr (mówiąc: „Greczesky bie put' i z Wariag w Greki“).

Progi Dniewne zamyka u południowych ich krańców pewnego rodzaju cieśnina u przylądka „Kiczka“, nosi ona miano *Wilcze gardło*, a składa się z dwóch wyniosłych skał, które tworzą niby bramę olbrzymią. Fala dniewna, po długim bojowaniu i szamotaniu się ze skałami kilkunastu progów i zapór, gwałtownie przedziera się

¹⁾ L. cit.

przez ciasne przejścia *Wilczego gardła* i rozlewa się szeroką a spokojną tonią. Od *Wilczego gardła* i *Kiczkasu* do Czarnego morza żadnych już przeszkód żegluga nie spotyka: łożysko rzeki coraz to szersze, brzegi płaskie, bardzo rzadko obramowane wzgórzami, odległe od środka nurtów, gdyż rzeka rozlewa się na liczne odnogi, tworzące labirynt wysp sitowiem i bujną trawą okrytych. Zaczynają się tu już łąki olbrzymie, tak zwane ługi, nazywane pospolicie *Pławnie*; na wiosnę bowiem, podczas większych wylewów, łąki te „pławia się“, t. j. kąpią się w mętnej fali dniewowej, rozlewającej się wielkim morzem, na niedoścignionych okiem przestworzach. To już Niż rzeczywisty, siedziba siczowników, świat inny, odcięty wielką przestrzenią stepową, bezludną ongi pustynią, progami groźnie wznoszącymi się nad falą dniewową, odcięty labiryntem wysepek od reszty świata. Takie odosobnienie od wszystkiego, co było mniej więcej ucywilizowaniem, co było chrześcijańskim, ciągle bezpośrednie zestawienie się z dziczą pogańską, wpływało na wytworzenie pewnej odrębności typu, obyczaju, odrębności całej fizjonomii społeczeństwa niżowego.

Od przyłasku „Kiczkas“, od „Wilezego gardła“, rozpoczyna się Niż prawdziwy. Wyspy, które tam spotykamy, były siedzibą głównych ognisk życia bractwa niżowego. Pierwszą taką wyspą jest *Charcica*; wyniosła, w znacznej części lasem porośnięta. Leży ona tuż około Kiczkasu. Z wyspą tą, jak później wskażemy, łączą się wspomnienia o Dymitrze Wiśniowieckim, jednym z pierwszych śmiśków o głowie butnej, a niespokojnym animuszu, którzy swe imiona wplekli do pierwotnych dziejów siczowych. *Charcica*¹⁾ do dziś jeszcze posiada bardzo wybitne ślady okopów dawnych — są to pozostałości po owym Wiśniowieckim, co się kumał z drużyną siczową, a w niezgodzie był z porządkiem społecznym.

¹⁾ *Chortycę* zwykle w dziejach przezywana.

O mil siedm niżej Charciicy, poza ujściem Końskich Wód do Dniepru, przy połączeniu z Dnieprem Czartomeliku, prawego dopływu dniewowego, spotykamy wysepkę, noszącą nazwę Starej Siczy, lub Batorowej Siczy. Początki XVIII wieku widziały jeszcze większy obszar tej wysepki, oblanej zewsząd wodami Czartomeliku, Podpolnej, Pawluka, rzeczek łączących się z Dnieprem. Dziś fale wód znaczną jej część uniosły, zaledwie niewielki z niej kęs ocalał; mały tylko szmat ziemi widzimy z owej prastarej siedziby siczowej, która samą swą nazwą, do dziś w ustach ludu żyjącą, świadczy, z kąd płynął duch organizujący gromady niesforne w szeregi bractwa rycerskiego. Podczas kiedy ani jedno imię naszych królów nie przetrwało w ustach ludu, w nazwach miejscowych, imię Batorego jest tu wyjątkiem. Przeszłość dawna, zapomniana, mówi nam parę razy o Batorego organizacyjnej działalności na Niżu, przypomina nazwami kilku miejscowości, która to cywilizacya, jaki to kraj, i które to społeczeństwo teńły były przed wiekami ducha rycerskiego zespolenia do niesfornych kup i gromad. Wyżej nieco Krzemieńczuka spotykamy wyniosłą górę, noszącą nazwę góry Batorego, drugą zaś nazwą, łączącą się bezpośrednio z pamięcią o Batorym, jest miano wysepki, która, jak wskazaliśmy przed chwilą, była pierwszą większą Siczą, Siczą czasów historycznych, co się rozpoczynają od dni Batorego, od r. 1576.

Chcąc uzupełnić obraz wód Zaporozża, wskażemy jeszcze na owe tak zwane *Pławnie* (Żuławy dniewowe). Są to niziny złożone z wysepek pokrytych sitowiem. Sieć całą wysepek tworzą maluczkie rzeczki, które są, bądź prawymi dopływami, bądź też odpływami Dniepru, do pierwszych zaliczamy rzekę Bazawłuk i rzeczkę Czartomelik, do drugich liczne odnogi Dniepru połączone z sobą nicią niezliczonych wód. W zachodniej części tych nizin gnieździły się wszystkie ważniejsze Sicze. Owe „Podpolne“,

„Bazawłuki“, owe „Skarbne“, rzeczki, tak często wspominane we wzmiankach dziejowych o Zaporozcach, to są odpryski wód dniewprowych, wijące się wśród trzezin, sitowi, to odnogi głównego łóżyiska, daleko na zachód od naczelnej macierzy odbiegające i rozplywające się po wklęsłościach i wpadlinach. Świat ten nizin na wiosnę staje się pospolicie morzem rozległym na wiele kilometrów. Latem nawet, gdy wody opadną, u ujść Bazawłuku istnieje wodozbiór, rodzaj dużego jeziora noszącego nazwę „Wielkie wody“. Owe „Wielkie wody“ były pewnego rodzaju portem, dokąd zawijały nieraz statki kupieckie z wód dalszych, z południowych krajów kupczących, z wód Lewantu, które wszędzie szukając zbytu na swe towary, nie zapominały o Niżu dniewprowym. Z dopływów większych Dniepru jedna tylko rzeka Samara, która o parę staj wyżej pierwszego progu (Kojdackiego) wpada do Dniepru, ściśle się łączy z ziemiami i z dziejami Zaporozża. Była ona niegdyś wodnym gościńcem wypraw Zaporozców na wody morza Czarnego; chcąc ominąć „progi“, lub też uspić czujność zbrojnych taborów tatarskich u ujść dniewprowych, Zaporozcy biegiem fali Samary w górę żeglowali aż do jej połączenia się z Wołczą (dopływem Samary), a wreszcie Wołczą również w górę; później z Wołczy łodzie przeciągano do wód Kalmiusa, lub na wody „Musza“ (Miusa), które ich już bez przeszkody niosły na falę Meotyckiego morza (Azowskiego).

Losy Zaporozża, jak wyżej nadmieniliśmy, ściśle połączone były z Dnieprem, dla tego też mówiliśmy o nim przedłuższą chwilę, dla tego też każdy, kto pragnie studyować dzieje Zaporozża, powinien przebiec Niż, z pielgrzymim kijem w dłoni, powinien zwiedzić cały ów archipelag ługów niżowych, kąpiących się corocznie w fali rzecznych wylewów, powinien zwrócić uwagę na warunki geograficzne, które tu grają większą rolę niż gdzieindziej. Miejscowość otoczona podwójnym pasem obronnym —

Dzikimi Polami, stepem bezbrzeżnym, odstraszającym wroga swym ogromem, bezludnym, bezdrożnym, i wreszcie szeroko rozścielającą się plejadą pływających lasów i mokradeł (bo na wiosnę wyspy zalane, a krzewami pokryte, podobnemi były do lasków pływających) — tworzyła twierdzę niezdobytą. Kto tam się usadowił, stawał się niedoścignionym. Dłoń orężna przemożnego nawet wroga z trudnością mogła ich dosięgnąć, i pospolicie nie dosięgała, bo z owych „pustyń“, jak się wyraża, mówiąc o Tatarach, hetman Żółkiewski, w pierwszych latach XVII w., „z pustyń chyba ptak albo zwierz mógł o nich dać wiadomość...“ To trafne orzeczenie osiwałego w bojomym trudzie wodza zastosować się daje zupełnie do Zaporozców i ich siedzib siczowych. Nieznanemi one były, a ten brak wieści o nich, ta nieznajomość ścieżek stepowych, co do nich prowadzą, to, zaiste, wał obronny, nie tak może „silny jak Malbork“ (że użyję porównania XV w.), ale w każdym razie dość mocny, by trzymać jakiś czas zdalą nieprzyjaciela. Główną siłą odporną Niżowego bractwa był ów wiekiasty brak dokładnych wieści o drogach do nich, była bojaźń, którą ich nagle, na sposób tatarski dokonywane napady wywoływały, co trwało aż do ostatnich dni niepodległości Zaporozża, a nakoniec wyjątkowe warunki przyrody dniewprowych nizin. W jednym ze swych listów, przytoczony wyżej, hetman Żółkiewski pisze: „Tatarzyna goniąc, jakby też kto motyla po powietrzu gonił...“ I to orzeczenie hetmańskie również możemy do Zaporozców zastosować. Na stepowych przestworzach, przeciętych gdzieindziej wklęsłościami, w które jeździec wpadał i niknął, jakby się ziemia pod końskimi stopy rozwarła, upędzać się za małemi kupy Niżowców, to trud bezowocny, który do niepodobieństw bywał pospolicie zaliczany: mówiono, iż praca to próżna, „jakby wiatry siecią zagarniać...“ „jakby łowić Tatarzyna...“

Step był areną orężnych popisów Zaporozża. Był on

wśród stepu jak wieśniak w swem domowym obejściu; znał go dokładnie i kochał a czcił. Nie przecinał on jego łona ostrzem lemiesza, nie zraszał go znojem pracy rolniczej; prawie nie karmił się chlebem ze zbóż, które bujnie rosnąć mogły na stepie, bo niwy uprawne Zaporozców były nieliczne, stosunkowo do obszarów stepowych; lecz bojownik niżowy step uważał za arenę bojową, i to dlań starczyło za wszystko, najważniejszym było, gdyż bojowanie uważało się za cel jego istnienia; od zawiązków bractwa niżowego, oddawna, od wieków, *Step bałko a Sicz maty* mawiał Zaporoziec, i słusznie tak mawiał. Ojciec wskazuje twarde niekiedy obowiązki życia, matka jest ostoją w strapieniu; ojciec karci, matka pociesza. Toż samo dawało się widzieć w życiu niżowego orężnika: na stepie on spełniał zadanie swe orężne, szedł w zapasy z Tatarzyinem, pasował się z twardymi obowiązkami życia; w Siczy czekał go odpoczynek; tam leczył rany, pocieszał się wśród gwaru towarzyszy, gdy wyprawa była niepomysłną i kiedy nie z sutym łupem wracał z bojowej wycieczki.

Zaporoziec władał na Niżu stepami obu wybrzeży dniewprowych. Oba też zarówno znanemi mu były; lecz prawy był dlań bliższy przestrzenią i zdeptał go wielokroć, bardziej niż lewy, stopą swego konia i na nim też więcej krwi wylał. Rozpadał się step pod względem administracyjnym, na tak zwane *Pałanki*. Na prawym brzegu Dniepru liczono 3 pałanki, na całej przestrzeni prawego wybrzeża Niżu: od rzeki Samotkani aż poza Sicz była *Kojdacka* pałanka, najcelniejsza, rzec można; na jej ziemiach pospolicie Sicze gnieździły się; na południe była *Ingulska*, a na zachód od tych obu, podsuwająca się ku Bohowi i Sinim-wodom, *Bohowa* pałanka. Na lewym wybrzeżu legło aż 5 pałanek, ale znaczenie ich podrzędne, oprócz *Samarskiej*, która dotykała wybrzeży dniewprowych na wielkiej przestrzeni, sięgając na północ znacznie wyżej rzeki Samary, a na południe dochodząc do Końskich-wód, a zatem

do krymskiego hanatu. Na północ od Samarskiej pałanki, były dwa także okręgi (pałanki): *Protowczajska* pałanka i *Orelska*, a na wschodzie *Kalmiuska*, dobiegająca do rzeki Kalmiusa, do stepów dońskiego kozactwa. Ten okręg ostatni mienić się mógł prawdziwą pustynią — wielkiem światem całego Zaporozem. Kto tam zabiegł, ginał, niby w grobu otehlaniach. Piąta na lewym wybrzeżu pałanka, u ujść Dniepru, była mańczka przestrzenią i podrzędnego znaczenia — nazywała się *Progniońska*.

Przyroda stepowa na obu wybrzeżach dniewprowych była nader różną. Na lewym, ponad rzeką Samarą, legły lasy dębowe, knieje, acz nie szerokie bo tylko wązkiemi pasy czepiające się mokradel, nizin nadrzecznych, lecz za to długie i gęste, i w budulcowy las obfite. Z budulca tych ostępów, z lip i dębów samarskiej puszczy budowano łodzie niżowców. Rzadko i w niewielkiej ilości drzewo na statki spławiano, sprowadzano je Dnieprem z Kijowszczyzny — przeważnie czerpano ten budulec z samarskich lasów. Zważywszy, jak wiele na swe orężne łodzie zużywali budulcu Niżowcy, i to przez parę, czy też więcej, wieków, zważywszy, że część tych kniej do dziś jeszcze daje dość cienia dla wędrowca, dochodzimy do przekonania, że te leśne pasy, obecnie jeszcze w resztkach przechowane, były bardzo dużemi. Nie był to nawet jedyny las w ziemiach Zaporozia. Poważne świadectwo posła cesarza niemieckiego, Rudolfa II, Eryka Lassoty, mówi nam, że ów Eryk Lassota, jadąc na Zaporozie do Siczy z misją dyplomatyczną, w 1594 r., spotkał na prawem wybrzeżu Dniepru, blisko progów, w miejscowościach, gdzie obecnie nikt się nie domysła, aby mógł być las, spotkał niedźwiedzia w dzień, na ścieżce stepowej, która w one lata zastępowała gościniec. (Patrz *Tagebuch des Erich Lassota von Steblau. 1854*). Pobyt niedźwiedzia na ścieżce stepowej, uczęszczanej świadczy, iż knieja była dość bliską a więc i u prawych wybrzeży Dniepru, jak obecnie nad Samarą,

ciągnął się pas leśny. Prastare świadectwo niemieckiego dyplomaty potwierdza relacya ustna stuletniego Zaporozca, *Korża*, którego opowiadania spisano w pierwszej połowie naszego stulecia. Widział on — jak powiada — w tych samych prawie miejscach gdzie Lassota lasów resztki ¹⁾.

Nietylko jednak co do lasów przyroda tameczna zmieniła swe oblicze. W czasach, które patrzyły na zawiązki Siczy zaporozkiej, step stał ugorem. Nikt go tam w XV i na początku XVI w. lemieszem nie przecinał, koczowały tam jeszcze wtedy resztki plemion na wpółdzikich, z plugiem niezbratanych; widziano wtedy na stepach Niżu, Połowców, Torków, dla których namiot wojłokowy był domem, stado lub łup zdobyty na nieprzyjacielu pożywieniem. Nawet znacznie później, bo około połowy XVII w. wspomniany już dworzanin ks. Jeremiasza Wiśniowieckiego widział, iż tam niw uprawnych prawie nie było. Zapisał więc w swym dyaryuszu, iż rola wyrobiona na nowinach „bardzo mało i ostrożnie“. To ostatnie orzeczenie tyczy się tych niebezpieczeństw, z jakimi musieli walczyć wszyscy osadnicy aż do połowy XVII wieku. Pęta jassyru, miecz w najlepszym razie, złupienie zagrażały tym, co wychylali głowę w głąb stepu bez broni. Nie dziwmy się temu, wszakże Lassota opowiada w swym dzienniku podróży z Niemiec przez Rzpłtą do Siczy, w r. 1594, iż wieśniacy na Podolu, w okolicach Pikowa, nie inaczej, jak z bronią w ręku wychodzili w pole do prac rolnych.

Przy małej bardzo uprawie roli, obyczajem ludów koczujących Wschodu, wypalano pola. Olbrzymie fale ognia, pędzone siłą marcowych wichrów, niszczyły suche trawy, przygotowując w ten sposób podścielisko dla nowej roślinności. Ginęły przeto i całe miryady much i muszek, które były plagą stepów ówczesnych, tj. na zaraniu epoki Siczowej, i znacznie później. Maszkiewicz o owych polach,

¹⁾ *Korża* świadectwo, przytoczone przez *Starożenkę*.

pogorzałych od umyślnie nieconych pożarów, tak się wyraża: „wszystkie pola pogorzały, i ziemia jako sadza tak czarną była“... „gdzie przecie trawa gruba — pisze on dalej — nie wszystka z korzenia wygorzała, ale te niedogarki bardzo na konie nasze złe były, bo im piętki kłuły, ażeśmy w skórę nogi końskie oszywali“... Najzgubniejszą z owadów była szarańcza, bardzo często nawiedzająca tamte okolice. Mówi o niej naddnieprzański kronikarz, Nestor i, o sześć wieków później, mówi również Beauplan, naddnieprzański wędrowiec. Była to plaga gorsza od Tatarzyna. Wpadała do mieszkania, wciskała się do misy z jedzeniem, napastowała jeźdźcę w polu, stawała się utrapieniem konia: walczyć z nią skutecznie koń nie umiał, jeździec nie zdołał jej pokonać. Podobne utarczki toczyli ludzie i konie z muszkami i muchami różnej barwy, wielkości, ale jednakiej złośliwości. Dym nie był dla nich wstrętnym, napastowały owe muszki ludzi i konie; jedynie północno-wschodnie wichry walczyć z nimi mogły skutecznie. Jeśli uderzyły wichry z północy, wówczas dopiero pierchały chmury owych much, muszek i komarów. Beauplan, który przez nie wciąż srodze był napastowany, opisuje ową plagę szeroko i tak wreszcie powiada:... „Zrana tylko widać zwyczajne i mało szkodliwe, ale o południu pokazują się większe, nieraz grube na palec i do tego niezmiernie dokuczliwe. Przyczepiały się do koni, do ludzi, gryzły ich do krwi, do spuchnięcia. Pod wieczór chmury komarów, zdaje się, jedną ciągnęły masą“... Lecz tu nie był koniec utrapień. Maszkiewicz rozpisuje się o różnych gadzinach, padalcach, jaszczurkach, z którymi również walczyć potrzeba było w stepach. Ta ilość wielka węzów, z których wielkie nosiły nazwę „położów“, wywołała mnóstwo legend, podań bajecznych, które snuły się po stepach, chatach niższej i wyższej Ukrainy, a nawet wdzierały się na karty przesądnych autorów przy końcu XVII wieku. Maszkiewicz tak o nich się wyraża, opowia-

dając koleje swej wędrówki, przy boku ks. Jeremiasza Wiśniowieckiego, z Kudaku do Łochwicy, rezydencyi księcia: „Między różnem robactwem, jako to: węzami, gadzinami, padalcami, natrafiliśmy połoza tak grubego, jako ręka człowieka, między łokciem a dłonią, a tak długiego jako kopia niemal. O tym powiadają, że gdy posłyszysz człowieka na koniu jadącego, by najrażczszym, dogoniwszy go, okręca się koło konia i człowieka“... Rzeczyńskiego relacye o owych stepowych położach, oparte na podaniach przesądnych tłumów przy schyłku XVII w., świadczą jak przerażające, a dziecinne wieści o stepach niżowych krążyły po Rzpltej, pomnażając dość wielką, rzeczywistą grozę tamecznej przyrody. Opowiadanie Rzeczyńskiego tak brzmi: „Szlachcic jeden uciekający z niewoli, gdy szedł piechotą przez „Dzikie Pola“, ujrzał tę gadzinę grzejącą się na słońcu, którą gdy ciało szablą z sykiem wielkim podleciała w trzcinę. Szlachcic zaś po kilku dniach znalazł głównię w pochwach stopioną“... Opowieści pełne fantazyi prawdziwie wschodniej, głoszące dziwy, co wspólnego nie miały nic ze znanymi zjawiskami przyrody, podnosiły znacznie grozę warunków istnienia na „Dzikich Polach“; pochodziły zaś te dziwy przeważnie z ust jeńców, którzy z jassyru wracali. Biedny więzień, uciekły z ław galer tureckich, pędzony ku rodzinnym okolicom tęsknotą do kraju, dążący pospiesznie przez „Dzikie Pola“, walczący z tysiącznemi niebezpieczeństwami, ścigany śmiertelną obawą pogoni, nie dziwnego, że potęgował w swej myśli grozę rzeczywistych, a wielkich niebezpieczeństw, co go otaczały. Każdy szmer wśród olbrzymich traw stepowych, każdy mocniejszy świst wiatru, olbrzymi cień mogiły, zdala ukazującej się w nocnej pomroce, zwiastował nieraz w wyobraźni biednego jeńca pogoń niewiernych, a za nią coś straszniejszego niż śmierć — ponowne więzy jassyru. Jeniec przekładałby śmierć, przekładałby mogiłę, ku której zawałaby chociaż niekiedy wiatr

z pól rodzinnych, doszedłby może szept pokrewnych duchów z cmentarzy ojczystej ziemi, nad ponowne jassyru więzy, pospolicie straszniejsze od pierwszych. Pogoń niewiernych, ponowne więzy, stokroć groźniejsze od poprzednich, zwiastowały tylko przedłużenie cierpień na ziemi — rozwianie snów o wolności. Step był w ciągu wieków tysiąc razy świadkiem owych tragicznych scen, wstrząsających swą grozą nawet zardzewiałe, wśród mordu i pożogi, dusze pełne bojowego męstwa, nawet zdziaczały natury, zbratane z widmami scen krwawych. Dlatego też pamięć ludu, skarbnica najcenniejszych materyałów dziejowych, podczas gdy innych brak, przechowała nam niejedną legendę o powrocie jeńców z jassyru, z całego szeregu owych stepowych legend tak rzewnych, tak pełnych wstrząsających wrażeń, iż każda z nich może być motywem dramatu, niejedna w swej treści zamyka wątek najbardziej tragicznych sytuacji. Nad Limanem kujalnickim, pod dzisiejszą Odessą, na wzgórzu, co jest południową krawędzią Dzikich Pól, z kąd roztacza się na fale Pontu widok rozległy, widzimy też płaczące brzozy. Z kąd one urosły tam gdzie drzew nie ma, gdzie brzoza gościem zbyt rzadkim? Z kąd? Legenda, z głębi Pól Dzikich zaczerpnięta, odpowiada nam na to pytanie. Trzy branki z jassyru, trzy polki, trzy siostry rodzone, zapędzone do Krymu w łyka niewoli przez Tatarzyna, miały się stać mieszkankami haremu: — traf zdarzył, iż mogły uciec. Szły tedy ciemnymi nocami jesieni, szły bez innych drogi wskazówek nad gwiazdy, szły bez kawałka chleba, bez kropli wody słodkiej, szły z całym wysiłkiem, dążąc ku objęciom zrozpaczonej matki, ku ojczystemu niebu... Z sił opadły, z głodu, ze znużenia, z bojaźni; pożary stepu ich ścigały; położy „w trawie, co kosy nigdy nie widziała“, syczały złowrogo... cież ranił im stopy — padły tedy, padły znużone na spieczonem przez słońce południa Kujalnickiem wybrzeżu — padły w tej chwili gdy im się zdało, że słyszą już dzwony

rodzinnego siola — padły na chwilę, by odpocząć — i już więcej nie wstały — z ich łez i cieniów urosły trzy brzozy o długich, płaczących warkoczach...

Step nie jest tak jednostajnym, jak można mniemać, urozmaicając go mogiły, które są pozostałością po pierwotnych mieszkańców ziem niższych. Wedle kosmicznych pojęć teraźniejszych mieszkańców tej ziemi, mogiły, jak góry, rzeki, morza, wyszły z dłoni Stwórcy w dniu stworzenia; tyczy się to mogił-olbrzymów, niższe tylko są dziełem człowieka. Wszystkie prawie większe mogiły to zabytki ludów Scytyjskich, szczególnie na prawem wybrzeżu Dnieprowem; wyniosłością wyróżniają się owe ziemne pomniki pracy ludzkiej, jedyne świadectwa, iż człowiek już przed wielu wiekami istniał tam, myślał, pracował, bojował, iż nie była to wiekuiście taka pustynia, jaką już ją widzimy później, iż na stepie roilo się ludu więcej niż za czasów władztwa Zaporozkiego, wojskowego bractwa. Czasy jednak scytyjskie zbyt odległe; z ludami pierwotnymi zaginęły wszelkie ślady tyczące się owych mogił. Są one, i zapewne na wieki pozostaną, hieroglifami niezrozumiałymi dla badaczy. To co się wie o nich, zbyt niewystarczający tworzy materiał dla odtworzenia dziejów ich pochodzenia, czasu wzniesienia i celów, dla których człowiek nie wahał sięłożyć tyle mozolnego znoju, by wznieść owe olbrzymy. Trzy wiekowe prawie dzieje Zaporozża, do odwiecznych, na wpół dzikiej kultury ludów zaginionych, dorzuciły nowe mogiły, już pospolicie znacznie niższe, lub też do dawnych dodały pewne historyczne wspomnienia późniejsze. Chowało niekiedy Zaporozże swych bohaterów (choć rzadko) na szczycie dawnych olbrzymów i pamięć tej chwili uwieczniało nazwą nową. Jedną z takich mogił jest „Maryanowa mogiła“ koło Kudaku, przypominająca francuza „Marian'a“ (właściwie „Marion'a“), który był pierwszym komendantem twierdzy polskiej Kudaku i padł w boju z Zaporozcami, którzy pierwotny, jeszcze niezupełnie wy-

kończony Kudak, zdołali byli chwilowo opanować. Każdy wieśniak wskaże i dziś jeszcze miejsce, kędy legły kości owego dzielnego wodza kudackiego, chociaż dzisiejsze, znacznie świeższe pokłady kolonizacyi, nie zachowały w swej pamięci tradycyi wypadku lub takową znacznie zmieniają. Do mogił, z których nazwą łączą się historyczne wspomnienia, zaliczyć należy „mogiłę Potockiego“, na której szczycie pogrzebiony Stefan Potocki, nieszczęsny wódz żółtowodzkiego pogromu, ranny pod „Żółtymi wodami“ i zmarły w niewoli Zaporozkiego wojska. Położona ona w głębi stepów, na prawej, historycznej, że tak rzekę, stronie Dniepru. Rzadko Zaporozże chowało swych bojowników i wodzów na szczycie starych mogił i nigdy nie sypano nad ich zwłokami mogiły. Jeżeli poezya mówi inaczej, popełnia w takim razie grzech, wobec majestatu dziejów. Wypływa to ze zwykłego, zbytelnego idealizowania przyrody, ludzi i wypadków niżowych przez naszych poetów. Mogiły, w tym kraju bez dróg (jakim on był do końca prawie XVIII w.), służyły drogowskazami dla pojedynczego wędrowca i dla całych czambułów, również tatarskich jak i zaporozkich. Mogiły i wklęsłości, zwane *bałkami*, służyły wielokroć jako punkta wytyczne oryentowania się. Nazwiska polskie, pospolicie niezbadanego pochodzenia, któremi dzisiejsza nawet stepowa kolonizacya mianuje niektóre mogiły i jary (*bałki*), świadczą, w braku piśmiennych świadectw, iż kraj ten pochłoniął niemało kolonizacyi polskiej. Wsiąkała ona tu lata, wieki całe, i nieraz bezwiednie spełniała cywilizacyjne posłannictwo. Do nazw niezbadanego źródła zaliczają się wszystkie imioniska dolin, wiele nazw mogił. Źródła tych nazw najczęściej szukać należy w imionach właścicieli futorów, którzy nie wahali się ująć lemiesza tam, gdzie miecz jedynie powinien być noszonym. Rolnik, który na pochyłościach jaru, w głębi cichej doliny, u źródła, lub korzystając z pobliskiego strumienia, nie wahał się zorać kawała

niwy, był zaiste śmiałkiem nielada. Można go stawić obok mołojców, co w wątlej łodzi przepływali „progi“, by złożyć świadectwo swej odwagi. Taki pływak stawiał czoło niebezpieczeństwu, patrzył w oczy śmierci krótką tylko chwilę; rolnik zaś w głębi stepów niżowych, na „Dzikich Polach“, codzień, w każdej chwili dnia i roku bojował, acz pługiem tylko, nie mieczem, dłoń swą uznoił. Czambuł większy lub mniejszy w swym przelocie do Polski mógł w każdej chwili zawisnąć nad chruścianami ściany lepianki, zniszczyć wszystko, w popiół owoc długoletniego trudu zamienić i samego gospodarza wiać w łyka niewoli, bo jak Klonowicz słusznie się wyraża: „Nie jest bowiem Tatarzyn porządnym wojownikiem, ale złodziejem, pędziskotem i nocnym rozbójnikiem“.

Stawiano na mogiłach z beczek rodzaj znaków strażniczych, tak zwane u Zaporozców *figury*, które grały rolę telegrafów; skoro zbliżał się nieprzyjaciel, skoro „szła Orda“ — jak się wyrażano, zapalano te *figury*. Step na wielkiej przestrzeni gorzał, ostrzegając o grozie co nad nim zawisła¹⁾. Wspominaliśmy już, iż na obszarach stepowych dróg prawie nie było. Nie może nazywać się drogą ścieżka wydeptana przez czambuł tatarski. Wysokie trawy, w których człowiek z koniem często ginał, tak bowiem bujnie rosły chwasty stepowe, pod naciskiem kopyt końskich kładły się, szczególnie podczas obfitej nocnej rosy, tworząc tak zwaną „taśmę“ czyli „szlak“; pod wpływem zaś promieni słońca znowu się podnosiły: śladem owych szlaków pędzono umykającego do swych koczowisk Tatarzyna, śladem tych „szlaków“ czyli „taśm“ kierowali się siczownicy lub ich gońcy. Jak dziwnie mało zaludnionymi były stepy w pierwszej epoce wytwarzania się Siczy, wnosić możemy ze wskazówek mapy Beauplana, robionej za dni Władysława IV, gdzie posiadłości siczowe prawie żad-

¹⁾ Memoires du Baron de Tott sur les Turcs et les Tatares. 1785.

nych siedzib nie mają oznaczonych, a niemniej porównując późniejsze wskazówki, które dla nas mapa Akademii Nauk w Petersburgu, z r. 1745, i relacja konfederata Barskiego, Chojeckiego. Ten ostatni, wracając ze wschodniej niewoli, (w drugiej połowie XVIII w.) przeszedł pieszko od Donu do Dniepru, ku ówczesnym granicom południowym województwa kijowskiego, nie spotykając prawie wcale siedzib ludzkich; bo pojedyncza chata lub buda „na basztanie“ nie może się mienić nawet małą osadą; a i takich ziemianek „na basztanach“ prawie spotkać nie można było na tej ogromnej przestrzeni stepów. W chwilach ostatnich lat istnienia Zaporozża (około r. 1768) robione były wykazy zaludnienia Siczowych posiadłości, w celu urządzenia gońców pocztowych; otóż takie wykazy podają zaledwie 1912 chat. Gdybyśmy nawet podnieśli tę liczbę do 2000 (w przypuszczeniu, iż niemało chat i rozsianych wśród jarów ziemianek było zabaczonych, lub umyślnie uchylało się od spisu) wreszcie zaś, gdybyśmy w każdej chacie obliczali mieszkańców na 5 głów, ogólna liczba mieszkańców posiadłości Siczowych, z wyjątkiem samej Siczy, wyniosłaby zaledwie 10.000 głów płci obojga. Jeśli do tej liczby dodamy około 6000 głów siczowego bractwa i pewien procent ludności nieznanej nikomu, ukrywającej się wśród ziemianek, w futorach odległych nad Kalmiusem, jeżeli dodamy poważną cyfrę czabanów (pastuszy), włóczęgów, rybaków, pędzących życie koczownicze, to w każdym razie liczba ogólna mieszkańców Zaporozkiego państewka, na obszarach zajmowanych obecnie przez gubernię Jekaterynosławską i część małą Chersońskiej, na której to przestrzeni mieszka dziś przeszło 1½ miliona mieszkańców — naliczymy w r. 1775 (w roku zniesienia Siczy) zaledwie 20.000 głów, z wielką przewagą ludności męskiej, gdyż kobiet, główne ognisko życia — Sicz — wcale nie znało; w futorach zaś i różnego miana zimowników najczęściej nie widzimy również ani jednej ko-

biety. Stary siczownik, do boju niezdatny, okryty ranami, opuszczając Sicz i zamieszkując futor ustronny, gdzie resztki życia trawił, otaczał się pospolicie chłopakami, którzy mu w gospodarstwie byli pomocą i rozjaśniali swą obecnością ściany jego świetlicy i jesień samotnego życia. Najczęściej taki samotny siczownik-rolnik „chłopców“ tych robił swymi spadkobiercami.

Wśród ogółu zaludnienia siczowych ziem, widzimy wybitnie zarysowujące się stany społeczne: rycerstwo i lud wiejski, ludność poddańczą. Siczownicy posiadali pewną liczbę poddanych, tak zwane *pospólstwo*, mieszkające i pracujące na ziemiach siczowych. Oprócz tego gminu, który był ludem w zależności zupełnej od wojska zaporozkiego, ludem pańszczyźnianą pracą płacącym za uprawę gruntów siczowych, byli tam jeńcy, tworzący inną kategorię ludności — kategorię niewolników. Zdarzały się wypadki w pierwszej połowie XVIII w., iż trzymano w Siczy Żydów, wziętych do niewoli, i z tego chrześcijańskiego jassyru innej drogi wyjścia nie było nad wykup. Żyd mógł się wykupić, bo nie można było uczynić zeń prezentu, a na okup, jeśli nie on, rodzina, to jego gmina miały pieniądze. Jeniec Tatar, złapany na arkan — rzecz właściwiej upolowany — w stepie — był pewnego rodzaju kapitałem, zamiéniano go na pieniądze — sprzedawano do sąsiednich krajów wschodnich, lub czyniono zeń podarunki, wówczas dość cenione. Świadcstwa dziejowe zachowały nam pamięć użalań się kozaków, za dni rozpoczynającej się rokoszniczej pożogi Chmielnickiego, użalań świadczących, że nie wolno im było upolowywać w stepie Tatarzą. Czytamy w szeregu użalań kozaków Zaporozkich następującą skargę: „Zdobyczy zaś polowej, gdy sam Pan Bóg poszczęści, mimo ten jassyr Tatarów starych i małe Tatarzeta, które nam właśnie do wojska należały, za co chudzina kozak by się przyodział, i to wszystko od nas poodejmowali, że nie masz

za co i pracować¹⁾...“ W późniejszych latach znać również chciwie łowiono owe „małe Tatarzeta“ na arkan, gdyż na niewiele przed zniesieniem Siczy, jak się o tem można doczytać w „archiwum siczowem“¹⁾, zrobiono z Tatarzą prezent dworowi Petersburskiemu, oddzielnie posyłając parę dla Imperatorowej, parę dla jej syna, po jednej sztuce magnatom wpływowym u dworu²⁾... Parę drobnych tych szczegółów świadczy, jak zapatrywano się na swą zdobycz stepową, zdobycz co wzbogacała; jeżeli zaś ją odejmowano — jak się wyraża źródło wyżej przytoczone — „nie było za co i pracować...“

Zanim na ostrowach i splawach Dnieprowych, o których wyżej mówiliśmy, zanim na stepach, wśród krajny mogił, wśród bezbrzeżnych pustyń, zawiązało się orężne bractwo wojska niżowego, bractwo o niezwyklej organizacji, uderzające swemi zasadami zupełnie demokratycznymi, swemi formy, które przypominały organizację rycerskich zakonów, ziemie dolnego Dniepru były koczowiskami Polowców, a na lewym porzeczu Torków, Berendejów. Ludki te dzikie, krwi pobratymczej z Mongołami, wycieńczyły się w bojach z żywiołem słowiańskim, mieszkającym nad środkowym Dnieprem, a waleząc i łupiąc długo, zbliżały się do owego żywiołu i stopniowo z nim się zlewały. Ludy stepowe, żyjące z pasterstwa i łupieztwa, chociaż wytepiane były przez Mongołów, którzy po ich trupach szli do bram Kijowa, i w głąb ziem słowiańskich, chociaż drogo opłacały, bo obfitami krwi strumieniami, swe łupieżcze najścia na siedziby waregskich książątek, nie zupełnie wszakże wytepione zostały. Niepodobienstwem było zniknąć im wszystkim z powierzchni ziemi. Rylec dziejowy napisał dla nich zbyt lakoniczny nagrobek, mówiąc, iż z widowni stepowej „zniknęli“. Nie zniknęli oni jednak, ale przeobra-

¹⁾ Punkta instrukcyi kozaków zaporozkich (w księdze *Pam. Michałowsk.* str. 76.)

²⁾ A. Skalkowski. *Historia Nowej Siczy*; (Odessa, 1886, wyd. 3.)

zili się w pewnej części, zlewając się z odpryskami słowiańskiego szczepu, przyjmując ich język i obyczaj. Dotąd ślad tych ludków stepowych świeci w blasku czarnych, niesłowiańskiego wyrazu oczach ludu, południowych powiatów polskiej ongi Ukrainy, dotąd widocznem jest w charakterze ludu tego jakaś buta i samowola stepowa, odróżniająca go od innych pokrewnych mu okolic, dotąd duchowy spadek rasy innej jest żywiołem wpływającym na charakter ludu tego. Wieśniak ukraiński, w południowych okolicach dawnej Braclawszczyzny i Kijowskiego, różni się najzupełniej od wieśniaka z Wołynia lub Podola, ślad to widomy, dotykający przeobrażeń hord dzikich, połowieckich na szczepy słowiańskie, które — że zacytujemy tu nasze wyrazy, gdzieindziej wypowiedziane — „mając w swych żyłach krew obcą, przeodziały się w szaty innego języka, obyczaju, ale zachowały właściwości charakteru protoplastów: — żądzą boju, łupu, niedbanie o życie, pragnienie zemsty, upajanie się krwią, bodaj wytoczoną z pod braterskiego serca“¹⁾).

Przeobrażenie szczepów, asymilacja pierwiastków rolniczych ze stepowymi miały miejsce dość wcześnie. W XV wieku już ów proces dziejowy zupełnie prawie był dokonany. Lecz ziemie polańskie, nad środkowym Dnieprem, i pokrewne im szczepy, trzymane w kleszczach władzy książąt waregskich, spokoju nie miały od ściany stepowej. Zniknęły hordy Połowieckie, o Pieczeniegach wieść nawet zamilkła; natomiast inny nieprzyjaciół stał: jest nim Tatarzyn, poza nim zaś wieść prawdziwie hiobowa rozbiega się o zdobycach Turka. Zdobyć to krwawe, bezlitośne, napiętnowane fatalizmem dziejowym, nikt się wobec jego oręża ostać nie może. Za ledwie drugą połowę XV w. upływać zaczęła, gdy północne wybrzeża morza Czarnego uznać

¹⁾ *Kudak, twierdza kresowa...* Monografia historyczna, przez M. Dubieckiego (Kraków 1879).

musiały w większym, czy też mniejszym stopniu przemoc turecką. Potężna długie lata Kaffa (Teodozya) wraz z całą plejadą osad genuieńskich, na Pontyjskich i Meotyjskich pomorzach, zniknęły z powierzchni ziemi złanej krwią, zasypanej zgłiszczami zachodniej, chrześcijańskiej kultury. Nie oparły się osady genuieńskie, te przodownice w dziedzinie handlu, wiedzy, u północnych wybrzeży czarnomorskiej fali; nie zasypały ani Turka, ani Tatarzyna swem złotem, nie pokonały go swym rozumem, mówiły ubożuchne siola nasze co od Braclawszczyzny, od ziemi dolnego Dniestru, od ziemi podolskiej pomykały Dzikim Polem ku Czarnemu morzu... cóż my tedy moeni jesteśmy uczynić?... Padł więc strach niemały na południowo-wschodnie węgły państwa Jagiellończyka, i strach ten dłużej nad owymi nieszczęsnymi węgły powiewał, niż było istnienie Jagiellońskiej dynastii. Turek był wprawdzie sąsiadem, ale nie tak bliskim jak Tatar, owa przednia, lotna straż Islamu i jego potęgi. Zbrojna dłoń Islamu ukazywała się wprawdzie, ale nie tak często jak Tatarzyn, jej zwiastun również groźny dla naszych strzech słomianych, dla naszych drewnianych ostrokołów, jak lepiej uszykowane, bardziej zbrojne pułki janczarów Padyszacha. Południe nasze od końca XV w. zaczyna być w trwodze i trwoży się wieki całe. Już za Jana Olbrachta taki strach pada nawet na daleki gród stołeczny, na Kraków, iż fortyfikuje się on pilnie, zabezpieczając się od nowej w Europie, a wielkiej potęgi, jaką był ówczesny Turek. Wznoszą właśnie wówczas przed Floryańską bramą tak zwany Rondel, podnoszą wysokość tejże bramy i murów, a na Kleparzu sypiały nowe umocowania. Przezorność okazała się zbyt późną: Turek ani wtedy, ani nigdy później nie poił swych bojowych koni pod Wawelem, w mętnej fali Rudawy, i chociaż o parę wieków później kruszył mury Wiednia, nie pokusił się wcale o tępienie swej szabli o bramy Wawelu. Pierś rycerstwa osiadłego na Podolu, na obszarach Brac-

ławszczyzny, starczyła nam za całą obronę i skutecznie odpierała większe lub mniejsze czambuły tatarskie. Była ich mnogość tak wielką, iż zliczyć trudno, gdyż nie boje to, nie wojny, bodaj z pozorem zachowywania praw bojowych, lecz napady zbójckie. Przytoczyliśmy już tu, iż Klonowicz w swym „Worku Judaszowym“ nazywa tatarski najazd „nocnym rozbojem“; tak było w istocie. Gdy „Dzikie Pola“ znajdowały się chociaż z imienia w dłoni polskiej, gdy Buczaccy, Jazłowieccy posiadali tam swe obszary, od Dniestru po Dniepr, step przynajmniej odgradzał koczownicze hordy od siedzib dobrze zagospodarowanych: tak było za dni Zygmunta I. Lecz już przy nim Nogajcy przypędzać zaczęli swe stada na „Dzikie Pola“, przy nim sadowili się coraz to mocniej od morza, od południa aż ku Kodymie i Jahorlikowi, wytopniając spotkane po drodze ślady naszej kolonizacji, która szybkim krokiem, przy pierwszych Jagiellonach krzewiła się z biegiem Dniestru i Bohu ku wodom Pontu. Za dni Zygmunta Augusta już koczowiska Nogajców wyparły wszystko nasze z Dzikich Pól i stanęły u bram Podola i Bracławszczyzny. Wtedy miały miejsce pierwsze ciężkie stratowania ziemi Podolskiej przez czambuły Tatarskie, wtedy właśnie, na lewym porzeczu Wisły, w Czarnolesiu, uderzył w struny swej lutni poeta-obywatel i wyśpiewał ową pieśń pełną bólu i przestrogi zarazem:

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda Polaku, ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprośny,
Nad Niestrem siedząc, dzieli łup żałośny.

Najazdy stawaly się odtąd raną wciąż jęczącą się, nigdy nie dającą się zabić. Owszem, miały nadejść czasy jeszcze gorsze, liczące po kilkanaście czambułów rocznie. Wyprawy Tatarzyn nie ograbiały, nie ogłaszały, nikt bowiem tego za wyprawy nie brał, były to najścia zbój-

ckie. Nogajskie ordy żyły wyłącznie z czambułów wyprawianych do nas. Nasz dobytek i owoc pracy naszej — to ich łan; nim się żywili, innego nie znali. Przychodzono do południowych województw Polski, niby do własnego spichlerza. W jednym roku spadł czambuł po bydło, owce, w innym po jassyry z ludzi, którymi ogromny handel prowadzono na rynkach Wschodu. Były to klęski nad klęskami, którym zapobiedz potrzeba było. Wybieranie co przedniejszej ludności w jassyry niedość iż wytwarzało anemiczny stan organizmu państwowego, ale wikłało stosunek naturalnego rozwoju narodu. Uszczuplały się jego szeregi. Narzekali na to nasi publicyści XVI w., tembardziej narzekali, iż mała ilość zawieranych małżeństw, z powodu różnych kastowych przesądów i wzrastającej próżności, źle wróżyła dla doby owoczesnej i dla dalszej przyszłości narodu. Ci sami publicyści, którzy myśleli o wytworzeniu obrony od najazdów tatarskich, narzekali również i na brak stosownej ilości małżeństw. Na obie te kwestye znajdowano jeden ratunek w mocnem oparciu się zbrojną stopą na południu Rzpltej i rozszerzeniu w Dzikich Polach kolonizacji polskiej. Te osady miały być wojenną a demokratyczną instytucją, któraby i Tatarzynowi wiekuisty „wstręt czyniła do wdzierania się we wnętrze Rzpltej“ i zarazem byłaby pożądanym schronieniem od wszelkich przesądów, co tak już były u nas w XVI w. wybujały ponad głowy społeczeństwa, iż tamowały jego rozwój.

W kwestyi tej przemawiał do Zygmunta III, w pierwszych latach jego rządów, Piotr Grabowski, kapłan-publicysta, ale te projekta kolonizacji spełzły na niczem. Był jednak do niej materyał i pewien pociąg nawet, bo już wtedy, gdy wspomniany Grabowski marzył o osadnictwie po za Dolnym Dnieprem, i pisał o tem broszurę, nazwaną „Polska Niżna“, Sicz istniała na Niżu.

Niebezpieczeństwo od Tatarów w XVI dopiero wieku, i to w jego drugiej połowie, wywoływać zaczęło projekta

liczne obrony, niekiedy fantastyczne, niekiedy nad siły nasze i nad wytrzymałość naszą, ale z którymi Włoch i Niemiec, jak wyrażał się Gwagnin, dalby sobie łatwo radę, działając powoli, z jednakim zawsze zapalem i z jednaką wytrzymałością. Ale w XV w. i na początku XVI, węzeł tej kwestyi chciano rozciąć inaczej, nie piórem, lecz mieczem.

W czasach zamierchłej przeszłości kończyny wschodnie kraju miały ludzi śmiałych, zbrojnych, lekkich jeźdźców, którzy dorywcze boje toczyli z wrogiem, również dorywczo wpadającym i zbrojną ręką coś urywającym. Ludzi takich nazywano z mongolską — *kozak*. Gwagnin dość dokładnie określa co to jest kozak. Mówi on, że to „chudy pacholek, nikomu nie poddany, zdobywszy sobie szukający, a za pieniądze komu chce służy”. Określenie dość dokładne. Orężny jeździec, nieujęty w karby wojskowej karności, zbrojny ochotnik, poczęści opryszek — to „kozak”. Tacy kozacy, orężni ochotnicy, ukazują się bardzo wcześnie, jak wskazałem — ale nie w ziemiach środkowego, bądź dolnego Dniepru; ukazują się oni na wyżynach oddzielających górną Dźwinę od górnego Dniepru; najwcześniej ich widzi ściana pograniczna, oddzielająca *litewskie ukraiinne*, tj. pograniczne *grody* od świeżo wyzwolonego z mongolskiej niewoli w. ks. moskiewskiego: są oni obrońcami północno-wschodniego węzła Litwy. Zanim na krańcach „u krajów”, u brzegów słowiańskiego południa, staną się głośnymi, już są znacznie wcześniej w „ukraiennych litewskich grodach”, w Smoleńszczyźnie: są tam obroną miast, tarczą swych siedzib. Wieść jednak o nich prędko tam ginie, a znane już nam niebezpieczeństwa od drugiej połowy XV w., srożące się na całej południowej połaci Polski — na krańcach Braclawszczyzny i Kijowskiego — każą tam wyszukiwać środków obrony. Stają więc kupy orężne, niesforne, lecz bitne, gromady lekkiej jazdy, umiejące sobie dawać radę z resztkami dawnych koczujących plemion, co się po stepie jeszcze tułały, a niemniej i z no-

wym wrogiem, Tatarzynem. Kupy te orężne stawały się straszne wrogom, ale i dla swoich groźnemi wielokroć były. Obyczaj dziki, pogański, który im wprost od Wschodu bił w oczy, wcześniej zmienił ich moralne oblicze — już XVI wiek na to narzeka. Bartosz Paprocki daje nie pochlebne świadectwo tym, co na odległych pograniczach brały się za bary z Tatarzynem: udawać się pod chorągiew owych orężnych kup, a rozbrat z cnotą domową, rodzinną brać, to u Paprockiego jedno i toż samo. U Górnickiego nie lepsze spotykają się określenia. W jego „Dziejach” czytamy: „dla cheiwości, dla rozpusty w kozactwo się udali, u nich łup lepszy niż cnota”.

Kozactwo, chociaż na tak niepoehlebne świadectwo zasługiwało, było podczas Jagiellońskiej doby pawężą skuteczną przeciw inkursjom tatarskim; była to obrona grodów południowych. Kozactwo jednak i Sicz na Niżu — to dwie rzeczy różne. Kozactwo, acz tworzyło się na kończynach ziem zasiedlonych, których w gródkach miało być obroną, miało pewne czucie z krajem. Sicz zaś wytworzyła się wśród innych, jak wiemy, warunków przyrody, wśród większych niebezpieczeństw i z wybitnemi ślady organizacji rycerstwa zakonnego, którą to organizację wiatr zachodu przyniósł na jałową ziemię Pół Dzikich, na niespopieliałe jesszece ogniska koczowisk hord stepowych.

Pierwszy ślad sadowienia się pojedynczych jednostek orężnych na Niżu spotykamy bardzo wcześnie. Za dni kończących rządy Kazimierza Jagiellończyka przybywają wielokroć do Kijowa z „Niżu” (tj. z dolnego Dniepru) kozacy, którzy bawili się handlem. Są o nich dziejowe wskazówki mówiące nam, że przybywający do Kijowa „kupiec chrześcijanin albo mieszczanin, albo *kozak*” powinien był składać pewną daninę; zarówno też i ci, co pływali z Kijowa na Niż (w dół rzeki) w celu zarobkowania, obowiązani byli do dawania wojewodzie „dziesiątej części” z tego, co „zobędą”. Wyróżnianie w dokumencie dziejowym kozaków

jako stanu oddzielnego, jest dla nas rzeczą ważną, dowodem, że nie tylko jeździec zbrojny, orężnik pojedynczo, samopas walczący, ale włóczęga stepowy, szukający dróg z bogacenia się, również miano kozaka nosił. Widocznie, iż zanim oddali się wyłącznie rycerskiemu rzemiosłu, kozacy byli poszukiwaczami pomyślności na innych drogach; szukali takowej w handlu, rybołostwie — byli to ludzie przygód. Starostowie grodów ukraińskich, w naddnieprzańskiej Ukrainie, wytworzyli z nich straż grodową, a zatem żywioł pożyteczny, wywiązujący się wybornie w początkach istnienia swego z obowiązków, które się stały ich udziałem.

Jednocześnie z kozactwem miejskim tworzy się kozactwo — niżowe. Tworzy się ono poza ziemiami osiadłymi, wśród przyrody innej, stepowej i dzikiej, której główne zarysy już wskazaliśmy. Kozactwo to — instytucja nader oryginalna, mająca dużo właściwości zakonu rycerskiego — od Niżu przybrało nazwę Niżowców, lub Zaporozców, gdyż „za progami“ pierwsze ich zawiązki spotykają się. Żywioty nasze, polskie, żywioty wyszłe z polskiej kolebki, wychodowane pod promieniami zachodniej kultury, ale skłócone z porządkiem społecznym, stanowiły główny pokład tego osadu, który legł podwaliną instytucji siczowej. Posuwanie się śmiało w głąb stepów, posuwanie się pojedynczo lub gromadnie, w celu bliższego i szybszego zajrzenia w oczy poganinowi, lub jedynie w celu zniknięcia z gniazd własnych, z gniazd dawnych, i wytworzenia dla siebie podstaw innego bytu, co z przeszłością wspólnego nie miał, odbywało się już za dni Kazimierza Jagiellończyka. Dzieje nie mają żadnych świadectw piśmiennych, któreby ściśle określały chwilę, kiedy mianowicie ten osad społeczny spłynął poraz pierwszy z falą dniewą na ostrowy i łęgi, na pozaświecie, odgradzone od najdalszych kończyn chrześcijańskiej kultury całą siecią katarakt, do tych dziedzin, nader słusznie zaiste, polami „dzikimi“ nazwanych. Są jednak tradycje niżowe,

jeszcze w połowie XVIII w. znane, i głośno w Siczy powtarzane, iż od króla Stefana Batorego rozwija się świetność wojska zaporozkiego, lecz znacznie wcześniej już Sicz istniała i organizację swą wojskową posiadała. Tradycje o znacznie dawniejszem, bo na całe stulecie wstecz cofniętem istnieniu Siczy, weszły do urzędowych dokumentów, do owego jęku boleści, który się spotyka w skargach porysanych przez siczowników do imperatorowej Katarzyny II, w ostatnich dniach istnienia Siczy. Od pierwszego roku rządów Batorego, od chwili gdy daleko sięgająca myśl tego wielkiego króla uznała za rzecz słuszną i potrzebną wziąć pod swą opiekę instytucję siczową i nadać jej znaczne ziemie obszary, Niżowczycy rozpoczynają dobę świetności swej; lecz i wcześniej, znacznie wcześniej spotykamy się z ich istnieniem. Heidenstein pisze, że Niżowcy to rozmaici „skazańcy“, to „włóczęgowie z różnych narodów“. Określenie rzeczono służyło później za podstawę wielorakich twierdzeń o wojsku zaporozkiem. W zasadzie twierdzenie słuszne, lecz osad mętów społecznych, spotyka się tem mniejszy, im bardziej w głąb dziejową myśl nasza sięga; i na odwrót, tem większy, im ku bliższemu zbliżamy się czasom. Już w r. 1568 poselstwo Rzeczypospolitej do Porty Otomańskiej, sprawowane przez Piotra Zborowskiego, kasztelana wojnickiego, oświadcza Padyszachowi, iż nie bierze na siebie odpowiedzialności za to, co na Dnieprze broją kozacy; mają się tu na myśli głównie Niżowcy, i o nich wówczas toż poselstwo mówiło, że orężnicy spotykani nad Dnieprem to „zbieranina różnych ludów, do żadnego narodu właściwie nie należąca“. Odrzuciwszy z owego orzeczenia pewną część na rzecz dyplomatycznych symulacji, widzimy w niem nieco prawdy. Były to bez zaprzeczenia duchy niespokojne, z porządkiem ówczesnym rozbrat czyniące, lecz to tylko część może, i większa, była taką; poza nią stoją jednostki o umyśle, acz niespokojnym, lecz pod-

nioślejzym, które wytwarzają z tych czynników rycerskie stowarzyszenie, pewien rodzaj rycerskiego zakonu.

Stowarzyszenie orężników niżowych nie wytworzyło się w jednej chwili, nie było czynem pojedynczego człowieka. Zawiały je lata i duch rycerski, który wiał od północnych krawędzi stepu, z Braclawszczyzny, z południowych kończyn Rzeczypospolitej. Braclawszczyzna, tj. ziemie nad środkowym Bohem rozścielające się, na zachód zaś ku środkowemu biegowi Dniestru sięgające, były sąsiadką najbliższą stepów, nie więc dziwnego, że największego kontyngensu bojowników stepowych, owe właśnie ziemie dostarczały. Ci co szli na Niż z Braclawszczyzny, przynosili z sobą ducha rycerskiego i tradycje zachodniej cywilizacji. Warunki dziejowego rozwoju Braclawszczyzny, od początku prawie XV w., przelewały tam mniejsze własności do rąk starych, możnych rodów, które z Wołynia, z Podola, z Rusi Czerwonej, z ziem bezpiecznych przybывая nad Boh, stawały się strażnikami niejako ziem Bohowych i środkowego, dniestrowego porzecza. Tam zawiązywały te rody od niepamiętnych czasów bractwa rycerskie. Można właścicieli ziem obszernych, posiadający środki obrony owych ziem i innych sąsiednich, który wzniesić mógł zamek i opatrzyć go w stosowny, bojowy rynsztunek, stawał się sztandarem, około którego grupowały się drobne, uboższe rody szlacheckie. Tacy bojownicy, w stosunku do możnych, tworzyli tak zwane *poplecznictwo orężne*: był to rodzaj bractwa, którego członkowie, nazywani *poplecznikami*, zobowiązywali się do wzajemnej obrony ¹⁾. Wyraz „druh popleczny“ spotyka się często w urzędowych dokumentach XVI i początku XVII w. Z biegiem czasu, jeśli który z członków tych możnych rodów stanął wśród „Dzikich Pól“, u katarakt dniewprowych, jeśli się zetknął z orężnym fermentem społecznym, który się od XV wieku siedlił na lę-

Edw. Rutikowski, w rozprawie pod nap. „Braclawszczyzna“.

gach „za progami“ i zdobył tam bodaj chwilową przewagę, wziętość, czynił usiłowania szczepienia tegoż samego orężnego poplecznictwa na Niżu, jakie istniało, kwitnęło w południowych województwach Rzpltej. Do orężnego poplecznictwa przywiązywano pojęcie cnoty rycerskiej, wolnej od wszelkiego zarzutu. Samuel Korecki, postać nader rycerska, znana w pieśniach ludu, który o nim na Ukrainie śpiewał „Buw pan Koreckij... win nebesnu syłu maw i wojewaw“... Korecki, idąc na wyprawę turecką, pod buławą Żółkiewskiego, która to wyprawa skończyła się klęską cecorską, pisze rodzaj testamentu i napomnień dla swych *druhów poplecznych*, gdzie czytamy takie wzniosłe określenie cnoty szlacheckiej, a więc rycerskiej: „cnota szlachecka — pisze on — powinna być jako oliwa na napoju każdym“ ¹⁾... Maluczki ten rys pojęć naszego rycerstwa XVI w., które zabiegało na Niż i kumało się z orężnikami, tworzącymi tam zbrojną gromadę, zupełnie wolną, acz na ziemiach Rzpltej gnieźdzącą się, przyczynia się nie mało do wynalezienia klucza zagadki, skąd zbiegowie ziem różnych, w pewnej części z ludu wiejskiego pochodzący, mogli mieć pojęcia o bractwach rycerskich, skąd do nich zabląkać się mogła myśl o organizacyi orężnej, przypominającej zakon rycerski? Lud rusiński, który, pomimo wszelkiej możności rozwoju, nie wytworzył nigdy w ciągu wieków własnej inteligencji, nie zdobył się na własną kulturę, nie mógł być założycielem bractwa siczowego; najbardziej nawet stronni, najnieprzyjaźniejsi majestatowi prawdy dziejowej historycy, nie zdołali się zdobyć na odwagę, by owym siermiężnym tłumom przypisać inicjatywę organizacyi bractwa siczowego. Ludowe żywioły, gdy z biegiem wieków zwiększyły się w Siczy, przyczyniły się do jej zdziczenia, do zamienienia jej bojowników na gromady rozbójnicze, mało się różniące od czambułów tatarskich,

¹⁾ L. c.

ale nigdy nie posiadały myśli twórczej zawiązywania na kończynach chrześcijańskiego świata, a raczej już poza takowego granicami, rycerskiej instytucji. Myśl twórcza, wzniosła, szlachetna, myśl ciągłej, bojowej gotowości w obec nieprzyjaciela, myśl wytworzenia czegoś w rodzaju zakonu rycerskiego, nie mogła przyjść i nie nadeszła skądinąd, jak tylko z Polski. Zabiegające na Niż postacie, takie, jak wspomniani Samuel Korecki, Dymitr Wiśniowiecki, a przed nimi Eustachy Daszkiewicz i Przecław z Brzezia Lanekoroński, herbu Zadora, możny pan małopolski, i inni liczni, współcześni tu wymienionym, tudzież późniejsi polscy rycerze, nieśli z sobą myśl rzeczowej instytucji, rzucali jej podwaliny, lub ją udoskonalali, rozwijali, podnosili. Wśród imion wspomnianych szukać należy inicjatorów i założycieli siczowej instytucji: wprowadzili oni z sobą na Niż pojęcia rycerskie, polskie, wyrobione w ciągu wieków pod wpływem pojęć rycerstwa zachodniego; rozwijali w dalszym ciągu nasze własne „poplecznictwo orężne“ i szersze podstawy dawali naszemu obyczajowi *druhów poplecznych i braci ślubnych*.

W Polsce to jedynie, nie zaś gdzieindziej na Wschodzie Europy, powstawały w XVI wieku zamiary zawiązania zakonu rycerskiego, któryby był obroną od niewiernych. Widzimy tę myśl podnoszoną u nas, od czasów Kazimierza Jagiellończyka do dni Batorego, bardzo wiele razy. Już podczas wojny o odzyskanie od Krzyżaków Dolnego Powiśla (a zatem przed r. 1466), słyszymy o projekcie przeflancowania Teutońskiego zakonu — Krzyżaków — z grodów Dolnego Powiśla na stepy południa polskiego, graniczącego ze światem pogańskim. Projekt ten nigdy nie przekroczył granicy dziedzin marzeń politycznych, chociaż poruszano go kilkakrotnie znacznie później nawet. J. Wereszczyński, biskup kijowski, mąż gorliwy o dobro publiczne, zachęca już za czasów Zygmunta III do wytworzenia zakonu rycerskiego na Zadnieprzu, któryby bronił Rzpltę

od najsc tatarskich; lecz i ten projekt dalekim był od urzeczywistnienia, nie zszedł z kart broszur politycznych na grunt życia rzeczywistego. Znacznie wcześniej Jakób Podlodowski, w celu wyżej wskazanym, marzy o zawiązaniu na Ukrainie zakonu rycerskiego św. Łazarza, ale i tego projektu nie zdołał Podlodowski, wcielić w życie. Były i inne w tym kierunku marzenia i zamiary mniej rozgłosne, na karcie dziejów niezapisane, świadczące jednak, że myśl polskiej społeczności ku wytworzeniu tego rodzaju instytucji niejednokrotnie się zwracała. Prawa bractwa niżowego, nigdy nie tworzące kodeksu spisane, a jedynie istniejące w tradycji, zbliżające się w niektórych swych orzeczeniach do reguły zakonnej (zachowywano bowiem w Siczy z całą ścisłością celibat) świadczą, iż jeden z tych projektów zakonów rycerskich, z którymi polskie umysły niejednokrotnie się nosiły, otrzymał na Siczy pewne urzeczywistnienie.

Przy całym braku źródeł dziejowych, dotyczących się pierwotnej historii Zaporozża, widzimy kilka postaci polskich rycerzy, które stanowczo oddziaływały na ukształtowanie się pierwszych zawiązków bractwa rycerskiego na Niżu. Są nimi: Przecław Lanekoroński, Eustachy Daszkiewicz, Dymitr Wiśniowiecki i Samuel Korecki. Prawie każdy z nich był panem możnym, prawie każdy był obdarzony wrażliwą wyobraźnią, każdy męstwem wyróżniał się, prawie każdy posiadał upodobanie w podrózach rycerskich, w szukaniu przygód, wyróżniał się niemniej ducha jak i ciała mocą. Wszystkie te przymioty potrzebne były dla założycieli bractwa orężnego, złożonego z żywiołów niesfornych, burzliwych, często ciemnych, ślepo hołdujących sile fizycznej. Kto ją posiadał, miał powagę i przewagę wśród tych tłumów, żadnych zarówno boju jak i łupu: „mężny, hojny, a dobrej sławy chciwy“, jak się wyrażali niżowcy, w drugiej połowie XVI w., mógł mieć nad nimi

przewagę. Prawie każdy z wyżej wskazanych rycerzy temi przymiotami się odznaczał.

Przeclaw z Brzezia Lanckoroński rozpoczyna szereg tych mniej więcej znanych twórców siczowego bractwa. Przemowny ten pan małopolski, wszedłszy w posiadanie starostwa Chmielnickiego, stanął tem samem na pograniczu krain wystawionych na bezpośrednie niebezpieczeństwo najazdów tatarskich. Wiąże więc on około siebie całą sieć poplecznictwa orężnego, stają pod jego chorągwie liczne *druhy popeczne*, zubożała, z mienia przez Tatarzyna wyzowana szlachta, która, chcąc ocalić siebie i swą ziemię od łyk pogańskiego jassynu, poddaje się rozkazom możnego rycerza protektora, staje na stanowisku jego klientów. Poplecznictwa sieć rozszerza się coraz dalej i szerzej: rycerz małopolski nie poprzestaje na tępieniu wroga wtedy tylko, gdy ten wpada do ziem osiadłych, szuka go w pustyni, zapędza się pod warowne częstokoły Oczakowa; nie więc dziwnego, że docierał do progów i pomnażał swych *druhów popecznych* spotkanymi tam zastępy orężników różnej wiary, pochodzenia i języka. Chęć walki z niewiernymi, chęć często wysunięcia się z pod opieki prawa, jednoczyły różnojęzyczne jednostki, różne co do stopnia kultury, pochodzenia, pojęć. Przeclaw Lanckoroński potrafił w dziejące gromady tchnąć ducha rycerskiego, zjednoczyć je obycajem prawdziwego chrześcijańskiego rycerstwa.

Eustachy Daszkiewicz również, ze stanowiska starosty zamków ukraińnych, rozszerza swój wpływ na Niż. Staje on tam jako urzędowy niejako organizator, pierwszy stara się uchwałami sejmu skleić oazę daleką stepowego rycerstwa z Rzpltą. Było to za dni Zygmunta I. Zachodnie prowincye Polski poraz pierwszy dowiedziały się o Siczy, która już wtedy w bractwo orężne była zorganizowaną, i mogła już 6000 orężnika do boju wystawić. Słuchano na sejmie przedstawień Daszkiewicza o zorganizowaniu z niżowców stałej straży na Dnieprze,

ale do uchwał stanowczych nie przyszło. Nie dbano wówczas, jak i później, o siłę i jedność państwa, o zrab Rzpltej, który mógł się łatwo rozluźnić i rzeczywiście rozluźnił się. Dymitr Wiśniowiecki i Samuel Korecki, obaj możni kniaziowie ziem ukraińnych, zapisali swe imiona nie tylko na karcie dziejów, ale i w fantazyi ludowej. Poezya ukraińska, ludowa, przed wiekami, a zarazem i poezya nasza współczesna, mówią o nich. I jedna, i druga barwami jaskrawemi malują owe postacie. Lud ukraiński czczył je znać obie zarówno, bo w wyobraźni ludowej zlewają się one w jedną postać bohatera, rycerza olbrzymich czynów. Cześć ludu jest dla nas miarą, jaką przewagą odznacжали się oni wśród ziem niżowych. Oto pieśń ukraińska, ludowa, oddająca hołd ich pamięci, lecz w tej pieśni Wiśniowiecki Dymitr, kończący swój rycerski a zarazem awanturniczy żywot na haku wieży sułtańskiego więzienia, w Stambule, za czasów Zyg. Augusta, i Samuel Korecki — jeniec z pod Cecory — później niż w półwieku, bo już w XVII stuleciu zamordowany w tejże wieży, jednoczą się w jedną całość. Dla poetycznej fantazyi ludu znika przestrzeń czasu, znikają rysy charakterów różniące ich wzajem; jednaki duch bohaterski spaja te dwie postacie w jedną.

Buw pan Koreckij
Dmytro Wysznoweckij,
Win nebesnu syłu maw,
I wojewaw,
Hromom, ta swoim słowom!...
Joho newirny nezlubyły...
Łowyt' na joho wartowały,
Łowyt' na joho czatowały,
Potom joho spojmały
Taj w kajdany zakowały,
I rebro joho krukowi zatiahały,
I na stini prybywały...
Wysyt' pan Koreckij ne deń i ne dwa,
A wysyt' ot tak sim hoda,

I ne ist' i ne pje,
A taki vse swoje dumaje...

Przytoczony tu fragment pieśni jest jednym z świadectw dziejowych rycerskiego służenia rycerzy polskiej Rzpltej bezpieczeństwu ziem ukraiennych. Dymitr Wiśniowiecki w dziejach siczowych zaważył najbardziej. Potrzeba było tam człowieka nie tylko bojowego animuszu, ale fantazyi niemalej, zamiłowania w życiu burzliwym, w swawoli tak bezbrzeżnej, jak bezbrzeżną była pustynia, na której krańce on zabiegł, aby sprostać zadaniu organizatora niesfornych gromad w rycerskie szeregi. Dużo on tam przelał swego ducha rycerskiego, lecz zarazem nie zaszczerpił karności bojowej, gdyż sam jej nie miał. Zygm. August pragnie go z owych stepów dzikich sprowadzić do ojezyny, do wnętrza Rzpltej, gdzie jego miejsce właściwszem by było, lecz Dymitr niesforny nie wraca. Buduje na wyspie Charciy (*Chortyca*) warownie przeciwko Tatarom, których to warowni ślady ziemne do dziś tam wznoszą się, ale z Niżu nie wraca; i, bezwiednie spełniając misję dziejową Rzpltej, niesienia myśli rycerskiej na Niż, gdzie więcej było usposobień rozbójniczych niż innych, sam w tym zawodzie zatracą się, ginie dla społeczeństwa i dla cywilizacyi, wśród której wzrasta na chrześcijańskiego bojownika. Tego zatracania siebie dla innych bardzo wiele przykładów dają nam nasze dzieje; Dymitr Wiśniowiecki niewyłącznym tu przykładem. Poezya polska, współczesna, wcale się nie rachując z faktami historycznymi, przekształciła tego mężnego wojownika a krnąbrnego obywatela kraju, który nie chciał wracać do ojezyny na głos woli królewskiej, przekształciła na typ nader idealny — rycerza bez trwogi i zarzutu. Zygmunt August był dla niego pobłażliwy, cenił znać jego odwagę bojową; gdy pisze w jednym ze swych listów do Radziwiłła: „pod takim czasem najwięcej takich sług potrzeba, ale nie z takimi myślami“... Ostatnie wyrazy Zygmunta Augusta stosują

się bez zaprzeczenia do owego zerwania z porządkiem społecznym, jakie głównie wyróżniało śmiałków, co biegli na Niż. Duma Luc. Siemieńskiego o Wiśniowieckim, acz piękna, i niezwykle poetyczną szatą odziana, nie rachuje się z rzeczywistością historyczną, podobnie jak żaden z poetów naszych nie sięgał po radę do historyi, gdy kreślił śliczne rapsody poetyczne o wypadkach ziem ukraiennych. Bojowe męstwo tych duchów niespokojnych, wielkie było bez zaprzeczenia, ale pożytek rzeczywisty dla ziemi rodzinnej często bardziej ujemny niż dodatni. O zgodzie bohaterskim Dymitra Wiśniowieckiego дума wyżej wspomniana mówi następujące wyrazy, gdzie treść prawdy dziejowej nieskazitelnie przechowana:

Trwoga bije w Carogrodzie,
Co dokazał Lach na haku,
Co dokaże na swobodzie!..
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku...

Biegnać na Niż, niesiono tam polski język i polski obyczaj... Wśród różnojęzycznych gromad mowa nasza bujniała tam gwarnie; w pierwszej epoce zawiązków Siczki mówili po polsku wszyscy znakomitsi rycerze siczowi. Są w tym względzie poważne świadectwa dziejowe. Bielski przy schyłku XVI w., a monastersey letopisecy kijowscy, jak Leon Boboliński, w XVIII stuleciu, mówią nam o tem jednomyślnie, a zgodnie z biegiem dziejowych wypadków. Swierszczowski, lublinianin, Wawrzyniec Kozłowski, her. Jastrząb, płocczanin, Zadorski, Janczyz, Zaleski, Kopyłowski, Beskowski, Libiszowski, Sokołowski, Czyżowski, Bogucki, których jednocześnie (w r. 1574) widzimy w siczowych szeregach, chodzili na tatarskie potrzeby pod znakiem wawelskiego Białego Orła, i inną, niż polską mową nie mówili. Samuel Zborowski, co tam nosił swą swawolną

głowę i jego „popieczni orężnicy“, acz często ze swą macierzą skłóceni, nie używali na Niżu innej prócz polskiej mowy... I zaiste, póty rzeczywistej sławy Zaporozża, póty ono żywi w swem łonie ducha rycerskiego, póty wydaje ze swych szeregów „mężów lwiego serca“ i jest rzeczywistą zaporą od wrogów, póty Sicz mienić się może „tarczą Ukrainy“, póki Rzeczpospolita była jej macierzą, a orzeł wawelski powiewał nad jej zbrojnemi tabory... Gdy tej opieki nie stało, Zaporozże przedziera się na gromadę prawie zbójczą; wyższe aspiracye znikają w piersiach jej bojowników, i wreszcie nadchodzi rok 1775, gdy pieśń ludowa wielkie *requiem* dziejowe nad sławą i samem istnieniem Siczki zaśpiewała.

ZARYSY INSTYTUCYJ ZAPOROŻA.

Instytucye kozaczyzny Zaporozkiej, które nadawały państewku wojska Niżowego znamię dziwnie oryginalne, wraz z upadkiem Siczcy istnieć przestały. W ciągu wieków instytucye siczowe zmieniały się, przekształcały, psuły, i w połowie wieku XVIII-go były już tylko cieniem przeszłości, były formą bez treści, były niejako zbroją zardzewiałą, bez cnoty rycerskiej mężów, co ją nosiły — a gdy wybiła godzina zgonu wojska Zaporozkiego, ów cień przeszłości zniknął z widowni życia dziejowego. W chwili upadku Siczcy jej instytucye w proch się rozsypujące, niewiele przypominały dawną, pierwotną dobę życia siczowego, niemniej wszakże z tych urządzeń, znacznie przekształconych, wynaturzonych, przeświecają dawne, podnioslejsze myśli, które je wytworzyły, daje się widzieć owa kolebka, co wypiaستowała całą ideę siczowych urządzeń... Tłum ciemny, często dziki, lub posuwający się szybko ku zdzičeniu, który zaludniał południowe kończyny województw ukraińnych Rzpltej, nie mógł być i nie był siczową kolebką, nie zdolny był wytworzyć owego bractwa rycerskiego, które posiadało wszelkie cechy rycerskich zakonów. Tego rodzaju idea powstać i rozwinąć się mogła jedynie wśród społeczeństwa ukształconego... Zresztą dość rzucić okiem na myśl zasadniczą owych urządzeń w państewku Zaporozkiem, dość przysłuchać się brzmieniu nazwisk różnych urzędów i instytucyj, jakie przechowały się w Siczcy do ostatniej chwili jej istnienia, aby się dowiedzieć, który to kraj, które społeczeństwo wytworzyły Sicz pierwotną.

Główną podstawą badań nad instytucjami Zaporozża są świadectwa o instytucjach takich, jakimi je widziano przy końcu pierwszej połowy XVIII w., a zatem w przededniu rozwiązania kozaczyzny siczowej. Z tego szeregu urządzeń skoszlawionych, które dogorywały wśród zdziczałego bractwa niegdyś rycerskiego, jeśli nie bije blask dni nieco podnioślejszych, w każdym razie pod rdzą grubą, spowodowaną zmianą stosunków, powiewem ciągłego obcowania z ludami niższej cywilizacji, wynurza się niejedna głoska, dająca nam komentarz dość wymowny do dziejów Zaporozża. Z pojedynczych tych głosek składają się całe wyrazy, tłumaczące, skąd na dzikich rozłogach stepowych, wśród rozdroży szlaków tatarskich czambułów, na ścieżkach jassyru, pod upalnym niebem pustej krainy, nieużytnionej chrześcijańską cywilizacją, o miedzę od Perekopskiego hanatu, powstało bractwo rycerskie, będące niby cieniem niektórych instytucyj rycerskich Zachodu. Patrząc, w połowie XVIII wieku, okiem myślącego spostrzegacza na resztki instytucyj bractwa siczowego, zarosłych burzanem ciemnoty, doznawało się zapewne tego wrażenia, jakie wnosi turysta z ruin królewskiego gmachu, w których się gnieździ tłum nieumiejący uszanować zabytków sztuki, co go otacza, nierozumiejący szeptu tradycji, która, raz przyległszy do murów, z niemi się niełacno rozstaje. Takimi zabytkami wyższej myśli były bez zaprzeczenia instytucje w Siczy Zaporozkiej, gasnącej i schłopiałej. Siczowe bractwo nie rozstawało się z niemi, szanowało je nawet, ale ich znaczenia i ich dziejów nie rozumiało. Ówczesny Zaporoziec — członek bractwa siczowego — poziomem swych pojęć nie wystrzelał ponad gmin, lub jeżeli nad jego poziom urastał, to niewiele. Był on podobny do wnuka niepiśmiennego, który posiada wprawdzie rękopisma dziadowskie, może bardzo mądre i bardzo cenne, ale sylabizować ich nawet nie umie. O ciąg tradycji, o relacje z przeszłości, o kronikę pisaną, o rocz-

niki, które spotykamy w murach krzyżackich zamków i klasztorów nie pytajmy nawet; próżnemi byłyby pytania, próżnemi poszukiwania w kierunku tym czynione. Zaporozkie państewko zawsze zbyt luźnemi węzły łączyło się z Polską, a później — od dni Władysława IV — i tych luźnych węzłów zabrakło; Zachód więc nań nigdy nie oddziaływał bezpośrednio, nie miało tedy wybitnych znamion Zachodu i jego kultury. Krzyżacy posiadali wśród swych nadwiślańskich siedzib mury liczne, wspaniałe, trwałe — Zaporozże wcale ich nie miało. Krzyżacy mieli rocznikarzy, przepisowaczy, archiwa; na Zaporozżu napróżnoby o to pytać. Kronikarzy ani dziejopisarzy nie było na Siczy, co zaś do archiwów, to te, wprawdzie istniały (przywilej Batorego stanowił ich skarb najcenniejszy), lecz burzą wypadków wielokroć rozpraszały się po stepie, ginęły bezpowrotnie w pożogach, w grabieżach, ginęły w dłoni nieprzyjaciela, mało ich wartości świadomego, a często we własnej dłoni posiadaczy swych, którzy do wątlęgo papieru i znaków na nim, zdających się im hieroglifami, niewiele — rzec ściślej — żadnej wartości nie przywiązywali... Któż dziś rozsypany popiół siedzib siczowych zebrać mocen, i z popiołów wskrzesić myśl w nim pogrzebaną?... Uleciała ona w bezbrzeżne przestrzenie czasu, skąd już żadne, by najmocniejsze zaklęcie niezdolne ją wywołać...

Dzisiejszy badacz poprzestaje zniewolony na krótkich relacjach z czasów znacznie późniejszych, z pierwszych lat XVIII-go w., które nie są wcale zbyt cenną spuścizną rękopiśmienną. Ocalała ona jednak. Po rozwiązaniu bractwa siczowego, po zniesieniu Siczy, Tekeli uwiózł owe resztki archiwów. Rzeczy to mniej ciekawe, administracyjnych spraw Siczy i jej *pałanek* (okręgów) dotyczące się. W danym jednak razie, gdy nauka dziejowa nie posiada innych zabytków piśmiennych, gdy jej z zupełnym brakiem źródeł walczyć wypada, i z okrucich wskazówek o całości wnosić, z jednej, z kilku kości cały szkielet od-

tworzyć — i to co jest może się mienić rzeczą, stosunkowo przynajmniej, cenną.

Resztki papierów po Zaporozcach, resztki archiwum Siczowego z lat mniej więcej trzydziestu, z lat ostatnich istnienia Siczy (t. j. od r. 1740—1775), wywiezione przez Tekelego, uległy wielu przygodom. Niszczyło je niedbalstwo, czas, ciemnota, ludzie i żywioły — tak się z nimi działo lat około siedmdziesięciu. Później dopiero los dał im opiekuna: był nim starzec prawie dziewięćdziesięcioletni, tajny radca, Apollo Skalkowski, pisarz polsko-rosyjski. Ocalił on to, co było jeszcze z tych papierów do ocalenia. Dwieście z górą niezbyt wielkich fascykułów — oto wszystko co jeszcze pozostało, i to, powtarzam, papiery drugorzędno znaczenia. Dyplomów, przywilejów wcale tam niema. Kto jednak chce coś powiedzieć o Zaporozu, kto pragnie poważniej studyować jego przebrzmiałą i w mogile niepamięci pogrzebaną przeszłość, powinien wśród tych resztek archiwalnych szukać prawdy dziejowej. Resztki te papierów Siczowych zostawały dotąd w ręku wspomnianego p. Skalkowskiego, w Odessie¹⁾.

Wszystko co tu zamierzamy mówić o instytucjach Zaporozża opiera się w znacznej części na tych źródłach, ubogich wprawdzie, wcale niedostatecznych, lecz prawdziwych, lecz jedynych. Poza nimi źródeł Siczowych niema; są tylko przypuszczenia, są mętne dość wskazówki, że w mieście Moskwie, w archiwum oddawna nieistniejącego kolegium spraw zagranicznych, jest cząsteczka jakaś papierów z Siczy, wszakże nie z ostatniej doby jej istnienia, ale z lat prastarych; ma tam nawet być przechowywanym przywilej Stefana Batorego, węgielny kamień swobód Kozaków na Niżu. Lecz i ta wskazówka nie jest wyczerpująco sprawdzoną.

¹⁾ Pisano to w r. 1887. (Przyp. autora).

Papiery siczowe, znajdujące się w Moskwie, mają pochodzić ze zdobyczy Piotra W., który jako zwycięzca Karola XII, a zarazem jako pogromca ostatnich aspiracji politycznych rusińskiego Zadnieprza, posłał swe wojska na Niż dniewowy (1709 r.); Sicz była wówczas zdobyta, zburzona, bardzo więc być może, iż owa *Magna charta Siczowa* — t. j. przywilej Stefana Batorego został wysłany na północ...

Przystępując do wskazania bardziej szczegółowego instytucyj bractwa siczowego, przedewszystkiem wskazać powinniśmy, co to jest *Sicz*. Miano to dawano każdemu miejscu, gdzie był stały tabor kozacki, tabor naczelny, a zatem pewien rodzaj stolicy Zaporozkiego państewka. Nie nazywamy Siczy ani miastem, ani też wioską, bo w gruncie rzeczy wcale to nie było ani miasto, ani też wieś, ale coś w rodzaju obwarowanego obozowiska. Nazwa pochodziła od wyrazu *siec*, oznaczająca zaś miejsce obwarowane zasieczonemi, ściętymi drzewami lub pniami, rodzaj „zasieku“. Podobnie jak od słowa *grodzić* pochodzi *gród*, miejsce ogrodzone. Sicz była to główna siedziba Kozaczyzny Zaporozkiej; tam, jakby wśród obejścia klasztornego, otoczeni niby klauzurą, przepisami istniejącymi w tradycyi, w obyczaju, przechodzącym w ciągu stuleci od pokolenia do pokolenia, mieszkali wspólnie wszyscy siczownicy i tworzyli pewien rodzaj gminy orężnej, rycerskiej, ale też zarazem nieco mniszey.

Główne zasady, na których opierała się cała ustawa, czyli, wedle nazwy wówczas będącej w użyciu na Siczy, „reguła“ tej rycersko-zakonnej drużyny, były następujące: wspólność życia, wspólność celów, posłuszeństwo bezwarunkowe zwierzchności, celibat, i wreszcie jedność wyznania. Ten ostatni warunek, t. j. jedność wyznania, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, stanął dopiero w ostatnim okresie istnienia Zaporozkiego państewka, kiedy wpływy wschodnie ustaliły się i górowały na Niżu dniewowym.

Kto nie poddawał się przepisom „reguły“ rycersko-zakonnej, kto nie przebył lat próby, t. j. pewnego rodzaju rycerskiego nowicyatu, kto nie został zaliczony uroczyście do rycerskiego bractwa, czyli jak nazywano do Towarzystwa, ten nie miał prawa mieszkać w Siczy. Były to warunki konieczne, niezbędne, na ich wypełnieniu opierała się cała odrębność Kozaczyzny Niżowej.

Przypatrzmy się każdemu z rzeczonych głównych przepisów „reguły“ siczowej.

Wspólność życia orężników w Siczy najwyraźniej przypomina nam życie klasztorne. Pojedyncza jednostka nie tam nie znaczyła, wszystkim była korporacja, bez względu czy to był zwykły orężnik siczowy, czy też kto ze starszyny — ataman, koszowy, bądź też innego miana zwierzchnik. Każdy jeżeli działał, to w imieniu całej korporacji, w imieniu „Towarzystwa“, jak oni siebie nazywali. Najwyższa władza siczowa we własnym imieniu nie poczynać prawa nie posiadała, wszystko czyniono za pozwoleniem „Towarzystwa“ i w jego imieniu. W każdej większej i małej sprawie odwoływano się do całej orężnej, siczowej gromady: ona tylko każdą kwestyę mogła rozwiązać i rzeczywiście ostatnią, najwyższą była instancją. Korporacja zaś siczowa nie tylko składała się ze starszyny i zwykłych siczowników, ale i z tak zwanego „pospółstwa“; wszakże to pospółstwo nie było gminem rolniczym. Zwykli to żołdacy owo „pospółstwo“ siczowe. W dokumentach, w listach nie zapominano o „pospółstwie“, o tym gminie orężnym. Nawet obce mocarstwa, które pisały do Siczy, nigdy nie zabaczały, aby nie wspomnieć w tytułach o Towarzystwie siczowym, lub o „pospółstwie“, czyniąc w ten sposób zadość przyjętej zasadzie, iż korporacja tylko cała tworzy Sicz, i jako całość reprezentuje interesa Wojska Niżowego; starszyna zaś częścią jest tylko tej reprezentacji, i sama nie może nie stanowić bez woli i wyraźnego głosu całej siczowej korporacji, czyli tak zwanego „po-

spółstwa“. Gdy np. Orlik, następca aspiracji politycznych Mazepy, pisał do Siczy, używał następnej intytulacji: „Moi wielce łaskawi przyjaciele i bracia, panie Atamanie koszowy, i całe starsze i mniejsze wojska Zaporozkiego Niżowego Towarzystwo“... Ten tytuł nie tylko stwierdza to, co wciąż przyswieca w dziejach Zaporozża, iż wspólność życia siczowego wytworzyła ideę korporacji, występującą na Siczy zawsze jako całość, ale zarazem świadczy, jak głęboko zakorzeniony był polski obyczaj, jak zrozumiałem było polskie słowo na Niżu, nawet w czwartym dziesiątku lat XVIII w., gdy Orlik nie innej formuły używa nad ową, tylko co przytoczoną, polską. Idea korporacji i wspólności życia sięgała bardzo daleko; w głąb stosunków bractwa rycerskiego. Nikt z należących do bractwa rycerskiego nie posiadał własności prywatnej, wszystko było własnością całego bractwa siczowego, lub przynajmniej jednego *kurenia*.

Cała gromada siczowa, czyli tak zwane „Towarzystwo“, dzieliła się na *kurenie* t. j. „ogniska“, pojedyncze grupy. Każde ognisko miało swego atamana, nazywano go pospolicie „ataman kurennny“, pod jego przewodnictwem członkowie „kurenia“ — „ogniska“ — pędzili życie wspólne, niby członkowie jednej rodziny, jednego ogniska rodzinnego; wszelki indywidualizm ginął tam, a natomiast występowała jako zbiorowa jednostka *kureń* t. j. „ognisko“; takich zaś ognisk w Siczy było zwykle trzydzieści osiem. Orężnicy, członkowie kurenia, posiadali wspólne mieszkanie, wspólną kasę i wspólny stół. Pod przewodnictwem „ojca atamana kurennego“ nie tylko razem szli do boju, ale w czasie pokoju spożywali codziennie wspólne obiady, wraz ze swym kurennym: przypominało to poniekąd refektarz klasztorny.

Jedną tylko rzecz posiadał własną w kureniu każdy siczownik. Było to legowisko, miejsce, na którym mógł spoczywać po trudach; takie miejsce wyznaczał ataman

koszowy, w chwili gdy młody nowicysz stawał po raz pierwszy w szeregach Sicz. „Masz tu siedem stóp wzdłuż, a cztery wszerz, to twoja *domowinka* (trumna) — mawiał koszowy, instalując młodego orężnika w kurenium — gdy zaś umrzesz, jeszcze ci mniejszą przestrzeń wydzielimy“... Poza tem ubogiem legowiskiem pojedynczego siczownika żadnej osobistej własności nikt nie miał. Wszystko było wspólnem, jak już rzekliśmy, całego „Towarzystwa“ lub kurenia własnością.

Cały ten ustrój wspólnego, niby klasztornego życia był wynikiem wspólności celów, które legły podwaliną siczowej instytucji. O celach tych szerzej mówić zbytecznie — znane one powszechnie. Walka z niewiernymi, na którą zapatrywano się jako na rzecz miłą nie tylko ludziom, ale i Bogu, była głównym celem. Ludzie, co związywali na Niżu rozprzecznione, niesforne żywioły w bractwo rycerskie, przesiąknięci byli egzaltacją religijną, która bój z niewiernym stawiała wtedy w szeregu najwybitniejszych cnót chrześcijańskich i mawiała przez usta polskich publicystów XVI wieku, iż „chwała Boża bojem pomnaża się“... O tem orzeczeniu pamiętali wybornie rycerze polscy, którzy na Niż niedość iż swe życie, lecz wyższe pojęcia nieśli, a cnotę rycerską krzewić starali się. Owi pierwsi założyciele bractwa siczowego na Niżu, kierując szablami zdziczałych tłumów ku walkom z pogaństwem, wytworzyli cel dla swej instytucji, natchnęli jej uczestników duchem chrześcijańskim. Późniejsze lata, nie dając Sicz ludzi reprezentujących cywilizację Zachodu, zatarły w umysłach wojska niżowego zasady wyższe; później przeto, i o Boga mało troszczono się, i walkę z niewiernymi nie stawiano na piedestału zasługi; niemniej jednak cel ten wciąż istniał, acz nieopromieniony aureolą podnioslejszych aspiracji.

Posłuszeństwo bezwarunkowe zachowywano i surowo takowego przestrzegano. Na czele Sicz stał ataman koszowy,

dla tego tak nazywany, iż Sicz „koszem“ mieniono. Pojedyncze zaś kurenie, czyli ogniska organizacji orężnej, poddane były kurennym atamanom. Koszowy posiadał władzę nieograniczoną: prawo miecza i łaski spoczywało w jego dłoni. Władza ta jednak trwała zwykle rok tylko, koszowego bowiem co roku obierano, i zresztą, wszelką możliwą jego samowolę ograniczała „wojskowa rada“, złożona ze starszyny i z „Towarzystwa“; był to więc pewien rodzaj sejmu, który niekiedy kontrolował władzę obszerną koszowego. Najbliższą zwierzchnością dla każdego siczownika, której on poddawał się bez szemrania, był kurenni ataman — ojciec ogniska — przewodnik w polu bojowym i w domu. Szedł on pospolicie na czele swego kurenia w pierwszym szeregu, i tak, wystawiony na poeiski nieprzyjacielskie, padał najczęściej w walce jednym z pierwszych. Wybierano kurennych wśród najwybitniejszych i najroztropniejszych siczowników. Gdy nie stało w późniejszych latach istnienia Sicz ludzi polskiego pochodzenia, obierano na kurennych lud siermiężny, lecz umiejący patrzeć w oczy śmierci i uczący przykładem, jak słuchać głosu obowiązku i umierać.

Celibat, który od pierwszych chwil istnienia Sicz w niej się spotyka, zachowywano ściśle, szanowano ów przepis gorliwie i rozumiano jego znaczenie w zakresie nader szerokim. Reguła Niżowców, wprowadzając bezżeństwo do swego rycerskiego bractwa, zalecała zarazem pilnego unikania kobiet. Przestrzegano tego ślubu z całą skrupulatnością. Ten tylko należał do „Towarzystwa“, ten jedynie siczownikiem mienić się mógł, kto ów ślub bezżeństwa złożył. W sicz przeto nie widziano nigdy ani jednej kobiety: pod żadnym pozorem, ani starej ani też młodej niewiasty stopa nie mogła przestąpić bram siczowych. Stały one dla kobiet na wieki, bezwarunkowo zamknięte. Gdyby który z orężników przekroczył ów najcelniejszy przepis reguły Niżowców śmiercią byłby karany.

Wszelkie wprowadzanie do Siczy przez orężnika związanego ślubem bezżeństwa, własnej matki, siostry, córki, ciotki, również karą gardłową zagrażało; uważano to bowiem za kryminał, który bezlitośnie powinien być przez prawo ścigany. Wzniosła idea celibatu, niezbędna dla ludzi, którzy samych siebie niosą w ofierze na ołtarz dobra powszechnego, nieskądinąd też przysłała na Niż, jak z Polski, z dziedziny pojęć cywilizacyi zachodniej, katolickiej. Jest ona jeszcze jednym z dowodów, kto rzucał podwaliny społecznego ustroju Zaporozża.

Z biegiem lat wiele instytucyj pierwotnej Siczy poszło w niepamięć, niektóre zmianom rdzennym uległy — bezżeństwo, unikanie niewiast, które mogły być przyczyną zabaczeń w pracy bojowej, przetrwało wieki i wszelkie losy zmiany. Upadająca Sicz widzi je jeszcze w całej sile, i w archiwach pozostałych po zaporozkiem państewku, w całym mnóstwie spraw natury administracyjnej, lub kryminalnej, nie widzimy wcale imienia kobiety. Szczegół ten powinien być dla nas miarą, jak dalece ich unikano, jak one daleko stały od wszelkich objawów życia siczowników.

Nie sądźmy wszakże, by niewieścia połowa rodzaju ludzkiego wcale nie istniała na wielkiej przestrzeni od ujścia rzeki Orela aż do limanu Dnieprowego i do wybrzeży Meotyjskich (Azowskiego morza), tj. na przestrzeni ziem tworzących państewko Niżowców. — Nie. Poza Siczą, poza siedzibą orężników siczowych, zdala od szeregów wojska Niżowego, w futorach, w tak zwanych „zimownikach“, w samotnych siedzibach nad ruczajami, lub w pojedynczo rozsianych lepiankach, w cieniu wiszniowych sadów, spotykano kobiety. Były to żony lub córki tych Zaporozców, co sławy wojennej syei, bojowemi trudy znużeni, lub okaleczeni, do walki już niezdolni, w kole rodzinnem odpocząć pragnęli. W takim razie występowali z szeregów siczowych, opuszczali Kosz, dążyli na futory,

żeńili się tam i zakładali gniazda rodzinne. Ożenienie się stawiało już ich stanowczo, nieodwołalnie poza Koszem, paliło mosty odwrotu do Siczy. Owi futorzanie, rolnicy, jakimi się stawali po ożenieniu siczownicy, tworzyli oddzielny stan, stosunkowo jednak nie tak liczny, jak mogłoby mniemać.

Zdarzało się przytem wielekroć — i to było jednym z bardziej charakterystycznych znamion siczowego życia — iż siczownik szukał ciszy domowej, pociech, radości życia rodzinnego bez niewiast. Występował on niekiedy z szeregów wojska Niżowego, osiadał w ustronnej lepiance, z bojownika rolnikiem się stawał; otaczał się przybraną dziatwą, wyłącznie chłopcami, opiekował się nimi, darzył ich miłością rodzicielską, wychowywał na przyszłych siczowników; ale stopa niewiasty nie przekraczała nigdy progu jego obejścia; kobiet tam nie spotykano podobnie jak wśród ostrokołów Siczy. Przez całe życie nieprzyzwyczajony do widoku kobiety, Niżowiec i w tych ostatnich latach życia nie chciał na nie patrzeć; przybrani synowie, dziarskie chłopięta, wychowane w twardej szkole trudu rolniczego, których rzadko było więcej niż dwóch, pod strzechą Zaporozcza-rolnika, wystarczali mu za całą rodzinę, stawali się źródłem pociech i radości życia rodzinnego. Urosłszy na męża bojowego, wśród tysiącznych prywatnych prac i prawdziwie krwawego znoju, Niżowy orężnik, który podczas długich lat życia siczowego niczego w swym „Kureniu“ nie posiadał, co mieniłby mógł swoją własnością, niewiele pragnął, niewiele wymagał od życia. Sielanka, którą Niżowcy w ten sposób na resztę swych dni urządzali, uderzała prostotą zaiste pierwotną, tkwi jednak w niej rys jeden charakterystyczny — miłość przyrody i życia rodzinnego, miłość niewyziębiona, ani istnieniem nawpół dzikiem, ani ciągłym obcowaniem z tatarskimi czambuły, ani też brakiem wrażeń podnioslejszych i żywiołów dodatnich, umoralniających.

Zardzewiały w boju z niewiernymi te postacie surowe, przedzierzgały się na futorach, w zimownikach, w kole rodzinnem, na dobrodusznym starców-rolników, niekiedy na pokutników i pustelników, gdzie jedynie młode twarze przybranych synów, przyszych siczowników, rzuciły jaśniejszy blask na resztki ich dni na ziemi. Przybrani ci synowie pochodzili pospolicie z Polski; była to dziatwa porwana gdzieś z pod strzechy szlacheckiej i na Niż zbrojną ręką uprowadzona. Nie porywano nigdy dziewcząt — te byłyby tylko niepotrzebnym balastem, w obec znanych nam praw o bezżeństwie — ale małych, kilkoletnich chłopaków uwożono i wychowywano w Sicz lub w „zimownikach“. Z owych pacholąt wyrastali później orężnicy, którzy nieraz byli filarami Niżowego bractwa, wyrastali szermierze siczowi o bujniejszej nieraz głowie niż inni na Zaporozu, wyrastali ludzie bardziej niż inni skłóceni z porządkiem społecznym, bo tego porządku, oprócz siczowego, nigdy w życiu nie widzieli.

Pacholęta te, urosłszy w Sicz lub na futorach, bywały przez osiadłych Zaporozców adoptowane i zwykle nie opuszczały strzechy swych przybranych ojców aż do końca ich dni.

Jedność wiary, którą pospolicie uważają jako jedną z głównych zasad „reguły“ siczowego bractwa, znacznie później występuje na widowni stosunków wojska Niżowego. W pierwszym okresie dziejów siczowych polscy rycerze, którzy narzucali się niejako nawpół dzikim tłumom na przewodzców i cywilizatorów, niewiele zwracali uwagi na wyznanie. Przynosili oni wprawdzie na Niż zasady katolickie, lecz wojskowe rzemiosło, któremu się oddawali, ciągle obcowanie z hordami pogańskimi, a wreszcie zbyt bliskie sąsiedztwo z dziedziną pojęć rozkiełzanych, przyczyniały się do zatarcia w ich piersi wszelkich zasad religijnych. W późniejszych latach, gdy wznioślejsze aspiracje obcemi się stawały dla Niżowego wojska, kwestya

religijna coraz bardziej była dla niego obojętną. Kościół wschodni, grecki, dyzunicki, rozszerzał się tam i zwolenników posiadał, ale, jak wnet zobaczymy, ulegał co do swych stosunków hierarchicznych pewnym ograniczeniom, płynącym z ducha urządzeń siczowych, i wreszcie, podlegał po części wpływom innych wyznań, oddziaływających w ciągu wieków na pojęcia ludności na Niżu. Były wprawdzie dwa prądy, które, płynąc z dwóch stron wręcz przeciwnych, przyczyniały się od ustalenia tam wschodniej ortodoksji — jeden prąd z głębi Wschodu, z poza Siewierza dążył, drugi z Grecji, z wybrzeży Egejskiego morza, a były z temi ostatniemi stosunki dość ożywione, poczynawszy od handlowych — lecz poza temi prądy liczne jednostki różnych wiar, bądź żadnych wiar, jednostki zdziczałe, wlewały ferment skażenia obyczajów do dziedziny moralności orężników siczowych.

Krwawe sceny hajdamackich orgij, do których w pierwszej połowie XVIII w. dłoń Zaporozców niejedno zarzewie dorzuciła, są wymowną ilustracją tego rozluźnienia wszelkich spójni moralnych. Zresztą, rozpasanie na mord, pożogę, na wszelki krwawy gwałt, nie było tam ogólnem. Znaczna część hajdamackich scen krwawych nie wśród siczowników, ale wśród ludności osiadłej Ukrainy Wyższej (polskiej) i wśród tamecznych włóczęgów rekrutowała swych zbrodniczych działaczy.

Przy końcu XVII w. i później ortodoksja wschodnia rozszerzoną i górującą była na Niżu. Młodzieniaszków porwanych w Polsce, zarówno i Tatarząt, i Żydziąt do Sici przyprawdane, chrzczono pospolicie, zanim ich nie rozebrali między siebie tak zwani futorzanie, tj. siczownicy szukający wytechnienia na roli, w „zimownikach“, lub zanim z nich nie zrobiono prezentu wpływowym ludziom, czy też panującym sąsiedniej potencji. Chrzcist powtórny, widoczny symbol ortodoksji, jako konieczny warunek dla wstępujących do siczowego bractwa, o czem piszą obcy

historycy, nie może się mienić rzeczą dowiedzioną. W dziejach Zaporozża spotyka się wprawdzie to twierdzenie, lecz dowodów wprowadzających je do dziedziny faktów historycznych, przeto niewątpliwych, nie posiadamy.

Kościół wschodni Sicz Zaporozkiej był w pewien sposób odrębnym kościołem. Nie podlegał metropolii kijowskiemu, acz jego powagę uznawał. Sześciatki archiwum zaporozkiego zawierają niewątpliwe świadectwa wybitnej dążności, aby Sicz i jej „wolności“ — tj. ziemie — posiadały kościół niepodlegający jurysdykcji metropolity kijowskiego. Ataman koszowy był zarazem i zwierzchnikiem kościoła Niżowego. Że jednak koszowy nie posiadał władzy święcenia kapłanów, ani też nie przywłaszczał sobie takowej, potrzeba zatem było mieć jakieś źródło, skądby dostarczano kapłanów: takim źródłem dla Zaporozkiego, Siczowego bractwa rycerskiego stał się przed wiekami klasztor prawosławny w Międzygórzu (*Meżyhorye*), pod Kijowem. Zakonnicy pomienionego klasztoru dostarczali kontyngensu kapłanów ortodoksalnych do Sicz, a niekiedy i do jej „Pałanek“.

Klasztor wschodniego kościoła w Międzygórzu, zwykle Sicz nazywał swoją „parafią“ i posyłał do niej co roku, pod jesień, swych zakonników, którzy odbywali wszelkie posługi duchowne w Sicz i jej ziemiach. W ciągu wieków zmieniały się stosunki w państewku Zaporozkiem, lecz węzły zażyłości Sicz z Międzygórzem i otrzymywanie stamtąd mnichów do posług duchownych wciąż trwały. Określamy stosunek ten wyrazem „zażyłość“, gdyż nie zachodziły tam żadne, by najmniejsze względy hierarchiczne, któreby poddawały cerkwi siczowe pod władzę rzeczownego klasztoru. Była to jedynie „zażyłość“ dawna, oparta na odwiecznych stosunkach wzajemnej życzliwości i wzajemnych dogodności i usług. Sicz wytrwale trzymała się stosunku tego, bo on uwalniał ją od szukania opieki co do spraw duchownych u metropolitów kijowskich, dla któ-

rych zachowywano cześć, ale nie uległość. Klasztor Międzygórski ze swej strony rad był stosunkowi temu: Sicz zamożna dostarczała mu obfitych darów. W górę Dniepru płynęły wielokroć zaporozkie bajdaki naładowane darami siczowników dla klasztoru: widziano tam suszone ryby, sól, skóry lisie, wschodnie przysmaki z poza morza sprowadzane, sok cytrynowy w baryłkach (dar najcenniejszy, otrzymywany w Sicz z Lewantu). Klasztor odpłacał życzliwością, modłami, posyłał na Zaporozie swych mnichów, nazywanych pospolicie w korespondencji siczowej „zakonnikami“, a pisząc do „Kosza“ nigdy nie omieszkował adresować w następujący sposób, który tu w dosłownem brzmieniu podajemy: „Rycerskomu wojsku Zaporozskomu, swoim drewnim dobrodijom“.

Niemало istnieje śladów, wśród resztek archiwum zaporozkiego, świadczących o chęci Sicz utrzymania niezależności swej niżowej cerkwi od wpływu metropolitów kijowskich. Uwydatnia się to szczególnie w latach stanowczego wpływu Rosji na Zaporozie, w latach kończących wiek XVII. Dążność do zachowania niezależności swej cerkwi od jurysdykcji kijowskich metropolitów wzrastała w miarę nacisku owych metropolitów; przebija się nawet w tej dążności chęć zaakcentowania politycznej niezależności Sicz. Oto są wyrazy jednego z listów koszowego do ihumena w Międzygórzu, wyrazy świadczące jak pilnie przestrzegano, aby idea samodzielności Niżowych ziem zawsze uwydatniała się: „Bożyja i nasza cerkow — pisze ów koszowy — meż koczowiskami Agaryańskimi zostajuczaja, ne podleżit własti Jaśnie Oświeconoho kniażati, Mytropolyty kijewskoho, bo ne w Małorosyjskom najdujetsia horyzontie, ale zahranyceju, w polach tatarskich, na pomnożenie czesti hospodnej i na duchownuju, wojskowuju potrebu... W tymże liście koszowy upewnia, iż „cerkow Bożyja i nasza“, jak nazywano Kościół na Zaporozie, nie będzie odłączoną od monasteru Międzygórskiego „poka

w Dnipri wody i naszoho wojska Zaporozskaho bude"... Tym razem optymistyczny pogląd koszowego atamana stał się rzeczywistością; aż do końca istnienia Siczy Międzogórski monaster nie przestawał być pewnego rodzaju grzędą, z której brano mnichów na Sicz do służby Bożej, gdzie oni byli kapłanami; lecz samo istnienie „Towarzystwa Zaporozkiego“ jakże już krótkiem być miało. Zaledwie jeszcze dziewięćdziesiąt lat „kosz“ i jego instytucje istniały. Woda w Dnieprze nie wyschła, i nie tak prędko zapewne zaginie, gdy tymczasem z Siczy i jej instytucyj nie nie pozostało. Tradycja nawet marnie zatracza się, a źródła do sumiennych badań i historycznych opracowań tego co istniało coraz to mniej... Jeszcze jedno ćwierć wieku lub dwa, a przetrudnem się już stanie opracowanie dokładne dziejów Zaporozża.

Ustępowyż przytoczonego listu, pisanego do metropolity kijowskiego, księcia Gedeona Czertwertynskiego, który pierwszy wśród metropolitów kijowskich zerwał z Carogrodem, a w r. 1686 poddał się patriarchyatowi moskiewskiemu, jest ułamkiem obrazu walki cichej, lecz nie mniej uporczywej o niezależność cerkwi, jaka nad Dnieprem środkowym i dolnym toczyła się w ostatnich kilkunastu latach XVII wieku. Archimandryta Pieczarskiego klasztoru i władcy Czernichowski, którym wtedy był Łazarz Baranowicz, sędziwy starzec, sięgający latami swymi końca XVI w., nie chcieli uznawać Gedeona, jako zwierzchnika swego, gdyż zerwał on z Greckim patriarchyatem, a poddał się patriarsze rezydującemu na Kremlinie.

Jeśli tak opornie stawali w obec patriarchyatu moskiewskiego dostojnicy wschodniej cerkwi, sąsiadujący z Kijowem, tem większy opór rozwijał się w „Dzikich stepach“, na Siczy, która w wielu rzeczach chętniej zwracała się ku Zachodowi i stamtąd czerpała swe wzory. Jakiś cień unii Florenckiej błakał się tam wciąż, w dziedzinie pojęć religijnych, cień ściśle nie dający się określić, niepokojący

jednak patriarchyat rządzący z cerkwi Wniebowzięcia na Kremlinie. Biegły przeto z tego odległego patriarchyatu nad Dniepr, nad Desnę, zapytania pełne niepokoju (w r. 1688), ażali Gedeon i Łazarz Baranowicz, tudzież Archimandryta Pieczarskiego monasteru nie trzymają się unii Florenckiego soboru. Przeczącą, lakoniczną odpowiedzią uspokojono pytającego o to patriarchę Joachima, ale znać nie zupełnie, gdyż podejrzenia o jakieś różnice obrzędowe, a odwracanie się od Wschodu wciąż trwały.

Podejrzenia co do ortodoksyi Siczy silniejszymi nawet były niż te, co tyczyły się Kijowa i Czernichowa. Wpatrując się w dzieje Zaporozża, badając rozwój siczowych instytucyj, wyraźnie ujawnia się dążność Siczy, jak wskazaliśmy, do emancypowania cerkwi swej od wszelkiej zwierzchności duchownej. Grały tu rolę różne powody — odbłask dawnych tradycyj, ciążących ku Zachodowi, był jednym z przeważnych czynników... Dziś jeszcze, o jakże widoczną jest różnica między stroną obrzędową cerkwi nad Dnieprem, na niższym Zadnieprzu, a nad Oką i dalej.

Międzogórski klasztor bywał niekiedy miejscem gdzie Zaporozec szukał „wytechnienia na resztki życia“, czyli jak lud mówił na Ukrainie, „żegnał się ze światem“, „dążył do zbawienia duszy swej“. Klasztor wówczas stawał się dla niego miejscem pokuty po latach, ba, po życiu całem pełnem swawoli. Zamykał się w klasztorze i pędził tam żywot pokutnika; nie stawał się wszakże mnichem, lecz pustelnikiem, opłacającym modlitwą przewinienia życia całego. Tego rodzaju zwroty gwałtowne, metamorfozy psychiczne, spotykały się u nas, w Polsce, bardzo często w XVII, jeszcze zaś częściej w XVIII wieku. Zebrzydowski, głowa rokoszu, fundujący Kalwaryę u stoków Tatr, gdzie spędza resztki życia na pokucie i modlitwie; Mikołaj Potocki, który przed stu laty, w Poczajowskim klasztorze kończył swe burzliwe, awanturnicze życie, są jakby prototypami owych pokutujących Zaporozców. W dobrem

przeto i w złem, w wielu rysach charakteru przejawia się pewne pokrewieństwo pojęć siczowników z pojęciami animuszów bardziej niespokojnych szlachty polskiej Rzplitej. Nie są dotąd należycie wysświetlone dzieje Zaporozża, nie dotykała się prawie jeszcze ręka naszych badaczy do owych cennych pokładów prawdy dziejowej; gdy zaś chwila po temu nadejdzie, gdy drogi kruszec prawdy wyłoni się z mułu uprzedzeń i fałszu, ukażą się liczne ścieżki, któremi dążył wpływ Polski na Niż, a dążył tam podobnie jak do innych ziem, co się zlewały z Rzplitą w jedną całość — dążył bez udziału tych, od których pochodził; dążył, że tak rzekę, bezwiednie; płynął promieniem świecącym wśród zmroku kultury pierwotnej, niby owe błyski świętojańskiego robaczka, które nas radują, gdy je spotkamy, chociaż robaczek nie wie, iż wywołuje uśmiech pogodny na usta nasze...

W całym ustroju zarządu braćwa siczowego spotykamy również niejedną wskazówkę, skąd instytucje zaporozkie ród swój wiodły... Zanim rzucimy na nie okiem, wejść musimy bodaj na chwilę do owej stolicy Zaporozża, do Siczy, pospolicie noszącej epitet „sławnej“, w której lubo nie mamy czasu rozpatrzeć się, wszakże objąć się tam będą o nasze ucho wciąż prawie polskie wyrazy. „Kosz“ lub też „Sicz“ to obozowisko otoczone owocycznymi polowami fortyfikacyami: wały, fosy, palisady, ostrokoły, bramy najeżone paszczami dział — to zewnętrzna postać Niżowej stolicy. Sieć gęsta trzećin, zarośli z wierzb karłowatych, sieć wód, płynących niby łachy dniewowego łożyska, czy też stojących wśród błot, trzęsawisk, wśród ajerów, tworzą otoczenie najbliższe siedziby głównej siczowników. Takie otoczenie było przedmurzem wybornem obwarowań, zastępowało dzisiejsze tak w użyciu będące forty, wybiegające daleko poza twierdzą. Sicz zmieniała w ciągu wieków kilkakrotnie swą siedzibę. Sadowiła się jednak zawsze w pobliżu dniewowych wód, sadowiła się

w miejscowościach niełatwo dostępnych, zawsze „za progami“ i jedynie pierwotne „Sicze“ z XV w., z okresu na wpół mitycznego historii Zaporozża, plotły swe „kosze“ wyżej nieco „progów“, lubo już na Niżu, wśród tego działu wód, gdzie zaczynają się „zapory“, kamienie podwodne żeglugę tamujące. Przed kilku laty badacz rosyjski, p. Ewarnickij, z koszturą w dłoni przebiegał Niż, wyszukując ślady dawnych Siczy z różnych epok; naliczył on dziewięć popielisk owych głównych siedzib Niżowców.

„Sicz“ ostatnia, nad rzeką Podpolną, dzieliła się na trzy części. Zewnątrz wałów i palisad był tak zwany „Kramny Bazar“, rodzaj przedmieścia nieufortyfikowanego, gdzie skupiał się ruch handlowy, gdzie spotkać się można było z ludźmi różnych narodowości, z majtkami z Lewantu, którzy aż tam docierali, z Ormianami, Tatarami, Grekami — był to bowiem nie tylko rynek siczowników, ale też zarazem ich port. Zawsze ta część Siczy roila się tłumami przybyszów, tam spotykano kramy (sklepy) oddzielnych „kureni“, tam odbywała się wyprzedaż wódki; wśród tych tłumów wszakże nie zabłąkała się nigdy żadna kobieta. Drugą częścią Siczy był „Kosz“ właściwy, obwarowana miejscowość, na środku której widziano plac otoczony „kureniami“. Stały one naokoło placu, tworząc podługne koło, zwrócone zaś były ku sobie przyczółkami. Budynków takich dużych, podługnych, z których każdy był zarazem refektarzem i sypialnią, na 400 i więcej orężników, liczone trzydzieści osiem. Do dziś, na rumowiskach Siczy, z łatwością wskazać możemy ślady „kureni“. Z tej części „kosza“ wchodziło się do najbardziej obwarowanej miejscowości — tam wznosiła się drewniana cerkiew i „pałanka“ mieszkanie starszyny Siczowej. Cerkiew była pod wezwaniem „Opieki Matki Boskiej“ (*Pokrow*), której cześć widzimy upowszechnioną nadzwyczaj wśród Niżowego wojska.

Godną uwagi jest rzeczą, iż cerkwie na Zaporozżu

najczęściej stawiane były pod wezwaniem „Opieki Matki Boskiej“, a obrazy poświęcone czci Bogarodzicy w różnych, tamiecznych cerkwiach nie posiadają wcale cechy bizantyńskiej, jak to daje się widzieć na dalszym Wschodzie, ale wskazują pochodzenie zachodnie, lub jego naśladownictwo. Nawet kościółek katolicki w Kudaku (OO. Dominikanów) — jedyna niegdyś świątynia katolicka na Zaporozu — poświęcony był „Matce Boskiej Różańcowej“, której święto, jak wiadomo, przypada na ów dzień „Pokrowa“ (Opieki M. Boskiej).

Starszyzna w Siczy dwojaką była. Pod nazwą „Starszyzny“ rozumiano przede wszystkim celniejszych dygnitarzy, byli nimi: koszowy-ataman, sędzia wojskowy, assaula wojskowy, pisarz wojskowy, i „kurenni“. Oprócz tego mieniono tym tytułem — zasłużonych siczowników, którzy dawniej piastowali urzędy i używali pewnej wziętości w Koszu, wśród całego bractwa czyli „Towarzystwa“ siczowego. Tworzyli oni nieraz radę tajemną i ich głos był nader stanowczym. Po dygnitarzach „Towarzystwa“, „Starszyzna“, z byłych siczowych urzędników złożona, uważała się jako przedniejsza warstwa wojska, zarówno w pokoju, jak i w dniach boju. Oni, po urzędujących w danej chwili, zawsze pierwsze miejsce posiadali i głos pierwszy zabierali. Oprócz wymienionych tu dygnitarzy głównych, były jeszcze urzędy podrzędniejszego znaczenia różne. My obecnie wymienimy jedynie celniejsze: chorąży, buńczużny, szafarze. Posiadało „Towarzystwo siczowe“ swe klejnoty, pewien rodzaj „regalij“, które nader ceniono. Składały się te klejnoty rycerskie z chorągwi, buławy, lasek, buńczuka, pieczęci. Najstarsze klejnoty były darem króla Stefana Batorego. Od czasów najdawniejszych do drugiej połowy XVII w., tj. do chwili odpadnięcia Siczy z pod protektoratu Polski, sztandarem wojska Niżowego była czerwona chorągiew z Orłem Białym. Taką też chorągwią obdarzył Batory Sicz, a również i srebrną buławą, którą nosił „Ko-

szowy“. Sędzia i assaula (którego obowiązek był służbą porządku publicznego w Koszu) posiadali laski, które im służyły jako insygnia władzy. Buńczuk nosił w chwilach uroczystych „buńczużny“, a pieczęć assaula. Na pieczęci widzimy „Zaporożca z rusznicą w dłoni, w sutym polskim stroju“, który był zwykłym ubiorem siczownika. Do dziś jeszcze, pod słomianymi strzechy wieśniaków Zaporozia, na popieliskach dawnych siedzib siczowników, spotykają się zabytki polskiego stroju; są to pozostałości po zgasłej samodzielnosci Niżu dniewprwego.

Sądownictwo zaporozkie odznaczało się wielką prostotą. W sprawach cywilnych rzecz się rozstrzyga ustną procedurą w Pałankach, niekiedy u Koszowego, którego wyroki były bez apelacji; lecz najczęściej Koszowy, jak to wyżej się rzekło, uważał się za zależnego od rady ogólnej, od pewnego rodzaju wieceu Towarzystwa siczowego. Sprawy kryminalne podpadały bardzo srogim wyrokom. „Pal“, na który wbijano, „szubienica“, w sprawach zaś mniej ważnych, aczkolwiek kryminalnych, „kije“ — to jedyne rodzaje kary spotykane w kodeksie karnym Siczy, opartym na obyczaju przechodzącym w tradycyi od pokolenia do pokolenia. Spraw granicznych nie znano. Przy małym bardzo zaludnieniu, na obszarach ogromnych, można było posiadać ziemi znaczną ilość. Na brak ziemi nikt uskarżać się nie mógł, raczej na brak rąk mieli prawo uskarżać się, gdyby uprawa była większą; uprawa wszakże była małą; i zresztą, co jest rzeczą charakterystyczną w stosunkach ich rolniczego bytu, własności prywatnej ziem uprawnych nie było. Całe „Towarzystwo“ było wspólnym posiadaczem pól uprawnych, które co roku ulegały losowaniu. Taka wspólna własność przetrwała do końca istnienia Siczy. Futory, zimowniki, pasieki w lasach, na wybrzeżach Samary, gdzie żonaci lub starcy Zaporozcy w spokoju spędzali dni gasnącego już życia, nie zaliczały się do owych wspólnych ziem; tam każdy z owych futorzan mienić się

mógł i mienić panem niegraniczonym niczem i przez nikogo swej własności; tam tworzył ową sielanekę, o której mówiłem, otaczając się improwizowaną rodziną z chłopców; tam wreszcie dni swe kończył, i w obrębie własnego obejścia, zwykle w cieniu własnego sadu, składał swe kości. Powszechny to obyczaj Zaporozców grzebać się tuż koło domu, w ogrodzie, pod temi drzewami, co były świadkami pracy ich rolniczej. Resztki cmentarzy siczowych, które dotąd przechowały się około szczątków „Kosza“, świadczą, że i w Siczy ten obyczaj blizkiego grzebania się istniał. Tuż poza wałami „Kosza“ spoczywały kości jego orężników. Dziś te szczątki grobów, szczątki kamiennych, greckich krzyży, obalone, pokruszone, jedynymi są świadectwami zgasłego życia siczowego.

Zaporoże zaginęło aż do zagłady imienia. Pozostały wprawdzie różne kozaczyzny, rozsiane wśród wielu ziem w obrębie państwa rosyjskiego, ale nie mają one nic wspólnego z rycerską drużyną siczową. W Polsce nawet kozaczyzna i Towarzystwo wojska Niżowego, czyli Sicz, były dwiema różnemi rzeczami, acz sąsiadowały z sobą. W Rosyi kozaczyzny spotykają się w czasach zamykających okres mongolskiego jarzma. Wówczas miasta możniejszego, a pograniczne, uzbrajały jeźdźców, którzy lekko zbrojni, bitni, ucierać się musieli z wrogiem, co się ukazywał na pograniczach. Te lekkie oddziały zaciężne miast pojedynczych w. ks. Moskiewskiego stały się zawiązkiem różnych pogranicznych straży, jakie Rossya późniejsza wytwarzać zaczęła.

Na Donie skupiała się bardzo wcześniej, bo jeszcze w XVI w., ludność ze zbiegów, włóczęgów, z w. ks. Moskiewskiego, a było wśród nich nieco żywiołów rusińskich, acz nader mało. Nie tworząc żadnych stowarzyszeń i instytucyj zbrojnych, trudniła się napływowa na Donie ludność rolą, ale też i wojną zarazem, polegającą na upędzaniu się za stepowemi ludkami koczującymi, którzy ich

niepokoili. Ludność ta broniła się od ciężkich warunków w domu: Dolny Don bowiem leżał poza w. ks. Moskiewskim. Tam, w pustyni, pierś lżej oddychała, niż we wsiach rodzinnych. Don więc Dolny roić się wcześniej zaczął osadami ludnemi, wśród gleby urodzajnej. Rząd rosyjski skorzystał z tych osad, zaprawnych poniekąd do boju, zamienił ich siedziby na osady wojskowe. Dziś kozacy wszyscy w Rosyi, a zatem i Dońscy i inni, różnego miana, na licznych pograniczach mieszkający, są stanem oddzielnym, obowiązany do stawiania w pewnych terminach do służby wojskowej, konno i zbrojno, bez względu na to gdzie, i jak na długo użyć się mogą do boju. Kozacy rosyjscy zarówno na pograniczach, jak też w szeregach armii regularnej służyć muszą. Służba nawet pograniczna znaczenie wszelkie oddawna straciła: na pograniczach wschodnich niczego się nie broni, bo nikt nie zagraża, niczego się nie strzeże, bo na pustyniach krańcowych, czy od ściany kaukaskiej, czy od kirgizkiej w Azji, czy u podnóża wspinałych wyżyn Sajanu, czy też na innych, chińskich, bądź mandżurskich pograniczach nie niema do strzeżenia. Zasoby kultury zbyt małe tam jeszcze, aby było czego strzedz. Nazwa kozak i tytuły, jakimi mienia ich starszyznę — „ataman“, „assawuła“, „wojskowy starszyna“ — to jedyne wspólne cechy, łączące się z pamięcią instytucji naszej Niżowej. Zresztą i porównania nie można tu czynić żadnego; podobieństwo nazwiska jest zewnętrznem podobieństwem, same zaś jednakowe brzmienia niczego nie dowodzą. Każda kozaczyzna rosyjska, bez względu gdzie ją wytworzono, czy nad Donem, Uralem, Terekiem, posiada swoją ziemię, swój zarząd, ale są to wieśniacy rosyjscy od innych swych współbraci nie różniący się niczem, chyba większą roztropnością — szczególnie Dońscy — obyci są bowiem więcej z ludźmi, ze światem, gdyż całe ich pokolenia walczyły w szeregach rosyjskiej armii, i na swych rączych, zwinnych koniach zdeptały znaczną część ładu

europejskiego. Imię kozaka — rozumie się Dońskiego — znanem się stało w Europie od czasu wielkiej wyprawy Napoleona do Moskwy. Podjazdowy ten żołnierz, wyborny do szarpania nieprzyjaciela z boku, do zagrażania jego plecom, do odcinania możności odwrotu, a przytem umiejający popłoch szerzyć w szeregach, czynił wrażenie na umysłach armii Napoleońskiej, zwyciężonej przez mróz, zdziesiątkowanej, zdemoralizowanej, którą najłatwiej dosięgnąć mogła spisa dońskiego, czy też innego rossyjskiego kozaka, stąd przeto miano go za najstraszniejszego żołnierza, za grozę wojskową największą. Uniwersytet oxfordzki, po upadku Napoleona, pełen radości, iż wielki wróg Anglii padł, padł bezpowrotnie, posuwa się do owacyj najjaskrawszych, gdy dowódzca dońskich kozaków, Płatow, odwiedza Londyn — ofiarowuje mu bowiem doktorat oxfordzkiej, starej wszechnicy. Napoleon, nawet na skale św. Heleny, nie zapomina o wrażeniu, jakie imię kozaka czyniło na jego wielkiej, niegdyś niezwyciężonej armii i rzuca ludzkości przepowiednię, iż Europa, po upływie pół wieku, może się stać kozacką...

Kilka myśli tu wypowiedzianych świadczą, iż ponad inne kozaczyzny urasta imię kozaka dońskiego, tak, iż mniemać można, iż innych kozaków Rossya nie posiada; rzecz się ma wszakże inaczej. Tych grup kozackich w różnych krajach Rossyi bardzo jest wiele. Są kozacy, oprócz Dońskich, Terscy (nad Terekiem), Mozdoccy, Grebieńscy, Kubańscy, (czyli Czarnomorscy) byli do niedawna Azowscy, z wybrzeża Azowskiego morza, są Uralscy (dawniej ich nazywano Jaickimi), nad rzeką Jaikiem, i wreszcie cały szereg osad nazywanych kozackimi, w głębi azyatyckich posiadłości Rosyi. Wraz z rozszerzeniem się granic Rossyi na wschód, nazwa i urządzenia osad kozackich szły, płynęły ku wschodowi. Potworzyło się więc tam mnóstwo różnej nazwy kozaków.

Dość tylko jednego edyktu, aby ze spokojnych rolni-

ków wytworzyć taką osadę wojskową, raczej, mówiąc ściślej, osadę obowiązującą do massalnej, wojskowej służby. Różne więc edykta tworzyły osady kozackie wzdłuż całej północnej Azyi, na południowych krańcach ziem syberyjskich. Stanęły tam grupy różnych kozaczyzn, bardzo już mało militarnych, nie mających pospolicie żadnego wyćwiczenia wojskowego, a używanych jedynie do służby wojskowej wewnętrznej, do posług, że tak rzekę, garnizonowych. W obec wielkiego braku żołnierza regularnego, taki kozak syberyjski, lubo żołnierzem jest nieregularnym i w polu z wyćwiczonym w sztuce wojskowej niewiele poradzić by sobie mógł, pomocą niemałą się staje jako straż wewnętrzna bezpieczeństwa. Najdalsze na Wschodzie azyatycko-rossyjskim grupy kozaków są na pochyłościach wodozbioru Spokojnego Oceanu, a mianowicie kozacy Zabajkalscy, na wschód od gór Jabłonowych, Amurscy i Ussuryjscy. Miejscowe żywioły ludności mongolskiej wchodzą niekiedy do składu owej kozaczyzny; np. wśród kozaków Zabajkalskich są tacy (Buryaci z pochodzenia), którzy po rossyjsku wcale prawie nie rozumieją. Amurscy i Ussuryjscy kozacy zostali utworzeni (przed trzydziestu kilku i dwudziestu kilku laty) za pomocą przesiedlenia całych wiosek kozaków Zabajkalskich, z siedzib na chińskiej granicy, na wybrzeża Amuru i Ussuri, tj. na północne i na wschodnie granice Mandżuryi. W miarę jak podbój biegł ku wschodowi, biegły i organizacye wojskowo-rolnicze, kozackie, w głąb wschodniego lądu. Doszły jednak już, i podbój, i organizacye kozackie do swego kresu. Wody Oceanu Spokojnego położyły tamę rozszerzaniu się dalszemu na wschód, a wraz z tem i kozaczyzny. Najdalej wysunięty na wschód, kozak ussuryjski oprócz tygrysa innego nieprzyjaciela nie ma, i jeżeli z kim staje do boju, to chyba z tygrysem, który niekiedy dobiega do wyżyn Korei północnej, skąd rzeka Ussuri wypływa, i do wybrzeży jeziora Chanka.

Pobieżny ten nadzwyczaj rzut oka na organizację kozaczyzn innych, dzisiejszych, będących tylko reprodukcją w wydaniu nowem, nie powiem by poprawnem, reprodukcją starożytnych *osad wojskowych rzymskich*, wskazać nam powinien, iż nazwą, bądź podobieństwem brzmienia godności, tytułów kosaactwa teraźniejszego ludzi się nie powinniśmy, i nie powinniśmy pod żadnym względem assymilować pojęcia o nich z pojęciami o Zaporozu, o wojku Niżowem, które z wielu względów bliskiem dla nas być powinno; gdyż instytucja Siczy z naszej myśli kiedyś powstała, cywilizacją naszą podsycala siły swego rozwoju, a dopiero wtedy Niż na drogi zdziczenia stanowczego wszedł, gdy wszelkie nici stosunku naszego z „Koszem“ Zaporozkim zerwane zostały. Poezya nasza wiele, zbyt wiele zrobiła dla pamięci Zaporozia, — idealizując jego przeszłość zbyt — teraz kolej na dzieje. Historia idealizować nie ma prawa: nadejdzie zapewne kiedyś chwila, gdy bezstronny rylec polskiego badacza skreśli sumiennie, obiektywnie, a umiejętnie dzieje Zaporozia... Wierzmy, że przyszłość ujrzy to kiedyś, iż pochodnia prawdy wejdzie z czasem do nieznanego świata labiryntu historii ziem siczowych...

MOHORT, RYCERZ KRESOWY,

WOBEC PÓZNIEJSZYCH BADAŃ.

(FRAGMENTY STUDYUM LITERACKIEGO).

Znaj podanie twego rodu,
Wielkie dzieje twojej ziemi.
Winc. Pol.

„Mohort“, rapsod rycerski Winc. Pola, zalicza się do najcenniejszych eeh przeszłości. Uchyła nam ów poemat rąbek zasłony okrywającej przeszłość, stosunkowo bardzo niedawną, ale mniej znaną, mniej poddaną studjom wyczerpującym, niż epoki wieków dawnych. Byt twardy a prawdziwie rycerski ludzi, co stali na pograniczu tatarskim, byt tych strażnic samotnych, zgubionych gdzieś wśród bezbrzeżnych stepowych obszarów, dotąd prawie nam nieznany. Historię tego południa, tak nam bliskiego stosunkami, związkami krwi i przestrzenią, czerpiemy z obcych dłoni; patrzymy na przeszłość stepowych pograniczy z punktu widzenia innych i zarówno jak dzieje Niżu są nam obcemi, acz tak blisko nas dotyczą, tak i życie strażnic na tatarskich rubieżach, z epoki ostatniej, zarysowuje się naszej myśli w konturach niepewnych, mglistych. Posiadamy wprawdzie garstkę źródeł, lecz one przeważnie dotąd niewydane (jak Wróblewskiego pamiętnik, p. t. Moja wojskowość); posiadamy, a przynajmniej przed niewielu jeszcze laty posiadaliśmy spory zapas tradycyji rozproszonych, ginących, ale niezapisane one, poszły na zagładę.

Wobec braku tradycyji i niemożności korzystania ze źródeł lub ich nieistnienia, ciekawą jest kwestyą, czy „Mohort“, oparty na podaniach, jak sam autor wskazuje, daje

nam wierny zarys tej przeszłości strażnie stepowych, ich życia, rycerskiego animuszu, przyrody ich otaczającej, a wreszcie, czy postać samego „Mohorta” — bohatera poematu — nie odbiega od rzeczywistości?... Czy owa epoka piastowała w istocie tak posągowe jak Mohort postacie, czy też ich kolebka stała jedynie w wyobraźni utalentowanego pisarza, który nie mogąc wielu rzeczy dojrzeć okiem własnym, wzbijał się ku fantazyi wyżynom na skrzydłach natchnienia, intuicyą odgadywał to, co niedojrzanem było dla jego oka?... Przecież poeta sam rzekł:

Na dno życia! Na dno duchem!
W głębi prawda, niby w grobie,
Czego nie wziąć okiem, uchem,
To odszukasz tylko w sobie!...

„W sobie” odszukał Pol bez zaprzeczenia wiele barw do tego wspaniałego obrazu, który nosi nazwę „Mohorta”, „w sobie” w swej znajomości i miłości przeszłości odnajduje mnóstwo szczegółów, śmiały rysy fantazyi uzupełnia braki — i w ten sposób daje nam obraz posągowej postaci strażnika szlaków tatarskich, który był

Czujny jak żóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posąg spokojny...

Zarysowując postać Mohorta, autor pragnął odtworzyć kontury ostatniego rycerza, a w nim, jak się poeta sam wyrażał, „cały majestat starożytnej Rzpltej”.

O ile żywiołu prawdziwego weszło do owego rycerskiego rapsodu, opiewającego Mohorta, będziemy usiłovali tu wskazać.

Tło obrazu tworzy przyroda stepowa pól ukraińskich, które pocie prawie zupełnie znanymi nie były. Wiemy, iż w r. 1834 Pol, posiadając passport Jana Bentkowskiego, z którym łączyły go bliskie stosunki, zwiedzał Wołyń,

Podole i Ukrainę, pod nazwiskiem owego Bentkowskiego¹⁾; ale w tej ostatniej prowincyi tak daleko nie posuwał się nie dojeżdżał aż do kończyn łańców ornych, do między Pól Dzikich, gdzie Mohorta żywot upływał. Niemniej jednak poeta z tego co widział, co słyszał za młodu, wybornie znał Ukrainę bliższą, osiedloną i zaludnioną, a ze znanego o nieznanem pojęcie sobie wytwarzał.

Przypadek, tak wielką nieraz rolę odgrywający w życiu ludzkim, przypadek, który nasuwa te lub inne wpływy i wskazuje ścieżki rozwoju dla młodocianych talentów, nasunął bardzo wczesnie wyobraźni młodzieńczego Pola postać starca, dworskiego kozaka na zamku Złoczowskim, rodem z Ukrainy. Swą dumką, bajką ludową, opowieścią tego co widział, lub przeboleł, starzec nęcił ku sobie pacholę, które polubiło go, z nim zaś jego rodzinne okolice. Znacznie później poeta tak go nam zarysowuje:

... Z Ukrainy on był rodem,
Tęsknił po niej jak po raj,
Bo wiązała go z narodem
Pieśń od Dniepru i Dunaju.
.....
I ta jego pieśń ponura,
To mych pierwszych natchnień matka,
To mój Homer i Padura!
I po dziś dzień w duszy jeszcze
Grają jego pieśni wieszczę...

Poeta nawet w dniach starości jeszcze „słyszał te pieśni wieszczę”, nie dziwną przeto jest rzeczą, iż obrazy przyrody ziem ukraińskich, wczesnie zagościwszy w jego wyobraźni, pozostały tam nadługo, na zawsze; i później gotowe już jeno obrazy brał jako tło do swych poematów. Od czasów owego kozaka ze Złoczowskiego zameczku, „co wieczorem

¹⁾ Patrz: Winc. Pol, jego młodość i jego otoczenie, przez K. Estrejchera (w Przew. nauk. lwow., 1881).

dumy śpiewał, nocą gadki opowiadał“, rozwijała się w Winc. Polu miłość pól i stepów ukraińnych. A ta miłość okolic o wielkich przestworzach, o pięknym nieba lazurze, nie jedyną była przyczyną, iż poeta umieścił Mohorta w głębi Ukrainy, na miedzy świata ucywilizowanego; pobudka ku temu była poważną; autor odtwarzał rzeczywistość, patrzył w przeszłość i odwzorowywał ją z całą ścisłością, wedle słów tradycyi; nie napróżno więc mówi poeta, iż postać bohatera z przeszłości doń przysła gotową.

I gdym się wpatrzył w ową przeszłość ciemną,
Do razu posąg stał niby przedemną.

Dla twórczości mało miejsca tu zostawało, poeta brał treść już gotową, wytworzoną przez tradycję, którą jedynie ujmował w ramy poematu.

Pójdziemy krok w krok za poetą i wskażemy, o ile ponętny obraz strażnika kresowego posiada żywiołu prawdy, żywiołu rzeczywistości, dalekiej od wszelkich ozdób poetycznych.

Na pierwszych kartach poematu przyrodę odmienną, charakter miejscowości stepowej pragnie autor widzieć już zaraz ku południowi, poza Starym Konstantynowem, poza górną Słuczą. Tu jednak w rzeczywistości jest nieco inaczej. Zmiany w ogólnych cechach miejscowości, jeżeli istnieją, to maluczkie; odrębność jeśli się spotyka, chwilowa jedynie; poeta snąć nie zagłębiał się poza Słucz daleko; kilkomilowe przestworza płaskowzgórzy, pól rozwartych, wyżyn oddzielających Słucz od Bohu i Bożku, a więc wyżyn stojących na miedzy dwóch wódzborów, morza Czarnego i Bałtyckiego, noszą znamię stepowe, lecz nie ukraińnych stepów; miejscowości tu charakter przejściowy. Poeta zdaje się o tem nie wiedzieć, gdyż już na czumackich szlakach, między Starym Konstantynowem a wsią Babinem — około znanych powszechnie z przysłowia „Babińskich karczom“ — widzi zupełną odrębność charakteru

miejscowości, już mu tam wydaje się, iż wieją wiatry stepowe, iż oko nie ma się na czem oprzeć. W rzeczywistości to tylko oaza stepowa, a nie kraj o tak rdzennie odmiennym charakterze, jak go widzimy na kartach poematu, jak poeta zarysowuje w następujących słowach:

Kiedym się wybił na wielkie równiny,
Minawszy nieco Konstantynów - Stary,
Owiał mię oddech już obcej krainy,
Bo tam, na wschodzie, od wioski Bahłaje
Już ów Tatarski — „Czarny szlak“ nastaje,
I wieją wschodnie wiatry ukraińskie,
I w trawnych stepach buja sobie oko,
I pierś oddycha wolno i szeroko:
Hej! gdzie Rzym? gdzie Krym? gdzie karczmy Babińskie?

Poeta posiadał w duszy swej wybornie odzwierciedlony obraz przyrody ukraińskiej; już z powyżej przytoczonego ustępu widzimy, iż znanymi mu były cechy krainy mającej, „wolny oddech do morza“, ale o granicach jej niedokładnie sobie wytworzył pojęcie. Widział je na południu tuż zaraz poza górną Słuczą, gdy tymczasem one znacznie dalej, na skraiskach zachodnich dniewego wódzboru leży.

Pomijamy owe maluczkie niedokładności akcesoryów, gdyż nie mamy do czynienia ze studjum z dziedziny geografii, a myśl nasza spieszy ku siedzibie bohatera poematu. Mohort był porucznikiem, dowodzącym małym oddziałem kawalerii nar. w jednej ze stepowych strażnic, które gdzieś nad Wysią, w okolicy ościennej Taśminie, samotnie wegetowały. Różnaitymi czasy, w różnych miejscowościach biegła owa linia posterunków na południowych państwa kończynach. Bywały chwile dziejowe, za dni hetmanienia Stan. Koniecpolskiego, że posterunki południowe aż na Niżu dopiero spotykały się. Biegły one od Krzemieńczuka, prawym brzegiem Dniepru w głąb „Pól Dzikich“, równolegle do rzeki, i kończyły się zaledwie u pierwszego „progu“

posterunkiem większym, fortem bardziej zbrojnym i znacznie umiejętniej wzniesionym — był nim słynny w dziejach Kudak, twierdza Rzpłtej. Strażnice z doby Stanisława Koniecpolskiego wznoszono starannie, miały one pozór bardziej obronny, obszar większy i tworzyły rodzaj wcale porządných fortów stepowych. Chociaż od XVII w. zaniedbane, później niepoprawiane, w opuszczeniu i zaniedbaniu, i dziś mogłyby stać się łupem lewosza, który już oborał wszystkie prawie mogiły, wszakże one nietknięte dotąd. Widzieliśmy je, i z ich kształtu i budowy wnosić możemy o ile dokładnym jest ich obraz u Pola, gdy mówi o strażnicy stepowej Mohorta.

Z biegiem lat zmieniły się były stosunki tak dalece iż cofano się wciąż z „Pól Dzikich“ ku zaludnionej okolicy; opuszczono linię południową, „niżową“, cofnięto się na brzegi Taśminy, i już pan Mohort straż trzymał nad łatwo zbrodzić się dającymi nurtami Wysy, która swą błotnistą falą zdąża do Taśminy. Tam więc, gdzieś w dziczyźnie Czehryńskiej, a taką dziczyzną właśnie była Czehryńska i Złotopolska okolica pod koniec XVIII wieku, tam potrzeba szukać stepowej czatowni Mohorta. Wyraźnie tradycja wskazywała Czehryńskie, jako miejsce pobytu Mohorta, poeta sam o tem powiada, wskazując w poemacie „Czehryńskie bodziaki“, które stały się polem strażniczej służby Mohortowej:

Ktoby to myślał, ktoby się spodziewał,
Że gdzieś za światem w bodziakach Czehryńskich,
Że gdzieś na kresach niegdyś Ukraińskich,
Taki świat dzielny i uroczy bywał...

Stanowisko zajmowane przez owego strażnika pól rodzinnych, podlegających ciągłym inkursjom tatarskim, nazywa poeta „kressami“ stąd też upowszechniło się mniemanie — mylne skądinąd — iż pod wyraz „kressy“ rozu-

miano wyłącznie szereg strażnic pogranicznych, iż ten rodzaj obrony krajowej mieniono wyłącznie „kressami“.

W rzeczywistości ma się rzecz nieco inaczej. W dłuższym nieco wywodzie wskażemy jakie przedsiębrano środki w celu zabezpieczenia granic od najść tatarskich. Już za dni Zygm. Augusta szerzyły się na południu tak zwane „trwogi tatarskie“. Pospolicie Tatarzy przed najazdem rozszerzali wieści mylne, iż wkrótce inkursya ma być dokonana; nie wpadano jednak w owym czasie — był to jeno fortel najezdniczy. Taką wiadomość kłamliwą nazywano „trwogami tatarskimi“. Ludność bezbronna, wobec „trwóg“, chroniła się do lasów lub do zameczków — jeżeli gdzie były — a dopiero po pewnym czasie, gdy wracano z ucieczki do siedzib, gdy spokojniejsi czuli się bezpiecznymi, i oddawać się zaczęli zwykłym gospodarskim pracom, spadał czambuł Tatarzyna niespodzianie, czyli jak w owej epoce wyrażano się „bez wieści“; spadał niepoprzedzony żadnymi „trwogami“, a ludność bezbronną zabierano wtedy jak „grzyby“. Najazd tatarski szedł lawą szeroką; czasem ona na mil kilka wszczepiała ślad udeptywała; biegł szybko, „jako lecają ptaki drapieżne“, płynął wśród bezbrzeżnych stepów „naksztalt fal morskich“, którym nie oprzeć się nie zdoła. Fala pochłaniała bezpowrotnie... Takiemi widziano najazdy w XVI w., takimi i później były. Zabezpieczano się od nich, budując zameczki na szlakach, na zwykłych przejściach hord, które to hordy, jak powszechnie wiadomo, nie prowadziły wojny regularnej, ani też nie czyniły napadów, przypominających sposób wojowania ludów ucywilizowanych; lecz pochaniec spadał niespodzianie na nieprzygotowanych; bo Tatarzyn z krymskich hord, wedle słów Klonowicza, nie był „porządny bojownik“, ale złodziej, pędziskot i nocny rozbójnik“. Zameczki ku obronie, chociaż wcześniej urastały na „wyższej“ Ukrainie, za dni ostatniego Jagiellończyka — zbudowano wówczas zameczek Białocerkiewski, staraniem Fryderyka Prońskiego, wojew.

kijow., zbudowano i zbrojono Chodorków, Brusilów i inne — nie zdołano jednak zabezpieczyć spokoju i dobrobytu, który nie mógł się rozwinąć... Gdzie nie wystarczały zamki, wały, ostrokoły, uzupełniano obronę, stawiając, jako puklerz na straży szlaków — pierś własną. Tam, jak wyrażano się w owych wiekach, „mars zapraszał do tańca pod urwizywot“; na tych polach krwią przesiąkniętych liczne rody ukraińskie „w marsowych okazyach zdobywały i odnawiały swe herbowe klejnoty“. Całe szeregi można wyliczyć rodów, które w krwawych zapasach żywot kładły, a sławę zdobywały; szli ojcowie z kilku synami i żaden z potrzeby nie wracał; wnucy wstępowali w dziadów ślady, i tak przez szereg pokoleń. Z rodów owych, dziś przeważnie wygasłych, na kartach dziejów świecą imiona Aksaków, Turów, Czuryłłów, Łosiatyńskich i inne mnogie. Mogiły tylko stepowe mogłyby osnuć opowieść długą o bohaterskich walkach tych, co z uczucia obowiązku stali na straży. Była to „w dziejach ojców wielka karta — w dziejach służby wielka warta“... Stałej organizacyi obrony pogranicza nie było i wówczas, i później ta obrona w system ujętą nie została, jak w znacznej części wszystkie sprawy nasze publiczne, które na wysiłkach pojedynczych dłoni opierały się. Dążono niekiedy drogą tryumfu, ale jego następstwa losom zostawiano, a wypadków fala o przyszłości wyrokowała.

W różnych epokach były próby tworzenia systematycznych posterunków, które, jak już wyżej mówiliśmy, co kilkadziesiąt lat posuwały się coraz bardziej od południa ku północy, od kończyn i miedzy ku środkowi: nacisk hord koczowniczych był coraz widoczniejszy. Koczowiska zdobywały obszary, a świat chrześcijański, świat osiadły, z europejską kulturą ściśle związany, zmniejszał się a kurezył. Za Jagiellonów, zwycięskim śladem konia Witoldowego zapędzano się za czambułami tatarskimi aż pod Oczaków, i jak wierszopis doby Wazów wyrażał się: „pogaństwo

strwożone — pierzchało za morze słońce“... Z latami karta losów odwróconą została. Nie marzono nawet o strażnicach i posterunkach w głębi „Dzikich Pól“, ale, zastawiając się do okoliczności i potrzeby, strzeżono posterunków w „bodziakach Czehryńskich“, w sitowiacz okalających wybrzeża nad Wysią...

Taki stan rzeczy widział wiek XVIII i lata, które zamykały jego przedostatnie dziesięciolecie, to jest ta chwila, kiedy w jednej z czatowni pełnił służbę stary Mohort.

Szczupłe liczbą chorągwie wojsk koronnych pełniły żołnierską służbę na granicy od „Dzikich Pól“ i, nie chcąc tracić czucia z innymi oddziałami swych wojsk, urządziły na całej linii posterunków rodzaj poczty, czyli tak zwane „kressy“. Nie szereg posterunków pogranicznych, konsystujących w stepowych okopach, nazywano „kressą“, bądź „kressami“ — jak chce autor Mohorta — ale komunikacyjną, pocztową linię, którą utrzymywały owe czatownie strażnice. Nie właściwem przeto i z rzeczywistym stanem rzeczy niezgodnem jest twierdzenie tych, co zapominając, iż gońców rozstawionych na gościńcach, dla szybkiego przewożenia wiadomości, nazywano „kressami“ — przenosząc to miano na linię posterunków i, co gorsza, jednocząc ową nazwę z pojęciem o koniecznych kraju i państwa.

Pocztę, urządzoną za pomocą konnych gońców, rozstawionych w pewnym kierunku, na wyniosłych miejscowościach, widziano na Ukrainie w XVII w., jeszcze w epoce poprzedzającej Chmielnickiego krwawą dobę¹⁾. Za pomocą tych gońców, czyli poczty, „kressą“ już wówczas nazywanej, komunikował się Kudak, twierdza w stepach, na łaskę losów rzucona, z tak zwaną „włością“, tj. okolicą osiadłą, z Ukrainą „wyższą“. Szczególniej dni

¹⁾ Patrz: Dawne drogi i szlaki na praw. brzegu Dniepru, przez Ed. Rulikowskiego.

trwogi i niepokoju od wrogów nie zapominały zaopatrywać się w „kressę“ lub tak zwany „kress“. Na pograniczu wojskowym, ukraińskim, już nie czasowej, ale stałej używano „kressy“¹⁾.

Na takich to „kressach“, w jednej z samotnych czatowni, staje przed nami Mohort. Autor w poemacie wspomina, iż Mohort pochodził z Litwy. Twierdzenie to wsparte ponownem zaręczeniem autora, wypowiedzianem o wiele lat później, iż „nie tylko ów bohaterski strażnik na kressach jest postacią historyczną, autentyczną, lecz nawet nazwisko jego jest prawdziwem“. Tak pisze jeden z przyjaciół Pola, który pilnie dopytywał się autora o rozwiązanie zagadki, czy postać ta zmyślona, z dziedziny fantazyi powołana do życia na kartach poematu²⁾. Nazwisko Mohortów na Litwie było znanem w istocie, i przed laty Mohort jakiś z Litwy na Wołyniu mieszkał. Wobec tych twierdzeń autora powinnyby upaść wszelkie przypuszczenia, iż to nie jest postać z natury odwzorowana; lecz moglibyśmy dla sceptyków jeden jeszcze dowód przytoczyć z szeregu dowodów, stwierdzających litewskie pochodzenie Mohorta, a jest nim hart ducha, owa wola twarda, co wytworzyły zeń postać niby ze spiżu ulaną; a tylko na Litwie, przynajmniej najczęściej, możemy odnaleźć dziś jeszcze charaktery, o których rzecz można — iż to „mąż dzielny, surowy — i z jednej sztuki kuty jak ze stali“: takim był Mohort. Ludzie o sile ducha niezłomnej w owych niemieńskich, wilejskich wodozbiorach najczęściej się znajdują, gdzieindziej znacznie rzadziej.

¹⁾ Wedle ówczesnych przepisów, jeżeli kressa odwoziła pakiet bez dopisku *pilno*, wiozła go stępo; z dopiskiem — truchta; z dopiskiem podwójnym (*pilno, pilno*) — kłusa; potrójnym — przedniego galopa. Edw. Rulikowski, z pamiętników kresowego żołnierza, St. Wróblewski, p. t. „Moja Wojskowość“.

²⁾ S. Buszczyński. Pol i jego pisma, 1873.

Pol w jednej ze swych prac woła:

Wytrwać, wytrwać — to zadanie!

Choć ci wszystko w poprzek stanie...

Otóż ta wytrwałość, ta „zasługa w sile ducha — i w niezłomnem Bożem trwaniu“ była przymiotem głównym Mohorta; jakiś opór bierny, ale silny, spotyka się i u niego i w tej prowincyi, skąd pochodził, gdzie jest wybitnem znamieniem ludzi. Drugiem znamieniem ludzi z wodozbiorów niemnowych, ludzi, co pochodzą z puszczy i piaszczystych zagonów, położonych na północy od Prypeci — jest duch wiary głębokiej. Nie brak jej było u Mohorta; chociaż to harmonijne, szczere kojarzenie poczucia obowiązków z wiarą głęboką pospolitem było u rycerstwa naszego z lat dawnych. Uczucie religijne zawsze się wśród naszego rycerstwa spotykało w połączeniu z najszlachetniejszymi uczuciami z dziedziny ziemskich aspiracyj człowieka. Nawet tam gdzie iskry tego uczucia tlały stłumione, łada podmuch skojarzonych z nim uczuć, na pozór innej natury, byle nie egotycznych, wywoływał płomień wzniosłej wiary. Modlitwa, jaką trębacz w okopie odgrywali o świcie, modlitwa, przenosząca myśl każdego z uczestników tej chwili do zagród rodzinnych, przestrzeni dalekich, modlitwa, przypominająca hejnały krakowskie, zalicza się do celniejszych ustępów poematu i zarazem prawdę wiernie oddaje.

Umysł na pozór zdziczałe na pograniczu pogańskim, okryte pancerzem obojętności, surowe, bo w orężnem rzemiośle urosłe, na dźwięk pieśni bojowo-religijnej roztkliwiały się i tajały pod wpływem orzeźwiającego uczucia wiary.

Z ust nowego przybysza do stepowej czatowni dowiadujemy się o wrażeniu, jakie wywoływała ta modlitwa rzuconego na miedze chrześcijańskiego świata.

Hejnał krakowski odgrali trębacze,
Który od wieków, co zorzy porannej,
Z Maryackiej wieży ponad Polską płacze,
Czystemi łzami Przenajświętszej Panny;
A potem męskie podniosły się głosy
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i pobojowiskach
Od pokolenia starej Polski płynął,
I tu dopiero w dniewnych urwiskach,
Na krańcach Polski w Ukrainie ginał!...

Poważnym dowodem, iż iskier uczucia religijnego na owych zdziczałych pograniczach nie zdołały wydmuchać wichry stepowe i boje z pogaństwem, może być dla nas ten wielki popęd ku szukaniu źródeł wiary, widziany po wsze czasy u Siczowników Zaporozża, którzy — przynajmniej w swej lepszej połowie — przechowywali cześć wielką ku Bogarodzicy. Uczucie religijne na Zaporozżu przejawiało się inaczej, niż na naszych „kressach“, niemniej wszakże przejawiało się i nie ginęło. Przykładów pod tym względem dostarczyć mogą znaczną liczbę dzieje wewnętrzne niżowej, siczowej instytucji. O typy rycersko-rolnicze, typy surowe w boju, modlitwą zamykające dobę twardej bojowej egzystencji, nie trudno było w Sieczy. Dość wskazać bodaj jednego z Siczowników, ostatniego przedstawiciela orężnej niżowej instytucji, ostatniego Koszowego, Piotra Kalniszewskiego, który, jako Pogrobowiec Sieczy, o wiele przeżył był Zaporozże, a na archipelagu Białego morza, z cichą modlitwą na ustach, sto dwunastoletnim starcem w naszym już stuleciu żyć przestał. I on wierzył głęboko jak Mohort, i jego podniosłejsze bojowego serca aspiracje jednoczyły się ściśle z uczuciem religijnem. Przejawiało się to uczucie nieco inaczej nad

górnym Dnieprem, w Ukrainie, na posterunkach pogranicznych dawnej Rzpltej, a inaczej na dolnym Dnieprze, na Niżu; niemniej jednak źródłem religijnych uczuć, a zarazem obyczaju oddawania bojów pod opiekę niebios, był ów duch religijny, który ożywiał nasze społeczeństwo: znaczna część siczowników na Zaporozżu, podobnie jak cała instytucja niżowa, a zarazem i nasze rycerstwo, strzegące pogranicza od południowej ściany Rzpltej, jedną i też samą kolebkę posiadały. Tożsamość pochodzenia i wpływów u jutrzeńki życia, wywoływały usposobienia jednakie w późniejszym życiu, przyczyniały się do tożsamości obyczaju dwóch różnych grup orężnych, chociaż w późniejszym życiu rozwijających się w różnych warunkach.

U Siczowników szczególna cześć Matki Zbawiciela uwidatnia się w sposób pełen prostoty; na pogranicznych czatownicach, w straźnicy Mohortowej, hołd tej czci płynie melodią wzniosłą, pieśnią, przypominającą hejnały krakowskie, które od dni Jadwigi do dziś smutnymi swymi akordami brzmią nad murami miasta.

Podobnie jak w zakresie czci religijnej, tak i w dziedzinie innych pojęć, uderzającym jest podobieństwo stosunków siczowych do niektórych stosunków, pojęć i obyczaju strażnic naszego ukraińskiego rycerstwa. W poemacie Pola, gdzie wszystko brano z rzeczywistości, a malowano z natury, ta tożsamość oblicza dwóch pierwiastków, napózór tak bardzo różnych, mimowoli uderza i zastanawia.

Przypatrzmy się niektórym wybitniejszym rysom owych podobieństw.

Tam daleko na południu, wśród trzciny i archipelagu wysp niżowych, instytucję siczową nazywano „zakonem“, i była ona nim, lubo czas, okoliczności, sąsiedztwo z Tatarzyńcem zwicznęły nieco myśl pierwotną — Sicz zdziczała. Na posterunkach „kressowych“... Mohort zapatrywał, się również na swe rycerskie posłannictwo jako na zakon

z różnicą tą jednak, iż powołanie rycerza, chociaż modlitwą i zbożnem życiem ubłogosławione, górowało. Mawiał przeto: „Ja Boga chwale, kiedy szablę noszę“...

Chwalił jednak Boga i w inny sposób. Sąsiedni z luką graniczną klasztor zakonu św. Bazylego był dla niego dwa razy do roku miejscem wyjątkowo uroczystych nabożeństw. Jeden z tych dni to św. Szymon — dzień festu — „prażnika“ klasztornego. Dzień Szymona, przypadający w maju, 22 now. st., gdy na Niż, obfitą falą nadpływała woda z północy, pospolicie w Sieży uroczystą był chwilą, dobą orężnych popisów zuchów stepowych. Tradycja o dniu Szymona dotąd jest na Niżu. Drugą zaś znacznie dłuższą chwilą dewocyi Mohortowej, bo trwającą kilka tygodni co roku, był Wielki post, który on spędzał w murach klasztornych na pewnego rodzaju rekolekcyach... Podobieństwo i tu, chociaż niezupełne, do owych niby „pokut“, rodzaj rekolekcyi, jakie Niżowcy zwykli byli odprawiać. Pokutnicze przebywanie Niżowców w klasztorach Międzygórze (pod Kijowem) lub Samaru (na Niżu) przypominają nam poniekąd rekolekcyje Mohortowe, chociaż z odcieniem owych różnic, co legły między obyczajem kraju pewnej cywilizacyi, a obyczajem Zaporozża, zdzieczalego ku połowie XVIII w.

Prototypem pokutniczych rozmyślań tego ludu orężnego był bez zaprzeczenia nasz obyczaj dawny, zamieniania ku końcowi życia szabli na różaniec, obyczaj posypywania popiołem pokuty burzliwej swej przeszłości... O przykłady głośnie nader łatwo. W pamięci powszechnej dotąd przetrwał, zarówno z doby dawnej a pomyślniej, Zebrzydowski, który smutną ma sławę rokoszową, jak i Mik. Potocki, starosta kaniowski, obaj ludzie gwałtownego animuszu: pierwszy z nich żywot burzliwy zamyka w klasztornych murach, fundowanej przez siebie Kalwaryi Zebrzydowskiej, a drugi kończy dni niezem nieposkramianych wyskoków i fantazyj w celi Poczajowskiego klasztoru.

Różni swawolnicy, a niemniej i burzliwi Siczownicy, wielokroć kończyli swą bojową, nieraz bardzo awanturniczą karierę w monasterze, pokutą. Rzecz dziwna, a jednak prawdziwa, mająca swe źródło w tych usposobieniach psychicznych, które wywołały w piersi różnych duchów burzliwych skruczę często szczerą, acz spóźnioną ¹⁾....

¹⁾ Posiadamy charakterystyczne szczegóły, dotyczące się owych pokut Zaporozców. W jednej tradycyi, zapisanej przed laty przez Michała Grabowskiego, czytamy, iż gdy Zaporoziec dożył do późnego wieku, i nie mógł już dosiąść konia, wówczas resztki życia spędzał na dewocyi w klasztorze... Zanim jednak przeszedł próg monasterskiej zagrody, żegnał się ze światem, tj. urządzał pewnego rodzaju karnawał przed zerwaniem ze światem i jego uciechami. Pożegnanie to trwało niekiedy parę tygodni, które trawił wśród dzikich hulank z przyjaciółmi i miłośnikami uczt gwarnych... Kijów najczęściej był polem owych pożegnań ze światem Zaporozców. Tradycja ludowa mówi: „I bywało jak idą ulicą cały naród u wrót. A oni strojni jak w sadzie mak, a konie jak orły grają pod nimi, a złoto i srebro tak błyszczy od słońca, że aż ćmi się w oczach. Tu bandury, tu gęśle, tu i śpiewy i płasy, i przeróżne wykretasy. Tak to Zaporoziec ze światem się żegna“... Dalsza naiwna opowieść ludowa tak nam kreśli obraz podróży z miasta (z Kijowa) do Międzygórze (Meżyhor'ya) gdzie się miała rozpocząć dewocya... Dajmy na chwilę pozwolne ucho tej opowieści, nacechowanej dziwną prostotą, a pełnej zwrotów miejscowej, ludowej mowy... „Siwy, siwy jak gołąb w drogich karmazynach, idąc po przedzie, płasza Zaporozec, a za nim narodu (ludu) moc niezliczona, i na jego rachunek wszystkim dają gorzałkę, wszyscy tańczą, wszyscy się wesela“...

„A gdy już przyjdą do monasteru — mówi w dalszym ciągu tradycja ludowa — wtedy Zaporoziec stuka do wrót, a za wrotami pytają: „Kto to taki?“ — „Zaporozec“... — „A po coś przyszedł?“... — „Po zbawienie duszy“... Wrota wtedy się otwierają; ot i sam jeden wejdzie, a przyjaciele i naród z muzykantami zostają się za wrotami... Ot już i wszystkiego wyrzekł się Zaporozec! Zdejmie z siebie pas z czerwoncami i da na cerkiew, zdejmie z siebie pyszny strój kozacki (kontusz, żupan, karabelę, pas lity) i włoży natomiast włosienicę grubą i pocznie zbawiać duszę“... Ta ludowa opowieść jest jedną z kart mało znanych dziejów życia na Niżu, gdzie tyle sił, znoju, myśli, pracy, uzdolnień ludzi naszej krwi, lub naszej kul-

Mohorta pierś nie potrzebowała wzbierać skruchą, bo to życie, poświęcone służbie twardej, na pogranicznych strażnicach, wypełnione pracą obozową, dalekiem było od burzliwych a krwawych ekscesów. Potrzebował on tylko odetchnąć od czasu do czasu, wśród otoczenia innego, skupić swą myśl poza sferą wszystkiego co ziemskie. Klasztor na cisza była dla niego tem wytechnieniem przygotowaniem się do życia innego, wyższego, nieziemskiego...

To już przez cały Wielki Post się bawił,
I włosienicę pokutną przywdziewał,
Dłgie godziny na modlitwie trawił
I z księżą razem w chórze pieśni śpiewał;
Bo jako rycerz wziął pokorę z daru,
Więc na usługach cichych i pokornych
Czuwał przy chorych, a chłopców klasztornych
W kolej pacierza słuchał i Alwaru.

Ze słów poety widzimy, iż wśród klasztornej zagrody stary rycerz nie zapominał i o zatrudnieniach właściwych nowemu otoczeniu. Nietylko modlitwą, postem, ale i pracą klasztorną spłacał długi żywota, spłacał własne, spłacał innych społeczne winy, długi dawnych pokoleń przez niego niespłacone...

Bo są tacy co nie płacą:
Ani sercem, ani pracą,
Nie zaciężni, nie wysłużni
Co nikomu nie nie dłuźni!...

Czyniąc z Mohorta ideał rycerza, uposażył go poeta we wszystkie przymioty. Każe mu przeto spłacać długi społeczne — krwią, pracą, poświęceniem, słowem, przykładem, służbą twardą całego życia w znojnym trudzie i czuwaniu. Te przymioty, jako barwy wzięte z poetycznej pa-

tury wsiąkało w ugor stepowy — i ginęło przed wiekami... Porów. Zapiski Etnograficzne z Ukrainy, przez E. Rulikowskiego. Kraków 1879.

lety wieszczą, nie mogą być porównywane z typami, jakie nam Sicz daje, gdyż nie porównań snuje się jedynie wśród pewnej części dziedziny obyczajowej. Nie schodzimy z tej ścieżki porównań, w nich bowiem, naszym zdaniem, tkwi jeden z dowodów, iż poeta niewiele czerpał materiału do Mohorta ze swej poetycznej fantazyi, ale posługiwał się tradycją, a ta była odbiciem rzeczywistości...

Powszechnie znaną jest rzeczą, iż większość Siczowników trawiła żywot nietylko z orężem ale i z plugiem w dłoni. Kto nie szukał wypoczynku w obejściu zagrody monasteru, ten wypoczywał na futorze z lemieszem w dłoni, przypominając swe pochodzenie rolnicze... W ten sposób roić się zaczęły dziewicze obszary „Pól Dzikich“ mnóstwem futorów i rzucano podwaliny rolnictwa wśród pustyni, co nigdy nie widziały znoju oracza. Uprawa rolna na owych futorach niżowych odrazu stawiała na stopie doskonałości: ci co uprawiali „nowiny“ siczowe, to najczęściej był lud szlachecki, z bliższych, bądź dalszych okolic Rzpltej, czy też czeladź szlachecka. I jedni i drudzy przynosili z sobą na Niż pewną umiejętność uprawy roli: każdy szlachcic był u nas rolnikiem, a każdy ciura niezłym włodarzem. Plug przeto nasz sięgał dalej niż była granica wpływu naszego i kultury, docierał ku koczowskiom tatarskich „czabanów“, i tam stawał, gdzie się nie zdołał utrzymać sztandar prastarej Rzpltej. Jeśli na Niżu siadali ludzie orężni futorami i bawili się uprawą ziemi, tem bardziej w „wyższej“ Ukrainie, na linii strażnic, nie jeden towarzysz pancerny miał się pluga. Rolnik od dziada, pradziada, rolnik od wielu pokoleń, rycerz kresowy wierzył w to, w co wierzone u nas od wieków, iż roli i jej uprawy a gniazd rodzinnych oburącz trzymać się potrzeba, bo jak w innym swym utworze autor Mohorta powiada:

Biada! Biada tej rodzinie,
Co się ziemi już nie trzyma,
I co wirem życia płynie,
W świat szeroki za oczyma,
Więc jak możesz siadaj rolnie,
Bo bez ziemi i przykmioty
Bardzo trudno i mozolnie
Chować w sereu ojców cnoty...

„Siadał“ tedy pan Mohort „rolnie“; posiadał futor a w nim gospodarzę, lecz nie było tam domu. Tu poeta ani na krok nie odbiega od rzeczywistości: jego rycerz kresowy mógł nie mieć domu, a poprzestawać jedynie na namiocie, nie zapominajmy bowiem, iż stał na straży między graniczną, iż nie powinien był odbiegać zbyt od kopców, których straż od lat wielu była w jego dłoni. Lecz były i inne powody, że szlachcie gospodarujący na Dzikich Polach, lub w głębi ówczesnej, pustkowiem wiejącej Ukrainy, nie posiadał często domu, a na namiocie lub szałasie często poprzestawał. Pogranicze, bezpośrednio stojące u ściany Tatarskiej, narażone na ciągłe najścia nietylko pohańca, ale różnego miana zbójców, nie miało ani chwili spokoju: dom więc stawał tylko tam, gdzie posiadano załogę, bodaj maluczką do obrony, gdzie można było ostrokoły wzniesić i z poza nich razić nieprzyjaciela. Na futorach dom mieniono zbytkiem, gdyż lada chwila mógł pójść w perzynę.

Nawet znacznie później, we trzydzieści kilka lat po Mohortowym zgonie, pomimo zupełnej zmiany stosunków na całym Wschodzie europejskim, bez względu, iż po zniknięciu hanatu krymskiego z widowni świata „Dzikie Pola“ odzyskały spokój i bezpieczeństwo, jeszcze około r. 1824—1825, na futorach, w głębi stepów, poza Kodymą, ku Czarnemu morzu, spotykano zamiast domów — namioty. Takim był futor, nazwiskiem Lubomiła, blisko ujść Dniestrowych, Karola Marchockiego, na którym, acz gospodarz (w r. 1825), człowiek wówczas możny, niekiedy przemiesz-

kiwał — nie było wcale domu, lecz miejsce takowego zastępował namiot, urządzone z całą wygodą i zbytkiem nawet. Takim widział go Antoni Andrzejowski, botanik¹⁾; takim widział Adam Mickiewicz, który pod oponą owego namiotu napisał swój pierwszy sonet na południu skreślony — „Stepy Akermanu“.

Gdy tak było jeszcze przy końcu pierwszej ćwierci naszego stulecia, nie dziwny się, iż podczas doby trwóg różnych, Mohort na swym futorze w namiocie przebywał, a cenniejsze swe sprzęty chował u przyjaciół, zakonników św. Bazylego, w sąsiednim klasztorze. Świątynia była opaladowana, stawić więc mogła czoło, i stawiała wszelkim czambułom tatarskim, lub napadom zbójcekim.

Około roli i ogrodu Mohort, podobnie jak Siczownicy, krzątał się sam, własną ręką pracując.

... Choć stan rycerski nad wszystko mu plużył.
Lubił rolę i miał stepu kawał,
Futor, pasiekę i wszystko prócz domu;
Ogrodu swego też orać nie dawał
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,
Lecz go sam orał — „Odwykać nie trzeba
Człeku od roli, a wyknać do domu“!
Tak to zazwyczaj do nas młodych mawiał:
Co wiosnę zorał choć zagonów parę
Kolo futoru — lecz domu nie stawiał:
Bóg i animusz grzeje starą wiarę!...

Z tego to futoru obfite dary w zbożu składał on najbliższemu klasztorowi. Podobny obyczaj niemniej był na Niżu. Tam Sicz, w imieniu całego bractwa orężnego, napełniała różnymi przysmakami, otrzymanymi z Lewantu, bajdaki dniewowe, i one, w górę falą rzeki, wiozły przyjacielską tę daninę do Miedzogórskiego monasteru, pod Kijów. Mohort toż samo czynił, we własnem imieniu, dla sąsiedniego klasztoru.

¹⁾ Patrz: Pamiętniki Detiuka. (Wilno 1861 r.).

Dwie — a czasami — trzy wołowe mazie
 Suto ładowne, szły dla Ojców w darze —
 A na najpierwszej sam siedział na wierzechu,
 I zwykle stawał na miejscu o zmierzchu;
 A gdy zadzwonił u furty klasztornej,
 To już nie rycerz, lecz kubrak pokorny;
 Odsyłał ludzi do domu w Imię Boże,
 A sam się wpraszał pokory słowami •
 Na rekolekcyje — a wozy z wołami,
 I cały zapas zostawał w klasztorze“...

Takich zestawień, któreby wskazały uderzające nieraz podobieństwo rysów obyczajów na strażnicach Rzpltej i na Niżu, wśród bractwa orężnego, moglibyśmy przytaczać całe liczne szeregi.

Podobieństwo wielu rysów daje podobieństwo całego oblicza. Jeśli przeto tak wiele sympatycznych rysów spotykamy na Niżu, i to za dni już gaśnięcia jego bytu, w epoce rozprzężenia, tem bardziej też same rysy uwydatniały się w „wyższej“ Ukrainie, na owych lukach pogranicznych, „kędy rycerskie rosły animusze“, gdzie stał porucznik Mohort,

... wojownik z pod znaku
 I wielki strażnik hetmańskiego szlaku.

Żywiół prawdy, żywiół rzeczywistości, mówiącej do nas przez usta tradycyi, poeta wziął jako główny materiał dla odtworzenia ostatniego rycerza starożytnej Rzpltej... Mohort — wcielenie rycerskiego majestatu przeszłości — staje przed nami, nie w postaci bohatera poematu, lecz jako wskrzeszony cień pogrzebanej rzeczywistości...

Poeta składa do grobu ów ideał rycerza doby prastarej w boju pod Boryszkowcami, za dni jutrzeńki nowego porządku rzeczy, gdy o pancernych już i wieść umilkła, gdy hetmani dawni zeszli z pola, a nowi ludzie, i w potocznem życiu, i w obozach wytknąć mieli nowe kierunki, gdy obrona całości z dłoni jednego stanu przejść miała

do szerszych tłumniejszych ciżb społecznych... los mieć chciał, iż nietylko w poemacie, ale w rzeczywistości, w tej pierwszej bitwie nowych wodzów ginie najstarszy żołnierz Rzpltej, jedyny przedstawiciel dawnego rycerstwa z pod pancernego znaku, który „pierwsze żołdy czynił“ jeszcze za dni szwedzkiej potrzeby, pod hetmańskim sztandarem. Mohortowy zgon w pamiętnej potyczce na Boryszkowieckiej grobli, iż tam w istocie miał miejsce, świadczy, oprócz innych podań, na których opierał poeta swój utwór, świadczy poważne twierdzenie znanego pisarza, Stefana Buszczyńskiego. W jednej z prac o Polu, przytoczony pisarz powiada o swej domowej, rodzinnej tradycyi, stwierdzającej autentyczność Mohorta i jego zgonu podczas krwawego Boryszkowieckiego starcia¹⁾.

„Nie będzie od rzeczy dodać tu — czytamy w powołanej pracy St. Buszczyńskiego — dla utwierdzenia autentyczności Mohorta, co sam od matki mojej słyszałem... Dziad mój macierzysty, Wojciech Borowiecki, major kawalerii narodowej, obywatel z Ukrainy, który również był w bitwie pod Boryszkowcami, opowiadał, iż wtedy zginął tam stuletni starzec, rotmistrz z oddziału stojącego na kresach, w Czehryńskim czy Czerkaskim powiecie. Tylko nazwiska jego nie pamiętał. Gdy przed kilkunastu laty byłem w Boryszkowcach — dodaje tenże pisarz — włościanie pokazywali mi mogiłę poległych“...

Do owej wskazówki, tylko co przytoczonej, moglibyśmy dorzucić własną rodzinną tradycję, kogoś z bardzo mych bliskich, co walczył pod Boryszkowcami i, idąc w tylnej straży, gdy most był spalony, na owej historycznej grobli przesadził z koniem przerwę w ręczym biegu i połączył się ze swemi szeregi, a w kilkanaście lat później, przy tymże wodzu (księciu Józefie) był świadkiem

¹⁾ Patrz: Pol i jego pisma, przez Stefana Buszczyńskiego. Kraków 1873.

jego pamiętnego pod Lipskiem zgonu w nurtach Elstery. Był to też zarazem świadek zgonu Mohorta¹⁾. Z tej ostatniej tradycyi, a zarazem i z pamiętników ówczesnych dziejowych widzimy, że opis bitwy Boryszkowieckiej i miejscowości jest najzupełniej historyczny i wierny co do wszystkich szczegółów.

Gdy się wczytuję w ów obraz miejscowości, budzą się i w mej pamięci wspomnienia widzianych kiedyś w dzieciństwie Boryszkowiec. A budzą się w tej postaci, jak je widzimy w poetycznym obrazie Pola.

Tradycya moja rodzinna, wraz z przytoczoną wyżej tradycją S. Buszezyńskiego, wzajemnie się uzupełniając, świadczą, iż obraz zgonu rycerza, który do stu lat i więcej dożył, bo już za dni Karola XII walczył, więc najpóźniej w r. 1709 (tj. miał służby żołnierskiej lat przynajmniej 83), jest obrazem najzupełniej autentycznym. Pol o tej późnej starości mówi:

Miarkując z tego co sam opowiadał
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył —
Jakoż na konia z klocka tylko siadał,
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał,
A już z północks wszystkie kury liczył.

Za szwedzkiej wojny był już namiestnikiem,
I pięciu królów pamiętał na tronie,
Nie było czleka w Litwie i Koronie,
Coby po służbie był mu rówieśnikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali...

Wiek tak sędziwy, a przytem na koniu, w boju,
z szablą w dłoni, rzecz niesłychana za dni naszych²⁾.

¹⁾ Antoni Dubiecki, z Wołynia.

²⁾ Za dni bardziej dawnej przeszłości takie zjawiska spotykano. Jeden z naddziadów piszącego, Samuel Surycz (Wołyńianin), prawie stuletnim starcem walczył i legł pod Kirchholmem.

Wówczas, zwłaszcza na Niżu, rzadkością, a również szczególnym fenomenem nie mienił się taki stan rzeczy. Wiemy skądinąd, iż ostatni Ataman Koszowy, Piotr Kalniszewski, który ociemniałym starcem, na archipelagu Białego morza, w r. 1803 zgasł, rodził się za dni króla Jana, w r. 1691, i jako starzec przeszło 84-letni jeszcze stał na czele bujnych animuszów Zaporozża; a co ważniejsza miał moc ducha, która i ciało wzmocnić może i unicestwić siłę przygniatającą bardzo późnego wieku¹⁾...

Wytrwaj! wytrwaj u łańcucha,
Bo nie w czynie, a nie w zdaniu,
Lecz zasługa w sile ducha
I w niezłomnem Bożem trwaniu.

Taką siłę ducha posiadał Mohort, i w znacznej części wyrobił ją w sobie życiem surowem, umiarkowanym, życiem, które tylko spełnianie obowiązku miało na celu. Zahartowany tak żołnierz-obywatel patrzył na życie, jako na twardy obowiązek, jako stanie na placówce obowiązków społecznych, z której to placówki Bóg jeno mógł zdjąć.

A gdy Bóg zdjął go wreszcie z tej placówki, wówczas słusznie, zaiste, nad jego mogiłą zabrzmiał śpiew, niegdyś znany, obozowy — „Czas do domu, czas, — Zabawili nas“²⁾. Z placówki życia, wytrwawszy do końca, i wywiązawszy się dobrze z obowiązków, wrócił on zaiste „do domu“, na łono Ojca Przedwiecznego, który go ongi postawił na straży dróg życia; wrócił spokojny tam, dokąd po odpoczynek dawno już mu był czas odejść, ale „zabawiały“ go tu wciąż sprawy ziemi...

¹⁾ Porówn. rozpr. p. t. Pogrobowiec Siczy, przez M. Dubieckiego; w Przegl. Powszech. T. XXI, (1889 r.) str. 341.

²⁾ Przed wielu laty miałem możność na Wołyniu przysłuchiwania się nucie tego śpiewu, poważnej, zarazem rzewnej. Warto. by nasi miłośnicy muzyki wyszukali ową melodyę i zachowali ją od zagłady. (Przyp. aut.).

DWIE KRÓLOWE.

SZKIC DZIEJOWY.

Mury zamku na Wawelu, w ciągu kilkudziesięciu lat, kończących XV wiek, patrzyły na dwie tylko niewiasty, które, posiadając prawo do korony, były paniami na owym zamku, lecz jedynie jedna z nich uwieńczona była koroną, i całe półwieku chlubnie ją dźwigała, drugą zaś koronacyjny obrzęd, należny jej, na zaraniu XVI wieku ominął, a pamięć o niej zaginęła, bo los obdarzył owe dwie niewiasty, dwie panie Wawelskiego zamku nierówną miarą szczęścia...

Dziwnemi niekiedy są losy ludzi. Jednym uśmiecha się wszystko, łatwo wszystko, los schyla się ku nim, prowadzi ich niemal własną dłonią, na wyżyny podnosi, od przepaści stoków chroni, pamięć ich na wieki utrwala... Tuż obok tych wybranych zapoznani inni: w tychże warunkach, wśród tegoż znoju, przechodzą zapomniani, skazani już na zaraniu życia na ciernie, na twardy gościniec, na obojętność współczesnych, zapomnienie potomnych. Takimi są losy nietylko zwykłego tłumu pracowników, szarej ciżby, co się ciśnie na zwykłym poziomie pracy, ale i tych, którym los kazał się urodzić do ziemskich, wyższych przeznaczeń, których na tronie postawił, otoczył blaskiem. Lecz jakże często oni poza własnymi łzami — blasku owego nie widzą; łza bólu zaćmiewa im oczy; złotogłów im ciąży, purpura staje się tak przykra, gniotącą ramiona, jak brzemień chróstu, spoczywające na barkach

ubogiej wyrobnicy... Przeznaczenia dziwne, losy niestateczne jednak prześladowają, ścigają, zameczają królów, jak i zwykłych śmiertelników. Przypatrując się pilnie drogim przeznaczeń naszych królowych, widzimy wybitnie sprzecznymi ich losy: dla jednych życie było pochodem tryumfalnym — dla innych istotną torturą...

Jednych pamięć dzieje przechowywała, ze czcią, omal nie religijną, o innych historia mówi cichym szeptem, od niechęci kreśli ich imię na karcie dziejowej. Ów lakonizm wytwarza niekiedy cień jakiś około imienia nieskazitelnego... Z czasem o imieniu zapominają nawet, a o owym, niczem nieusprawiedliwionym cieniu mówią szeroko — głoski imienia zacierają się — cień zaś wybitnie występuje...

Losy dwóch niewiast zacnych, dwóch królowych, średniowiecznej doby, stają przed nami. Zdawałoby się, iż jednakimi powinny być ich przeznaczenia, a wszakże jak rdzennie różne były one... Obie jednak zacne, a jakże różne w pamięci potomnych, we wspomnieniach historii...

Królowa Elżbieta, Rakuszanica, żona Kazimierza Jag., w spokoju, szczęściu, przeszła życie, i historia aureolą jej pamięć otacza; królowa Helena, jej synowa, acz w tychże warunkach postawiona, oczy nad swą dolą wypłakała, i dola ta, zaiste, pod naciskiem dziwnego *fatum* wytwarzała się.

Obie one zasłużyły na dolę dobrą: otrzymała ją wszakże tylko jedna z nich. Nie jej, lecz losów to winą. Wpatrzmy się głębiej w przezrocza kolei życia każdej z dwóch tych ukoronowanych niewiast, a zobaczymy, iż losów kaprysy nie małą w biegu ich życia rolę odegrały...

Przedewszystkiem o losach starszej z nich, o losach królowej Elżbiety, mówić będziemy. Cofnąć się przeto należy do połowy XV stulecia, do lat pierwszego dziesiątka, co upływał po nieszczęsnym warneńskim pogromie.

Zima kończąca rok 1453, a rozpoczynająca 1454, dziwnie się srożyła w swej pierwszej połowie. Mówiono, iż takiej nie pamiętają. Zwierz opuszczał swe legowisko w puszc-

zczach, cisnął się do osad, szukając pożywienia. Śnieg zawałił drogi, które, szczególnie ku wschodowi, stały się nie do przebycia. Na wybrzeżach Dniestru całe wioski były zasypane. Zjawiska zimy tej niezwykłej Długosz najskrupulatniej zapisuje w swej „Historii”. Tembardziej zjawiska te pamiętnymi się stały, iż w drugiej swej połowie, dziwnie zmienną okazała się owa zima fenomenalna. Przy najmniej w Krakowie była ona tak kapryśną, jak twierdzi kronika Długoszowa, nasuwając nam ciekawą wskazówkę, iż klimatyczne zmiany gwałtowne weale nie są właściwością wyjątkową dni naszych.

Po dniu N. Panny Gromnicznej (1454 r.), lunęły deszcze i z obawą patrzano, azali nie rozkwitną znowu drzewa w dniach lutowych, jak to już dwukrotnie miało miejsce za Władysława Jagielly, gdy wiosna, z końcem stycznia zieleniejąca się, sprowadziła w następstwie morowe powietrze ¹⁾. Do wróżb i stawiania horoskopów niewiele wtedy miano czasu, acz wróżby ulubioną były zabawą epoki. Tym razem we wróżby i horoskopy nie próbowano nawet bawić się, zwłaszcza w większych ogniskach życia narodu; wypadki bowiem niemałej doniosłości wówczas właśnie rozwijały się w kraju naszym. Oczy ludzi bardziej świadomych spraw publicznych wciąż biegały naprzemian, to ku północy, to ku południowi, ciekawie nasłuchując wieści pomyślnych, a wiarogodnych, z każdego z onych przeciwnych węglów państwa Jagiellowego, któremu przewodził w owe lata król-młodzian, dwudziestosiedmioletni Kazimierz Jagiellończyk.

Wypadki, których rozwinięcia się z utęsknieniem oczekiwano — acz różnej były natury — przynieść miały pomyślność stateczną i rozwój potęgi szybko wzrastającego państwa.

Na północy, w krzyżackich grodach, gotowano się

¹⁾ Długosz.

w onych dniach zmiennej zimy do połączenia się z Polską, gdyż zbrojne wystąpienie przeciw krzyżackiej przemocy już ich było od niej uwolniło. Miasta, osady większe i mniejsze Dolnego Powiśla, w liczbie pięćdziesięciu kilku, zrzucając jarzmo krzyżackie, jarzmo zakonu orzęznego, a srodze ich, do niezniesienia uciskającego, umyśliły były poddać się pod moc i władzę Kazimierzową. Słano przeto posłów do króla, by wyjednać dla siebie bezpieczną ostoję przyszłości, którą miało być połączenie się z Polską.

Po znikającej szybko sannie, dażyło owo poselstwo od brzegów Drwęcy, przez Sandomierz, do Krakowa. Oczy i serca świadomszych i głębszych umysłów zwracały się ku północnym gościńcom, którymi szło to radosne poselstwo, zwiastujące przewrót, przewrót ważny, nader stanowiący w naszych stosunkach państwowych. Ujście Wisły, brzegi Bałtyku, kraje za Drwęcą, na pruskim pojezierzu, same ku Polsce wyciągały dłoń, dłoń wiekuistego przy mierza na długie wieki doli i niedoli. Zaślubiny ludów i ziem Dolnego Powiśla stawały się tylko kwestyą czasu.

Był to wypadek niemałej dziejowej doniosłości owe zbliżające się zaślubiny ludów o różnych pierwiastkach plemiennych... Zanim upłynąć miały dni ówczesnego mięsopestu, zanim wiosna na dobre mogła zazielenić się, już nie tylko u wyżyn Tatrzańskich, ale nawet w północnych, litewskich kniejach, losy grodów Dolnego Powiśla stały się troską powszechną; u wszystkich były w ustach, u bardzo wielu w umyśle i sercu legły sprawą pierwszorzędną.

Lecz nie o tem jednym wyłącznie wtedy myślano i mówiono w gronie rycerstwa i przedniejszych narodu. Były i inne zaślubiny, na które niemałą zwracano uwagę: były to nie zaślubiny ludów i ziem, lecz pojedynczego człowieka, a niemniej obfite w następstwa.

Jedyna latorośl Jagiellowego szczepu, jedyne dynastyczne ogniwo, łączące w onej dziejowej chwili Polskę z Litwą, Wschód z Zachodem, król-młodzian zaślubił córkę

germańskich cesarów, wytworzył gniazdo rodzinne — można tedy było odtąd marzyć o dynastyi Jagiellonidów, dynastyi, która miała rozwinąć się, rozrosnąć, zapłonąć płomieniem krótkiej wprawdzie, lecz wielkiej chwały.

Podwaliną istnienia dynastyi stały się właśnie owe zaślubiny Kazimierza Jag. jednocześnie mniej więcej przypadające z zaślubinami Ziemi i Grodów Dolnego Powiśla z państwem Jagiellowem.

Zamiary zaślubin królewskich nie szły wprost od króla; był on już i wówczas mocno skrepowany w swem działaniu, pomysłach i planach, również w państwowych sprawach, jak i w sprawach prywatnej natury, domowego zakresu. Nawet tak niepoddający się obcym wpływom umysł, twardsza niż u innych Jagiellonidów wola, które widziano w Kazimierzu, naginały się z konieczności do woli i planów panów rady, co górować się już przyzwyczaiła od lat wielu nad wolą królewską. Na zaraniu XV w. miano w Polsce do czynienia ze starcem, nieświadomym spraw publicznych; później z dziecięciem, młodzienaszkiem — był nim Warneńczyk — obecnie stawało przed tłumem dążącej do władzy szlachty już nie słabe pachole, lecz ciałem i duchem silny młodzian, najhartowniejszej woli z całej swej rodziny Jagiellończyk. A jednak i ta najhartowniejsza wola gięła się niekiedy. Nie pozwalano mu często myśleć o sobie, inni zań myśleli i układali konjunktury w sprawach jego serca i co do warunków przyszłego życia rodzinnego.

Elżbieta, przyszła jego żona, znać w księdze przeznaczonych była mu zapisaną.

Był jeszcze dziewięcioletniem chłopięciem, a już mu ją przeznaczano; acz wtedy nie mogła ona jeszcze odpaść od piersi matki i spowicia nie opuszczała, liczyła bowiem rok zaledwie pierwszy swego w przyszłości długiego żywota. Konjunktury polityczne łączyły się z matrymonialnymi zamiarami mężów, mających głos i siłę w kraju.

Statysta ówczesny, książę polskiego kościoła, Wincenty z Dębna, gdy za dni Władysława, syna Jagiellowego, wrócił z poselstwa, jakie odbywał na dwór niemieckiego cesarza, Albrechta II, zwierzał się swym bliskim, że tło do wielkich planów politycznych zadzierzgnięte zostało; gdyż Albrecht, władający pobratymczą dla Lechii ziemią — Czechami, gotów ją był dać, jako wiano, młodszej swej córce — Elżbiecie (wtedy dziecięciu w pieluchach). Wiano, z ziem i ludów złożone, przelać miano, do dłoni oblubienca maluczkiej Elżbiety dopiero po najdłuższym życiu Albrechta, który nie miał synów, nie spodziewał się ich posiadania, a zięciów chciał mieć z królewskiego gniazda na Wawelu.

W gnieździe tem biegło wówczas dwoje pacholat — synów przed paru laty zmarłego Jagielly — starszy, Władysław, był już uwieńczony koroną Bolesławów, młodszy zaś o lat trzy od ukoronowanego, a niby władającego brata, Kazimierz, wcale nie mógł się spodziewać korony. Przynajmniej rzeczy tak stały w latach bezpośrednio idących po zgonie Jagiellowym.

Tajemnica dyplomatyczna Wincentego z Dębna rokowała bez zaprzeczenia nadzieje znakomite dla ówczesnej Polski. Losy Węgier i Czech spocząć miały w dłoniach Jagiellońskiej dynastii, która się stała już naszą, rodzimą, polską dynastją. Jedna z córek Albrechtowych — starsza, Anna, miała zaślubić Władysława, młodsza zaś, Elżbieta, Kazimierzowi była przeznaczoną. Węgry miały być wianem starszej, Czechy młodziej: Jagiellonidzi w ten sposób, sukcdując prawa Albrechta, cesarza niemieckiego, dziwnem losów zrządzeniem rozpościerali się coraz to szerzej ku środkowi Europy. Przynajmniej tak rzeczy zarysowywały się w umysłach naszych dyplomatów. Śmierć wszakże Albrechta, śmierć przedwczesna, w roku piętnastym życia naszego Władysława Jagiellończyka, gdy tego ostatniego ogłaszano pełnoletnim (1439 r.), powikłała całą

sieć przypuszczeń, układów, konjunktur politycznych. Władysław wprawdzie posiadał później tron węgierski, lecz innemi drogami: torowały mu doń wstęp i wolny wybór narodu węgierskiego, i inny zbieg okoliczności — nader niespodziany, nieco śmieszny — wdowa bowiem po Albrechcie, pani późnego stosunkowo wieku, pragnęła zaślubić pacholę dla jej starszej córki przeznaczone — stąd popieranie do tronu naszego młodziana — króla, co miał zginać w przyszłości pod Warną.

Jeśli w księdze przeznaczeń naszego Warnieńczyka było niedojście do skutku jego projektowanego małżeństwa z Anną, cesarzówną niemiecką, to projekt ożenienia Kazimierza, młodszego brata Władysławowego, z siostrą Anny, Elżbietą, nawiązany od bardzo dawna, bo jeszcze we dwa lata po zgonie Jagielly, niespodzianie wszedł w fazę urzeczywistnienia.

Urzeczywistnienie miało miejsce właśnie w owych dniach cieplej, fenomenalnej zimy, w dniach mięsopustnych, 1454 r., gdy przygotowywano się do wielkich godów ziem i ludów Dolnego Powiśla z Polską. Urzeczywistnienie tem większą niespodzianką było, iż Kazimierz nie okazywał wcale sympatii dla swej narzeczonej, której nie znał i jej nie widział, a wielce mu jakoś do myśli przypadały projekta podobnego rodzaju, osnute gdzieś na pomorskich wybrzeżach przez Eryka, króla Duńskiego, a zarazem pana Skandynawskich, zjednoczonych królestw. Na Pomorzu dalszem, nadodrzańskim wzrastało wówczas dziewczę, jak się kronikarze wyrażali, dziwnie „roztropne i mądre nad obyczaj innych białogłów“, o którym Kazimierz wiele słyshał i niemało roił, acz jej również nie widział. Była to Zofia, pani nadodrzańskiego Szczecina i Słupia, grodów jeszcze wtedy otoczonych polską ludnością. W żyłach tej księżniczki płynęła krew polska; ojcem jej bowiem był Pomorski książę, Bogusław X, władca na Słupiu i Szczecinie, a matką Marya Ziemowitówna. Księżniczka Zofia,

Polka z języka i obyczaju, wyższym umysłem, energią, podobać się mogła każdemu mężczyźnie, tembardziej młodzianowi o tak bardzo śmiałem, prawdziwie męskiem usposobieniu, jakim był charakter naszego Kazimierza, najenergiczniejszego ze wszystkich Jagiellonów. Projekt króla Skandynawskich królestw, Eryka, posiadał dla naszego Jagiellończyka urok jakiś. Wpadł on znać w szczęśliwą chwilę do umysłu Kazimierzowego, gdyż przypominał go sobie wielokroć, nawet znacznie później, przypominał z pewnym tajemnym żalem, iż się projekt ów rozwiął, iż nie wszedł nawet w fazę dążności do urzeczywistnienia.

Projekt zaślubin nadodrzańskiej księżniczki posiadał niemało korzyści dla Polski, Zofia bowiem, księżniczka na Słupiu i Szczecinie, wносиła piękne wiano — ujście Odry. Polska, osadzając Zofię na swym tronie, obok Kazimierza, otrzymałaby bez żadnego wysiłku część Bałtyckich pobrzeży, zapewniłaby sobie wybrzeża rzeki lechickiej, odparłaby od Nadodrzańskiego Pomorza nacisk germanizmu. Polityka krajowa dobrze zrozumiana powinna była ująć ów zamiar, wysnuty z głowy Skandynawskiego Eryka, i w czyn go zamienić, co zresztą nie mogło się mienić trudną sprawą. Stało się jednak inaczej. Do bliższego rozpatrzenia się w rzeczonej sprawie nigdy nie przyszło; natomiast znowu z zapomnienia powstał, i dorósł do miary urzeczywistnienia, dawny, a jak na pozór zdawało się zaniechany projekt połączenia naszej, Jagiellońskiej dynastii z domem Habsburgów. Powstał on w innej, nie w pierwotnej formie. Cesarz niemiecki, Albrecht II, gdy rzecz tę przed laty w swym umyśle układał, plany polityczne — jak wspomnieliśmy o tem — przedstawiały się dla Polski ponętnie, obecnie zmieniło się wszystko. Albrecht legł od dawna w grobie; Elżbieta, przeznaczona dla Kazimierza, nie posiadała wiana złożonego z czeskiej korony, miała bowiem małego braciszka, Władysława Pogrobowca, który wprędce po ojca zgonie na świat przyszedł, dziedziczne

więc ziemie rakuskiego domu do niego przejść miały. Elżbieta, chociaż urodzona do berła, chociaż purpura cesarów kolebkę jej okrywała, była sierotą stosunkowo ubogą, sierotą dość w dzieciństwie zaniedbaną, sierotą, którą współcześni, a przyjaciele jej ojca, uważali jako nie mającą warunków do większych w świecie powodzeń, i o takowych dla niej zwątpili, niespodzianie staje się małżonką najpotężniejszego prawie króla ówczesnej Europy, naszego Kazimierza Jagiellończyka.

Chwila, w której Jagiellończyk, ulegając naciskowi panów rady, postanowił zaślubić Elżbietę Rakuszanek, przypada na rok pamiętny w dziejach Europy, rok zdobycia Konstantynopola przez Turków. W sierpniu 1453 r., we Wrocławiu stanęło poselstwo polskie z całym blaskiem średniowiecznego przepychu; samych zbrojnych w orszaku liczono tysiąc dwieście jeźdźców. Po dziesięciodniowych obradach, na wrocławskim zjeździe, umówiono się co do wszystkich okoliczności, dotyczących się małżeństwa Elżbiety. Niedziela po święcie Oczyszczenia N. Maryi P. (1454) naznaczoną została na zaślubiny, które się odbyć miały w Cieszyń. Piastowski zameczek nad Olzą — na zachodnich kończynach polskich siedzib położony, a pod względem ówczesnym państwowym należący do czeskiej, lecz nie do polskiej korony — jako punkt pośredni między państwem polskim a czeskim — miał być świadkiem spotkania się Kazimierza Jagiellończyka z narzeczoną. Programat ułożony na wrocławskim zjeździe uległ w wykonaniu pewnej małej modyfikacji. Nie Kazimierz, ale jego poselstwo witało Elżbietę w Cieszyń. Zdaje się, że zupełny brak czasu na wykończenie niezbędnych przygotowań stanął królowi na przeszkodzie, by pierwotny programat urzeczywistnić. Bo też, zaiste, król ten w nieustannych a dalekich był podróżach. Jeżeli Stanisław August Poniatowski mienić się może królem, który najwięcej pisał, to bez zaprzeczenia Kazimierz Jagiellończyk był kró-

lem najwięcej podróżującym. Dalsze prowincye, jak Smoleńsk, Witebsk, widziały go wśród murów swych miast zaledwie raz, lub parę razy; ale szlaki od Krakowa do Wilna, od murów Wawelu do Torunia, pod Malborg i Elbląg, patrzyły na jego poważne, zamyślane, lecz nie surowe oblicze, dziwnie wielką liczbę razy: konno, wozem, kolasą, w większym lub mniejszym poczcie sam, a nader często z żoną, przebiegał te szerokie i wówczas prawie bezdrożne przestrzenie. Tak więc i w owej epoce pamiętnej zimy, o której mówimy, gdy króla zaledwie pięć tygodni oddzielało od dnia przybycia do Krakowa narzeczonej, bawił on w dalekim Wilnie, gdzie wśród Ponarskich wzgórz i w dalszych okolicach Litwy, obfitej wówczas w puszcze i zwierza, poluje, aby przygotować biesiadną zastawę na swe gody weselne.

Styczniowe dni 1454 r. już naszego Jagiellończyka widzą w długiej a uciążliwej zimowej podróży z Wilna przez Sandomierz, Nowe Miasto, Proszowice do Krakowa. W podróży ciągnął za królem jego dwór myśliwski, i nie jeden zwierz padł jeszcze na gościńcu królewskim, aby pomnożyć trofea łowieckie, wiezione z Litwy na Wawel. Przy całym pośpiechu podróż odbywała się nader powoli, bo zasypane śnieżne fenomenalnej zimy wcale jej nie przyspieszały, i wreszcie, sprawy krajowe, pierwszorzędnej nie raz wagi, wstrzymywały króla na różnych zameczkach, dla obrad, bodaj dorywczych, z panami rady, co mu drogę zajeżdżali. W Sandomierzu właśnie Gabryel Bayzen, na czele poselstwa krzyżackich grodów rekosznicznych, zabiegł drogę królowi, niosąc mu poddanie się grodów Dolnego Powiśla. Był to wspaniały dar ślubny, którym los udarowywał Jagiellończyka. Radząc trzy dni w Sandomierzu, nad przyjęciem lub odrzuceniem tego daru, myślą gonili ku innemu podróżnemu orszakowi, który ku murom Krakowa zbliżał się powoli od zachodu. Orszak ten, złożony z panów rakuskich, czeskich i morawskich, towarzyszył

Elżbiecie. Wśród tłumnego otoczenia panów czeskich, niemieckich i morawskich, wśród zbrojnego hufcu dziewięciuset koni, co dodawało orszakowi świetności i bezpieczeństwa, widziano panie czeskie, pod których szczególną opieką jechała królewska narzeczonej. Na spotkanie rakuskiego poselstwa wyjechało polskie, co do liczby jezdnych dwakroć przenoszące orszak Elżbiety, a znakomitością uczestniczących senatorów i rycerskiej młodzieży zaszczytnie reprezentowało Polskę, ku której młodzianka królewna zbliżała się z nieśmiałością i trwogą tajemną. Dwa te orszaki były to niby dwa różne światy, dwie różne sfery pojęć, obyczaju i temperamentu, które się spotkały na wzgórzu Cieszyńskiego zamku. Od owej chwili Elżbieta wchodzi do dziedzin polskiej mowy, obyczaju, tradycji, które się dla niej stają niby rodzinnymi jej właściwościami; ukochała ona je szczerze, i przeszło pięćdziesiąt lat stała wiernie, statecznie na straży polskiego znicza narodowego.

Jedna już tylko baszta samotna, a tuż obok odnowiona, odświeżona, z ruin dźwignięta kaplica zamkowa i w proch rozsypujące się, kute w kamieniu orły piastowskie na szczytach, węglach baszty, a wszystko to otoczone parkiem cienistym, na górze nad Olzą — oto jedyne zabytki, jakie dzisiaj widzimy w Cieszynie z pozostałości dawnego zamku szląskich Piastowiczów. W epoce, o której mówimy, w XV wieku, szeroko się ów zamek rozposcierał na wyniosłym wzgórzu i zaliczać się mógł do większych i wspanialszych siedzib książęcych, dlatego też naznaczono go miejscem spotkania dwóch godowych orszaków — polskiego i rakuskiego — dlatego też, wśród jego murów i w przyległym mieście dwudniowy odpoczynek znalazły tłumne godowe orszaki, liczące ze trzy tysiące jezdnych — król tam nie przybył. Reprezentowali go i zastępowali przedniejsi senatorowie, a panie — Tarnowska, żona Jana Feliksa pana na Tarnowie, Tenczyńska, Ostrogowa, panie z Szamotuł, z Czyżowa — z rąk niewiast

czeskich i niemieckich odebrały cesarzównę Elżbietę, aby ją otoczyć opieką swą i towarzyszyć w podróży z Cieszyna na Wawel. Podczas wypoczynku weselnych orszaków na Cieszyńskim zamczku i dziwnie powolnej podróży przez Oświęcim, Skawinę do bram Krakowa, z gorączkowym pośpiechem toczyły się przygotowania na Wawelu do wjazdu królewskiej narzeczonej... Patrząc na ów pośpiech, zapobiegliwość w dokonywaniu przygotowań, na rozpoczęte już niejako uroczystości godowe, podczas zjazdu w Cieszynie, niepodobna było ani na chwilę wątpić, iż już jeno niewielka liczba godzin oddziela Elżbietę od chwili ślubu w katedrze krakowskiej. Stolica z niecierpliwością oczekiwała na ową chwilę. Orszaki godowe zbliżały się już ku Skawinie, wieżycy krakowskiej, zarysowujące się w głębi horyzontu, witały przyszłą swą królową — gdy niespodzianie nadbiegli gońcy królewscy wstrzymujący dalszy pochód uroczysty... Na skawińskim zamczku zatrzymano się... W ciasnem, ubożuchnem miasteczku, i wśród obwarowań szczupłego zamczku skawińskiego, wzniesionego ongi przez Kazimierza W., cisnęły się tłumy jezdnych, pieszych, kolasy, wozy, pancerze, orężni i ciury, juki i ogniska. Skawina stała się niespodzianie taborem ogromnym, który, na jedną tylko noc roznieciwszy stosy płonące, gościł tam trzy doby. Nie wielu wiedziało co to ma znaczyć; gubiono się w domysłach; cichy szept zdumienia, troski przebiegał poza ostrokołami zamczku i wśród ognisk zbrojnego taboru, iż rychło cały tabor godowy ku odwrotowi mieć się będzie, iż wprędce nadbiegną nowi gońcy z Wawelu, z poleceniem, by księżniczka wracała tam, skąd przybyła, iż układy małżeństwa zostały zerwane. W tym szmerze domysłów było ziarno prawdy. Uczucie niewieściego współczucia i pewien takt pań naszych, towarzyszących Elżbiecie, strzegły ją od echa tych fatalnych domysłów i starały się upozorować zwłokę potrzebą uzupełnienia niezbędnych przygotowań. W orszaku

jednak niemieckim, tworzącym najbliższe otoczenie królewskiej narzeczonej, inaczej mniemano: domysłano się, iż król polski „żałuje powziętego zamiaru i myśli zaniechać małżeńskich związków“... Te domysły i obawy cudziomskich panów znać dość jawnie i głośno przejawiały się, gdyż Długosz wniósł je do swych roczników, nie wskazując wszakże, czy były uzasadnionemi. Inne źródła dziejowe wyraźnie zaznaczają, iż troska niemieckiego otoczenia Elżbiety nie była bez podstawy. W umyśle Kazimierza, gdzie myśl zaślubienia Elżbiety jeszcze nie ustaliła się, powstały pewne powątpiewania, chociaż, jak widzimy, dość już spóźnione. Znać znowu obraz nadodrzańskiej księżniczki Zofii, zawitał do jego myśli, wysłał bowiem gońca z ponownem zaleceniem, aby się przypatrzone raz jeszcze dążącej do Krakowa narzeczonej i zdano mu sprawę. Zdanie sprawy Kazimierzowi tak brzmiało: iż królowa oblubienica „ni do kogo prawie nie była podobna w twarzy i na wyroście“... Takie orzeczenie posła wysłanego na oględziny nie zadowalnia króla, wahanie się jego wzmacnia, postanawia zerwać wszystko. W sto lat prawie po owej pamiętnej chwili w dziejach domu Jagiellońskiego, słyszano następującą relację o tym wypadku, opartą znać na ustnem podaniu. Czytamy w opowiadaniu z połowy XVI w. następujące szczegóły, które w dosłownem brzmieniu tak głosiły: „Król Kazimierz wezwał panów rad swych i powiedział, iż mu się ta oblubienica nie podobala, i żądał, aby mu do tego radę swą dali, jakoby jej próżen być mógł, bo jej żadnym obyczajem za małżonkę mieć nie chciał. Rada bacząc, iż ożenienie to pańskie w tak poważnym, zamożnym domu, miało być ku wielkiej sławie pańskiej i ku dobru Rzpltej, a gdzieby też wzgardzenie było, iżby to przyszło ku stracie i upadkowi koronnemu, radzili panu swemu, tak jako byli powinni, aby tego nie czynił: bo by jemu lekkość i koronie upadek uczynić to mogło. Co gdy królowi k' myśli nie było, i nie chciał do-

mienie w tem umysłu swego, powiedziała mu rada jego z tej chuci, którą naonczas ku panu swemu i ku dobru Rzpłtej mieli: „królu nie będzie to!“¹⁾...

Tak stanowczy opór, spotkany wśród rady królewskiej, zdawało się, iż wywoła w Kazimierzu, znanym z energii, wzmożenie się niechęci, iż król uparcie stać będzie przy swej myśli zerwania, iż niespodziana ta sprawa przy spotkaniu się dwóch potęg, jednako twardych w swem zdaniu, niby opoka, nie wytworzy pożądanego porozumienia, co później wielokroć widziano, podczas długich rządów Kazimierzowych. Zdawało się, iż wedle włoskiego przysłowia, *duro con duro non fa buono muro* (twarde z twar-dem muru nie wytworzy), iż iskrę porozumienia nie wykrzeszą dwie twarde wole. Stało się inaczej. Król uległ namowom rady swej, senatorów, do których przyłączał się zapewne głos królowej matki, Zofii, wdowy po Jagielle. Pani ta, jak wiadomo, wpływ wywierała na sprawy publiczne, aż do chwili wstąpienia na tron Kazimierza Jagiellończyka. Energia jej znana była powszechnie, a gniew w który niekiedy wpadała, budził wielokroć obawy. Była w tych rysach charakteru jakby prototypem syna, syn też powodował się wolą matki. Relacya z XVI w., którą przytaczaliśmy, całą zasługę szczęśliwszego obrotu tej sprawy przyznaje królowi. „Król święty — wołano w sto lat po Jagiellończyku — dał w tem rozumowi, a radzie ich tak zgodnej a życzliwej większe miejsce, niż swemu zdaniu i afektom swoim; przestał na tem, acz mu to k' myśli bardzo nie było...“

Takie to więc narady toczyły się w królewskich komnatach na Wawelu, tak szybko przechylała się szala losów Elżbiety; podczas gdy ona w Skawinie czekała na rozwianie się mgły niepewności, zawisłej nad jej głową.

¹⁾ Rzecz pana Jędrzeja Grabie z Górki... z r. 1548, w Bibl. Pol. Turowskiego.

Dłoń Przedwiecznego szybko odwróciła kartę jej losów. Skoro raz umilkły niepewności falujące w duszy Kazimierzowej, nie już nie stało na przeszkodzie do wjazdu uroczystego królewskiej oblubienicy do Krakowa. Nawet zmiany atmosferyczne, gwałtowne — gdyż po dniach mroźnych nastąpiły srogie ulewy — nie odroczyły ani na chwilę owego wjazdu, upamiętnionego w kronice Długoszowej. Roztoczono tu przepych niezmierny, olśniewający cudzoziemców, budzący podziw własnych tłumów. Historycy zapisywali skrzętnie imiona książąt szląskich, otaczających króla i jego matkę, i nazwiska senatorów, towarzyszących wjazdowi, i cenę rynsztunków króla i jego otoczenia. Nacoczny świadek tej uroczystości, która cały dzień trwała, wyjechał bowiem na spotkanie o świcie dnia zimowego (9 lutego), a wieczorem dopiero zdołała Elżbieta wejść do izb zamkowych na Wawelu — tak opowiada o szczegółach wjazdu Elżbiety¹⁾: „Król Kazimierz w swoim przybraniu pełnem blasku, gdy samo siodło, wędzidło i odzienie królewskie, prócz koni nakrytych rzędami z aksamitu i złotogłowu, na czterdzieści tysięcy czerwonych złotych ceniono, wspaniale wyglądał. Przesadzali się w tym przepychu i niektórzy posłowie polscy, wystąpiwszy wraz ze swemi drużynami na koniach suto przybranych, w świetnym stroju, błyszczącym złotem i purpurą. Nie sprzyjała atoli pogoda tej uroczystości królewskiej, od rana bowiem do wieczora deszcz ulewny padał: zaczęły te bogate stroje, przemokłe od słoty, w większej części poniszczały... Ze wszystkich kościołów powychodziły procesye, a z niemi wszystkie stany na przyjęcie królowej; ale nikt nie mógł dotrzymać miejsca z przyczyny ulewnego deszczu, i wszyscy przymuszeni byli jak najspieszniej uciekać do domu. Po wzajemnem przywitaniu i podaniu ręki, Zofia królowa wzięła narzeczoną królewską, Elżbietę, do swego powozu, i przy

¹⁾ Długosz.

odgłosie trąb, już ku wieczorowi (dla wielkiego natłoku ludzi nie można było prędko jechać) odwiozła do zamku krakowskiego, gdzie ją u podwojów kościelnych witał Zbigniew kardynał i biskup krakowski z gronem prałatów i kanoników krakowskiego kościoła. A gdy królowna oddała pokłon Bogu, i złożyła na ołtarzu ofiarę, odprowadzono ją do pałacu królewskiego“...

Daliśmy tu głos naocznemu świadkowi, wyżej już przytaczanemu Długoszowi, chcieliśmy bowiem, aby nas tu wyręczyły i głos, i myśl XV stulecia. Świadectwa, powstające z głębin prastarej przeszłości, chociaż niekiedy zbyt lakoniczne, lub zbyt prostą techną, stokroć więcej nauczyć nas mogą, niż daleko sięgające odgadywania, lub rozumowania dni dzisiejszych, acz w formę pończotną odziane.

Zaledwie brzask dnia następnego, a była to niedziela, rozświecać zaczął od strony „Łąki św. Sebastjana“ mury okalające gród stołeczny, zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na szczyt Wawelu, na wieżyczkę zamkową, noszącą nazwę „Kurza stopa“, mieszczącą w sobie izby niezapomnianej w dziejach naszych niewiasty, królowej Jadwigi — rozpoczął się na podwórzach zamkowych gwar przygotowań do obrzędu ślubnego. Kwestya kto będzie ślub dawał — prymas, czy też kardynał Zbigniew z Oleśnicy, biskup krakowski — zajęła znaczną część dnia. Każda ze stron miała na poparcie swych praw pewną ilość słuszności¹⁾. A że obok każdego ze spierających się dostojników Kościoła grupowała się partya senatorów świeckich — około Zbigniewa Małopole, a Wielkopoleanie około prymasa — spór przybrał większe rozmiary i zabarwił się współzawodnictwem odwiecznem prowincjonalizmów — wielkopolskiego z małopolskim.

¹⁾ L. c.

Okoliczności ówczesne miejscowe, chwilowe, wynalazły drogę do załatwienia tego sporu, do wyjścia na razie z trudności.

Gościł wtedy w Krakowie, przeszło od pięciu miesięcy, zakonnik reguły św. Franciszka, mąż pełen ducha Bożego, Jan Kapistran (*di Capistra*), który w całej środkowej i południowej Europie słynął ze swej wymowy i gorliwości w nawracaniu heretyków, grzeszników; Polska od kilku miesięcy posiadała go, i Kraków a nawet cała Małopolska brzmiały echem entuzjastycznych dlań pochwał, podziwem jego życia surowego, wielkich umartwień, a cnót iście ewangelicznych. Otóż ten mąż Boży, przedmiot ówczesnych, niezmiernego zapалу owacyj, wybrany został jako pośrednik w rzeczonej sprawie. Zbigniewowi, na mocy rzeczywistych orzeczeń prawa kanonicznego, przyznał on słuszność; znać jednak nie chciano żadnego z dostojników Kościoła obrazić, a więc Jan Kapistran, za pozwoleniem miejscowego biskupa, t. j. Zbigniewa, miał ślub dawać, lecz podczas obrzędu wyręczał go, jako nieumiejącego ani po polsku, ani po niemiecku, tenże Zbigniew i czytał formułę ślubnej przysięgi. Po ślubie natychmiast miała miejsce koronacya Elżbiety, śpiesznie dokonana przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, gdyż dzień miał się już ku schyłkowi... Ośmiodniowe uczty, turnieje, festyny, sute podejmowania znakomitych panów niemieckich, węgierskich, czeskich, morawskich, którzy towarzyszyli Elżbiecie, za jej orszakiem ciągnęli do Krakowa, i po ośmiu dniach hojnie obdarowani, odjechali, zakończyły owe świetne, nadługo w polskiej stolicy pamiętne gody weselne królowej Elżbiety.

Widzieliśmy dotąd królową Elżbietę wśród gwaru rycerskiego orszaku, który ją przywiozł do Krakowa, wśród przepychu, co olśniewał zdumiewającym blaskiem swoich i obcych; poza temi akcesoryami chwili, poza tłumem dworzan, poza poważnem gronem senatu i przedniej-

szych matron, trudno było dojrzeć rzeczywistych właściwości owej królowej, przeszło pół wieku gospodarzącej na Wawelu... Przypatrzmy się jej jaką była w purpurze, nie w złotogłowie, ale w życiu codziennym, na gościach obowiązków, w stosunku do swych najbliższych, jaką była żoną, matką, obywatelką kraju, który dla niej stał się drugą ojczyzną.

Zadanie, które mamy w tej chwili, byłoby przetrudnem, prawie niepodobnem do rozwiązania, gdyby nie maluczki traktat łaciński, który do nas doszedł z końca XV w. Traktat ten pedagogicznej treści, (*de institutione regii pueri*), jak powszechnie wiadomo, nie przez królową Elżbietę, ale pod jej imieniem napisany, zawiera dużo rysów, drobnych napozór, lecz wiele mówiących dla oka, które pragnie wpatrzeć się w przeszłość, i z okrucich myśli umie odtworzyć całą duchową istotę tej, która, chociaż nie była autorką rzezonego traktatu, była dlań wszakże natchnieniem, wskazówką, wzorem... Z myśli, pojęć, uczuć owej królowej spleciona główna ośnawa tego traktaciku; ta ośnawa, co mu dała barwę wybitną, barwę niespłowiałą w ciągu wieków, co wyróżnia go od secin innych rozprawek, broszur, listów średniowiecznej doby, co go cennym dla nas czyni, i ze względu na królową Elżbietę, i w ogóle. Traktat ten, czyli rozprawka pedagogiczna, w formie listu, nosząca tytuł w oryginale łacińskim: „Elżbieta królowa polska do Władysława króla Węgier i Czech, najukochańszego syna, o wychowaniu dziecka królewskiego“, napisaną była na trzy lata przed zgonem Elżbiety (zmarłej w r. 1505), a mianowicie, jak się domyślać należy, napisaną była w owej chwili, gdy syn jej najstarszy, Władysław, żenił się z Anną de Foix, hrab. Angouleme (w r. 1501).

Rzecz to powszechnie już przyjęta i wprowadzona do dziejów literatury, jako pewnik, iż Elżbieta nie była i być nie mogła autorką owej rozprawki pedagogicznej, dała tylko do niej myśl główną, wysnuła ze swego umysłu

mnóstwo rad, uwag, przestróg, które stały się wzorem, wedle których sekretarz królowej, czy też ktoś z ludzi nauki na krakowskim dworze przebywający, ułożył stosownie do wymagań ówczesnej sztuki epistolarnej, list łaciński. Nie chwila tu, byśmy bronili praw Elżbiety do autorstwa owej rozprawki pedagogicznej, niemniej jednak ona była dla takowej natchnieniem, czemu nikt nie zaprzecza i zaprzeczać nie może; a zatem w owej rozprawce, niby w zwierciadle, odbijają się pojęcia, zasady, nawet upodobania Elżbiety.

Zastanawiano się, kto był owym sekretarzem królowej, który ów list ułożył. Lecz i ta kwestya ostatecznie nie rozstrzygnięta. Czy nim ma być Erazm Ciołek, bądź Drzewiecki, jak chcą A. Przeździecki i Zeissberg, czy też Jan Sylvius Sycylijezyk, jak domyślał się Szujski, rzecz to ostatecznie podrzędna. Wszystko, co stanowi istotę rozprawy, co tworzy jej ducha, wyszło z myśli i serca królowej — sekretarz ubrał tylko owe myśli polskie, pełne rozumu i miłości tradycyi rodzinnej Jagiellońskiej dynastyi w szatę łacińskiej mowy, ozdobił krasomówską sztuką.

Elżbieta, chociaż w dzieciństwie straciła rodziców, chociaż materyalna strona jej utrzymania, jako księżniczki domu panującego, najzupełniej była, przez pewien czas przynajmniej, zaniedbaną (opiekunowie bowiem tak zapominali o sierocie, iż w dzieciństwie obuwie jej całem nie było, a sukienki liche składały jej garderobę), ale stronę umysłową uprawiano za to pilnie. Średniowieczna literatura niemiecka posiada na swych kartach chlubnie zapisane imię Heleny Kottannerin, kobiety na swój czas uczonej, która zostawiła pamiętniki, w ułamkach do nas doszłe. Autorka tych pamiętników, w staroniemieckiej mowie skreślonych, niepospolita niewiasta swej epoki, była wychowawczynią naszej królowej, Elżbiety. Pamiętnik Heleny Kottannerin (*Aus den Denkwürdigkeiten der Helene Kottannerin 1430—1440*. Leipzig — 1846), wraz z rozprawą, o wy-

chowaniu królewskiego dziecka“, tworzą nieoceniony, acz maluczki materyał dla tych, którzyby zechcieli bliżej poznać się z wybitną postacią żony Jagiellończyka.

Twarde życia warunki, walka z niemi w dzieciństwie, wpatrywanie się w obraz rzeczywistych stosunków świata własnymi oczyma, lecz nie przez pryzmat obcych zapatrywań, wytworzyły z Elżbiety niewiastę o hartownej woli i większego od innych kobiet doświadczenia. Helena kształciła Elżbietę w tych umiejętnościach, które sama posiadała, a są nawet wskazówki, że uczennica pod względem sumy wiadomości przewyższała mistrzynię. Elżbieta posiadała języki, oprócz niemieckiego, czeski, łacinę, węgierski, później polski, który stał się dla niej niby drugim ojczystym — falą tej mowy polskiej otoczona była pięćdziesiąt dwa lata, bo to jest liczba lat jej w Rzpltej panowania. Nierównie szacowniejsze skarby niż wiedzę posiadała ona w zakresie pojęć moralnych, które rozwija przed okiem naszym w rozprawie o wychowaniu. Wedle jej zasad, umoralnienie powinno wyżej stać nad ukształceniem, w czem jest zwolenniczką teoryj pedagogicznych włoskich z pierwszej połowy XV wieku. Ta teoria skłania ją do wypowiadania, iż dla panujących potrzebniejszą jest dobroć niż nauka. Rządząc się taką zasadą, przeprowadzała ją znać w czynie, gdyż każde z jej dzieci odznaczało się zacnością, prawością charakteru; byli wśród nich może słabi, ale zawsze prawi, zawsze szanujący nieć miłości, która ich łączyła ze społeczeństwem, zawsze połączeni ścisłemi węzłami braterskiej, rodzinnej miłości w jedno ognisko rodzinne, w jedną rodzinę, miłującą i poważającą siebie wzajem. To wytworzenie rodziny zacnej, to wykształcenie z synów ludzi prawych, zdobywających miłość ludów, jest przeważnie królowej Elżbiety pracą. Głównem zadaniem jej życia nie sprawy publiczne, nie wdzieranie się do dziedziny polityki, nie tworzenie stronnictw, i stawanie na ich czele, lecz mąż i rodzina.

Wszedłszy do izb zamku wawelskiego, Elżbieta zastaje tam tradycje poprzednich królowych nie liczne, lecz dobre. Jedna nie tradycyi łączy ją z pamięcią Jadwigi, królowej prawie świętej, królowej górującej cnotą życia, ofiarą bezbrzeżną siebie dla społeczeństwa, dla kraju, którego berło piastowała, druga wskazywała jej, żyjącą jeszcze, czynną, energiczną królową Zofię, matkę Jagiellończyka. Pierwsza staje się dla niej wzorem szczytnym, niedoścignionym, jej imię ze czcią wspominają, jej duch powiewał jeszcze u stóp „Czarnego Krzyża“, w katedrze na Wawelu, tam, gdzie wedle słów legendy, Chrystus własnymi usty przemówił do niej słowem otuchy, gdzie postać Chrystusa, na krzyżu bolejąca, koła jej własny ból życia całego. Królowa Zofia nie z poza świata do niej mówiła, ale widomym cnoty była przykładem. Zaprzętały ją wprawdzie sprawy publiczne, lecz i w życiu powszedniem, codziennem, pani ta miała czas i wolę na dobre czyny. Hojność jej stała się przysłowiową, w spadku krwi do wnuków przeszła, na prawnuka spłynęła. Posiadamy wskazówki, iż matka Jagiellończyka otaczała się ubogą dziatwą, dziewczeczkami, którym dawała opiekę, nieciła w ich młodocianych sercach płomyki cnót chrześcijańskich, a rozświecała ich główki wiedzą, uposażała je później szczerobliwie, gdy za mąż wychodziły. Pierwsza to szkoła niewieścia w Krakowie, o jakiej wie historia. Szczerobliwość królowej Zofii stała się sławną szeroco. Wiedziano nawet w dalekim Rzymie o jej opiekowaniu się ubogimi dziewczętkami. Gdy bowiem, w r. 1451, papież Mikołaj V ogłaszał dla Polski „miłościwe lato“, wydał brewe, iż każdy odbywający pielgrzymkę do jednego z czterech kościołów w Polsce (Krakowa, Lwowa, Gniezna i Wilna) dostępuje takiegoż odpustu, jakby do Rzymu odbył pielgrzymkę: pieniądze zaś, któreby wydano na tę włoską pielgrzymkę, powinni byli złożyć w jednym z czterech wyżej wskazanych kościołów polskich, a suma ta miała być użytą w połowie dla skarbcu

królewskiego, jako subsydyum, „na wojnę z niewiernymi“, w połowie zaś iść powinna była dla papieża, na naprawę kościołów rzymskich, i dla królowej Zofii „na posag ubogim dziewczcom“. Czyny miłosierdzia i cnoty prawdziwie chrześcijańsko-narodowe witały Elżbietę u progów komnat królewskich na Wawelu. Czyny poświęcenia, do których węgielnym kamieniem był czyn najszczytniejszy — poświęcenia siebie dla innych — jak to uczyniła ta, co spoczywa u lewej strony ołtarza wielkiego na Wawelu, czyny niecone później hojną dłonią królowej Zofii, długo jeszcze przyświecać miały życiu tych królowych naszych, co na zamku krakowskim gospodarzyły. Póty czynów miłosierdzia, póty dzieł cnoty czynnej, w życiu, obyczajach, na dworze królowych naszych, póki ów dwór nie zeudzoziemczał; a tak długo był swojskim, póki się trzymał murów wawelskiego grodu. Wnuczka Elżbiety, prawnuczka królowej Zofii, wszystkim nam tak dobrze znana, Anna Jagiellonka, jest ostatnią koronowaną panią trzymającą się tego prastarego gniazda Piastów. O niej to, u jej trumny, przy schyłku XVI w. rzekł Skarga: „Tyś cnotami swemi zamknęła Jagiellońską krew, i domowi twemu takiś piękny koniec i zamknięcie zejściem swoim dała, cnoty i miłość ku poddanym wyrażając. Byłaś przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego, z ciebieśmy mieli nie tylko pomoc i uweselenie, ale i zbudowanie. Tyś była chlubą narodu, uweselałaś poddane twoje, byłaś ludu twego ozdobą“. Takimi to słowy Polska żegnała ostatnią panią wielkich cnót domowych z Jagiellońskiej rodziny. Cnoty te urosły jednak nie na ugorze, podścieliskiem dla nich było półwiekowe panowanie na zamku wawelskim Elżbiety, były dobre tradycje Zofii, były legendy, opromieniające wiekopomną pamięć prawie świętej królowej, tej co pierwsza niosła krzyż prawdziwej wiary nad Wilią i Niemen, która czynem, nie głębokiej nauki, nie żmudnem książkowem badaniem, ale cnotą i ofiarą, siłą ducha, zdobytego modli-

twą i łzami, zaparciem się siebie, rozszerzyła potężnie między cywilizacyi na północno-wschodnie krawędzie europejskiego ładu. Do tej wspaniałej duchowej spuścizny, która nigdy nie ginie, a bujny plon daje dla pokoleń całych, życie Elżbiety dorzuciło niemało.

Była Elżbieta przede wszystkim wychowawczynią wzorową swych dzieci. A dzieci tych było dziwnie wiele: trzynastcie razy nowe kolebki stawały w jej komnatach, stała się bowiem matką trzynastciorga dzieci, sześciu synów i siedmiu córek. Każde z dzieci było jej piersią karmione, każde równie starannie przez nią wychowywane, z jednaką pieczołowitością strzeżone. W dziełku swem, o którym wspominaliśmy, z oburzeniem mówi królowa o karmieniu dzieci przez mamki. Zalecała więc synowi, gdy się dziecięcia spodziewał, żeby to dziecię sama matka karmiła, a to dla tego — jak się wyraża — aby niemowlę, karmione mlekiem obcem, „przybłędnem“, nie urosło tem samem na coś obcego, aby z mlekiem obcem nie weszły pierwiastki obce do organizmu, nie wywarły w przyszłości złego wpływu na stronę moralną dziecięcia. „Karmione mlekiem obcem — mówi Elżbieta — mogłoby dziecię w przyszłości odrodzić się od Kazimierza i innych naszych przodków“. Wyrazy te jakąż wymowną dla nas ilustracyą jej miłości Jagiellońskich tradycyj, miłości męża, o którym nie zabacza wspominać, nawet i w tym razie, gdy chodzi o kwestyę napozór małą, o karmienie dziecka mlekiem matki. Ta myśl nieustanna o mężu, który od dziesięciu lat był już w grobie, uwydatnia się u niej wszędzie; mówiąc o przyszłym wnuku już go mieni Elżbieta Kazimierzem. Gdyby ów przyszły wnuk nie mógł być przez matkę karmiony, to zaleca królowa, aby wynaleziono mamkę „zaczoną, przystojnych obyczajów, a jeśli można, z rodziców szlacheckiego pochodzenia urodzoną, która nadto powinna zdaniem mojem — dodaje królowa — posiadać wykwinną wymowę, ażeby dziecko zaraz z młodości razem z mle-

kiem ssalo uczciwość, skromność, oraz żeby przyzwyczajało się do dobrego wymawiania"... Dusza dziecięcia, wedle pojęć Elżbiety, silniejszemu niekiedy ulega zepsuciu ze strony mamek, niż ze strony późniejszych mistrzów, we wzroście drzew więcej waży natura gruntu, niż natura nasienia.

W całym toku przepisów pedagogicznych królowa znać przypominała sobie to wszystko, co sama zastosowywała przy wychowywaniu własnych synów. Wychowanie królewiczów jednoczyło dość harmonijnie ćwiczenie ciała z uprawą umysłu; spotykamy wiele wskazówek, iż twar-dym był rygor, któremu królewiczów poddawano, a warunki ich życia niezmierną odznaczały się prostotą. Wdzielku z XVIII w. zapisał ks. Jan Bielski wyrazy zaczerpnięte z dawnego rękopismu, wyrazy Zygmunta I, które dorzucają jeszcze jedno świadectwo o tej surowości życia pacholąt Jagiellończyka. „Było nas kilku braci, poddanych ćwiczeniu Longina, którego pospolicie Długoszem zowią — głoszą owe wyrazy najmłodszego z synów Elżbiety. Zimą odziewano nas w kożuchy z baranków, pokarmy spożywalimy proste, użycia wina nie dozwalało nam wcale, spoczywaliśmy na twardym łożu, innego nad wyborowe nie znaliśmy towarzystwa. Jacy więc obecni jesteśmy, lub byliśmy, słuszniej potomni osądzą“...

Uzupełnić ową relację Zygmuntową zarówno możemy z niektórych wskazówek kroniki Długosza jak najmniej z cytowanego tu już dziełka królowej Elżbiety. Obiedwie relacje uzupełniają się. Wiele rysów charakteru synów Jagiellończyka są jakby owocem rad zawartych w książeczce królowej Elżbiety; znać te myśli, pojęcia, zasady przyświecały owej niepospolitej kobiecie, gdy własne dzieci kształciła.

Przebiegniemy tu, bodaj pobieżnie, bardziej wybitne jej wskazówki pedagogiczne. Głównym celem wychowania, do którego dążyć należy, powinna być cnota, a przewo-

dnikiem na ścieżkach cnoty własne sumienie młodzieży. Znanemi są powszechnie tradycje o surowości dla synów Kazimierza Jagiell., który miał mawiać, iż najmilszą dla niego muzyką jest płacz synów ćwiczonych dłonią Długosza, kanon. krak., wychowawcy synów królewskich, w ciągu lat przeszło jedenastu (1468—1480). Lecz tradycja owej surowości nie znajduje potwierdzenia wśród rad królowej; tam bowiem powiedziano wprawdzie ogólnikowo, iż pacholę może być strachem powściągane; ale nie spotykają się żadne wyraźniejsze wskazówki o karach i nagrodach, jako środkach pedagogicznych, a natomiast czytamy cenną uwagę Elżbiety, aby chłopiec żadnego świadka bardziej się nie bał nad własne sumienie. Ta zasada w czyn wprowadzona utrzymywać miała dziecię na gościńcu cnoty. Przykłady cnót czerpano z dziejów starożytnego świata, z dziedziny upodobań ówczesnego humanizmu, który wielokroć zapominał zupełnie o chrześcijańskich wzorach, tak mu żywo w pamięci zarysowywały się wzory z dziejów Grecji i Rzymu, przykłady świata pogańskiego, z areopagiem jego filozofów, bohaterów, bogów i półbogów. Wskazówka to dla nas wymowna, iż dłoń, praca jakiegoś ówczesnego humanisty układała w formie traktatu pedagogicznego myśli królowej Elżbiety, acz te myśli są kwiatem wzrastającym z ziarna prawd chrześcijańskich.

Kreśląc ideał króla, Elżbieta daje nam ideał człowieka; gdyż w istocie człowiek, któryby posiadał tyle cnót, któryby był tak sprawiedliwym, mężnym, stałym, wspaniałomyślnym, rozważnym, panującym nad sobą, wstrzemięźliwym, wyższym nad drażliwość miłości własnej, znoszącym jednako dobre i złe losy, że zamilczę tu o innych wymaganych przez nią dodatnich przymiotach, byłby tem samem ideałem człowieka.

Niewiasta, która tak wysokie miała pojęcie o przymiotach niezbędnych dla króla, która wzniosłe ideały stawiała za wzór i cel, do którego wychowawca powinien

dażyć, była bezzaprzeczenia niewiastą wielkiego serca i umysłu. Wszystko, co powiedziała w rozprawie swej, o wychowaniu syna królewskiego, urosło na zagonie doświadczeń, zebranych wcale nielekka pracą. Życie jej, acz na tronie upływało, twarde było. Samo wypiastowanie trzynaściorga dzieci wymagało trudów niezwykłych, a dzieci przychodziły na świat w przerwach niedługich; niekiedy, jak np. w 1478, gdy przyszły na świat córki Elżbieta i Barbara, rodziły się one dwakroć w ciągu jednego roku. Brzemie obowiązków tem dotkliwszem mogło się mienić, iż dni jej życia i trosk macierzyńskich nie upływały wśród zupełnego spokoju w izbach królewskiego zamku na Wawelu, lecz owe dzieci na różnych zameczkach obszernej kraju przychodziły na świat, i gwar obozów lub okrzyki blizkiego nieprzyjaciela spokój ich kolebek wciąż zakłócały.

Pierwsze trzynaście lat po jej zamałpójściu trwa wojna o odzyskanie Dolnego Powiśla. Jagiellończyk bierze w niej osobisty udział, a żona wciąż mu towarzyszy, co niekiedy bywało nawet połączone z prawdziwym niebezpieczeństwem, budzącem tem większe obawy, iż królowa podejmowała owe ciężkie, pełne niewygód z mężem podróże, o każdej roku porze, bez względu na stan niekiedy zły, lub niepewny swego zdrowia. Gdy król posuwa się w głąb ziem krzyżackich, Elżbieta bawi na Nieszawskim zameczku, a kiedy on dąży na obrady sejmowe, do Piotrkowa, zostawia małżonkę na zamku Radomskim. Podróże na Litwę, częste, uciążliwe, również nie obydwały się bez królowej. Towarzyszy ona mężowi zawsze ochotnie, lubo z wysiłkiem niekiedy, a wśród tych przejazdów, przesuwać się spieszących, spowodowanych nieraz okolicznościami wojny krzyżackiej, przychodzą na świat nowe dzieci, i trwa troska o pielęgnowanie nieco starszych. Sfera spraw politycznych dla niej obca; nie dlatego przecież by umysł jej niewieści objąć ich i kierować nimi nie zdołał, ale znać

z zasady, iż się król ma tem trudnić, udziałem zaś Elżbiety pozostaje zawsze dziedzina obowiązków rodzinnych. W tej dziedzinie jest wciąż czynną, przeszło pół wieku, stojąc na straży ogniska rodzinnego, jako matka i babka. W drugiej życia połowie biją w serce tej matki niezrównanej gromy rodzinnych klęsk. Umierają dzieci. Z siedmiu córek gasną dwie malutkimi, a z sześciu synów, chociaż wszystkich zdołała wychować, wszakże los jej nie oszczędził boleści; płakała, już w późniejszych latach życia, zarówno u trumny męża, jak i dwóch synów. Trumna Olbrachta zawarła w sobie jej najdroższe ukochania — to bowiem najulubieńszy z dzieci. Historya nie zalicza go do największych, dla Elżbiety był on zawsze najmilszym, chlubą i pociechą. Gdy Olbrachta nie staje, Elżbieta głośno już szybko, słodzi sobie dni smutku, układając znane nam rady, o wychowaniu dziecka królewskiego, i siłą woli, panując nad bolem, przedłuża swe życie o lat kilka. Syna Kazimierza, który zaliczony później został do rzędu świętych, pochowała znacznie wcześniej niż męża (1484 r.), a gdy życie kończyła, patrzyła na domowe smutki syna Aleksandra i przeczuwała zgon jego blizki. On też rzeczywiście o kilkanaście tylko miesięcy przeżył matkę.

Smutki życia rodzinnego — które tu wyliczyliśmy — były jedynymi jej smutkami w życiu długim, ale natomiast, ileż radości, ileż chwil rzeczywistej pogody dają jej losy. Nie wymagając od życia więcej, niż ono pospolicie przynosi, Elżbieta w spełnianiu obowiązków widziała największą podstawę szczęścia: i to jej nie zawiodło.

Prawie czterdziestoletnie związki małżeńskie opromieniała wspólna miłość obojga małżonków. Zawarte one zostały — jak wskazaliśmy — w warunkach niewiele na przyszłość wróżących. Kazimierz wahał się, przychodziła mu niewczesna myśl o owej Zofii, księżniczce na Szczecinie; Elżbieta z trwogą, dość uzasadnioną, wchodziła pod sklepienia wyniosłe gmachu wawelskiego, umiała wszakże

tam nieść szczęście, umiała złe wróżby obalić, mgłę nieufności rozprościć, umiała obudzić uczucie w sercu Kazimierza Jagiellończyka i swem uczuciem szczerem, statecznem opromienić długie a pomyślne lata jego panowania. Pomyślną tę zmianę głównie zawdzięczano Elżbiecie, prawości jej charakteru, cnotom domowym; zwodnicze blaski piękności, w które jak wiemy, ona nie obfitowała, gdyż jak to ongi przywieziono wiadomość Kazimierzowi „do nikogo prawie nie była podobną w twarzy i na wyroście” — nie grały tu żadnej roli. Przymioty jej osobiste wytworzyły szczęście domowe, roznieciły płomień uczucia w Kazimierz, i zgotowały dla niej dni szczęścia. A szczęście to, zapracowane przez Elżbietę, trwałem było, bo pracowała nań sama życiem całym. Tradycja o owym ich spokoju domowym, przechodząc w spuściźnie do późniejszych pokoleń, tak została zapisaną w XVI stuleciu, za rządów wnuka jej Zygmunta Augusta: ... „Z niewdzięcznego z pierwa małżeństwa było potem bardzo wdzięczne, które Pan Bóg raczył uszlacheić zacnym płodem, i z którego byli czterej królmi koronowanymi, piąty kardynałem, szósty tak umarł“. Ten szósty to św. Kazimierz, którego trumnę widzimy w katedrze wileńskiej, a cześć jego świątobliwej pamięci całemu chrześcijańskiemu światu znana jest.

Bielski w swej kronice, mówiąc o zgonie Kazimierza Jagiellończyka, nie zaniedbał dodać słów parę o owej miłości króla ku żonie. „Helżbietę żonę swą nad obyczaj miłował — pisze Bielski — a ona także jego“... Kronikarz nie zużył tu wielu wyrazów, lecz samo już niezabaczanie o królewskim uczuciu, postawienie takowego w szeregu przymiotów Jagiellończyka, świadczy o uroku, jaki to wzorowe życie rodzinne rozlewało wśród potomnych nawet, nie mówiąc o współczesnych. Miłość swą Elżbieta poza grób przenosi, każe siebie chować nie obok grobu najukochańszego z synów, ale obok trumny męża, gdzie

też rzeczywiście złożono zwłoki owej niepospolitej niewiasty, wzorowej matki i żony.

Wśród córek Jagiellończyka i Elżbiety jedna tylko pozostała niezamężną. Nosila ona imię matki, ale mniej od niej szczęściem pochlubić się mogła; długie lata upłynąć miały zanim mogła za mąż wyjść za książątka małuczkie, ubogie, o parę lat od niej młodsze. Było to książątko szląskie, na Lignicy panujące, które zaślubiło ową sierotę po Jagiellończyku już trzydziestosiedmioletnią, zaślubiło jedynie dla honoru połączenia się z potężnym domem Jagiellońskim. W parę lat potem zgasła królewna-sierota na lignickim zameczku. Siostry jej starsze nie zrobiły również świetnych partyj, co zdaje się było jakby dziejowem przeznaczeniem wszystkich naszych królewien. W późniejszej nieco dobie, za dni wnuka Jagiellończyka, z córkami Zygmunta I dzieje się tożsamo; rozpoczynają one czwarty dziesiątek lat życia a zamąż nie wychodzą. Królowa Elżbieta wydaje starsze swe córki wcześniej, lecz nieświećnie. Książątka drugorzędne rzeszy niemieckiej zaślubiają je, lecz i tu nie wszystkie szczęściem pochwalić się mogą. Najstarsza Jadwiga, która za księcia Jerzego Bawarskiego wyszła, pochlubić się szczęściem nie zdołała, pożycie tam było bardzo przykrem, nieszczęścia, co się piętrzyły nad jej głową, wzbudzały współczucie powszechne. Lepszymi były losy innych córek, jak Zofii, która za ledwie piętnasty rok licząc, wyszła za młodzieńczego Fryderyka, margr. Brandenburskiego, z młodszej linii Anspach, z którym miała siedmnaścioro dzieci, a jedno z nich, ów później znany w dziejach, Albert, ostatni mistrz krzyżacki. Inne dwie córki Elżbiety wyszły za książąt Pomorskiego i Saskiego, za książątka z małemi dzielnicami i bez szerszego wpływu, bez obfitych skarbców, oglądając się na posagi naszych Jagiellonek, z których każda brała po 32.000 czerw. złotych; częściowo wszakże, ratami owe posagi wypłacano, dając przy ślubie jedynie część czwartą. Kwestya posagu

królewien naszych, i wówczas, i później bywa źródłem trosk; wypłaty wlokły się nieraz lata całe, i stawały się ciężarem późniejszych pokoleń, które niekiedy z niechęcią, przy zupełnej często niemożności załatwiała owe długi dawnych lat.

Drobnymi szczegółami tymi uzupełniamy tło okoliczności wielokroć bardzo kłopotliwych, niekiedy smutnych, co otaczają Elżbietę. Troski krzewią się czasem zbyt obficie około jej tronu, ale umie ona panować nad wrażeniami smutnemi; nie płacze nad zmianami losu swych blizkich, mężnem sercem niestateczności ich szczęścia znosi, acz na nie nieobojętna...

Wśród trosk jednak, wśród smutków blizkich jej sercu — jak zamknięcie córki najstarszej, Jadwigi, którą mąż trzymał w odosobnionym zameczku bawarskim kilkanaście lat, — gdzie ta biedna samotnica i życie swe skończyła — posiadała Elżbieta pociechę w uznaniu powszechnem, w owej czci, którą świat bliższych i późniejszych pokoleń ją otaczał, w tem uznaniu, iż dobrze, troskliwie wychowała swą dziatwę. I zaiste, w owem wybornem, o poważnem nader zakroju wychowaniu dzieci leży jej główna zasługa w obecnym społeczeństwie, któremu przewodniczyła na tronie, a świeciła przykładem w życiu rodzinnem; w tem wychowaniu wzorowem zawiera się tajemnica zacności jej dzieci, owych królów „dobrych“, umiłowanych przez swe ludy.

Mówiliśmy, iż nie sięgała królowa Elżbieta po ster spraw politycznych. Tak, nie sięgała, lecz fala spraw tych nieraz tak dokoła ją otaczała, iż należało mimowolnie wpływać na ich bieg. Mąż ją kochał, cenił, zawsze i wszędzie mu towarzyszyła, niepodobna więc, by niekiedy nie odbił się ślad jej wpływu; lecz to ślad wpływu raczej dobrej żony, niż królowej, ślad pozbawiony wszelkich cech ambicji politycznej: bo też, zaiste, nigdy jej ona nie posiadała. Jej ambicią najwyższą w życiu — wychowanie dzieci na ludzi zacnych, na dobrych królów; a dwa te pojęcia

zlewają się u niej, niby dwie pokrewne sobie nuty, w jeden akord, a nawet są to dla jej myśli pojęcia jednoznaczące. Zabiegi polityczne w celach osobistych, machinacje dworskie, które się ukazują na dworze wawelskim, około końca pierwszej połowy XVI w., nie znane jej były, nawet z imienia. Ta, która sprawiedliwość kładła jako węgielny kamień cnót każdego króla, która zalecała w swej książeczce pedagogicznej, aby się strzeżono pochlebców, dworskich intryg, aby usuwano co najdalej ucho dziecięcia od słów kłamców, od doradców schlebiających, od brzęku słodkich wyrazów zepsutych ludzi, umiała się utrzymać na wyżynach prawości w sprawach publicznych. Gdy okoliczności kazały jej spraw tych bliżej dotknąć, czyniła to jedynie ze względu na publiczne dobro. Dwa bezkrólewia, co się przesunęły przed jej okiem, po zgonie Jagiellończyka, były świadkiem jej udziału bardziej wybitnego w sprawach publicznych. Po śmierci Kazimierza prowadzi ona na tron Olbrachta; zbroi własnym kosztem kilkanaście secin orężnych i posyła je synowi Fryderykowi, bisk. krak., aby — jak się Bielski wyraża — „bronił strony Olbrachtowej z drugimi, którzy jego strony dzierżyli...“ Gdy zaś później, podczas następnego bezkrólewia, królewicz Aleksander odgrażał się przeciw bratu Władysławowi, królowi czeskiemu, który miał nieco szans być obranym na tron polski, Elżbieta „hamowała go“. Innych kilka przykładów, które przytoczyć moglibyśmy, osobistej interwencji Elżbiety w sprawy publiczne, również mają na celu wyłącznie dobro ogólne.

Bielski w swej kronice uważa się raz, iż król Kazimierz powodował się niekiedy żony radami, dodając, iż „jako to jest u białogłów pospolita, że rade wiele rządzą...“ ale te uwagi kronikarskie niewiele miały słuszności, wypadek bowiem jeden tylko cytuję, który nawet był w bardzo ścisłym związku ze sprawami życia rodzinnego, (chodziło o zamążpójście starszej córki Jadwigi za Macieja,

węgierskiego króla) a w tej dziedzinie spraw nie dziwnego, iż głos Elżbiety, jako matki, górującym był i rozstrzygającym.

Pomawiano Elżbietę o pychę, ale ów rys usposobień nie zaznaczał właściwości charakteru tej znacznie wyższej od innych niewiasty. Posiadała ona poczucie swej godności, powagę, którą urodzenie, stanowisko dawały jej; pychy śladów w jej czynach nie spotykamy. Sama w radach swych pisze o tej przywarze, mówiąc, iż mąż mienił pychę klęską państw, ona zaś w dzieciach i wnukach widzieć jej nie chce; zaleca przytem, iż łatwość w obcowaniu powinna być zawsze ze wszystkimi, a ludzi uczciwych, jakkolwiek biednych, wyżej cenić należy, niż nikczemników chociażby bogatych... Na tej sentencji, zaczerpniętej z książeczki Elżbiety, kończymy zarys postaci ukazującej się nam w onej odległej dobie XV wieku. Garstką tylko niewielką faktów, niby ubożuchnym wieśniaczkiej chaty kagańcem, staraliśmy się oświecić wyraziste kontury tej wyniosłej, szczytnej, posągowej postaci... Blade światło, nierzucające dalekich promieni, nie zdołało nam może uwydatnić całego piękna tego cienia przeszłości, niemniej jednak dostrzegliśmy, iż uczucie, którem ona otoczona, jest wieńcem dobrze zasłużonym. Podniosłe miejsce w dziejach, które jej oddawna wskazano, zdobyła pracą prawdziwą, zasługą dla wszystkich widoczną... Tuż obok niej kaganiec prawdy dziejowej dostrzega inną postać, tonącą nieco we mgle wieków, ale we mgle zapomnienia... Szmer nawet pewnej niechęci wznosi się nad jej zatraconą mogiłą...

To Helena — synowa Elżbiety — jedyna współczesna jej synowa, pani na Wawelu i na polskim tronie, po zgonie Elżbiety. Postać to zapomniana, smutnie przesuwająca się w tłumie cieniów przeszłości...

Dłoń starości kruszyła już siły Elżbiety, stargane pracą na niwie obowiązków matki i żony, gdy kombinacje

polityczne wywołały zaślubiny syna jej Aleksandra z Heleną, córką Iwana Wasilewicza, w. ks. moskiewskiego i Zofii Paleolog, cesarzówny greckiej. Elżbieta, wyrokująca w sprawach wychodzenia zamąż córek, patrzyła tylko na jednego syna żeniącego się i nie wpływała na bieg tej sprawy, a jeżeli życzenia jej objawiały się w owej kwestyi, raczej przeciwnymi niż przyjaznemi były.

Litwa wciąż widziała, od wschodniej swej ściany, wiszącą nad sobą grozę wojny. Burzę tę zażegnać chciano związkami rodzinnymi domów panujących w obu krajach, po obu stronach litewskiej, wschodniej między graniczną. Dzieje dostatecznie nie zbadały jeszcze kiedy zaświtała, i w czym mianowicie umyśle, myśl połączenia dynastyi na Kremlinie panującej z dynastyą Jagiellońską. Przypuszczają, iż w ostatnich latach rządów Kazimierza Jagiellończyka myśl ta kielkowała na zamkach wileńskim i krakowskim. Przeważnie jednak po zgonie Kazimierza Jagiellończyka, kiedy Olbracht na polskim zasiadł tronie, a Aleksander Jagiellończyk rządy Litwy sprawował, kiedy wschodnie okolice Litwy zapłonęły pożogą najazdów, zamiar dojrzał, rokowania z w. ks. moskiewskim, o rękę młodszej córki jego, Heleny dla Aleksandra Jagiellończyka, rozpoczęły się i wytrwale prowadzone były. Książnicze zapewniało swobodę jej wyznania — był to punkt główny umowy, o ten punkt najbardziej chodziło ojcu książniczki, tysiączne wrażliwości grupowały się około tej kwestyi, najeżonej nieufnością, gotowej co chwila wybuchnąć nie tylko sporem gwałtownym, ale wojną straszną, eksterminacyjną, dla której odwrócenia stało małżeństwo, zawierane z pobudek wyłącznie politycznych i najzupełniej pokojowych.

Drażliwość, nieufność olbrzymia, niczem nie dająca się zażegnać, stanęła między Kremlinem a Wilnem od pierwszej chwili zaślubin Heleny z Aleksandrem Jagiellończykiem — i Helena stała się biedną ofiarą, ofiarą niewinną drażliwości, obaw, nieufności... Historia niewiele

widzi przykładów równie bolesnych, aby z młodziutkiej dziewczki, nieznającej najzupełniej świata, ludzi, stosunków nawet małego zakresu, tem bardziej stosunków z zakresu polityki wielkiej, aby z dziecka prawie wytwarzać puklerz, co miał osłaniać dwa ludy, koić niesnaski, zażegnać burzę. Rola byłaby szczytną, gdyby warunki inne być mogły. Przedewszystkiem młodziutką dziewczę powinno było dorósć do tej roli. Helena stanęła wśród najgorszych okoliczności, i w takich życie jej upłynęło. Ściągała obustronne niechęci, wywołała niczem nie dający się usprawiedliwić gniew ojca — nie stała się aniołem pokoju, bo stać się nie mogła w takich warunkach. Helena, idąc zaąż, nie wychodziła do Polski, ale do Litwy, gdzie cywilizacya zachodnio-europejska nie zdołała się jeszcze wówczas dostatecznie rozwinąć, niemniej jednak dwór tamiecznego w. księcia, którym był jej przyszły — Aleksander Jagiellończyk — nosił znamiona wyższej kultury, cała głębia różnicy legła między owym dworem, między Polską ówczesną a światem dalekim, skąd przybywała Helena.

Różnice tych dwóch światów olbrzymie, nie tylko przejawiające się w warunkach różnych stopni kultury, ale, co ważniejsza, w usposobieniach ludów, w ich charakterze, w instynktach moralnych, spoczywających w głębinach ich sumienia.

Dyplomaci z końca XV w. nie badali tej kwestyi gruntownie, nie przysłuchiwali się tętnom serca ludów owych tak wzajem różnych, nie wchodzili na drogę badań psychicznych odcieni charakteru, które ich stanowisko wzajem dzieliły, tworzyły przepaście między nimi niczem nie dające się zapłacić, i dlatego łudzili się, iż związki dynastyczne staną się cementem dwóch tych światów tak bardzo odmiennych.

Helena, córka Iwana III, w. ks. moskiewskiego, miała 18 rok życia, gdy przybyli posłowie Aleksandra Jagiellończyka, prosząc o jej rękę. Wychowywała się ona w głębi

tak zwanych „teremów“ rodzicielskich, wedle ówczesnego obyczaju kraju swego. Spędzała młodość i dziecinne lata w zamknięciu, nie znając świata, ludzi, nie myśląc o przyszłości, nie zastanawiając się o ile dalszy świat różnym jest od tego maluczkiego świata, co ją otaczał. Umysłowo i duchowo dzieckiem ona była, gdy matka oświadczyła, iż wolą jest ojca, aby się odbył obrzęd jej zaręczyn z poselstwem litewskim, reprezentującym swego pana, w. ks. litewskiego, Aleksandra.

Wśród cichych szczerlnie zamkniętych „teremów“ wieść ta wywołała wrażenie wielkie. Pierwsza to w. księżniczka moskiewska miała robić tak świetną partyę. Wychodziły wprawdzie owe księżniczki niegdyś, i nie raz, nie dwa, do Litwy, na dwory drobnych książątek, bądź pogąńskich, bądź też później i chrześcijańskich, spokrewnionych z dynastją Jagiellońską, lecz z dworem polskim stosunków pokrewieństwa nigdy przedtem nie było. Helena miała być pierwszą w. księżniczką, co zaślubiła królewicza z zakresu zachodniej cywilizacyi: honor to dla jej rodziny niemały, tem większy, iż królewiczem tym był jeden z Jagiellonów, członek dynastyi zaliczanej do najpotężniejszych w owej chwili dziejowej. Nie wiemy, o ile Helena dokładnie rozumiała zaszczyt, który z powodu zamierzonego zażępnia spadał na jej rodzinę, na dom panujący na Kremlinie, lecz ojciec jej wybornie to rozumiał i szczycił się tem. W Wilnie, na wielkksiążęcym dworze, nie zamykano oczu na trudności, które cała ta sprawa wywoływała; jednak rzecz raz rozpoczętą, acz kłopotliwą, do końca prowadzono, widząc w niej sposób zażegnania burz wschodnich. Poselstwo, które odbyło obrzęd zaręczyn, zawarło traktat z Iwanem Wasilewiczem i wracało do domu pełne dobrej otuchy, że ślub Heleny wzmocni, utrwali przymierze, iż miłość Iwana ku córce wystarczy za wszelkie rękojmię traktatowe. Stało się wszakże inaczej. Nieufność Iwana ku przyszłemu zięciowi nie gasła ani na

chwilę. Córka, wydana za mąż do Litwy, ani na chwilę nie była cementem jednoczącym dwa państwa; owszem, ojciec patrzył na nią niby na posterunek dalszych swych planów na Zachodzie. Stąd powstały kolizye, stąd na Litwie i w Polsce niesmak i niezadowolenie, pewne rozczarowanie, iż związek burz nie zażegnał, iż walki dorywcze, któremi mieszkańcy północno-wschodnich węglów państwa byli trapieni, trwają wciąż, a na Kremlinie pewna groza niechęci nie usuwa się, lecz nawet wzmacnia się na widno-kręgu wypadków; do niechęci ogólnych przybywają niechęci prywatne, niechęci ojca ku Helenie.

Tak się ukształtowały rzeczy wprzódce po ślubie Heleny. Przypatrzmy się wypadkom towarzyszącym owym zaślubinom. Skoro na zamku wileńskim dojrzała myśl postawienia warowni od najazdów i zatargów na miedzach wschodnich, w postaci związków małżeńskich Aleksandra Jag. z córką Iwana Wasilewicza, zebrała się w Wilnie rada familijna, by rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości, które nasuwał zamiar małżeństwa. Na zjeździe tym widziano królową-matkę, owdowiałą Elżbietę, króla Olbrahta, księcia Aleksandra, który właśnie objął rządy Litwy. Ścisłe nie dadzą się określić przebieg i wyniki poufnych obrad, toczonych wówczas wśród rodziny królewskiej, ani też głównych trudności, jakie miały zwalczać rokowania; rzecz wszakże da się łatwo odgadnąć, następstwa wskazują czem się troszczono. Kwestya wyznania Heleny główną oś tworzyła obrad rodziny Jagiellońskiej. Poselstwo wysyłane do Rzymu, do Aleksandra VI, usuwało przeszkody. Z drugiej znowu strony, zanim zawarty mógł być związek, potrzeba było upewnić, uspokoić ojca Heleny, iż nie będzie poruszaną kwestya religijna — uspokojono, lecz w sposób niezupełny, raczej niezręczny. Pisał Aleksander Jagiellończyk do przyszłego teścia, iż Heleny wcale nawracać nie myśli, lecz, gdyby jej przekonania zwróciły się ku katolicyzmowi, nie będzie stawiał żadnych przeszkód. Wyrazy, nieosła-

nające szatą fałszu istotnego stanu rzeczy, mocno nie podobały się ojcu Heleny. Nie rozumiał on, iż Helena mogła mieć swą wolę, chęć, myśl niepodległą. Kobieta w jego kraju, aż do połowy XVIII w., zamkniętą była: w „teremach“ okratowanych, poza kotarą pilnie strzeżoną, nie wyrabiała się myśl, dążność samodzielna; wielki ksiązę przeto zdziwił się niemało, gdy mu doniesiono, iż jest możliwość przypuszczeń, iż Helena uczyni krok jakiś samodzielny. Pełen gniewu układy chciał zerwać. Rzeczy się wszakże ułożyły. Po pewnym przeciągu czasu już nie nie zagrażało ziszczeniu zamiarów. Grecy, którzy gościli na dworze w. ks. moskiewskiego — przybyli bowiem z Zofią Paleologówną do Moskwy — a bardziej ze światem obeznani byli, szczerze pragnęli połączenia się Kremlina z którym z dworów europejskiej cywilizacji. Grek Trachaniot, dyplomata ówczesny, przedniejszy w Moskwie, załatwiał głównie te sprawy. Pomimo nieukontentowania, podejrzeń, obaw, zbyt silną dźwignią próżność była, aby się miano cofać. Stawiano się w Moskwie ostro, dumnie, wyzywająco, na pozór niechętnie, mnożono trudności, piętrzyły się one, ale ostatecznie żywiono w głębi swej myśli chęć szczerą zakończenia zgodnego sprawy małżeństwa Heleny. Takim się zarysowywał obraz stosunków we trzydzieści miesięcy po zgonie Kazimierza Jagiellończyka, przy końcu 1494 r.

Kiedy się ustaliła sanna, w styczniu 1495 r., liczne poselstwo litewskie, mające na czele ks. Aleksandra Holszańskiego, Jana Zabrzezińskiego i Jerzego Zenowicza zawitało do Moskwy. Celem poselstwa miało być odprawienie Heleny, jako oblubienicy Aleksandra Jagiellończyka, do Wilna.

Przeszkody usunięto, a przynajmniej o nich mówić zaprzestano, natomiast zaś uczty zaczęły się, posłuchania; Helenę wysyłano z przestrogi i upomnieniami na Litwę. Dwór liczny miał jej towarzyszyć, i na wyjeździe

dał jej ojciec upomnienia na piśmie. Wydostał z archiwów dziejopis rosyjski, odpis owych przestróg ojcowskich, gdzie czytamy: „...Do bożnicy łacińskiej nie chodzić, a chodzić do cerkwi greckiej; dla ciekawości możesz widzieć kościół łaciński albo klasztor, ale tylko raz, dwa razy. Jeżeli świekra twoja będzie w Wilnie i każe ci iść z sobą do bożnicy, to odprowadź ją aż do drzwi, i powiedz grzecznie, że idziesz do swojej cerkwi... Te wyrazy zarysowują charakterystykę zapatrywań się Iwana Wasilewicza na stosunek, który miał się wytworzyć między jego córką a jej nowem na Litwie otoczeniem. Oprócz błogosławieństw, przestróg upomnień, z których jedno przytoczyliśmy, nie wiozła Helena żadnych kosztowności, któreby stanowiły wyprawę, ani też żadnego posagu jej nie dano...

Jakieś trzewiki perłami wyszywane były przedniejszą częścią ruchomości wywiezionych przez Helenę na Litwę. Wcale nie przypominało to świetnej wyprawy Elżbiety Rakuszanki, z którą ta przybyła do Polski. Raziło to bardzo w Polsce, raziło na całym Zachodzie, gdzie drobne nawet książątka umiały się zdobyć na nader kosztowne wyprawy dla córek. Nawet w przyszłości nie zapomniano o tem; ze wspomnieniem o trzewikach „wyszywanych perłami“, będziemy mieli możność jeszcze się spotkać, zanim zamkniemy opowieść naszą o królowej Helenie.

Drobnostkowe przepisy w. ks. Iwana określały warunki, w których miała się odbywać podróż jego córki. Zalecały one gdzie miały być popasy, nocegi, określały ceremoniał, nie zapominały o najmniejszych drobiazgach. Żegnali ją rodzice uroczystie i rzewnie, żegnali na zawsze... Odprowadzała ją matka z rodzeństwem do pobliskiego siola, Drogomiłowa, tam bawiono trzy dni, ojciec przyjechał dla ponownego pożegnania córki: ojciec wrócił, lecz matka z bratem, jak świadczy jedna relacya, prawie aż do granic Litwy ją odprowadzili. Tam gdzie zaczyna się szereg białoruski w Smoleńszczyźnie, gdzie legła mie-

dza wschodnich granic Litwy, matka, rodzeństwo dali ostatni uścisk, ostatnie błogosławieństwo Helenie... Od Litwy granic bojarowie już tylko z poselskim orszakiem Jagiellończyka wiedli ją ku brzegom Wilii. Poczet bojarów odznaczał się liczbą, mieścił w sobie wszystko, co ówczesne dziedziny panów na Kremlinie posiadały wyższego rodem, urzędem. Bojarom towarzyszyły ich żony, koniecznością to było ze względu na Helenę. Stara relacya rosyjska podaje nam szczegóły podróży i wjazdu do Wilna oblubienicy w. ks. Aleksandra. Spotykamy tam echa tych głównych wieści, które odtąd bardzo często z dworu książęcego biegły do Moskwy na Kremlin, wpadały do ucha Iwana Wasilewicza i nieciły pierwsze zarzewia nieporozumień.

Ciekawa relacya prowadzi nas gościncem, którym jechała Helena od granic Litwy do bram Wilna. Witano ją wszędzie uroczystie — w Smoleńsku, Witebsku, Połocku. Dary składali biskupi wschodniego kościoła, spotykani we wspomnianych miastach. Składały się te dary przeważnie z adamaszków; niekiedy dawano obrazy bogato oprawne; samo zaś przyjęcie biskupów i innych przybywających z czołobitnością składało się pospolicie z wina. Wino kubkami roznoszono mężczyznom i kobietom. Jest pewna wzmianka, w relacyi wyżej wspomnianej, która pozwala przypuszczać, że księżniczka jechała w saniach, które posiadały piec¹⁾. Inne sanie nie były ogrzewane. Nie widzimy z tej relacyi, czy poselstwo jechało leżąc, co było, a po części dotąd jest obyczajem owych krajów dalekich, wschodnich, lecz można napewno twierdzić, iż nie inaczej, jak leżąc w saniach, jechano: prawie o dwa wieki później poselstwo, jadące z Moskwy, które widział i opisał Pasek, jechało leżąc; wieziono również o półtora wieku później,

¹⁾ *Skarbiec Dyplomatów...* zebrany przez Ig. Daniłowicza. T. II. str. 239 i nast.

w pozycyi leżącej, w pudle, Kopcia, jecha z pod Maciejowic.

Ks. Helena cały miesiąc odbywała ową podróż z Moskwy do Wilna; wyjechała bowiem 13 stycznia a dopiero 15 lutego odbyła wjazd do litewskiej stolicy. Gościniec był długi i kręty, gdyż jechano na Krew, Oszmianę, Miedniki. Od Smoleńska do Wilna, na znacznej a długo przebieganej przestrzeni, posłowie moskiewscy w sposób gwałtowny, swarliwy, domagali się od posłów litewskich różnych zapewnień, co do obrządku ślubnego i miejsca, gdzie takowy odbyć się ma, i którego wyznania duchowni udział w nim wezmą. Posłowie litewscy, w obec tych kwestyj drażliwych, postanowili udać się do ks. Aleksandra ¹⁾. Goniciec przeto niejeden poprzedzał poselstwo, wioząc do Wilna różne kwestye i drażliwości dla rozwiązania i załatwienia. W. książę Aleksander nie rozwiązywał, a swarliwość i niecierpliwość orszaku wiozącego jego oblubienicę wciąż się wzmagaly.

Przed Krewem już spotkał dworzanin litewskiego księcia orszak weselny i złożył od swego pana dary, obrachowane znać na potrzebę chwili. Były to rzeczy nader praktyczne: składały się z czterech barylek wina i trzech beczek żubrowiny. Goniciec otrzymał za to prezent od księżniczki — sorok soboli i 5 rubli. O dzień czy też dwa dni drogi dalej zabiegł inny goniciec Aleksandra drogę Helenie — prowadził on wóz kosztowny, „szkarłatem obity, a wewnątrz wysłany zielonym aksamitem z sześciu takimiż węzłowiami“ ²⁾. Wóz ciągnęło sześć siwych rumaków, w szlejach szkarłatnych, aksamitnych, z kółkami i spinkami wyłaczanemi. Aleksander pragnął, by narzeczona przesiadła się do owej wspaniałej poszóstnej karocy, ale biedne, strwożone dziewczę znać obawiało się, aby instrukcyi oj-

cowskiej w czem nie przekroczyć, a tam zapewne kwestya karocy przewidzianą nie była — wymówiła się przeto biedaczka przez usta bojarów od przesiadania się. Ogrzane jej sanie, przypominające Moskwę i rodzinę, niby widoma spójnia z domem, pożegnanym na zawsze — powiozły ją aż do Wilna.

Już mury Wilna wybornie widocznemi były dla podróżujących, gdy ks. Aleksander na pięknym rumaku spotkał swą narzeczoną i powitał. Kosztowny kobierzec z czerwonego sukna rozpostarto na śniegu, a na nim adamaszek złocisty, ofiarowany od księcia. Na tych kobiercach spotkali się narzeczeni. Po krótkim powitaniu wróciła Helena do powozu, książę zaś dosiadł swego wierzchowca, i w licznem, wspaniałem otoczeniu zjeżdżali z Ponarskich wzgórz, zbliżali się ku wileńskim murom. W cerkwi Narodzenia M. B. zatrzymał się długi korowód, księżniczka wysiadła, aby pomodlić się i otrzymać błogosławieństwo, książę zaś pojechał do katedry. W cerkwi odbył się naprędce obrzęd ubrania oblubienicy do ślubu. Przybyłe z nią żony bojarów rozplotły jej warkocz, uczesały, włożyły na głowę strój narodowy, a głowę posypały chmielem. Tak ustrojona Helena pojechała do katedry, kapłani wschodniego kościoła jej towarzyszyli. Biskup Wojciech Tabor oczekiwał u drzwi świątyni. W katedrze zajęli swe miejsca narzeczeni na kosztownych kobiercach z adamaszku i soboli. Obrzęd ślubu odbywał się oddzielnie dla księcia, oddzielnie dla księżniczki; jemu błogosławił biskup, jej zaś przybyły z nią duchowny Tomasz, rodzaj kapelana. Gdy obrzęd księżniczki przybrał niewidziane gdzieindziej formy, szmer rozległ się w świątyni.

Po ślubie księstwo udali się na zamek, ale każde z nich w swych pokojach oddzielnie przebywało te pierwsze godowe chwile. Czytamy dalej, w powyżej zacytowanej relacji, iż ks. Aleksander wydawał obiad dla poselstwa moskiewskiego, udzielał mu audyencyi, odbierał podarunki,

¹⁾ L. cit.

²⁾ L. c.

nie spotykamy wszakże najmniejszej wzmianki, aby księżna brała w tem udział. Czy znużenie po długiej podróży, czy niezupełne wyzucie się z obyczaju domowego zamknięcia się w teremach, czy inne jakie przyczyny zagnęły oblubienicę do zamknięcia się w dniu godów — nie wiemy. Zdaje się jednak, iż już od pierwszej chwili zamażpójścia zbierała ona plon jakichciś złych wrażeń.

Czwartego dnia po ślubie, ktoś z jej otoczenia pisał do Moskwy następujące wyrazy, rzucające nieco światła na przykrości, które około niej wzrastać poczęły: „Ślub brała księżna we własnych szatach — pisze ów anonim i już dzień czwarty mija po ślubie, a dotąd w nich zostaje i ubioru głowy nie zmienia... A że umywalni książę nie ma, upominali go o to bojarowie“.... Jest to jedna z tych licznych relacyj, które w ciągu lat kilkunastu z wieleńskiej zamkowej góry tajemnie biegły na Kremlin, wywołując rozdrażnienie stosunków między teściem a zięciem, zatruwając Helenie wszystkie dni jej życia, stosunkowo niedługiego. Nieporozumienia, które się wszczęły między w. ks. Aleksandrem a ojcem Heleny, nawet ze śmiercią ich obu nie ustały. Przeszły one w spadku na brata Heleny, Wasyla, który objął w. książęcy tron, z nim zaś politykę, tradycje ojcowskie. Obawa, aby córka nie była na katolicyzm nawracaną, główną podstawę tworzyła nieporozumień Iwana; lecz różne wieści błahe, często posyłane przez dworzan, których z sobą przywiozła Helena — i w pewnej części zatrzymała — jakże obfitym strumieniem oliwy były na ów płomień uprzedzeń, obaw, podejrzeń...

Biegły tedy na Kremlin wieści, iż księżna nie może mieć sług, dworzan z kraju swego, to znowu, że nie szanuje jej mąż jak przystało, to inne błahe lub śmieszne, że litewska żydówka ją oczarowała, z tego więc powodu dzieci nie ma i mieć nie będzie, to wreszcie wieści w rodzaju braku owej „umywalni“, zacytowanej tu wyżej.

Każda z tych wieści miała skutek doniosły; stosunek się zaostrzał, wojna się Litwie wypowiedała. Co gdzieindziej uważać się mogło niemożliwem, tam było rzeczą zwyczajną, wydawało owoce oplakane dla całego społeczeństwa. Świat to był inny, który niezbrodzonemi przepaści oddzielał się od pojęć, zapatrywań innej cywilizacyi, miał zaś w swej piersi inne, moralne kryteria, wedle których na stosunki świata zapatrywał się i wobec społeczeństw innych postępował. Helena wpływem swym, listami, łzami, przebłagać nie zdołała ojca, nie mogła wymódlć na matce pośrednictwa, ani też wstrzymać dłoni brata, gdy i ten później, jako w. ks. moskiewski, podnosił miecz na Litwę, groził Polsce. Wszystkie jej usiłowania obijały się o pierś jej rodzonych niby o głąz murów, co były ich siedzibą; nie nie zdziałała, w niczem nie zaradziła trosce kraju, którego panią się stała. Nie wierzono w Polskę, nie wierzono na Litwie, by jej głos nie nie znaczył, by jej wstawienictwa bez echa przejść zdołały. Nie wierzono, by się wstawiała o pokój, o zaniechanie zamiarów nieprzyjacielskich, o wstrzymanie pożogi: mniemano, że ta pożoga, co rąpi wschodnie pogranicza Litwy, nie rani serca królowej i kobiety; mniemano, że nie ma ona serca... I powstał szmer niechęci, szmer, który przetrwał lata, wieki, wkraśl się do ucha historyków, pamięć jej przeto pleśń obojętności okryła... W obec swoich stawiała ona zawsze jednak, wytrwale przy swym zakonie stojąc, pamiętając na napomnienia, przestrogi, rozkazy ojcowskie. To posłuszeństwo woli rodzicowej, oprócz wewnętrznego zadowolenia, oprócz głosu sumienia własnego, iż uczyniła tak, jak ojciec żądał, nie jej nie przyniosło. Wewnętrzne zadowolenie, ze spełnienia obowiązków w obec ojca, powinno jej było wystarczyć za wszystko, stać się dźwignią, osłoda życia... Czy tak było w istocie?... trudno orzec. Historia obojętnie około tej smutnej, łzawej postaci przechodzi, nie bada owych rysów pilniej, które aż do zgonu pozostały

dla nas cudzoziemskimi, które echo doby odległej bardziej cudzoziemskimi i dziś mieni, niż inne postacie naszych królowych.

Helena przybyła do Wilna w 19 roku życia i ośmnaście lat wśród nas strawiła. Zawód jej — żony, królowej, pani na Wawelu — szybko się skończył. W siódmym roku zamążpójścia mąż jej powołany został po zgonie Olbrachta na tron polski. W listopadzie, 1501 r., opuścił Wilno, by w katedrze krakowskiej przywdziać koronę Chrobrego. Helena nie towarzyszyła mężowi. Inne wyznanie stanęło dla niej nieprzebytą zaporą do koronacyi. Przybyła więc do Krakowa później (d. 4 lutego 1502 r.) prawie we dwa miesiące po koronacyi męża. Choć uroczyscie nie obwołano ją królową w katedrze krakowskiej, nie odmawiano jej nigdy tytułu królowej, na który, zaiste, zasłużyła, nie tylko łzami całego życia, co tron jej oblały, ale troską prawdziwą, serdeczną, by wstrzymać walkę srożącą się na wschodnich kończynach Litwy. Listami, błaganiem łez pełnem córki chciała ona burzę zażegnać. Czytając jej listy do rodziców, żal serce ściska na myśl, jaką bezbrzeżną żalością niewieścia dusza ta przejęta była...

Oto są wyjątki z listu królowej Heleny do ojca: „Pan mój i król Polski — pisze ona — ze swą matką, bracią i szwagrami rozumieli, że z Moskwy przyniosę z sobą wszystko dobre, wieczny pokój, miłość pokrewieńską, przyjaźń i pomoc przeciw poganom; dziś przeciwnie, wszyscy są przekonani, że (z nią) złało się wszystko najgorsze: wojna, najazdy, rabunki, pożoga miast, przelew krwi chrześcijańskiej, żon wdowieństwo, osierocenie dzieci, niewola, jęki, płacz i zgrzytanie zębów... Taką to jest, ojcze, twa ku mnie miłość! Rozważ, upamiętaj się i ulituj nademną, twą dziewczką, służebnicą i twym podnóżkiem, który ciągle błaga Boga o twe zdrowie szczęście i powodzenie... W dalszym ciągu tego żalownego listu czytamy: ...„To o czem nigdy na Bożym świecie nie słyszano, spotyka mię, dzie-

eko chrześcijańskiego pana. Skądkolwiek by mój mąż pojął małżonkę, miałby stamtąd przyjaźń, przychyłność i wieczny pokój dla ziem własnych. Dziś raduje się z tego pogaństwo całego świata, a chrześcijańscy monarchowie z wielkiem podziwieniem mówią: od wieków nie słyszano, aby który ojciec ciemnił własne dzieci. Jeżeli Pan Bóg nie wlał w twoje serce, ojcze, miłości dla swej córki, pocóż mię wypuściłeś z rodzinnej ziemi i wydałeś w zamęście za równego sobie brata? Przynajmniej z mojej przyczyny nie płynęłaby krew chrześcijańska i nie ginąłby lud niewinny... Stokroć znośniej by mnie było skonać we własnym państwie u twych nóg, aniżeli tu słyszeć zewsząd krzywdzące odgłosy: „dla tego śnać wydał swą córkę do Litwy, aby bezpieczniej przejrzął rzeczoną ziemię i potem ją zagarnął“... Obszerniejbym o tem wszystkim do ciebie, ojca mego, napisała, lecz ze smutku i żalu rozum i uwaga mnie odbiegły, tak że tylko ze łzami i płaczem mogę ci bić czołem, błagając, abys się upamiętał, wspomniał na mnie, krew własną, zaniechał gniewu na niewinnych, pojednał się z twym synem i bratem i przywrócił dawną miłość i przyjaźń, którą zaprzysiągłeś mu uroczyscie w traktatach“¹⁾... Jednocześnie tenże sam poseł, Iwaszko Sapieha, kanclerz litewski, wiozł list od królowej Heleny do jej matki. Usuwa ona wszelkie podejrzenia, iż się mogła stać winną w oczach rodziców, alluzya to zapewne do wieści, które może donosiły, iż Helena zerwała ze swą wiarą. „Sama nie pojmuję czem was obraziłam — pisze do matki rozżalona królowa — gdy do najmniejszej nie poczuwam się winy, i do śmierci dla was miłość docho-
wam. Jeślim nie warta wiary, przekonają się lepiej o wszystkim wasi posłowie, których do nas wyprawicie. Jeśli się nie pokażę występna, błagaj matko ojca mego, aby się zlitował nade mną, nie porzucił mnie biednej swej służ-

¹⁾ *Skarbiec Dyplomatów...* zebrany przez Ig. Daniłowicza.

bnicy i dziewczki i otarł łzy gorzkie, aby wyprawił do męża mego poselstwo i przez to mnie powrócił spokojność“... Dalej w tymże liście, przytoczywszy wieści, jakie o niej krążyły po kraju, o czem już, jak widzieliśmy, do ojca pisała, tak uchyla przed matką rąbek zasłony ukrywający jej domowe stosunki. „Racz sama matko rozważyć, czyli patrząc na tyle nieszczęść może na mnie spojrzeć łaskawem okiem król, mój małżonek, czyli mogę być miłą stariej królowej, jego matce, lub *dziewierzowi*, królowi węgierskiemu i czeskiemu. Ciężka żalność nie pozwala mi pisać obszerniej... zlituj się nademną, ubogą służebnicą i twą dziewczką, nie porzucajcie mnie w obcej stronie, nie pozwalajcie radować się moim nieprzyjaciółom“¹⁾... Oba listy, z których wyjątki przytoczyliśmy, pisane były 2 stycznia 1502 r. Podobnych listów, łzami pisanych, niemało biegło na zamek Kremlina. Pozostały one bez następstw pomyślnych. Tradycya polityki miejscowej brała górę nad względami moralnymi, nad uczuciem rodzicielskiem. Łzy Heleny, chociaż obfite, nie zdołały zapełnić przepaści, co się szeroko rozpostarła między dwoma światy tak różnej kultury.

Jedenaście zaledwie lat żyje jeszcze ona potem, i nie może się dczekać chwili, by stać się zwiastunką pokoju od wschodniej ściany Rzplitej. Mogiły blizkich jej sercu mogiły tych, z którymi łączyły ją stosunki, szybko dokoła powstają, a ona zawsze jednako smutna, bo anioł pokoju nie unosi się nad murami Kremlina, bo wieść pociechy nie spływa do zbolalej jej duszy z okolic rodzinnych... Królowa Elżbieta umiera; umiera ojciec Heleny w r. 1505, umiera mąż w następnym; lecz zanim zawarto nad nimi kamień grobowy walka Polski z ojcem Heleny trwa, już nie podjazdowa, ale wielka: pola Wiedroży krwią rycerzy Aleksandra Jagiellończyka obficie zroszone, mężny Konstanty

¹⁾ l. c.

z Ostroga idzie w więzach do Moskwy. Pokój stały nie może zapanować, bo się domagają Smoleńska, bo pan na Kremlinie chce oprzeć swój miecz o wody nie tylko górnego, lecz i środkowego Dniepru, żąda Kijowa.

Gdy się groby dokoła rozwarły, gdy Helena przywdziała zasłonę wdowieństwa, gdy brat jej Wasyl zasiadł na tronie Moskwy, a Zygmunt I na polskim, walka się wznawia ciężka, sroga, krwawsza nad inne. Następują dni Orszy, szturm Smoleńska. Wśród owych dni krwawych, Helena kończy życie pełne bólu, dziwnie samotne, mocno wypróbowane w ogniu nieszczęść. W styczniu 1513 r. kończy ona w Wilnie swe dni smutne po dwutygodniowej gwałtownej gorączce, po całym życiu cierpień. Świat, z którego wyszła, świat jej rodzinny, po zgonie biednej męczennicy, przypominał sobie dla tego jedynie o nieszczęśliwej, aby zwrotu posagu, zwrotu wyprawy jej zażądać. Oprócz owych „trzewików wyszywanych perłami“ innego wiana nie wniosła Helena do Polski... W książkę Wasyl Iwanowicz groził, że zajmie Smoleńsk, gdy mu przedstawiano rzeczywisty stan rzeczy... I w istocie Smoleńsk stał się łupem wojsk Wasyla. O wiele lat później Zygmunt Stary, w liście do syna, wspomina, iż stracił Smoleńsk za „trzewiki“ Heleny perłami wyszywane.

Niestety, nawet na grobie Heleny wyrastały piołuny niechęci. Wszystko się składało, aby wytworzyć około jej imienia jakieś widmo uprzedzeń, ściśle niedające się określić. Pamięć jej bólu, jej cierpień, jej zasług dla ogółu zniknęła, tak jak zniknął ślad jej grobowca z cerkwi „Przeczystej“ w Wilnie, ale wciąż się błąka jakiś cień o niewyraźnych kształtach około nieskazitelnego imienia owej zbolalej niewiasty, której całą winą było, że kombinacye polityczne rzuciły ją do dziedziny innych stosunków, do świata innej kultury... Przypatrywaliśmy się rysom dwóch królowych naszych XV stulecia. Obie zostawiły nam piśmienne świadectwa swego istnienia. Elżbieta pisze peda-

gogiczny traktat, nacechowany wzniosłymi zasadami cnót wielkich, odziany w szatę pojęć humanizmu; Helena wylewa na papier, w listach do rodziców, ból bezbrzeżny, zgrozę, którą się napęłnia jej serce, wobec tego co przynoszą wieści z rodzinnych okolic. Pierwsza wnosi do naszego świata domowego pierwiastek dodatni, zbawiennie wpływa na społeczeństwo swej przybranej ojczyzny, druga nic innego dać nie może nad łzy własne... Uszanujmy łzy biednej, samotnej niewiasty...

PRZEDSTAWICIELKI DAWNYCH DYNASTYJ.

ZARYS HISTORYCZNY.

W ciągu pierwszych sześciu wieków istnienia naszego, posiadaliśmy dwie dynastye, które tak bardzo zespoliły się ze społeczeństwem, iż ich pamięć, po wygaśnięciu nawet, drogą a poważaną mieniono. I w istocie, długo miłość tę statecznie zachowywano dla znikłych z widowni dziejowej. Jeszcze w XV wieku nie zapominano o Piastach. Myśl powołania na tron którego z licznie rozrodzonych Piastowiczów tułała się nietylko w umysłach pojedynczych, ale i do tłumów ją wprowadzały kombinacye polityków wyższych, a ku wspomnieniom świetności epoki Kazimierzowej skłaniające się. Świetność dni XIV wieku, dni Kazimierzowych, prostota patryarchalna Łokietkowej doby olśniewała poważne umysły, współczesne Warneńczykowi.

Zniemczeniu, z usposobieniami najczęściej świadczącymi o wyrzeczeniu się swojskości, a zarazem i o niskim poziomie moralnym, drobni władcy szląskich gródków nie budzili już i w XV stuleciu żadnej żywszej sympatyi, nawet u ludzi najbardziej zamilowanych w epoce piastowskiej, ale cała sympatya skupiała się około mazowieckich Piastowiczów. Gdy wówczas marzono o Piastach, gdy te marzenia starano się w czyn zamienić, nie zwracano oczu ku Odrze, nie szukano przedstawicieli starego królewskiego rodu na szląskich zameczkach, w dzielnicy oddawna odpadłej od państwa Krzywoustego, lecz myślą i wzrokiem dążono na Mazowsze.

Mazowieccy Piastowicze najgodniej reprezentowali starą dynastję, byli żywiołem ładu, podnoszącym, umoralniającym swą dzielnicę — obce pierwiastki nie wchodziły pod ich dach, jak to się działo na Szląsku; wcale nie zgładzały ich swojskości. Owszem, ta swojskość u nich do końca w całej mocy przetrwała.

Byli mazowieccy Piastowie przez ciąg swego bytowania uczeiowymi a często i poważnymi przedstawicielami starych, narodowych tradycy. Do nich przeto miłośnicy epoki piastowskiej myśl zawsze zwracali, ilekroć zdawało się, iż możność się nastrocza osadzenia odłamu starej dynastyi na Wawelu, na tronie syna Łokietkowego.

Taką możnością, jak mniemał Długosz i niektórzy mu współcześni, była chwila po Warneńczykowym zgonie, a więc wówczas nie gdzieindziej, tylko ku Mazowszu, wzrok i kombinacye polityczne zwracano.

Kombinacye i zamiary restauracyi dynastyi Piastów upadły w połowie XV stulecia, i później już ich nie wskrzeszano. Kazimierz Jagiellończyk ustalił ciągłość dynastyi nowej, która zespółiła się z narodem tysiącem niei i zaskarbiła jego miłość i poważanie. Za dni synów Jagiellończyka o rzeczonej restauracyi mowy nawet nie było, i być nie mogło. Z czasem, ku końcowi pierwszych trzech dziesiątków lat XVI wieku, pamięć Piastów najzupełniej okrywała mgła głębokiego zapoznania. Swojska gałąź Piastów — mazowieccy Piastowie — wygasła; wegetujące na Szląsku latorośle zczudzoziemszczały; a dom Jagiellonów, ustaliwszy się, pozyskał bezbrzeżną miłość narodu. Szczególną sympatyą otaczano wtedy właśnie dynastję Jagiellońską, kiedy ta wygasła. Powołanie na tron Wazów tłumaczy się przeważnie wspomnieniami Jagiellońskich czasów, Jagiellońskiej dynastyi, której krew płynęła w żyłach Zygmunta Wazy.

Zdarzało się wszakże niekiedy, iż członkowie prowadzący ród swój ze szczepu dynastyi wygasłych, stawając

u stopni tronu praojców, byli jakby zapomniani, gaśli wśród obojętności tych, do których serce i myśli ich garnęły się.

W pewnym stopniu tego rodzaju losom, rozezarowaniom, wobec zawiedzionych nadziei, ulegały, w dwóch różnych epokach, dwie kobiety królewskich rodów, dwie przedstawicielki dawnych dynastyj naszych.

Mówimy tu o Barbarze Zapolya (Zapolskiej), pierwszej żonie Zygmunta Starego i o Annie Wazównie, siostrze Zygmunta III. W różnych dobach dziejowych, we sto lat jedna po drugiej, obie po matkach pochodzące z dawnych polskich królewskich rodów, obie nie mogące się nazwać Polkami, bo kolebki ich stały w innych ziemiach — przybywały do Polski z otwartemi ramionami, i, zamiast wzajemnej sympatyj, znajdowały w najlepszym razie obojętność.

Los pierwszej nieco lepszy, drugiej nieco gorszy — obie nader smutne do grobu stępowały: pierwsza szła smutna ku mogile, bo zawczasie ziemię i swe ukochania żegnała, druga — samotnością złamana. Żadnej z nich nie uwydatnił w pamięci narodu rylec dziejowy, lubo każda na zasną pamięć i współczucie zasłużyła.

I.

Królowa Barbara Zapolya.

Zygmunt, Starym później nazwany, zapomniał już o wczesnej wiosnie życia, miał całą prawie młodość swą poza sobą, gdy tron obejmował. Liczył wówczas lat czterdzieści, a domu, rodziny nie miał. Na Głogowie, wśród ziem szląskich, rządził lat kilka, poprzedzających swe powołanie na tron krajów połączonych. W młodości zestosunkowany z życiem, obyczajem książątek ówczesnych niemieckich, mimowoli zastosowywał swój obyczaj do pa-

nującego wtedy obyczaju na królewskich, książęcych dworach Niemiec. Obyczaj niemieckich dworów owych czasów nie nazbyt sprzągał stosunki rodzinne; owszem, do ich rozluźnienia wiele się przyczyniał. Zygmunt poniekąd szedł w rzeczonym kierunku; przynajmniej w pewnej mierze, za młodości swej dni, nie był wolny od niektórych usterek. Pobyt w Głogowie nie zmniejszał możliwości wcielenia się w pewne strony obyczaju niemieckiego. Ziemię szląskie zbyt długo już były pod wpływem germanizmu; wsiąkł tedy germanizm nie w jednym kierunku w sferę pojęć, nie ludu wszakże, ale rycerstwa. A więc zamek rycerski, książęcy, posiadał na Szląsku, tu lub ówdzie, ślad zwyczaju niemieckiego w zabawie, rycerskich gonitwach, w sposobie ubarwiania sobie życia codziennego. Zresztą i z Włoch, gdzie ówczesny humanizm rozwijać się zaczął, płynęły pojęcia rozgrzeszające niejeden wyskok w życiu, które uprzyjemniać starano się wszelakiego rodzaju użyciem.

Umysły najpoważniejsze poddawały się, może nawet bezwiednie, wpływom, nie licującym z naszym obyczajem domowym. Zygmunt, chociaż to umysł poważny, rządzący na Głogowie i Opawie, może nieco uległ wpływom obyczaju cudzoziemskiego rycerstwa; przynajmniej z owej doby są podania, rzucające lekki cień na domowe, samotne jego życie. Wiek ówczesny popolicie patrzył na wesoły wybryk rycerza bardzo pobłażliwie, może nawet nazbyt pobłażliwie. Tak było wszędzie wówczas, ale nie w Polsce, gdzie w one lata górowały jeszcze poglądy surowe na rycerską swawolę, a drażliwość, skrupulatność poglądów na wszelkie zboczenia moralne były zadziwiające. W drugiej połowie XVI wieku i w Polsce zaczęło być inaczej.

Postać Zygmunta w takim blasku aureoli enót publicznych i domowych uwydatnia się na tle dziejowem, iż ta lub owa legenda o jego młodocianych uczuciach nie

zmniejsza ani na chwilę świetlanych barw owej postaci... Legenda, niby smuga nici pajęczej, którą wiatr przyniósł, z lekka jedynie dotyka posagu, nie przekształca wszakże w niczem wspaniałych jego rysów.

Po objęciu korony Zygmunt opuszcza ustronną Głogowę; odtąd Wawel staje się jego siedzibą, na długie lata, aż do zgonu. Lecz na Wawelu, chociaż siostra niezamężna, Elżbieta, mu gospodarzy, chociaż sprawy publiczne czas mu pochłaniały — smutno i samotnie było. Myśl, iż jest ostatnim z rodu — *ultimus virorum* — iż następcy imienia i korony nie posiada, zasępiała mu czoło; wzdychał do życia rodzinnego; gorąco pragnął przedłużyć nie życia Jagiellonów.

W parę lat po objęciu tronu, Zygmunt postanowił wejść w związki małżeńskie; myśl o zostawieniu następcy, dziedzica tronu i imienia, nie opuszczała go. Szukano w tym względzie projektów tu i ówdzie; sprawy krajowe gdzieindziej nieraz wzrok króla zwracały — lata więc tak upływały; szukano wreszcie projektów w północnych Niemczech, w księstwie Meklenburskiem; ale projekta, naprędce skłcone, czas szybko rozwił: zdaje się, iż sam Zygmunt inaczej się namyślił; przynajmniej co do skoligacenia się z Meklenburgami. Projekta meklenburskie po dojrzałej rozwadze usunął, poselstwo w rzeczonym celu wyprawione cofnął, i nie poszedł nawet później za radą cesarza niemieckiego, Maksymiliana, który mu niejednokrotnie, a zawsze natarczywie, narzucał się na dziewosłęba i radził szukać związków małżeńskich za Alpami, wśród włoskich księżniczek, spowinowaconych z cesarzem. Maksymilian i jego posłowie twierdzili, że cesarz przez „przychyłość bezinteresowną“ troszczy się o losy króla polskiego, iż mu „ofiaruje pannę narodu włoskiego w małżeństwo“. O tej przychyłości niemieckiej różnie można twierdzić. Poza nią przeświecała rzecz iście germańska — interes.

Polityka rakuska za pomocą koligacyj, misternie nie-

raz wytwarzanych, szukała wzrostu swych wpływów. Tym razem nadzieje zawiodły. Zygmunt odparł, ku wielkiemu niezadowoleniu cesarza swatającego, iż już zapóźno. Rzeczywiście, zapóźno było. Zygmunt, idąc za radą najstarszego ze swych braci, Władysława, króla Czech i Węgrzech, umyślił zaślubić Barbarę Zapolę (jak historyk ówczesny nazywa „z Zapoły“), która po matce pochodziła z krwi Piastów, a co do mowy, obyczaju, uczuć religijnych, była typem swojskim, naszym najzupełniej. Rodzina Jagiellońska, w trzecim już pokoleniu zamieszkująca królewską na Wawelu siedzibę, zespoliła się tak dalece z ziemią naszą i jej zwyczajami, z charakterem i usposobieniami ludności, iż Zygmunt, z usposobienia wróg wszelkiego nowatorstwa, szukał owej swojskości w przyszłej życia towarzyszce. Brat Władysław, z którym łączyły go stosunki najtkliwsze, znać wiedział o usposobieniach Zygmunta, gdy mu nasunął zamiar ten a nie inny.

O Barbarze, chociaż w epoce tej zaledwie z dziecinnych wychodziła lat, wieści już liczne po świecie krążyły, wszystkie zaś twierdziły jednogłośnie, iż jej istota duchowa to „korona cnót wszystkich“¹⁾. Późniejsze, krótkie życie najzupełniej stwierdziło wieści rozbiegające się o dziewczęciu. Odbił się na niej wpływ matki, wpływ gniazda rodzicowego: matka i szląskie gniazdo, z którego owa matka pochodziła, nosiły wszystkie znamiona swojskości, na tle której łatwo się zaszczyliły cnoty domowe, przymioty nieszukające rozgłosu, ale podwaliną szczęścia rodzinnego zawsze a słusznie je mienia.

Jadwiga, matka Barbary, córką była Przemysława III, z dynastii Piastów, księcia na szląskim grodzie, Cieszynie. Ojciec zaś jej, Stefan Zapolę — czyli, jak u nas nazywano, „Zapolski“ — był węgierskim magnatem, hrabią na Spiżu, wojewodą siedmiogrodzkiem, władcą Trenczyna. Gdy

¹⁾ M. Bielski, „Kronika polska“, ks. V, (wyd. K. Turowskiego).

dobiegała Barbara siedemnastej wiosny życia, ojciec jej już nie żył, a matka, otoczona dziećmi (oprócz córki byli dwaj synowie: Jerzy i Janusz), osiadła na mężowskiej spuściźnie — trenczyńskim zamku, gdzie przestrzenią i całkiem otoczeniem zbliżoną była do ojczystego gniazda, do szląskiej dzielnicy. Gwara ludowa, słowacka, brzmiała u stóp zamku i w całej okolicy, z sąsiednich zaś dolin dobiegały wiatry jej rodzinnych pól szląskich. W Trenczynie, zdala od wpływów węgierskich i niemieckich, pod wyłączną opieką macierzystą, na polską dziewicę wzrastała Barbara.

Wprawdzie na Szląsku już od lat wielu górowała niemieccyzna, krzewili ją nawet Piastowie tameczni, ale niewieście serca i myśli nie zostały jeszcze skażone techniem germanizmu. Zarówno na zameczkach książęcych, jak i w chacie wieśniaczej, u kolebek niemowląt i u ognisk pracy powszedniej, brzmiała pieśń swojska i obyczaj prastary stał, utrzymywany niewieścią troską, by zachować to, co Bóg dał, a ludzie odbierali. Nietylko okoliczności wypływające ze zdarzeń przemożnych, dziejowych, prądy niemieckich towarzyskich oddziaływań, przy częstych zetknięciach się krzewiły germanizm, lecz na własnej, szląskiej niwie powstawali gorliwi propagatorowie germanizmu. Wpływ niewieści jedyną był tarczą wobec nacisku obcego żywiołu.

Niemieccyzna, urosłszy u dworów książątek rozrodzonych i zubożałych, sięgnąć wszakże nie mogła do chat — tam instynkt tłumu ją odpierał wytrwale. Chłop polski nad Odrą, Olzą, u źródeł Wisły, zamykał się szczelnie, niby żółw w skorupę dawnego obyczaju, nieprzystępny był wszelkim niemieckim wpływom. Germanizatorowie już się znaleźli w XV wieku, którym się zdawało, iż dość będzie pięciu lat, by całą masę ludową na Szląsku pozbawić na wieki języka ojczystego i zgermanizować. W tym duchu był edykt Jana, biskupa wrocławskiego, z r. 1495 nakazujący gminie Wojcie pod Odmuchowem, aby w ciągu

lat pięciu nauczyła się po niemiecku, i po owym terminie, zarzucając najzupełniej mowę polską, używała już odtąd jedynie niemieckiej. Ktoby zaś nie usłuchał rozkazu — opiewał edykt — miał być wypędzon ze Szląska.

Po czterech wiekach, co od czasu owych edyktów upłynęły, widzimy, iż dzieło rąk Bożych tak łatwo wytepieniem być nie może. Lud szląski w całej mocy zachował dotąd język i obyczaj swój.

Dom, rodzina, ojców wiara — to puklerz wobec niemych ucisków. Takim domem swojskim, na zaraniu XVI w., był Trenczyński zamek, gdzie niewieście, domowe rządy sprawowała Jadwiga z rodu Piastów, gdzie wychowywała się Barbara, ku której wzrok swój zwrócił Zygmunt I.

Pierwsze rokowania w tej sprawie podnosił Władysław węgierski. Posłał on na Trenczyński zamek, w celu wyrozumienia, jak się zapatrują na jego projekta matka i wuj Barbary, Kazimierz, książę na Cieszyźnie. Tym pierwszym gońcem, znać pospolicie używanym do rokowań poufnych, był dyplomata w duchownej szacie, dr. Hanel, który nie znalazł żadnych trudności w Trenczynie. Dla możnego wprawdzie, lecz wcale niekrólewskiego rodu Zapolya, małżeństwo proponowane było nader świetnem. Siedemnastoletnia zaledwie Barbara sama o sobie nie orzekała; głos tu matki wszystko stanowił, a głos ten ze wszechmiar przyjaźnie brzmiał. Matka widziała w zamiarach tych więcej dla córki szczęścia, niż marzyć mogła. Zygmunt już od lat pięciu dał się poznać światu jako król, władca szeroko rozsiadłych ziem, których poważanie, miłość coraz większą zdobywał, a dla matki Barbary znany był jako człowiek. Z opowiadań brata swego Kazimierza, księcia Cieszyńskiego, miała ona bliższe wskazówki o Zygmuncie. Znali się dwaj ci książęta na Szląsku, przed wstąpieniem na tron Zygmunta. A więc i tym razem, gdy chodziło o ostateczne omówienie kwestyi małżeństwa,

wraz ze wspomnianym wyżej Hanelem, archiprezbiterem z Budy, udał się do Krakowa ks. Kazimierz cieszyński.

Działo to się w dniach kończących listopad a rozpoczynających zimę 1511 roku.

Rokowanie krakowskie prędko załatwiono. Kiedy na Trenczyńskim zamczku projekt przyjęto z radością, na Wawelu rzecz nie przedstawiała żadnych trudności. W zasadzie cały ten zamiar omówiony był wcześniej, wobec poselstwa króla węgierskiego, Władysława, które w Krakowie na niewiele przedtem gościło.

Termin zaślubin naznaczono na pierwsze dni lutego. Były to też same dni lutowe, około św. Doroty, co przed sześćdziesięciu prawie laty upamiętniły się w dziejach domu Jagiellońskiego zaślubinami Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Rakuszką.

Ludzi pamiętających epokę pomyślną zaślubin Kazimierzowych niewiele już było; wiadano wszakże, iż owe dni godów Kazimierzowych przyniosły dużo błogosławieństwa Niebios, dużo szczęścia domowego, rodzinnego Jagiellońskiej rodzinie i całemu państwu; wrócono więc i Zygmuntovi niemało szczęścia, gdy dzień zaślubin z owymi wspomnieniami łączy. Termin wydawał się jako dobry omen. Epoka ówczesna, nieco przesadna, skwapliwie podnosiła zbieg przypadkowy dat, wieszcząc tyleż lat życia przyszłej królowej, ile niegdyś żyła Elżbieta, słusznie nazywana „matką rodu Jagiellonów“.

Rzeczywistość powitała wprędce rozczarowaniem wieszczbiarzy... Przedwieczny dawca i kierownik losów miał wkrótce wydrzeć kartę z pomyślnej przyszłości. Lecz ciosów i zawiedzionych nadziei nie przewidywano wówczas, oddając się wrażeniom chwili — a wrażenia te tchnęły pogodą i nadzieją o barwach wzorzystych.

Wieść, iż potężny monarcha środkowej Europy zaślubia dziewczę nieznane, stosunkowo ubogie, wychowane zdala od większych ognisk światła, wywołała mnóstwo

rozpraw i komentarzy w Polsce, na Litwie, za Karpatami. W Węgrzech mniemano, iż to jest ubliżeniem dla majestatu zniżać się ku dziedzicom Trenczyńskiego zameczku: zapewne zawiść mówiła przez usta szlachty węgierskiej; każdy z nich uważał się za również dobrego jak Zapolya. W Polsce także wielu „tego małżeństwa, jako nierównego, nie chwaliło“, chociaż byli pono, — wedle słów Marcina Bielskiego — co „wielu dobrego się z niego widzieć obcywało“¹⁾.

Najwięcej sprawa tego małżeństwa nie podobała się cesarzowi niemieckiemu, Maksymilianowi, który pilnie troszcząc się o losy naszego Zygmunta, ofiarował mu — jak się wyżej wspomniało — „pannę włoskiego narodu w małżeństwo“. Propozycja, jak wiemy, spóźnioną była i poseł niemiecki „odprawiony i udarowany“ został; „ale cesarz, obrażony się — pisze kronikarz — Krzyżaki na króla pobudził i z Moskwą się pobrać“²⁾. Tak się więc nader szybko ujawniła ta Maksymilianowa „przychylna bezinteresowna“...

Król tymczasem na dąsanie się niemieckie nie zważał. Zabiegi znaczne i szybkie uczynił, aby gody weselne w pierwszych dniach lutego odbyć się mogły. Przedniejszych panów koronnych obesłał listami, wzywając ich na swe weselne gody wraz z żonami. I w tym razie stosowano się do dawnych tradycji. Gdy Kazimierz Jagiellończyk się żenił, również wzywano żony przedniejszych panów, aby towarzyszyły pierwszym krokom na Wawel królewskiej oblubienicy. I teraz, za Zygmunta, to się powtarza.

Prawie też same nazwiska pań spotykamy w relacji Długosza o weselu Jagiellończyka, jak i w piśmiennych

¹⁾ Kronika Marcina Bielskiego, ks. V, str. 962.

²⁾ L. c. 963.

zabytkach, które mówią o zaślubinach Zygmunta z Barbarą Zapolya.

Charakterystyczną jest rzeczą, iż na pierwszych, zarówno jak na drugich godach, nie widzimy pań litewskich, ale jedynie nazwiska rodzin małopolskich wraz z wielkopolskimi spotykają się. Jeszcze znać niewiele wówczas Litwa posiadała kobiet o cywilizacji górującej, godnie tedy mogących reprezentować dwór królewski, chociaż już się zdarzało dość często, iż możnowładcza młodzież litewska sięgała po rękę dziewię najpierwszych rodów polskich. Podczas bardzo wczesnej doby wspólnego dwóch krajów życia, widzimy, że Tenczyńskie, ze starego Nawojowego zamku, z Tenczyna, stawały na ślubnych kobiercach z młodzianami z nad Niemna i temsamem uzupełniały pracę cywilizacyjną Jadwigi. Niosły one daleko, za puszcze, za miedze cywilizacji starej, hasła nowe obyczaju mniej szorstkiego, kultury wyższej, chrześcijańsko-zachodniej. Patrząc z odległości wielu stuleci na te pracownice, z Małopolski zabiegłe nad Niemen i Wilię, na ich cywilizacyjną działalność, nie można rzec, że „kobiety nie mają historii“. Swemi zasadami, wychowaniem dzieci, uczuciem, urastały ponad tłum, wpływały na społeczeństwo.

Takich niewieścich pionierów niewiele jednak jeszcze liczono na ówczesnej Litwie, a warunki geograficzne nie sprzyjały, ani też czas i pora roku, by je sprowadzać można było dla wytworzenia naprędce, w ciągu kilku tygodni, otoczenia dla młodocianej narzeczonej króla.

Podobnie jak Długosz przechował nam imiona pań: z Tarnowa, z Tenczyna, z Szamotuł, z Czyżowa, Ostrorogowej i innych, które witały i wprowadzały na Wawel Elżbietę Rakuszańkę, narzeczoną Jagiellończyka, tak *Tomiciana* szacowne wyliczają nam owe panie, co były powołane do witania Barbary Zapolskiej. Zawsze są tu też same nazwiska rodów starych, głośnych, zasłużonych, od dawna na tronu stopniach stojących.

Król powołał wśród wielu trzy Tarnowskie: Tarnowską, kasztelanową przemyską, wdowę po Rafale z Jarosławia Tarnowskim, Jadwigę Tarnowską, kasztelanową krakowską, małżonkę Spytkę z Jarosławia Tarnowskiego i ich córkę Annę, już wówczas małżonkę Jana Odrowąża, wojewody ruskiego. Dalej widzimy dwie przedstawicielki wielkopolskich pań: Lubrańską, wojewodzinę poznańską i Katarzynę z Szamotuł, małżonkę Łukasza z Górki, kasztelanę poznańskiego. Anna z Radziwiłłów, księżna mazowiecka, młoda jeszcze wdowa, bo dopiero do połowy czwartego lat dziesiątka dobiegająca, z dwiema córeczkami, Zofią i Anną, i dość już letnia siostra królewska, Elżbieta, tworzyły wyższy region zastępu niewieściego, który witał Barbarę.

Zygmunt mocno pragnął, aby ten zastęp był najliczniejszym i ślady zabiegów i trosk, w rzeczonym kierunku łożonych, pozostały w *Tomicianach*, gdzie wogóle odbijają się liczne szczegóły działalności tego króla. Oto, w jaki sposób przemawiał król Zygmunt do senatorów, wzywając ich na gody z żonami i córkami. „...Ponieważ przychodzi Nam na myśl, — pisze król — iż potrzeba znakomitych niewiast dla przyjęcia narzeczonej i uczczenia na pierwszym wstępie, chcemy, aby w. m. żonę swoją tu, na dzień św. Doroty, sprowadził, by ku czci Naszej i narzeczonej Naszej czyniła Jej asystencyą, coby Nam wielce miłym było“...

Łukasz z Górki, do którego powyższe wyrazy były pisane, należał do przedniejszych, a zarazem i do najulubieńszych senatorów; dlatego też król wysłał go po Barbarę, wraz ze swym największym ulubieńcem, Szydłowieckim: Krzysztof Szydłowiecki, kasztelan sandomierski, Jan Lubrański, biskup poznański, również blizki i miły królowi, a wreszcie wspomniany Łukasz Górka, potężny wielkopolski możnowładca, składali grono poselskie, które po królewską oblubienicę za Karpaty jeździło.

Poselstwo sprawiono szybko i dobrze. Przy całym utrudnieniu środków komunikacyjnych, bez względu na brak warunków klimatycznych, sprzyjających pośpiechowi, i ułatwień informowania się szybkiego, wszystko na czas gotowem i dokonaniem porządnie, wedle woli Zygmuntowej, zostało.

W przeddniu św. Doroty, tj. w przeddniu wskazanego przez króla terminu, wracając z Węgier poselstwo z oblubienicą królewską, stanęło o mil parę od stolicy.

Taką chwilową gospodą, gdzie odpoczywano i do wjazdu się przygotowywano, była duża wieś kościelna, nazwiskiem Morawica.

Dla Barbary pierwsza to stacya dłuższego nieco pobytu w Polsce, pierwsza możność zetknięcia się z mieszkańcami kraju, którego miała się stać matką, panią, królową. Na przystanku tym pierwszym godziny Barbarze szybko płynęły; nie była samą; towarzyszyła jej matka, brat Janusz i wuj.

Troskliwość rodzicielki nie pozwoliła córce odjechać samej. Z rodzicowego gniazda, z Trenczyna, wyjechała Barbara w towarzystwie swych najbliższych. Wujem, który ją odprowadzał, był wspomniany tu wyżej Kazimierz, książę cieszyński. Otoczenie, jak widzimy, było najzupełniej swojskie, blizkie sercu tej ziemi, do której Barbara wyjeżdżała. Piastowie szlączy wieźli na stary gród piastowski młodociane piskłę własnego gniazda.

Zatracały się już wówczas w Krakowie i w kraju całym piastowskie tradycye, przed stu laty, i za dni warneńskiego pogromu, tak jeszcze żywe; niewielu więc zapewne zapatrywało się na ów związek Zygmunta, jako na hołd oddany dynastyi starej, pierwotnej, której społeczeństwo wszystko zawdzięczało, która ostrzem miecza, niby lemieszem swego praojca, odorala miedzę graniczną szerokiego później łanu, miedzę przyszej wielkości, sławy,

bezpieczeństwa. Ale każdy odczuwał, iż pewien powiew swojskości płynie z tą młodą królową.

Po raz to ostatni królowa, przybywająca z obczyzny, nie wnosi z sobą na Wawel żywiołu obcego; nie wnosi cudzoziemskiej mody, obyczaju, pojęć wręcz różnych od zasad, któremi się u nas rządono. Te panie, które później przybywały na Wawel i wieńczyły swą skroń koroną Jadwigi, niosły z sobą wszystko obce, zapępiały tłumami cudzoziemców antekamery izb królewskich, nie nawiązywały nici stosunku rodzinnego tronu z narodem. Były to Włoszki, Niemkinie, Francuzki, postacie, które serdecznymi węzły nie łączyły się z przybraną ojczyzną, i ta ziemia głoskami błogosławieństw nie zapisała ich pamięci. Mieliśmy później szeregi królewien o myśli, uczuciu swojskiem, ale królowe, z wyjątkiem Anny Jagiellonki, to obce twarze i zimne dla nas serca. Nawet Barbara Radziwiłłówna, szybko i smutnie przesuwająca się pod sklepieniem izb królewskich na Wawelu, wciąż moralnie i fizycznie zbolała, a więc chorobliwie rozdrażniona, chorobliwie kapryśna i dumna — nie powiększa szczupłej wyjątków liczby.

Barbara Zapolska, to typ królowej, co zdala przybyła, nie pod naszym urosła niebem, a umiała jednak zespolić się z nową atmosferą życia, umiała stać się niecudzoziemską. Nie dziwny się — krew to piastowska... krew nasza...

Wjazd do Krakowa Barbary, odpawiony z pobliskiej Morawicy, świetnością uderzał. Orszaki poselstwa polskiego i rodziny królewskiej oblubienicy wynosiły „do ośmiuset koni“. Sam Łukasz Górka prowadził 60 zbrojnych, nie licząc tych, co w okolicy przyległej do murów stolicy łączyli się z ową ciżbą godową. Droga, którą wieziono Barbarę, szła na Łobzów, Kleparz, ku Floryańskiej bramie; tem wejściem bowiem miano ją do stolicy wprowadzić. Na znacznych przestrzeniach, od Morawicy do Kleparza,

droga przepelniona była końmi, ludźmi, jaśniała zbroją, barwą cennych szat, przepychem zaprzęgów i strojów.

Królewska oblubienica odbywała całą podróż w kolasie podarowanej jej przez króla węgierskiego, Władysława¹⁾. Zmienna pogoda, co u nas bywało po wsze czasy, uniemożliwiała od Morawicy dalsze posuwanie się kolasy na kołach. Śniegi i mrozy właśnie wówczas ustaliły drogę sanna, jak przystało na dni lutowe.

Kronikarz w następujący sposób opowiada o owej chwili dziejów rodziny Jagiellońskiej.

...„Przyjechali do Morawicy, blisko Krakowa, dnia 5 lutego (1512 r.) — czytamy w kronice — a tam nocowali... Nazajutrz, w piątkowy dzień, wyprawił się przeciwko niej król Zygmunt dosyć ochędoźnie, ale iż był wielki śnieg i mróz, przeto na saniach jechał do Łobzowa, a tam czekał nowej małżonki swej“²⁾.

Na białych, śnieżnych kobiercach, pod Łobzowem, rozpostarte były namioty, w których król oczekiwał na przyszlą małżonkę. Siostra królewska, Elżbieta, jedyna wtedy gospodyni zamku wawelskiego, księżna Anna mazowiecka z niedorosłymi prawie córeczkami, z dwoma pacholętami, wszystkie przedniejsze panie, mało i wielkopolskie, episkopat z prymasem Janem Łaskim na czele, tworzyli koło miejscowych dostojników. Tuż obok nie mniej świetnie stanęły obce poselstwa i goście, z cudzych krajów przybyli: wszystko to czoło schylało wobec potęgi Zygmunta i państwa, któremu przewodniczył. Nie zapomniano, iż Zygmunt był najpotężniejszym wśród dynastii Jagiellonów, a ta dynastia władała wówczas całą środkową Europą. Czechy i Węgry, szeroko rozpostarte ziemie Rzpltej, pod berłem dwóch synów Kazimierza Jagiel. zo-

¹⁾ „Jagiellonki pol. w XVI w.“, przez A. Przeździeckiego, T. I, str. 12.

²⁾ M. Bielski, ks. V, str. 963.

stawały, Władysława i Zygmunta. A przytem korona ostatniego z nich otoczona była plejadą ziem, księstw hołdowniczych. Wszystko to razem wzięte tak olbrzymią potęgę wytwarzało, iż można było przypuszczać przewagę stanowiącą żywiołu słowiańskiego w stosunkach politycznych Europy ówczesnej. Sprawy dyplomatyczne, gdyby spoczywały w dłoni ludzi biegłych w swej sztuce, a bezinteresownie oddanych interesom państwa Jagiellonów, mogłyby na wieki całe wstecz, ku środkowi Europy, cofnąć wpływ niemiecki i nie pozwolić rozrósć się, wzmocnić monarchii rakuskiej.

Podczas doby, o której mówimy, rzeczy na rozdrożu stały. Dom rakuski nie wzmógł się jeszcze, a Jagiellonowie tworzyli powagę. Około powagi tej, iż zabiegano, że jej się wciąż kłaniano — nie dziwnego, jej to był czas. Otóż i na gody Zygmuntowe przybyli liczni posłowie obcych mocarstw, na których czele widziano posła papieskiego, Jana Stafileus'a; poza nim, w tłumnej ciżbie obcych znakomitości, spotykano przedstawicieli książąt niemieckich — saskiego i brandenburskiego markgraфа — wysłańców od książątek szląskich, od patriarchy konstantynopolitańskiego, od wojewody wołoskiego, od biskupów węgierskich. Każdy z nich ponad górną Wisłę przybywał w celu zaskarżenia łaski królewskiej i utorowania sobie drogi do tej lub owej sprawy w przyszłości; i każdy nie odjechał z próżną dłonią; kronikarz nawet o nich pisze: „wszyscy dobrze uczęstowani i udarowani od króla odjechali“... W tak licznym a świetnym poczie królewska oblubienica wjeżdżała, witana przez panów przedniejszych, duchowieństwo i mieszczan, naprzód na Kleparzu, potem u Floryańskiej bramy, wreszcie w katedrze, na zamku, gdzie w imieniu złożonego chorobą biskupa krakowskiego, Jana Konarskiego, wita ją biskup przemyski, Maciej Drzewicki, polecając jej łasce duchowieństwo. Przemówienie to w całości, czy też w znaczniejszym fragmencie doszło do

nas i wskazuje, iż pewne monarchiczne pojęcia istniały jeszcze wówczas, szanowano majestat tronu: przebija się to z całą mocą w słowach przedstawiciela duchowieństwa, submitującego się młodziutkiej monarchini. Buta senatorska i różnych paniać w Rzpltej później dopiero urósć miała...

Barbara rzeczywiście nader młodziutką stawała z królem Zygmuntem na ślubnym kobiercu. Liczyła siedemnaście zaledwie lat życia, podczas gdy jej małżonek miał już tych lat znaczną liczbę — czterdzieści pięć. Pomimo wielkiej różnicy wieku, rzeczony małżeństwo opierało się na prawdziwym uczuciu, które wytworzyło dla obojga dni szczęścia rzeczywistego. Dni te były krótkimi, lecz Zygmunt zaliczał je do najlepszych w życiu swem... Po szybkim zniknięciu tych dni, gdy we trzy lata później Barbara umarła, Zygmunt, złamany ciosem, długo na samo jej wspomnienie łzami się zalewał.

Młodziutką latorośl starej dynastii na zamku krakowskim witano urzędownie bardzo uroczyście, nie obeszło się bez rymów łacińskich; ale nikt w niej nie witał powrotu piastowskiego pisklęcia do rodzinnego gniazda starej dynastii: zabaczono, iż jest ona przedstawicielką dawnych, piastowskich tradycyj; nie oceniono należycie, iż słowo polskie z ust jej płynie, że nietylko co do mowy, lecz co do obyczaju, usposobień, charakteru, przyzwyczajęń, kością jest z kości a krwią z krwi naszego społeczeństwa.

Kolebkę Barbary nie okrywano purpurą królewską, niemniej jednak jej wejście na Wawel i objęcie tronu sierocem i ubożuchnem mienić się nie mogło. Wnosiła mężowi wiano bogate, ze stu tysięcy czerwonych złotych złożone; suma znaczna, stosunkowo do ówczesnych warunków, a przytem mogłyby być nadzieje większego wiana nawet, ale Barbara, po koronacji, która w parę dni po ślubie, w trzy zaś dni po wjeździe do Krakowa, odbyła

się, zrzekła się wszelkiego dalszego po rodzicach spadku. Król w zamian za to — jak się przechowały świadectwa u Dogiela i w Tomicyanach — żonie zapewnił znakomitą, tak zwaną „oprawę“, składającą się z licznych dóbr.

Barbara Zapolya, od pierwszej chwili przybycia na Wawel, stanęła wśród otoczenia najzupełniej różnego od tego, jakie ją na Trenczyńskim zameczku otaczało. Począwszy od świetności izb zamku królewskiego aż do ludzi, stojących najbliżej stopni tronu, wszystko innem, świetniejszym nie tylko mieniło się, lecz i bez zaprzeczenia innem było. Wpływ ciągłego stosunku z ogniskiem ówczesnego poloru, z wytworną Italią, uwidocznił się na każdym kroku. Włochami już i wówczas zapelniał się Kraków. Sukiennice prawie całe, będąc w ręku włoskich kupców, świadczyły wymownie o rozgałęzieniu się u nas stosunków handlowych z daleką, wciąż kupeczącą Italią. Wszystko co do dziedziny sztuki zaliczało się, również z Włoch ród swój wiodło. Zamek królewski już był wspaniale odnowiony, pod kierunkiem Włocha, budowniczego, Franciszka Lori, rodem z Florencji: i Krzycki, poeta ówczesny łaciński, a dworak pełen poloru i światowej giętkości, nie napróżno w wierszu na cześć Barbary Zapolya opiewa następującymi słowy piękności królewskiej siedziby:

... Tutaj dworzec napodziw — wszędy malowanie,
Wszędy złoto, dziewico! jeno obróć oczy,
Oto przepych królewski wkoło cię otoczy.
Tu przysionki. na słupach granitowych wsparte,
Tu obrazy cudnymi barwami natarte,
Tu misterne sklepienia, tutaj Rzymskie sale —
O! i król assyryjski nie żył tak wspaniale...¹⁾

Pod owemi „misternymi sklepieniami“, ozdobionemi

¹⁾ Andr. Krzycki, *In augustissimum Sigismundi, Reg. Pol. et Reg. Barbarae connubium Andr. Criti Carmen*, 1512. Przekład pol. Wład. Syrokomli.

złotemi „rozetą“, w „rzymskich salach“ i komnatach, których siedm przedniejszych liczono, mieścił się dwór, usposobieniem, pojęciami, obyczajem tworzący dla młodziankiej Barbary inny świat, którego ścieżki dla niej, jako dziewczęcia pełnego sielskiej prostoty, wiły się stromo, wydawały się ślizkami i przepaścistymi. Bo też, zaiste, takimi one były już wówczas.

Dwór królewski, podobnie jak dwory przedniejszych rodów, roił się od „trefnisiów“, ludzi dowcipnych, umiających zabawić, rozweselić żartem pospolicie wesołym, lecz często boleśnie raniącym tych, których chciało upokorzyć, ze ścieżki życia usunąć, jako niebezpiecznych współzawodników. Rozweselanie opowiadaniem żartobliwemi, dowcipem, leżało w obyczaju ówczesnego życia. Píše więc autor „Dworzanina“ o sposobach ówczesnego przepędzania czasu następującymi słowy: „Schodzą się, aby uweselić się i dać sercu ochłodę, a k'temu nie dopuścić, aby człowiek natenczas pomniał na swe frasunki a dolegliwości tęschiwe, któremi opływa nasz żywot“¹⁾. Oprócz ludzi „trefnych“ (dowcipnych) większe dwory posiadały „trefnisiów“, których wyłącznym, z urzędu niejako, obowiązkiem było chlebowców bawić, „dawać im sercu ochłodę“. Takim był głośny Stańczyk, „błazen osobliwy“, jak nazywa go ówczesny kronikarz, takim mniej głośny, a jednak znany wówczas powszechnie, Benesz, trefniś na dworze Krzysztofa Szydlowieckiego. „Trefnisie“ zastępowali niekiedy dzisiejszą prasę i głosili prawdę, którą panowie prędzej z ich ust niż z innych przyjmowali. Panowie, wiedząc, że trefnisiom nie dotrzymają pospolicie kroku w dowcipie, najczęściej milczeniem odpowiadali, uznając tem samem słusność ich docinków. Marcin Bielski już to zauważał i taką zapisał w swej kronice przestrozę: „owa z błazny szkoda panom żartować, bo prawdę radzi żartem rzeką“...²⁾.

¹⁾ Ł. Górnicki, „Dworzanin“.

²⁾ „Kron. Polsk.“, Marc. Bielskiego; wyd. Turowskiego, str. 1000.

Obok trefnisiów z urzędu, tłumy dworzan zalegały izby zamku królewskiego, z których niejeden, według wyrażenia się Reya z Nagłowic, „przegryzał się przez życie“, dowcipkując i „trefnem“ słówkiem osłaniał własne sprawy, nie zawsze lubiące dziennej jasności. Niemaló wytwarzało się zatem intryg dworskich, nieliczących z powagą majestatu, którego zamek wawelski był siedzibą.

Niektóre postacie z owego liczego dworu, po wiekach zapomnienia, ożyły dla nas; wspomnienia bowiem o nich, zagrzebane w „Tomicyanach“, i innych epoki ówczesnej rękopiśmiennych zabytkach, otrząśnięto z kurzu kilku stuleci: i znowu owi dworzanie zygmuntoy, owi trefnisie, owi chwalecy majestatu i jego spraw, ubierający swe pochwały w rym wytworny, stają przed nami. Widzimy ich zabiegi, ich zabawy, niekiedy zbyt wesole, biesiady ku zgorszeniu Włochów za długie, bo przy stołach biesiadnych — jeśli wierzyć obcym relacyom — 6 do 8 godzin trawiono, nie rozstając się z opowiadaniem i z pełnemi dzbany. Jeden Polak „zje za pięciu Włochów“ pisał tamtoczesny podróżnik włoski.

Usunąwszy pewną ilość przesady, której chętnie puszczali wodze cudzoziemcy, mówiąc o nas, i z lekceważeniem nas traktując, niemniej jednak przyznać należy, iż dużo czasu trawili ówczesni na zabawach. Żaden stan, powołanie nie nakładały hamulca używaniu wszelkich życia przyjemności. A epoka nieogłędnego czerpania z czary ziemskich rozkoszy, co należy do właściwości ludzi z doby Odrodzenia, zaczynała się u nas właśnie w owych latach, gdy Barbara Zapolya stała się panią na Wawelu.

Dla niej wszystko tam spotykane tem wyraziście obcem się wydawało, iż na tle często lekkomyślnego, rzadko gruntownie coś umiającego tłumu, który gwarnie snuł się po krążgankach zamkowych, widziała ludzi z rzeczywistą nauką, z polorem, z przyzwyczajeniami najwytworniejszego świata. Wobec nich nieśmiała i niejako w głębi ducha

swego upokorzoną się czuła. Do jej ucha zarówno dobiegały roznoszone po kraju, ba, i za Beskidem tułające się wieści, że stopnie tronu dla niej „za wysokie“, jak i zwykłe orzeczenia humanistów naszych ówczesnych, „iż Polki nie są tak uczone jak Włoszki“...

Nieśmiałość od pierwszej chwili przybycia na Wawel zauważano i wobec męża, którego wprowadzie pokochała całą mocą pierwszego uczucia, pomimo wielkiej różnicy wieku, a różnica dobiegała prawie lat dwudziestu ośmiu — lecz wielka powaga męża i jego wyższość pod wielu względami onieśmiały ją. Ta nieśmiałość, na tle jakby jakichś przeczuć smutnych, braku wiary w pogodę jutra, wprędce wywołała w młodem tem sercu obawy o trwałość miłości męża, która dla niej cenniejszą była nad świata całego korony.

Nieco później przyplątały się do pesymistycznego usposobienia młodej kobiety pewne podszepty, pomnażające obawy, nadając im przytem niemaló cech prawdopodobieństwa. Lecz o podszeptach złośliwych powiemy w dalszym ciągu opowieści naszej.

Zygmunt, liczący w chwili żenienia się lat czterdzieści pięć, nosił w swem usposobieniu i w całej swej postaci znamię człowieka epoki dawnej. Pewna miękkość, zaliczająca się do właściwości pokoleń humanistów, nie wplotła się do czynników jego wychowania. Wszystko w nim w latach młodzieńczych i dojrzałych jego życia tchnęło siłą, powagą, wstrzemięźliwością w słowie, czynie, szlachetnością i otwartością. Na taki wizerunek składają się pojedyncze rysy jego postaci, rozsiane u pisarzy doby noszącej jego miano. Takim go poznała, takim więcęj może odgadła instynktem niewieści, niż poznała młodziutką małżonkę, taki stanął w dziedzinie jej uczuć i posiadł niepodzielnie ową dziedzinę.

Zewnętrzna postać Zygmunta zachowywała wieki całó dla potomności rzeźba, umieszczona na domu Jana Bo-

nara w Krakowie, rzeźba pamiętająca krótkie lata życia Barbary Zapolyi. Na owej rzeźbie widzimy go z twarzą łagodną, bez zarostu, znać starannie wygoloną, z długimi włosami, twarzą o rysach spokojnych, regularnych, okiem rozumem, ale u ust widać się ślady jakichś przebytych goryczy i siła, co siebie raczej niż innych hamować potrafi.

Historyk XVI stulecia uzupełnia nam to, czego dopowiedzieć dłoń włoskiego rzeźbiarza nie zdołała. Słowa rzeczzonego historyka o Zygmuncie brzmią tak: „Urody był to pan krasnej a siły wielkiej tak, iż powrozy targał, podkowy łamał; niewiele rad mówił, ale z baczeniem; był trochę gniewliwy, ale jednak gniew umiał w sobie taić, był trzeźwy, mierny“¹⁾... Do wyrazów tej charakterystyki historyka dorzuca pióro publicysty kilka rysów, stwierdzających, iż nie napróżno rzekliśmy, że do znamiennych cech charakteru Zygmunta zaliczała się pewna szlachetność i otwartość, zupełna dostępność, najzupełniej Jagielloński brak dumy w stosunkach z ludźmi; zastępowała ją powaga, od młodości wczesnej w nim spostrzegana, a bezmierna, powaga, nakładająca hamulec na jego czyny i słowa. Mileczący najczęściej, mileczenie przerywał niekiedy dowcipem, żartem, co niespodzianie wybiegał z ust pospolicie zaciśniętych, jakby przy wpatrywaniu się w zadumie w głąb ducha swego. Ale żart, dowcip — o ile posiadamy wskazówki — zwykle niezbyt był udatny. Konserwatystą zresztą mienić go nie możemy; wszelka zmiana wrażenie mu przynosiła nieprzyjemne; co jednak nie przeszkadzało być dostępnym dla uwag, zdań wręcz przeciwnych.

„Rad nas słuchiwał — pisze o królu Zigmuncie publicysta XVI wieku — nie tylko każdemu pozwalał łaskawego ucha. Stały otworem wszystkie jego gmachy, pokoje, najtajemniejsze przybytki, zgoda wszystkich dom swój,

¹⁾ M. Bielski, „Kronika Polska“, ks. V, str. 1094 (wyd. K. Turowskiego).

przez cały bieg życia, wynurzał na publiczny widok“¹⁾. Piękna ta a łagodna postać tembardziej jasno na zamku wawelskim świeciła, iż wszystko, co do zastępu dworzan różnego rodzaju i miana należało, pod wpływem pojęć humanistów obcych, zdobywających u nas grunt pod swemi stopy, odbieżało od epoki prostego obyczaju i zasad moralności chrześcijańskiej mniej strzegło. Głos humanistów, echo mędrców starożytnego świata w większem poważaniu były nad słowo ewangelii. Zygmunt wcale nie odwracał ucha od prac nowych, ówczesnie dokonywanych pod wpływem powiewu pojęć humanistów. Poezye, które z wielką łatwością tworzył, w języku starej Romy, młody natenczas Andrzej Krzycki, wytworny dworak w sukni kapłańskiej, a przytem ulubieniec królewski, nie tylko, iż król chętnie czytał, ale je z sobą „woził w oddzielnej skrzyneczce“. Krzysztof Szydłowiecki, również mąż wykształcenia wyższego, wielki bywalec, który pił wodę Jordanu, podróżnik, „szukający w morzu i w ziemi — jak się wyrażano — godności wielkiej, człowiekowi przyzwoitej“, zaliczał się też do najbliższych króla, prawą jego ręką mienić się mógł i rzeczywiście takim był²⁾. Mikołaj Szydłowiecki, brat tu wspomnianego, również niepospolita postać, w sztukach się lubujący, który, jak z zacięciem panegirycznym pisano o nim, „jaskinie plutonowe przemienił w mieszkanie grajcy“, do „najpożądańszych“ Zygmunta senatorów i przyjaciół również się zaliczał.

Wymienione tu postacie najwybitniejsze dworu i kraju, otaczające tron, tworzyły niemniej i najbliższe otoczenie młodzietkiej królowej.

Zygmunt, urządzając dwór żony niewieści, z wielką troskliwością dobierał ludzi, pragnął widocznie, aby z przed-

¹⁾ „Stan. Orzechowski“.

²⁾ *Liber geneleos illustris familiae Schidloviciae*. (Wydanie parzykie Tytusa Działyńskiego, 1848, w druk. Crapelet).

niejszych otoczenie jej spleść. Andrzej Krzycki, wspomniany tu poeta, mianowany sekretarzem królowej, a Stanisław Jarocki, herbu Rawicz, „człowiek, jako siły wielkiej, tak rozumu i baczenia dobrego“, staje jako marszałek na czele jej dworu.

Pewna liczba niewiast, dziewic szlacheckich rodów, przebywa stale na dworze królowej. Źródła dziejowe zachowały nam pamięć szczególnie o jednej z owych dworskich dziewic: to Zofia z Targowiska Targowicka, herbu Tarnawa, słynna „ze swej piękności“, a wreszcie dodawano i „z cnoty“, gdy o parę dziesiątków lat później, za dni Bony, obyczaj jej Włoszek, któremi licznie Wawel zaludniała, rdzą cudzoziemską enotę naszą starą okrywał ¹⁾).

Igrać uczuciem umiano i wówczas: z dworów obcych przeszczepiano pewną w tej mierze bezwzględność, i na naszym gruncie urastali różni gorszycciele domorośli, lecz na dworze Barbary, którą z polską zaczęto nazywać „Zapolską“, obyczaj ojców dawny i surowy w mocy swej stał, nie zmieniał się, acz obce wpływy i złe przykłady falą obfitą podmywały węgly spokoju gniazd rodzinnych.

Gorszycciele obcych nie brakło; widywano ich na celniejszych nawet stanowiskach. „Andrea Silvio Amato“, Włoch, który uprzednio w Wiedniu chleba szukał, a potem w gościnnej Polsce zasiadł na katedrze akademii krakowskiej, wreszcie zaś, po kilkunastu latach, stał się z ręki Bony wychowawcą Zygmunta Augusta, znanym był z życia zbyt lekkiego ²⁾. Własnych naszych gorszycciele i kłających obyczaj domowy mieliśmy sporo: im bardziej w głąb XVI w., tem tłumniej oni występują, lecz większości rodów moralny od cudzoziemców wyprowadzić się da.

¹⁾ Niesiecki, t. IX, str. 8 i t. VIII, str. 641, wyd. J. N. Bobrowicza 1842.

²⁾ K. Morawski, w swych studyach umieszczonych w *Przegl. Polskim*, r. 1887.

Prawdopodobnem było, iż Krzysztof Szydłowiecki, możnowładca ówczesna potęga, igrać zechce także uczuciem wobec Zofii Targowickiej; lecz na dworze królowej Barbary „Zapolskiej“ nie mogły rzeczy iść taką koleją. Szydłowiecki poprowadził piękną Zofię do ołtarza; był to związek nierówny co do majątku i stanowiska społecznego. Targowiccy ustępowali Odrowążom i Szydłowieckim — ale to związek serca, podobnie jak Zygmunta, i — również szczęśliwy.

Szczęścia dużo zapowiadało małżeństwo Barbary Zapoliny z Zygmuntem. Dla króla — to epoka nader pogodna. Królestwo nie rozłączali się prawie weale w pierwszych dwóch latach swego pożycia. Po spędzeniu kilku pierwszych miesięcy w Krakowie, gdzie król dopilnowywał restauracy i uświetnienia zamku na Wawelu, rozpoczęły się ku jesieni 1512 r. podróże, które dla spraw państwowych monarcha odbywając, woził z sobą żonę, podobnie, jak to niegdyś czynił jego rodzic ze swą Elżbietą, za dni bojów trzynastoletnich z Krzyżakami i podczas długich podróży w głąb Litwy. Barbara towarzyszy Zygmuntovi na sejm piotrkowski, na zjazd w Wielkopolsce; i przy dłuższem w Poznaniu goszczeniu, gdzie król zamieszkiwał dom biskupi, przy tumie, powiła mu Barbara pierwsze dziecko — była to córka, Jadwiga. Przyszła ona na świat w dniu W. Piątku wczesnej wówczas, marcowej Wielkiej Nocy.

Przy całej dla żony miłości, król nie mógł nie odczuć pewnego rodzaju zawodu: spodziewał się, gorąco pragnął syna, widział w nim rękojmię przyszłej pomyślności swych państw, a tymczasem zamiast syna, nadziei dynastyi, córka się rodzi. Król żonie nie daje do poznania swego chwilowego smutku z zawodu, który go spotkał, ale w pewnego rodzaju manifestie do stanów koronnych wydanym, uwiadamiającym o przyjściu na świat dziecięcia, parę kropel goryczy tajemnej spotykamy. Zaczyna się owa

odezwa od wyrazów, stwierdzających niejako smutek króla, z rezygnacją połączony; czytamy tam na czele te wyrazy: „Wszelki dar z góry dany mile przyjęty być winien. Pan Bóg dał Nam córkę“... ¹⁾. W liście do brata Władysława, króla węgierskiego, już śladów tej goryczy niema, ale i zbytcej radości z tego „daru“ niebios również nie widzimy.

Zygmunt dzielił się z narodem poronionemi nadziejami następcy, dziedzica tronu i Jagiellońskich tradycyj, bo i dla narodu rzecz to nieobojętna; zawiódł się i on w oczekiwaniach. Jeszcze przed ślubem z Barbarą, pisząc do hospodara wołoskiego, Bohdana, król wyrażał się, iż naród go skłania, „aby królowę sobie pojął, a w tem królestwu i państwowym swym poradził“ ²⁾. Naród więc pragnął dla Zygmunta syna, urodzenie się córki rozpraszało nadzieje.

Obrzęd podawania do chrztu malutkiej królowny odbył się w Poznaniu, bez żadnej okazałości; może się zgon ówczesny królowej Heleny, bratowej Zygmunta, zgaszłej w Wilnie, przyczynił do tej ciszy u dworu; w tymże bowiem czasie donosi król jednemu z senatorów: „Pisano do Nas, że królowa Helena ostatni dzień życia swego przeżyła“. Ostatni ten dzień nie był wszakże zbyt przykrym dla rodziny królewskiej. Helena z tytułu tylko do rodziny męża należała, wogóle zaś zdala biedna kobieta — ofiara politycznych kombinacyj — trzymała się od rodziny Jagiellońskiej i owa rodzina od niej stroniła. Uroczystość chrztu królowny jest jednym z dowodów patryarchalnego stosunku, łączącego Zygmunta z narodem. Wyraźnie to uwydatnia się, gdy wzywa wielkopolskich panów, by mu do chrztu córkę trzymano. Wiele życzliwości przyjaznej jest w tem wezwaniu, skierowaniem do Lubrańskich, któ-

¹⁾ Patrz „Jagiellonki polskie“, t. I, str. 14.

²⁾ L. c. t. I, str. 10.

rych zaprasza, by mu się stali „kumami“. Przechowany w Tomicyanach list króla w tej kwestyi, do Mikołaja Gardziny Lubrańskiego, wojewody poznańskiego i jego małżonki, stwierdza jak serdeczny, patryarchalny stosunek łączył króla z poddanymi.

Wszystkie rodziny małopolskie, w kraju i u stopni tronu wpływowe, zaprzyjaźnione były bądź z całą rodziną Jagiellońską, bądź też z niektórymi jej członkami: poza stosunkami urzędowymi, każdy z owych senatorów lub dworzan niejedną nicią serdecznej łączności, niejednem osobistem wspomnieniem zjednoczonym się czuł z Jagiellonami. Postacie, widziane już przez nas na zamku krakowskim, wszystkie prawie prywatnymi stosunkami sięgały tronu. Szydłowiecki Krzysztof, na Wawelu, wraz z synami Jagiellończyka wychowywał się; osobisty to więc od lat dziecinnych przyjaciel króla Zygmunta. Rodzina Targowickich także miała z Jagiellonami bliskie stosunki; brat bowiem Zofii Targowickiej — Zygmunt — dworak i kapłan zarazem, sekretarzował przy bracie króla, kardynale Fryderyku, na pokoje ciągly wstęp mając. Panowie „z Sobienia“ i inne odpryski rodu Srzeniawitów, spokrewnieni z nimi Ogończykowie z Dubiecka Ruskiego, a z tymi znowu spowinowaceni Derszniakowie, Korczakowie z Rokitnicy, wozili swe kobiety na Wawel; i później o lat kilkadziesiąt niektóre z tych rodów, wśród zmieniających się szybko kart losu, niejednokrotnie wnuczkom Zygmunta Starego, osieroczoną Jagiellonką, okazywały swą życzliwość, jakby odwdzięczając się, iż ich ongi dobrotliwie garnął król „Stary“ pod dach gmachu wawelskiego ¹⁾...

Zaledwie upłynęły pierwsze tygodnie macierzyństwa

¹⁾ Sobień, Dubiecko Ruskie — gniazda małopolskich rodów — nad Sanem, już za Jagiellończyka, wskutek napadu Węgrów, idą w gruzy; ostatnie aż do zagłady imienia swego, bo dziś zowie się Wieś Ruska, nazwa zaś przeszła na sąsiedni zameczek i miasteczko.

Barbary, niebezpieczeństwa od wschodniej ściany państwa skłaniają Zygmunta podążyć o mil kilkadziesiąt, ku Wilii brzegom. Małżonka i tym razem nie opuszcza męża. Dwa razy od niej starsza siostra królewska, Elżbieta, jedyna jeszcze niezamężna, acz już przekroczyła poza trzydziestkę lat swych, rozciąga macierzyńską opiekę nad malutką Jadwigą, królowa zaś jedzie z królem na Litwę, chce mu towarzyszyć w trudach obozowych. O pobycie w obozie niema wszakże mowy; król żonę zostawia na zamku wileńskim, sam zaś dąży ku pogranicznym państwu miedsom. W krótkim życiu Barbary smutkiem znaczony pobyt jej w Wilnie, gdzie tęskniła i niepokoiła się podwójnie, o męża, zajętego wyprawą, i o dziecię piastowane na przyjaznem, lecz nie na matczynem łonie, w dalekich, wawelskich murach. Nie cierpiała zupełnego osamotnienia: miała dwór liczny i gwarny, jak w Krakowie. Mac. Drzewicki, biskup kujawski, opiekował się dworem i królową, Krzycki zaś udatnymi rymy głosił jej boleść z powodu rozstania się z mężem, i wierszowane łacińskie listy, w imieniu osamotnionej, do króla na teatr walki słał; lecz to wszystko nie przynosiło cichego szczęścia, do którego z usposobienia swego powołaną była niejako. Smutek wileński wywołał obawy, trwogi, by nie stracić uczucia mężowskiego, by w dziedzinie jego serca berło niepodzielnie trzymać. Późniejsze miesiące dorzucały zarzewia obaw nowych, wprawdzie płonnych, one wszakże organizm jej wątły podkopywały, rdzą smutku trawiły. Szlachetna ta niewieścia postać była wspaniałą, lubo wątłą rośliną, którą, żeby przy życiu utrzymać, potrzeba było wciąż otaczać miłością, strzedz pilnie od wszelkich powiewów obaw i zgryzot rzeczywistych, a nawet urojonych. Barbara dużo i urojonych posiadała: z organizacyi jej fizycznej, dość słabej, nerwowej wielce, z usposobień skłonnych do wątpliwości, to wypływało.

Wcale przesadnymi mienić nie można opisów tęsknoty

królowej młodziutkiej i wielce rozżalanej, gdy z wyprawy, upamiętnionej tryumfem orszańskim, król długo nie wracał. Dziwnie rzewne są te łacińskie rymy Krzyckiego, w których boleść osamotnionej królowej opiewa, porównując ją do „żałośnej turkawki“. Początek tak brzmiał:

Jak w gęstym wiązcie turkawka jękliwa,
Wdowiem gruchaniem małżonka przyzywa,
Takiemi jęki i we dnie i w nocie
Ja, smutna wdowa, narzekam, gruchocę...

.....
Cóż ja modlitew, co ja zniosłam marnie
Dziennej goryczy i nocnej męczarnie!
A ile przygód bywało na świecie,
Tyle obawy moją duszę gniecie...¹⁾

Król obdarzał żonę wiadomościami dość częstemi; wszakże dla jej obaw, dla jej tęsknicy, wszystko to nie wystarczało. Myśl jej wciąż ku dwóm punktom zwracała się: do obozu, gdzie mąż przebywał, i na Wawel daleki biegła; tam bowiem malutkie jej niemowlę, pod opieką królowny Elżbiety, wyciągało ku niej swe ręce. Król wielokrotnie przypominał siostrze, Elżbiecie Jagiellonce, swe niemowlę, prosząc, aby otaczała „najukochańszą“ jego córkę „swą miłością“. Dla młodej kobiety taka podwójna tęsknota zbyt ciężyla na wrażliwem sercu.

Towarzystwo dworu niewieściego, ani też Krzyckiego, który stale na dworze królowej przebywał, i w charakterze jej przybocznego kanclerza do najbliższych zaliczał się, nie koilo smutków osamotnionej. Krzycki powierczo-wnością, uzdolnieniem wyróżniał się imponująco. Dość jeszcze młody, małego wzrostu, „śniady, giętki“, pełen rzutkości, wesoły, dowcipny, światowcem był, chociaż w szacie duchownej, i zabawić umiał; lecz Barbary umysł szukał gdzieindziej uspokojenia. Bawienie przedłuższe w Wilnie

¹⁾ Przekład Wład. Syrokomli.

zapełniała temi miłosierdzia chrześcijańskiego czynami i modlitwą; co jej zdobyły chlubne wspomnienie, wyrażone przez współczesnego w następujący sposób: „dla wielkiej jej pobożności, ku królowi małżonkowi wiary i powolności, a ku wszystkim ludziom niewymownej dobroci i ludzkości, i ku ubogim szczodroblewości i dla innych wszelakich cnót, musieli ją wszyscy ludzie miłować...¹⁾”.

Obcowanie z Bogiem i listy od Zygmunta zapełniały Barbarze dni smutku. Król często pisuje, daje szczegóły o sobie, ale głównie zajęty troskliwością o żonę. „Jużeśmy z Bożą pomocą pierwszym obozem stanęli — czytamy w jego liście z Mińska, pisany 16 sierpnia 1514 r. — teraz szczęśliwie dalej ruszamy... W. Miłość zaś prosimy, aby tęsknotę za nami cierpliwie znosiła, ponieważ to co czynimy służyć ma ku chwale imienia naszego i ku utrzymaniu państwa ojcowskiego i naddziadów Naszych“²⁾.

Król szedł w tylnej straży obców, nie narażało go owo ciągnięcie na niebezpieczeństwa pierwszych ciosów wroga; wszakże Barbara mówi mężowi w swych listach, iż dni jej płyną w „żałobie“, i w nagrodę wynurzeń otrzymuje zaraz pociechę w postaci nadziei blizkiego zwycięstwa. „Piszemy — głosi list króla z Borysowa, w parę tygodni po poprzednim pisany — abyś tymczasem raczyła być dobrej myśli, wypogodziła swoje oblicze, niczego się nie obawiała, mając dobrą otuchę i z każdym dniem lepszych nowin oczekiwała, chowając ku nam zwykłą miłość“³⁾.

Polecenie się uczuciu zbyt cieżkiemu tu zupełnie; królowa niem jedynie żyła, a obezwładniały ją nietylko obawy o męża życie i zdrowie, lecz i o stratę owego uczucia.

¹⁾ Przekład z „Tomicyanów“, u Aleks. Przeździeckiego, w „Jagiellonkach“, t. I.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Loc. cit.

Dni tęsknoty, jak wszystko na świecie, przeminęły. Dzień Narodzenia M. Boskiej, ówczesnego roku, był dniem Orszy. Król wrócił jako tryumfator; za nim weszły na zamek i do katedry wileńskiej trofea; echo zwycięstwa świat szereki zapełniało; Leon X. otrzymał o niem od Zygmunta zawiadomienie; w Rzymie przeto nabożeństwami, oracyami „uczonych ludzi“, sztucznymi ogniami obchodzono tryumf¹⁾.

Barbara witała nie tryumfatora, lecz męża, przedmiot swej miłości, ze czcią połączoną. Dla niej kwestya tryumfów podrzędną była; gdy tymczasem kwestya jej istnienia w spokoju ducha, pod promieniem przyjaznych dokoła usposobień, zdawało się, iż wchodzi na lepszą drogę. Obawy i przypuszczenia smutne królowej rozwiały się, jak sen; a że nigdy nie wznowią się można było mniemać. Wracała ona przy boku męża z Litwy do Krakowa, po przeszło całorocznej niebytności, wśród wróżb najlepszych; echa przewagi orszańskiej wciąż jeszcze brzmiały; pogoda usposobień jej najbliższych i narodu odbijały się w umyśle młodziutkiej królowej w sposób uspokajający... Pogoda umysłów w całej pełni rozwinęła się na wzgórzu wawelskiem, po powrocie obojga królestwa do Krakowa, w pierwszych dniach lutego 1515 r., wówczas bowiem zaczęto z cicha powtarzać na zamku wieść radosną, iż królowa spodziewa się znowu dziecięcia. Wieść ta pomnażała radość powszechną. Nikt nie wątpił, iż będzie to syn, tak upragniony przez króla i naród.

Powrót królowej do Krakowa przypadał prawie co do dnia i co do godziny w rocznicę trzecią pierwszego jej wjazdu do stolicy. Trzy lata właśnie dobiegało jak stanęła na stopniach tronu Jagiellonów; wrócono jej i tym razem przy uroczystych powitaniach lat szereg długi: nie przewidywano, iż obecnie już tylko ośm miesięcy od mogiły ją oddziela. Jej młodość, szczęście, miłość męża, po-

¹⁾ M. Bielski (wyd. Turowsk.) str. 978.

tegi blask składały się na horoskop najpomyślniejszy... Doba ówczesna nie zeznawała potrzeby otaczania niektórych istot wybranych atmosferą uczuć najtkliwszych, pod promieniem których one jedynie mogą istnieć; pozbawione takowych dziwnie prędko ginęły. Starano się o moralne warunki mniej zapobiegliwie, za podrzędne je mając, nikomu więc z najbliższych i najtroskliwszych o Barbarę nie nasuwała się myśl, iż pozbawiona atmosfery serdecznej troskliwości zwiędnie przedwcześnie. A jednak to, o czem nie myślano — ziściło się wprędce.

Zaledwie miesiąc upłynął od powrotu obojga królestwa z litewskiej stolicy, gdy Zygmunt, już tym razem bez żony, której stan zdrowia nie pozwalał odbywać wielkich podróży, wyrusza ku Dunajowi, na zjazdy i dyplomatyczne z monarchami rokowania.

Podróż króla, której celem najbliższym był Presburg, gdzie miał się widzieć z bratem Władysławem, królem węgierskim, a później zapowiadał się zjazd z Maksymilianem, cesarzem niemieckim, w Wiedniu lub jego okolicach, krótką być nie mogła. Obrachowywana na kilka tygodni, przeciągnęła się aż do sześciu miesięcy. Czas na nią zużyty, chociaż wypełniony częstymi listy Zygmunta i Barbary, wystarczającym się stał, by rdzą tęsknoty strawić wątły organizm Zygmuntovej małżonki. Kroniki XVI w. przypisują zgon przedwczesny Barbary wilgotnemu latu; mówią, iż choroba powstała „z wielkich mokości“ ówczesnego lata. Jeśli jednak damy ucho cichym jękom więcej niż tęsknicy, lecz bólu z trudnością tłumionego, który w listach Barbary wyraźnie się uwydatnia, wówczas gdzieindziej szukać będziemy przyczyn wyczerpania siły ducha, które wywołało i sił fizycznych wyczerpanie, w następstwie zaś nagłe zgaśnięcie.

Listy z owej epoki, przeważnie układane przez Krzyckiego, poza wytworną formą i świetnym językiem uzdol-

nionego sekretarza królowej, odzwierciedlają nieraz całą głębię trawiących ją smutków¹⁾.

Przyczyną — o ile się zdaje niemałą — wzmagających się z dniem każdym prawie smutków i żalobnych przewidywań Barbary, były rzucone, znać jeszcze w Wilnie, do jej wrażliwego umysłu opowieści o Zygmuntowym pobycie za dni młodszych w Głogowie, o miłości jego dla owej pięknej Morawianki, Katarzyny „z Telnicz“, czyli jak ją nazywano „Telniczanki“, o stateczności, z jaką utrzymywał długo to uczucie, on, stateczny zawsze, nie napróżno „starym“ zwany. Niejedna szczypta złośliwości, umyślnie dodana, pomnażała jaskrawość opowiadań, działała silnie na wyobraźnię.

Opowieści, prawdopodobnie ostrożnie podawane, wpadały do myśli, sączyły się powoli do ducha Barbary, osiadały w jego głębinach, niby trucizna i, budząc coraz bardziej przesadne obawy w umyśle młodej, egzaltowanej kobiety, wywoływały zwykle następstwa trucizny. Pesymizm, nieokreślone a ciągle obawy znalazły w tych opowiadaniach pewnego rodzaju grunt, na którym wybujać zdołały.

„Telniczanka“ nie była urojoną postacią. Dzieje jej i osoba sama głośnie mi stały się przed zamażpójściem Barbary. W chwili gdy ta ostatnia tron obejmowała, Telniczanka już była od trzech lat żoną Andrzeja Kościeleckiego, zdolnego i cenionego dygnitarza, któremu nie mogli nawet jego najbliżsi, nawet bracia rodzeni darować, iż się z nią ożenił. To oburzenie, niechęć ku Kościeleckiemu, czynem okazywana, przypominały światu istnienie Katarzyny „z Telnicz“, a zresztą i ona światu przypominała się. Ze swego domu „pod Białą Głową“, w Krakowie, przy ulicy Brackiej, pani Katarzyna rozległe stosunki

¹⁾ Cała serya tych listów, zachowana w „Tomicynach“ (t. III), skąd czerpał ich wyjątki, w przekładzie, umieszczając w „Jagiellonkach“, Al. Przezdziecki, t. I.

utrzymywała, i chociaż wdzięki jej były w przededniu przekwitnu, rzucała siec zalotności dokoła. Najznakomitszych pragnęła posiadać w szeregu swych wielbicieli, i pono posiadała; a są ślady, że Telniczanki dłoń spotykano w kabalach i intrygach tłumnego, gwarne, nieco długiem wczasy rozpróżnionego dworu na Wawelu.

Wobec takich usposobień Telniczanki, nie zrywającej wcale z rzemiosłem zalotności, podejrzenia trwożliwej Barbary, cichej, pokornej, wysoce o sobie nie trzymającej, wzrastały wśród osamotnienia. Wyjazd Zygmunta na dłuższy przeciąg czasu, właśnie ku tym okolicom skąd Telniczanka ród swój wiodła, podróż na dwory książąt, gdzie obyczaj wcale wzorowym nie był, gdzie tak znaczna liczba pięknych twarzy, napępniały pełne chorobliwych niemal przewidzeń serce Barbary tysiącami obawy. Pod ich to wpływem, „w dobę“ zaledwie po odjeździe Zygmunta, z jej zlecenia, układa Krzycki w formę listu smutne jej myśli tej treści: „...Miłość lękliwa zawsze i frasośliwa góruje często nad rozumem, nie mogę (więc) nie być stroską i niespokojną“... Całe ówczesne usposobienie Barbary, o którym tu wyżej z niejakim naciskiem mówiliśmy, wybornie malują dalsze listu rzeczono wyrazy: „...Podróż — czytamy dalej w owym liście — ma swoje nie wczasy, ma i niebezpieczeństwa, a gdyby ich nawet nie było, bojaźń wystawia sobie w urzeczywistnieniu to, co być mogło“... „Długie podróże, często afekta miłości u nieobecnych osłabiać zwykły, lękam się bardzo, abys W. Kr. M., jak już ciałem — i duszą ode mnie nie odbiegła“... Te wyrazy, tak dosadnie malujące uczucia ówczesne Barbary, nie inwencya trzymającego pióro jej kancelaryi, ale własne jej serce dyktowało. Około myśli, w rzeczono wyrazy odzianej, cała korespondencya królowej podczas nieobecności męża toczy się. I w innych listach, owej półrocznej doby podróży królewskich, nie zabacza Barbara wciąż powtarzać, i tkliwych wynurzeń serca

kochającego, i prośby o jednakie uczucia, „...bo w innych sprawach różna może być zapłata, lecz miłość tylko miłością się płaci“... Król, zarówno w pierwszej odpowiedzi, na list tu zacytowany, którą pisał z Ostrawy, w kilka dni po wyjeździe z Krakowa, tak bowiem szybko gońcy z królewskiem listy jeździli — jak i w innych, rozwija jednaką myśl, iż nie jest tak słabą podstawa ich wzajemnej miłości, „aby osłabić ją zdołała bodaj największa odległość“... Listów nacechowanych najgłębszym smutkiem niemało pisała Barbara, podczas półrocznej męża nieobecności, wiele też i Zygmunt zużył słów uspokojenia, łagodnej perswazyi, do których nieraz załącza uwagi, tyczące się zdrowia żony i sposobów chronienia się od rzeczy szkodliwych jej zdrowiu. Podobne przestrogi zawarł i w listach do siostry Elżbiety, która czuwała nad Barbarą. Poznawszy wreszcie Zygmunt, iż przewidywania, przeczuć żałobne mnożą się wciąż, co na jej zdrowie i losy przyszłego potomka wpłynąć może szkodliwie, mocno się zaniepokoił. W każdym jego liście — a takich w „Tomicyanach“ pozostało do żony dwadzieścia, a trzy do siostry — przestrogi tyczące się zdrowia Barbary mnóstwo spotykamy.

Długie godziny zwykła była Barbara spędzać w kościele na modlitwie, której i w domu część czasu znaczną poświęcała, martwiąc przytem ciało surowemi postami. Zygmunt obawiał się dla niej murów zimnych świątyń krakowskich, obawiał się postów wycieńczających słabego organizmu siły; pragnął, aby w towarzystwie królowy, Elżbiety Jagiellonki, używała świeżego powietrza, w cieniu ogrodu królewskiego, który od Łokietkowych czasów załagał wybrzeże Wisły, u ujścia Rudawy. Gdy więc wiosna nadeszła, drugi miesiąc nieobecności króla upłynął, a on wrócić jeszcze nie zdołał, takie wyrazy troskliwości płyną z pod pióra Zygmunta: „Usilnie prosimy W. Kr. M., aby te ostatki nieobecności Naszej spokojnie przeniosła; a dla

miłości Naszej jak największe staranie w tej tak trudnej dla siebie porze o sobie miała. Przyjmiemy to za spełnienie gorącego żądania Naszego, jeżeliby W. Kr. M. codzień, idąc do kościoła na nabożeństwo, krótko tam bawiła; a czasem także dla odpoczynku umysłu i ruchu ciała przechadzała się z N. Siostrą Naszą po ogrodzie Naszym, lub w innym jakimkolwiek przyjemnem miejscu"... Jednocześnie szły listy królewskie, zarówno do lekarza, „wielebnego Leonarda Pieczychowskiego“, któremu staranie powierzał o zdrowie żony, jak i do „sławetnego“ Jana Bonara, burgrabiego i rajcy krakowskiego, niejako marszałka dworu, zalecając mu sprowadzenie stosownej mamki. Do żony król w kwestyi mamki ze szczególną troskliwością pisze. Czytamy raz dopisek: „Bonarowi dla Ciebie mamki szukać kazalem“; to znowu w innym liście rozpisuje się szerzej. „Niech W. Kr. M. raczy naradzić się o tem z N. Siostrą Naszą, jak sama zechce, byleby nim czas rodzenia nastąpi, połączonemi radami tak się opatrzyło, aby mamka gotowa była, i raczej ona na dziecko czekała, aniżeliby dziecko na nią czekać miało“...

Wyrazy tu przytoczone dorzucają rys charakterystyczny do wizerunku postaci poważnej, wybitnej, wreszcie zaś, mało dotąd wystudowanej, jaką jest Zygmunt Stary. Wśród spraw państwowego znaczenia, wśród rokowań dyplomatycznych, czas i myśl swobodną posiada on, by szeroce omawiać sprawy rodzinne, maluczkie, domowe. Chcąc temu sprostać, potrzeba było dużo mieć uczucia obok rozważ, którą tak powszechnie sławią w Zygmuncie: że na uczuciu mu nie zbywało, liczne mówią świadectwa. Gdy miesiące upływały a zamierzone widzenie się z cesarzem Maksymilianem nie dochodziło, wciąż oddalając się raczej niż zbliżając, w Zygmuncie, acz cierpliwym, górować zaczęło zniecierpliwienie. Pisze więc do żony, znać mocno rozżalony: „Dałby Bóg, aby już nareszcie nie przez listy, ani posłów, ale osobiście dano było rozmówić

się z W. Kr. M.... Pocięchą nieprzerwanego pożycia wynagrodzilibyśmy Naszą nieobecność, która nam coraz bardziej się przykrzy, ponieważ wyjeżdżając nie myśleliśmy wcale, że się tak przedłuży“...

Dochodziły króla wieści wciąż niewesołe: to pisano, że bezbrzeżna tęsknica królowej, to jej słabe zdrowie nie pozwalające wróżyć możebności karmienia spodziewanego dziecięcia, to wreszcie donoszono, że jakaś choroba, grasująca wśród niewieściego dworu królowej na zamku wawelskim, zabrała parę ofiar z najbliższego otoczenia, tak iż potrzeba zaszła zmiany mieszkania księżniczek z obawy zarazy. Barbara wprowadzie o tem nie pisze, piszą inni, a ona i o swem żalobnem usposobieniu ogólnie się wyraża. Bojaźń, złowrogie przeczucia zamykają jej usta: otwiera i usta, i serce częściej wobec Boga, niż wobec ludzi, bodaj najdroższych. „...Gdy inne uczucia i troski zmniejszają się z biegiem czasu — pisze ta pełna przeczuć smutnych, trwożliwa pani — u mnie zwiększa się z każdym dniem pragnienie widzenia W. Kr. M. i niespokojność z powodu takiego opóźnienia“...

W chwili rozpoczęcia piątego miesiąca goszczenia króla za granicą, Barbara powiła d. 1 lipca (1515 r.) córeczkę. Gонец wnet o tem zdarzeniu powiósł wiadomość do Zygmunta, który ją we dwie doby odebrał w Presburgu, gdzie ciągle jeszcze wyczekiwał na zjazd z cesarzem, odebrał z próżno tajonym smutkiem. Drugie już w ciągu trzech lat pożycia z Barbarą przychodziło na świat dziecię, lecz i tym razem nie był to syn: pragnienie gorące następcy nie ziściło się.

Nie podobna wstrzymać się od przytoczenia kilku myśli Zygmunta, posłanych chorej żonie, po odebraniu wiadomości, iż szczęśliwie córkę powiła, której później dano imię Anna. Dawszy wyraz swej radości, z powodu owych urodzin, nie wahał się on tak wyrażać: „...wcale nie mniejszą Nam to radość sprawia, niż gdyby się był

syn narodził, któryby miał państwem naszym i posiadłościami szeroko władać... Usilnie prosimy W. Kr. M. na wzajemną miłość naszą, aby najmniejszej podejrzliwości nie przypuszczała względem tego, aby nie miała pozostać zawsze najmilszą dla nas, pomimo tego, że wydała na świat córeczkę... Tak dalece żadnego to nam nie sprawiło zmartwienia, że już złożyliśmy Opatrzności za ten dar najpowinniejsze dzięki". Nie mamy śladu jak wielką leż obfitość wydała Barbara, czytając powyższe słowa uspokojenia rzekomego, gdzie jednak wychyla się cień wyraźnego żalu, ale łatwo domyśleć się możemy, iż list tu wskazany był kroplą przepelniającą jej obawy.

Łzy zapewne obfite polały się. Gorycz źle ukrytej wymówki męża wstrząsnęła słabą i schorowaną istotą. Sześć tygodni, które jeszcze upłynąć miały do chwili powrotu męża, upłynęły Barbarze wśród choroby, której nie mogły stawiać czoła siły wątłe, organizm zachwiany niedawnym cierpieniem i ciągłą zgryzotą. Król, w drugiej połowie sierpnia, wróciwszy z długiej swej podróży, zastał ją schorowaną, znękaną, bardziej może moralnie niż fizycznie, zastał w łóżku.

Przypisywano stan zły zdrowia Barbary „mokrościom lata“, które namnożyły w istocie chorób podówczas w stolicy; sądzono, że usuną się wkrótce większe niedomagania: katastrofy nikt nie przewidywał. Powrót króla działał w sposób ożywczy; znękana moralnie kobieta zwracała się ku swym ukochaniom, ku mężowi, ku kolebkom dzieci, jak kwiat ku słońcu — i z ich oblicza czerpała siły bytu dalszego. Sił w istocie nieco wracało; Barbara wstała z łóżka, nadzieja zupełnego wyzdrowienia zdawała się najzupełniej usprawiedliwioną; stroskane czoło Zygmunta pogodą świecić zaczęło... Próżne wszakże były złudzenia... Dwudziestoletnie to życie, niby kwiat święty podmuchem groźnego wiatru, zniknęło nagle...

Dnia 1 października cieszone się jeszcze pewnem

polepszeniem, lecz atak jakiś niespodziany — zapewne z choroby serca pochodzący, lubo owocześni nazywają go „nowym atakiem apopleksyi“ — uderzył niby grom w mury Wawelu i w serca mieszkańców stolicy... Wyczerpanie działalności serca, które tak wiele i tak po chrześcijańsku bliższych i dalszych kochało, a maluczkim, zapomnianym niosło pociechę, otuchę w dniach prób — wywołało na jutro ciężkie konanie. W dniu poniedziałkowym, 2 października 1515 r., Barbara — ostatnia królowa ze szczepu Piastowskiego — zgasła...

Zgon niespodziany młodej kobiety, powołanej, jak się zdawało, do życia długiego i szczęścia, pani wysoce poważanej, ze względu na jej domowe cnoty i szczerze ukochanej w stolicy, gdzie przypatrzyć się zdołano jej chrześcijańskiemu miłosierdziu i cichym praktykom religijnym — wywołał żal powszechny. Po raz ostatni troska króla i narodu zlewały się w jedno nieszczęście ogólne, zroszone wspólnymi łzami.

Wspólności żalu i leż króla i narodu później u nas już się nie spotyka; węzły dynastyczne, mogące się przyczynić do ściślejszego zespolenia węzłów państwowych, rozluźniają się z czasem coraz więcej — wreszcie znikają.

Mnóstwo pozostało śladów, jak trudno było rozstać się ówczesnemu społeczeństwu z tą młodą panią zamku wawelskiego, zaledwie półczwarta roku świecącą z wyżyn tronu krajowi swą cnotą podniosłą. Wielcy i mali, bliżsi i dalsi, współcześni i mało co późniejsi, składali się po jednej nucie, składali się akordami pojedynczymi na hymn żałoby, pieśń głębokiego, bo szczerzego żalu — pieśń ta całunem się stała sarkofagu Barbary.

Niemало świadectw współczesnych, nieurzędowych, nie dla kogoś lub dla czegoś pisanych, ale niejako prywatnych, bez myśli uwiecznienia w świat rzuconych, poufnych zwierzeń, w chwili wrażenia pierwszego skreśło-

nych, w żalu tym wielkim, o wartości zmarłej poważne dowody składają.

Krzycki był świadkiem zgonu, nie z przypadku, ale znać z pewną myślą przesadywał w komnacie, gdzie się mocowało to życie młodociane ze śmiercią: nie chciał widocznie stracić ani jednej chwili z minut gaśnięcia. Pysła po Tomickiego, podkanclerzego, gdy się wysnuwały pasma ostatnie ze starganej nici życia... radząc mu, by nie opuszczał zamku z powodu „niepewności godziny“. Tomicki nie nadszedł. Krzycki nie naglił, bo mu pierś żaleń wezbrała, nie był zdolny o niczem myśleć, kreśli kartkę do Tomickiego, już po wybiciu dla królowej ostatniej godziny, prosząc, by ktoś w zajęciu zastąpił, boleść go bowiem obezwładnia: „ja zaprawdę nie jestem dziś przy zmysłach, niepewny jestem sam siebie“... — dodaje znękany pani swej zgonem sekretarz i poeta dworski, kto wie jakiego rodzaju uczucia piastujący dla zmarłej; zdaje się coś więcej niż cześć... Myśl o tym zgonie zajmuje go wciąż, daje jego szczegóły wnet po katastrofie. „Królowa J. M. inaczej skonała, niż bywało podczas zwykłych paroksyzmów, które ją wczoraj jeszcze często napadały, tak iż nie spostrzegliśmy się o Jej skonaniu, aż wyzionęła ducha; co bardzo prędko się stało, gdym ją sam pogrążony w boleści, na rękę trzymał... Nie wiem jak z listami mam zrobić, gdyż głowa boli mnie srodze“...

Poważny, milezący król, tak mocny fizycznie jak niewielu wówczas, bolu, moralnej katuszy, łącznie nieść nie zdołał... Łzami oblewał śmiertelne łóżko Barbary, i takimiż łzami odpowiadał później jeszcze długo na każde o niej wspomnienie... Z trumną Barbary szczęście domowe Zygmunta znika na zawsze... We dwa lata po jej zgonie ukazuje się na zamkowych pokojach Wawelu nowa małżonka, Bona, Włoszka, niemałej piękności, młoda i dość wykształcona kobieta, którą wpływy rakuzkie narzucają Zygmuntowi na małżonkę, a on od dziewcząt niemieckich nie

odpędza się energicznie, gdyż wciąż pragnie syna, następcy, któremu berło ziem obszerne mógłby oddać u schyłku swych dni... Myśl ta w Zygmuncie stała się górującą; ból w połączeniu ze wspomnieniem Barbary tłumi w swej piersi, daje ucho rakuzkim dziewczędom i nowe zakłada gniazdo rodzinne. Kwestya stanu nie uczucie je uwiło... Dziwna tragiczność losów, tragiczność powtarzająca się dosłownie niemal w życiu syna. Tragiczność pierwsza burzy domowe szczęście króla — druga głębiej sięga... podkopuje przyszłość państwa.

Zygmunt, pomimo swych drugich ślubów, pamięć pierwszej żony do ostatnich życia chwil zachował. Złożył on jej zwłoki w podziemiach kaplicy Wniebowzięcia N. P. Maryi, (wzniesionej przez Kazimierza W. w r. 1340), w katedrze krakowskiej i to miejsce stało się odtąd dla niego aż do zgonu najulubieńszym przybytkiem modlitwy i rozmyślań. Kaplica przylegała do wejścia głównego na pokoje zamkowe, była budową niekształtną¹⁾; król, pogrzebawszy w niej ukochaną żonę, postanowił ten grobowy przybytek przebudować, aby odpowiadał godnie wymaganiom sztuki ówczesnej i dotykalnie świadczył o jego nigdy niegasnącej pamięci o Barbarze. Przybycie Bony i gody ślubne nie wstrzymały go od urzeczywistnienia tej myśli. Zburzono przeto do gruntu dawną kaplicę Wniebowzięcia, zwłoki Barbary Zapolyi chwilowo zostały usunięte, i, na miejscu Piastowskiej świątyni mniej kształtnej, stanęła nowa kaplica w stylu Odrodzenia, znacznym kosztem króla a artystyczną dłonią włoskiego budowniczego, Bartolomeo Berecci, wzniesiona. Tam, po jej ukończeniu, znowu do podziemi złożono zwłoki Barbary i Zygmunt sam zapragnął mieć w owej kaplicy swą pośmiertną siedzibę²⁾. W ten

¹⁾ Kronika Wapowskiego (wyd. Akad. Um. w Krak.), str. 138.

²⁾ Wapowski złożenie zwłok Barbary opisuje jako obrzęd wielkiego przepychu.

więc sposób powstała najcenniejsza z kaplic katedry na Wawelu — owo arcydzieło doby Odrodzenia — kaplicą „Zygmuntowską“ pospolicie zwana. Szczodroblivość Zygmunta, później jego córki Anny — przedłużającej tradycje Jagiellońskie, wiele łożyła na artystyczne wykończenie, ozdobienie wewnętrzne i zewnętrzne „Zygmuntowskiej“ kaplicy... Duch cnót wielkich, ulatując w nadziemskie przestworza, natchnął bolejącego małżonka, iż wznosił nad mogiłą owego anioła świetne dzieło sztuki, do dziś podziw znawców budzące.

Milczący Zygmunt w umyśle swym tylko łączył owo monumentalne dzieło sztuki ze wspomnieniem o Barbarze Zapolyi. Imię Barbary, ani nawet wizerunek jej patronki, nie przypomina w tym wspaniałym przybytku, że zgaśnięcie jej przedwczesne wywołało pomnik najwytworniejszego smaku doby Odrodzenia... Najmniejszy napis, wyłącznie jej pamięci poświęcony, nie pomnożył kamiennych kart dziejowych Wawelu... Dlaczego wszakże tak się stało, rzecz trudna do określenia. Jedna to bezwątpienia z zagadek charakteru Zygmunta, który w swym usposobieniu i czynach posiada dość sprzeczności. Może, wreszcie, ów „ojciec pokoju“, jak go nazywali ci, co jedynie na sprawy jego publiczne patrzyli, pragnął pokoju przedewszystkiem u ogniska domowego, gdzie długie lata, bo aż do zgonu sędziwego króla, o zbyt drażliwym charakterze, Bona królowała. Prawdopodobnie niechęć manifestowania przed zbyt drażliwą Boną uczucia dawnego a trwałego spowodowały Zygmunta, iż, wzniosłszy nad grobem ukochanej Barbary monumentalny przybytek modlitwy, w myśli swej tylko połączył ów pomnik ze wspomnieniem o swym chwilem, tak nagle znikłym szczęściu, ale nie wyryl tam imienia tej, która mu na zawsze w pamięci pozostała...

Zygmunt nie był jedynym, upamiętniającym krótki pobyt na ziemi Barbary. Czynili to inni, bardziej obojętni

życia jej świadkowie, świadcząc swem słowem, iż duch to jeden z przedniejszych.

Jedni, jak Wapowski, nazywają ją istotą „wierną Chrystusowi, miłującą kraj“, na którego tronie zasiadała; Bielski, poświęcając przedłuższy ustęp jej charakterystyce, dodaje, iż „umarła z wielkim żalem królewskim i wszech ludzi“... Decyusz mieni świętą, a Krzycki poświęca jej pamięci niejeden utwór swej muzy... i tak do cieniów zmarłej przemawia:

Gdy lecisz w lepsze światy od naszej półkuli,
Gorzko naszemu światu wspomnieć twe zasługi,
Płacze ciebie ubóstwo, któż mu płacz utuli?

Czas, lecząc wiele, a tracąc jeszcze więcej, utulił „płacz ubóstwa“, zatracił w swych falach wierny wizerunek tej postaci, która cicha, smutna, pokorna, miłująca, przemknęła szybko, niby cień, przez stopnie tronu swych praojców i zniknęła w otchłani zapomnienia.

Nie zapominał o niej tylko ten, który ongi, wśród jej smutnych przeczuć, mówił: „nie tak słabą jest podstawa wzajemnej naszej miłości, aby ją jakabądź odległość osłabić mogła“. Modli się on dziesiątki lat u jej grobowca, tam szuka spokoju, od którego łódź jego życia ciągle odbiega, tam czerpie pociechę, moc na dni długiego bojowania, i gdy wreszcie starość głęboka nadechodzi, a więc „odległość“ ich dzieląca znika, śmierć go nawiedza w 82 roku życia, na grobowcu Barbary¹⁾... Oto są szczegóły tego zgonu: „Pierwszego dnia Wielkiejnocy (1548 r.), Zygmunt, podług zwyczaju swego, był przytomny nabożeństwu —

¹⁾ Zygmunt I, przebudowując z gruntu na grobie Barbary dawną Piastowską kaplicę na przybytek okazały, w stylu Odrodzenia, pragnął mieć grób pod jej sklepieniem. Wyraźnie o tem pisze w liście do Jana Bonara (*Acta Tomiciana*, t. IV, str. 198). Czytamy tam: „...nie radziśmy powstrzymywać się od wydatków na to mieszkanie, w którym wiecznie przebywać mamy“...

pisze cudzoziemiec, opierający się na naszych źródłach — potem przed grobowcem, który sobie w kościele, blisko grobu św. Stanisława, w Krakowie, wystawić kazał, klęcząc modlił się dłużej nad godzinę, ażeby umysł starością zmordowany, nadzieją pewnego zmartwychwstania pokrzepił. I gdy słowa Joba: „Wiem, że Zbawiciel mój żyje“...¹⁾ z wielkiem umysłu nateżeniem wymówił, apopleksyą ruszony upadł, i wkrótce w pokoju swoim skonał²⁾...

Od owej chwili, pamiętnej w dziejach, od owego kwietniowego dnia, 1548 r., już nikt u nas o Barbarze Zapolya wspomnienia w swej myśli nie pielęgnował; nie przechowywała go i historia. Losy innej Barbary — Radziwiłłówny — żony Zygmunta Augusta, postaci o obliczu duchowem mniej sympatycznym, zajmowały historyków i poetów... o Barbarze Zapolya, o ostatniej przedstawicielce prastarego Piastów rodu na naszym tronie głuche milczenie... Legendy nie otoczyły jej mogiły, nie uczyniły z niej postaci popularnej: enoty jej ciche, niewieście, domowe, nie potrzebują szaty legend poetycznych, by świecić blaskiem prawdziwym, wśród przestworzy wieków i zdarzeń dziejowych...

II.

Anna Wazówna, królowna szwedzka.

Losy naszych królewien, prawie wszystkich, snuły szarą nić złej doli... Względy wyższej polityki, kombinacje statystów, rozrządzały ich przyszłością, wpływały na ustalenie losów, co wszakże ustaleniem pomysłem pospolicie nie było.

Wśród doli najczęściej bardzo smutnej dni ich upły-

¹⁾ Księga Joba XIX, 25. 26.

²⁾ Samuel Lauterbach, *Polnische Chronike*, drukow. 1727, str. 285.

wały. Wychodziły za mąż za maluczkich władców niemieckich, którzy ani obyczajem, ani ukształceniem, ani miem i sposobem życia, nie przypominali naszym królowom ich ziemi rodzinnej, obyczaju, wśród którego wzrosły, część życia strawiły... Pojęcia różnowiercze, wcześniej w Niemczech kiełkujące, nieraz im życie zatruiły... Zresztą, drobne książątka niemieckie żadne były grosza, liczyły na posagi swych żon, a gdy takowych posagów odebranie połączone było z trudnościami, wytwarzały się dla naszych królewien stosunki domowe nader przykre, tem przykrzejsze, iż obyczaj książątek niemieckich szorstkim był a moralność wątpliwą...

Księżniczka, nie opatrzona należycie stosownem wianem, nie posiadając przytem zapisu, oprawy od małżonka, jeśli za życia męża nie doczekała się zupełnego wypłacenia wiana, a dzieci miała nieletnie, wówczas, w razie zgonu męża, los jej stawał się pożałowania godnym, powrót do ojczyzny mógłby się mienić koniecznością. A tego rodzaju powrót uważano za rzecz dziwnie upokarzającą, sromotną nawet. I zaiste, pozycya królowej, a owdowiałej księżnej, opuścić zniewolonej dom, rodzinę, stosunki urosłe z latami w przybranej ojczyźnie, zmuszonej wracać do rodzinnej ziemi w sposób przymusowy, miało w sobie dużo przykrego i upokarzającego.

W pozycyi rzeczzonej omal nie stanęła, w XV stuleciu, córka jednego z potężniejszych Jagiellonów, Kazimierza Jagiellończyka, królowna Zofia, zaślubiona Brandemburczykowi, który, należąc do linii młodszej w rodzinie swej, posiadał dwa niewielkiej doniosłości margrabstwa: Anspach i Bayreit. Wypłacenie posagu Zofii długie wlekło się lata. Stroskana, zbiedzona, a może i od męża słuchająca wymówek w tej kwestyi, nader poważnej dla maluczkiego pana na Anspachu, Zofia, po zgonie ojca, udaje się do brata, Aleksandra Jagiellończyka, panującego wówczas, i prosi go o przyspieszenie wypłaty posagu. List w inte-

resie pisany, odbija całą pozycję tej królowej, smutnej, troską znać przyniesionej, acz jeszcze dość młodej, lecz już matki liczego potomstwa, o losie dziatwy i własnym ze drzeniem myślącej. Działwy Bóg Zofii nie poskąpił: miała w ciągu życia siedemnaścioro potomstwa... a opatrzenie nieobfite w zasoby...

Pozycja Zofii, chociaż materyalnie nie nader świetna — wiele pań ówczesnych polskich, znacznie ją w możliwości prześcigało — pod moralnym względem ostatecznie złą nie była... O ileż gorszym los jej siostry starszej, Jadwigi, księżnej Bawarskiej... Lecz i Zofia nieskończenie smutna, gdy z rzewną tęsknicą, z troską wielką o przyszłość dzieci, przemawia do brata Aleksandra... W szesnastym roku zameżcia swego jeszcze nie piastowała ona całej gromadki — siedmnaściora — swych dzieci, ale już ich dziewięcioro powiła, i, zaledwie przekroczywszy trzydziesty rok życia, składa dowody rozumienia dobrego interesów i praktycznego wpatrywania się w przyszłość swą. Jakże rzewne wrażenie wyrzucić musi na każdego dar ubożuchny, dołączony do owego listu. Zofia ofiarowuje bratu, władcy potężnego państwa, „koszulę“, uszytą własną pracą w chwilach wolnych od piastowania dziewięciorga dzieci, jeszcze wówczas niedoroslých.

„Waszej braterskiej M. — pisze ona — uprzejmie wdzięczną jestem za przysłany podarek, który chcę mieć i zatrzymać na pamiątkę W. M.... Ja też przysyłam W. M. koszulę, którą własną ręką uszyłam, a którą W. M. chciej nosić przez wzgląd na mnie“...¹⁾

Pewna trzeźwość poglądów cechuje wszystkie nasze Jagiellonki, a przytem wielka miłość rodzinna górowała u każdej z nich w dziedzinie ducha. Trzeźwość poglądów, kto wie czy nie w spuściznie krwi germańskiej otrzymały po Elżbiecie, żonie Kazimierza Jagiellończyka, która była

¹⁾ List rzeczony umieszczony w „Jagiellonkach“, t. I, str. 275.

matką siedmiu i babką siedmiu Jagiellonek, licząc tylko wnuczki po synach... bo wnuczki po córkach już na niemieckiej glebie zrodzone, odpadły od pnia Jagiellońskiego. Z wnuczkami po synach inaczej się stało, te wierni prastarej tradycji rodzinnej pozostały, i one jedynie naszymi Jagiellonkami mienić się mogą. Doszedłszy do lat, a trzy zaledwie w niemowlęctwie zmarły, każda z nich odznaczała się wielką ducha mocą, jasnym zrozumieniem obowiązków, pewnego rodzaju realizmem w życiu, co nie tłumilo wszakże w ich piersi uczuć miłości rodzinnej wysoko rozwiniętej, niekiedy nawet wybujałej. Posiadały to z technienia ziemi ojczyznej...

Wrodzona niejako trzeźwość poglądów na życie i jego sprawy, co dzieliły z większością kobiet średniowiecznych, tarczą dla nich się stała od zbytniego pochylania się pod brzemieniem smutnego istnienia. Umiejąc patrzeć na otaczające okoliczności trzeźwo, rozważnie, wśród ich labiryntu kierowały się roztropnie, trwały mężnie przy zasadach, broniły swych duchowych ideałów, nie nie uрониły z tego, co z pod rodzicowej wyniosły pieczy.

Wytrwałość, stateczne bronienie godnego obrony, mężny odpór pokusom — przymioty to tej ziemi, co kolebką Jagiellową była; stały się one przymiotami wnuczek i prawnuczek rozrodzonego rodu Jagiellowego. Smutną, wielokroć zaś ciężką była dola królowien, jak to wyżej zaznaczyliśmy. Moc ducha, każdej z nich nieobca, sprawiała, iż żadna nie wyrzeka, a wszystkie w spełnianiu obowiązków rodzinnych znajdują pociechę, siłę do przedłużania twardego nieraz istnienia.

Pomimo tęsknicy, żadna z tych co na obczyznę przeniosła się wskutek zamażpójścia, nie wraca pod niebo własne. Groby ich wśród Niemiec i wogóle po obczyźnie rozsiane, na szerokich przestrzeniach, groby samotne, zapomniane przez te rody, których prababkami one były. Wędrowiec jeno lub badacz przeszłości zabłądzi przypadkiem

do ustronnych dziś miast niemieckich, do świątyń obecnie drugorzędnych, gdzie smętnie dumają Jagiellońskie ptaki na ich sierocych mogiłach. Ptak o skrzydłach podniesionych, jakby się ku odlotowi miał, jedyne to przewodniki dla badaczy i turystów; po symbolicznych znakach rodu odnajdują dziś mogiły córek i wnuczek panów na Wawelu.

Mogiły owych niewiast spotykamy w mieście Meissen (w Misnii), w Heilsbronn (blisko Anspach), w Burghausen (obok Passawy) — generacya to dawniejsza, córki to Kazimierza Jagiellończyka ¹⁾. W Wolfenbüttel (w Brunswickiem) i w skandynawskiej Upsali leżą popioły córek Zygmunta Starego — Zofii i Katarzyny.

Oprócz grobowców, oprócz kilku portretów, spotykanych w różnych zbiorach niemieckich, nie na obczyźnie pamięć o tych niewiastach nie przechowała. W kraju jeszcze mniej śladów ich istnienia znajdujemy. Na obczyźnie, pomimo całego oddania się obowiązkom rodzinnym, jedną stroną swego duchowego istnienia zwracają się wciąż ku ziemi rodzinnej. Pokrewieństwa węzły łączą ich ściśle ze starem gniazdem, mowa rodzinna nie gaśnie w ich pamięci; wprawdzie córki Kazimierzowe używają w korespondencji z braćmi języka niemieckiego, domowej mowy ich matki, lecz pokolenie późniejsze, wnuczki Jagiellończyka a córki Zygmunta, lubo zrodzone z matki Włoszki, stale w zakresie stosunków rodzinnych, posługują się nie inną tylko polską mową. Książki polskie wędrują z Krakowa na dalekie zameczki niemieckie naszych Jagiellonek, gdzie budzą wspomnienia i języka, i obyczaju ojczystego, przynoszą świadectwo promieniającego coraz większym światłem życia umysłowego ziemi ojczystej.

Tętna swojskich uczuć biją tak silnie w ich piersi,

¹⁾ Meissen (po polsku Miśnia) niegdyś słowiańska to-ziemia. Passawa (po niemiecku Passau) leży w Bawaryi.

iż po latach wielu, ku końcowi XVI wieku, gdy już wszystkie nasze Jagiellonki legły w grobach, córka jednej z nich, chociaż obyczajem, wiarą odbiegła od tego co świętem w macierzystem gnieździe mieniono, chociaż w rodzicowej dziedzinie stała u stopni tronu — wraca do Polski.

Jedyny to powrotu przykład. Córka Katarzyny Jagiellonki, Anna, szwedzka królowna, w kilkanaście lat po zgonie matki swej, w chwili gdy brat starszy, Zygmunt, pospolicie „Trzecim“ zwany, wstępował na tron polski, powraca z ojczystej Szwecyi do macierzystego gniazda, marząc zapewne o dniach pogody pod niebem, które patrzyło na lata młodości jej matki.

Życie Katarzyny Jagiellonki upływało na modlitwie i cierpieniu, wedle orzeczenia poety dzisiejszego stulecia... „Modlić się i cierpieć... to naszej polskiej białogłowy życie“... ¹⁾. Cierpienie, któremu lży ocierała modlitwa wraz ze spełnianiem obowiązku, to treść życia Katarzyny Jagiellonki, odzianej w szwedzką, królewską purpurę...

W późniejszej lat dobie, gdy klęski przesiliły się niejako w życiu Katarzyny, ale zarazem i sił do bojowania i dalszego pilnego czuwania u ogniska domowego zaczęło brakować, przyszła na świat i wzrastała Anna — młodsza z dwojga dzieci. Późniejszy ten obraz życia Katarzyny, przypadający na lata młodociane Anny, przepełniony był cierpieniami fizycznymi jej matki. Boleści lat dawnych, wstrząśnienia moralne, zawody, klęski, pełne grozy obawy o najbliższych, trwogi i prywacye, którym miary i końca nie było — podkopywały organizm mocny Katarzyny. Jednocześnie prawie z objęciem tronu, w parę lat po swej koronacji, właśnie wówczas gdy malutka Anna zaledwie trzeci rok liczyła, matka jej coraz bardziej na zdrowiu, na siłach podupada, gaśnie powoli, stopniowo, lata całe prze-

¹⁾ Domin. Magnuszewski.

bywa niemocą znaczone... Okoliczność ta tłumaczy wiele z życia jej córki, wskazuje dlaczego zasady, przekonania religijne córki odbiegły tak stanowczo a daleko od matki przekonań.

W chwili przesilenia niedoli rodziców, wciąż drżących w niewoli szalonego króla Eryka, drżących o życie swe i malutkiego Zygmunta, przyszła na świat Anna. Było to w r. 1568. Podobnie jak Zygmunt imieniem swem przypominać miał ojca i brata nieszczęsnej Katarzyny, córkę nazwano imieniem ukochanej siostry — Anny.

Imiona tak drogie dla Katarzyny w kole jej rodzinem, obijać się odtąd miały o jej ucho nieustannie. Przypominały one nie tylko najdroższych, ale kraj rodzinny, dźwięki mowy własnej. Annę nazywano tem zdrobniałem imieniem, jakie w użyciu było w Polsce. Była ona dla matki zawsze „Janusią“, którą troskliwa matka przy każdej sposobności polecała względom, łasce, również jednej jak i drugiej „ciotuchny“¹⁾ i prosiła, by jej one „z miłości swej nie raczyły opuszczać“.

W ten sposób, za pomocą korespondencji, pilnie prowadzonej przez matkę, wytwarzał się bardzo wcześnie dla „Janusi“ węzeł ściślejszych, serdecznych, rodzinnych stosunków z rodziną matki. Polska, jej mowa i obyczaj również nie mogły się dla „Janusi“ mienić obcemi. Tą mową wybornie władał młodziutki „Zyś“ — brat o niewiele starszy od Janusi — był to język codziennego porozumiewania się z matką, język w użyciu pospolitem wśród matecznego, niewieściego dworu, gdzie jeszcze było kilka panien wywiezionych z Polski, szczególnie „Dosieczka“, ulubiona a szczebiotliwa karlica królowej Katarzyny, i z małemi przerwami wciąż bawiący na dworze szwedzkim, Wawrzyniec Ryłski, dworzanin matki, później do posług, poselstw ważnych, poufnych używany. Dość więc było dla „Janusi“

¹⁾ „Jagiellonki Pol.“, t. IV.

sposobności od kolebki niejako zaznajamiać się z obyczajem rodzinnego kraju matki, z mową, która w późniejszych latach jej życia miała ją otaczać, a i dziś brzmi u jej mogiły.

Pięcioletniem zaledwie dziecięciem Annę widzimy w owe dni ciężkie dla jej matki, gdy kwestya religijna powrotu Szwecyi do wierzeń dawnych stawiała się troską obojga rodziców i dużo chwil przykrych przyniosła przeżycie matce. Król szwedzki, Jan III, za wpływem żony prawdopodobnie, pragnął tego powrotu.

Król Jan, obyczajem ówczesnych książąt, starał się rozwiązywać różne wątpliwości; rozwiązywał je, czytując się w biblię, a przynajmniej zdawało mu się, że rozwiązuje. Obyczaj to książąt owej epoki. Wyróżniał się ojciec Anny od innych, współcześnie panujących, przynajmniej w tym punkcie, że gdy inni cofali się do pochyłości błędu, on zwracał się ku prawdzie.

Wpływ tu żony widoczny, lecz król Jan sądził, iż własne studia biblijne zbliżają go do dawnych wierzeń. Nowinki różnowiercze tak już bujnie rozkrzewiły się w Szwecyi, — znać grunt miały tam dla siebie właściwy — iż budziły na całym Skandynawskim półwyspie współczucie; usiłowania króla, tajemne aspiracye królowej rozbijały się o opór klas wpływowych. Protestantyzm niedość iż nie upadał, ale wzmagał się i rozwielał. Stał się wprędce żywiołem górującym. Na dworze liczyć się z nim należało — i liczono się pilnie, skrupulatnie, może nawet zbyt pilnie. Kwestya górowania racyi stanu — rzecz dziś tak w użyciu na całym Zachodzie, a w Niemczech przeżycie — już wówczas była znaną i praktykowaną w Szwecyi. Ta więc „racya stanu“ nakazywała królowi szwedzkiemu, gdy chciał się utrzymać na tronie, potrosze zachwianym, niezbyt drażnić poddanych, gorliwych w protestantyzmie. Nasuwając im bodaj napomknienia dalekie, iż dni nowych wierzeń są policzone, mógłby oburzyć lud i mo-

żnych. Król przeto mienił się protestantem, lecz bywał na katolickim nabożeństwie, odprawianem na pokojach żony i unikał publicznych napomknień o przyszłości rozwoju luteranizmu w Szwecyi. Oszczędzano drażliwość protestanckich tłumów i wybitnych jednostek, również hołdujących protestantyzmowi. Skoro jednak król zajął, chwilowo tylko, — jak mu się zdawało — stanowisko pośrednie wśród ścierających się obozów religijnych, na tej pozycji pośredniej trudno mu było utrzymać się; — ku przepaści zwątpień staczał się odtąd; powoli, lecz ciągle. Już moc ducha żony utrzymać go na spadzistościach stromych nie zdołała...

Wówczas i dla stałości królowej nadchodziły dni prób niemałych. Pozostała ona wierna przekonaniom swym, ale sądziła, iż niektórymi od rzeczy obrzędu ustępstwami zażegna kwestyę zupełnego oderwania się Szwedów od Kościoła.

Mniemanie to niewieście, prawdopodobnie zrodzone w dziedzinie męzowskich rozumowań, wcale właściwem nie było. Bezwiednie posuwała się Katarzyna w tej rzeczy za daleko. Rozstrzygała i rozwiązywała w swem przekonaniu sprawy, przekraczające kompetencyę pojedynczych jednostek.

Wszystko to osłabiało szeregi nielicznych w ówczesnej Szwecyi katolików, wzmacniało tryumfujący luteranizm i tem samem ścieśniało niejako coraz bardziej tron węzłami nowych wierzeń. Fala protestanka otaczała dookoła ów tron, który nie mógł się nawet mienić oazą katolicką. Ci, którym chodziło o utrwalenie nowego kultu, widzieli w królu swego prozelitę, a na pośrednie jego stanowisko zapatrywali się jako na fazę przejściową. Zachwiane zdrowie królowej wyraźnie wskazywało, iż faza przejściowa długą nawet nie będzie, bo krótkimi są dni królowej. Ich blizki zmierzch wróżył upadek oporu resztek szwedzkiego katolicyzmu. Katarzyna była jedynym filarem,

a gdy ten runie, wszystko, co jeszcze katolickiem mieniło się w Szwecyi, na zagładę zostanie rzuconem. Przewidywania ziściły się...

Młodeciane lata Anny padły właśnie na czas wahania się pewnego w łonie własnej rodziny, a wzmożenia się luterskich pojęć u dworu... Po zgonie matki Anna staje się jawną i gorliwą wyznawczynią protestantyzmu...

Podobnie jak matka, odznaczała się Anna mocą ducha, energią w czynach, pewną zaciętością, którą nieraz spotyka się u dzieci północy, w życiu zaś codziennem dużo miała śmiałości skandynawskiej. Nie napróżno później mieniła ją ciotka, Anna Jagiellonka, „drabem“; coś w niej było z odwagi mocujących się z twardą przyrodą normandzkich dziewic.

Niespodziany Batorego zgon rozwarł młodzieńkiemu Zygmunтови Wazie wrota nadziei otrzymania korony Jagiellonów. Był jeszcze chłopięciem prawie, zaledwie na młodziana urósł, gdy dwudziestodwuletniemu nasunęła się możność objęcia tronu stokroć potężniejszego, niż ówczesne władztwo szwedzkie. Miłość dla wygasłej dynastyi Jagiellońskiej potężniejszym czynnikiem stała się dla utorowania Zygmunтови drogi do tronu, niż zabiegi ciotki Anny, wdowy po Batorym. Zabiegi ciotki nie przeważałyby szali wpływu na korzyść Zygmunta, wobec wielkich zabiegów rakuzkiej kandydatury, gdyby nie ów cień wspomnień epoki Jagiellońskiej, zaledwie zamkniętej. Za dni Batorego, Anna Jagiellonka przypominała czasy Jagiellońskie, ale dla tłumów, żywiących w głębi swych serc wiele sympatyj ku owym dynastycznym wspomnieniom, to nie wystarczało; królowa Anna posuwała się w lata, gasła samotna, bezdzietna; cheiano więc przedłużyć widomy wspomnień ślad, i myśl się zwróciła za morze, za fale Bałtyku — powołano na tron siostrzana Anny, wnuka po kądzieli Zygmunta I.

Anna wprawdzie z własnego natchnienia, z głębi swego uczucia wysnuła myśl powołania na tron młodego

siostrzana, niemniej jednak udział tu niemalą przypada na sympatyę, której używał Zygmunt Waza w Polsce, chociaż nieznany, nigdy przedtem niewidziany, ale już dlatego miły dla serca narodu, iż był wnukiem i siostrzanem dwóch ostatnich królów z dynastyi Jagiellonów.

Pierwsze elekcyje, jakie po Zygmunta Augusta śmierci odbywały się, miały w sobie dużo patryarchalnej prostoty, dużo dla sprawy publicznej zapału. Jeszcze zepsucia rdza nie sięgała do sere, nie splamiła czystej szaty szczerzego gwoli rzeczy publicznej poświęcenia. Taki obraz elekcyi pierwotnej, w niczem nie przypominającej późniejszych elekcyjnych obrad, przekupstwem skażonych, kupczących i własnem sumieniem, i szczęściem publicznem, daje nam Bielski w swej kronice. Nieco w tym obrazie optymizmu, bo i ta po Batorego zgonie elekcyja miała już swe cienie, i niemałe...

Obrady te miały powołać Wazów na tron. Obrady od Boga nie dla częściej formy rozpoczynały się; brało w nich udział nietylko rycerstwo, jak wymagało prawo, ale i gmin orężny, jeśli nie dawanem swych wotów, to zapałem i duchowym udziałem, wreszcie modlitwą o pomysłny wynik tak ważnych narad. Ale i w tej elekcyi coś się znalazło ze źdźbła zepsucia, z zawiści, z zaciętości, która aż do krwi bratniej przelania prowadziła i na brzęk złota nie była obojętną.

„...Dnia 14 sierpnia 1587. — pisze kronikarz — wedle namów pierwszych do elekcyi przystąpili i, P. Boga na pomoc wzięwszy, a na kolana swe przyklękawszy, *Veni Creator* z nabożeństwem wielkiem, a płaczem serdecznym śpiewali. Co widząc i słudzy na koniach, którzy około koła stali, spieszywszy się z koni, społu z nimi klęczeli; gdzie żaden nie był, któryby się nie miał łzami oblać“...

Taką była wstępna chwila elekcyi pierwszego u nas Wazy, chwila, która stanowiła i o losach szwedzkiej kró-

lewny Anny. Ona bowiem za bratem do Polski pospieszyła i tem samem wytworzył się zwrot stanowczy w jej życiu.

Że jednak każda, bodaj najjaśniejsza chwila posiada swe cienie, miała takowe i elekcyja pierwszego Wazy. Padły mroki fakcyj na pogodne niebo szczerzego zapału; stanęły, zbroiły się stronnictwa, które wiodły na tron dom rakuzki, gotowały się nawet krew bratnią przelać w domowej waśni, byle na swoim postawić. Dawał się czuć upór, zaciętość stronnictwa, co się później tak często w dziejach naszych spotyka, a boleśnie w przyszłych losach narodu odbija. Ta chęć występowania z pewną oryginalnością w większych i mniejszych sprawach, chęć ciągłego na swoim stawiania już nas i później nie opuszcza...

W murach świątyni Maryackiej, w Krakowie, do dziś przedmiotem podziwu na jednym grobowcu jest piękna postać rycerza. Piękna ta postać, to Marcin Leśniowski, kasztelan podlaski, który o ile uderzał szlachetnością rysów, o tyle uważany był za zdolnego dyplomatę. Królowa Anna, wprędce po zgonie Batorego, śle Leśniowskiego do Szwecyi, w celu skłonienia króla Jana, by popierał kandydaturę syna do tronu polskiego. Posłowie szwedzcy przyjeżdżają wprawdzie, lecz nie wiozą skrzyń ze złotem, na którego brzęk już ucho niejednego z elektorów wrażliwem było. Król szwedzki wcale słabo syna popiera, a złotem nie sypie, bo go nie posiada. Wdowa przeto po Batorym sięga do swych zapasów i ostatni grosz ze skarbcza prywatnego wydaje, by ujrzyć ukochanego siostrzana na tronie. Milion dzisiejszych złotych miała wydać królowa Anna na popieranie kandydatury Zygmunta Wazy. Gdy złota zabrakło w miechach starej królowej, słowem perswazyi obsyła litewskie województwa, wzywając opornych, by szli za głosem wotujących za szwedzkim królewiczem.

„...I pod ten czas — pisze królowa — nie litowa-

liśmy mieszka naszego, choć w nim niewielkie skarby baczając, że ku gwałtowi chyliło się takiemu, aby nie ten był tej Korony i W. Ks. Lit. panem, którego potrzebuje Korona i W. Ks. Lit., wedle praw i swobód swych, ale którego sobie kilka ich upatrzyło ku swej własnej prywacie, na skazę Korony i W. Ks. Lit.“... Królowa przeto radzi zwrócić Litwy oczy ku Zygmunтови Wazie, którego mieni „jutrzenką północnych krajów“, „plemieniem zacnej krwi Jagiellów“... „Krew mnie nie uwodzi“ — pisze Anna w owej odezwie — dając do zrozumienia, że daleką jest od rządzenia się osobistymi sympatjami ¹⁾. Owszem, sojusz ze Szwecyą — następstwo obioru Zygmunta — usprawiedliwia racją stanu, dodając, iż władanie morzem podnosi państwo. „Państwo — pisze ona — morską wolnością i państwem portów ku górze się wynosi“... Obiecuje wreszcie Anna dla Rzeczypospolitej odzyskanie Estonii, obiecuje w imieniu siostrzeńca więcej, niż on uczynić może, obiecuje wszystko i dąży do urzeczywistnienia swych obietnic, byle Zygmunt Waza zasiadł na tronie.

Zabiegi królowej Anny nie upadły. Miała z nich owoc przez siebie pożądany. Zygmunt, pomimo przeciwej facyi, prowadzącej arcyksięcia z domu rakuzkiego, utrzymał się jako elekt, i, naglony przez ciotkę, przybył na polską ziemię. Skoro o przybyciu dowiedziała się, spieszy dość już stara ciotka, bo siódmy dziesiątek lat licząca, na spotkanie siostrzanów. Ukochane dzieci zmarłej, nieszczęśliwej Katarzyny przybywają razem oboje, przybywają nie jako goście, ale na stały pobyt. Stara ciotka snuje nić marzeń, iż ku zachodowi dni przyświecać jej zaczną młodociane twarze sierot po siostrze, iż samotna, znękana losu przeciwnościami, przycisnie do piersi zbolalej owego „Zysia“

¹⁾ Instrukcja ta posłom na sejmiki królów. Anna Jagiel. umieszczona u Niemcewicza w „Zbiorze pamiątek“ t. V i w „Jagiellonkach“ Al. Przeździeckiego, t. IV, str. 309.

i „Janusię“, co dotąd jedynie z częstych listów zmarłej siostry znanymi jej były, że promieniejące życiem ich postacie oświecą ścieżki starości, ogrzeją ciepłem młodocianego uczucia.

Zamek piotrkowski, świadek tylu chwil podniosłych w życiu dziejowem narodu, patrzył na pierwsze poznanie się Anny, szwedzkiej królowny, ze starą ciotką. Anna Jagiellonka tak gorąco pragnęła uściskać co prędzej swych siostrzanów, że, nie zważając na niebezpieczeństwa, bo kraj był zalany drobnymi oddziałami zbrojących się i odgrażających się wzajemnie stronnictw, dąży w kierunku gościńca, którym oni mają przybywać, spotyka i wita ich w Piotrkowie.

Nie wynaleziono dotąd świadectw historycznych, któreby mówiły, iż poznanie się spowodowało dla starej a przeznaczonej Jagiellonki rozczarowanie, lecz łatwo to można przypuszczać; to tylko jest pewnem, iż nie ujawniło, w żadnym z listów Anny Jagiellonki, śladu nie widzimy, że ją razil cudzoziemski obyczaj siostrzana a protestantyzm siostrzenicy niewypowiedzianie smucił. Było tak jednak. Liczyła stara ciotka na czas, otoczenie, które zdolają wpłynąć na przekonania religijne ukochanej „Janusi“ i zmienić je, lub chociaż grunt przygotować do zmiany stanowczej. Że na wpływ czasu Jagiellonka niemało liczyła, spotykamy to w jednym z dokumentów z jej podpisem. „Wiele czasy mogą, wiele potrzeba na ludziach wyciska“... wyrzekła ona kiedyś, i to orzeczenie legło prawdopodobnie podwaliną jej nadziei, że siostrzenica z protestantyzmem weźmie rozbrat stanowczy. „Czasy“, co „wiele mogą“, miały wpłynąć na przekonania religijne „Janusi“, owego o męskim animuszu dziewczęcia, które, wedle słów ciotki, „jako drab nie boi się nic“... Lata wskazywały, iż to męskiego usposobienia dziewczę z uporem pozostanie przy swych wierzeniach. Smutek, serdeczny ból stara ciotka chowała w głębi swych uczuć, z niemi nigdy

nie ujawnia się, lecz dla siostrzana i siostrzenicy ma wciąż serce prawdziwie macierzyńskie. Nie napróżno w listach swych do siostrzanów Jagiellonka podpisuje się „matka i ciotka”: uczucie matki żywi ona aż do końca dni swych dla obojga siostrzanów; nie ją nie zraża, ani chłód w stosunkach życia codziennego, chociaż gorliwego w wierze jej ojców Zygmunta, ani protestantyzm Anny. Zdaje się, iż przed okiem Jagiellonki zawsze stały wyrazy ukochanej siostry płynące ongi do niej z zamorza: „by jej dziatki nie raczyła z miłości swej opuszczać”... Słowo zbolalej siostry nie poszło na marne, wzięto je do serca i sercem podniesiono brzemień opieki.

Nie opuszczając „z miłości swej”, zacna „ciotuchna” tak dalece pobłażliwą okazała się dla siostrzenicy, iż gdy nie chciała nawet mieć protestanta dzierżawcą w swym folwarku, w Swoszowicach pod Krakowem — patrzyła cierpliwie na protestantyzm ukochanej „Janusi”¹⁾. Cierpliwość starej Jagiellonki liczyła na moc Boską i „na czasy, co wiele mogą”...

Pierwsze wrażenia wyniesione ze spotkania siostrzeńca i siostrzenicy w Piotrkowie, wskazywały ciotce, iż to świat inny owe sieroty z poza morza przybyłe. Wprawdzie „Janusia” wesola, śmiała, przypominała bardzo matkę i z rysów, i z energii, chociaż rysy nie dościgały świetnej piękności Katarzyny Jagiellonki, i nie miały wdzięku łagodnego polskiej dziewczycy, ale Zygmunt blade, sztywny, zimny, rysów nieruchomych, milezący, najzupełniej obcym jej się wydał. Ciotka wszakże, jak wiemy, tem się nie zrażała. Tę jego sztywność tłómaczyła wpływem wrażeń więziennych, które były pierwszymi jego wrażeniami w dzieciństwie. Sądziła ona, iż pod promieniem słońca ziemi na-

¹⁾ Patrz listy królowej Anny, z dawniejszych i późniejszych jej lat, w dziele Al. Przeździeckiego, „Jagiellonki Polskie”, t. IV.

szej, na gruncie starych, rodzinnych tradycji, wszystko się zmieni, lody obcego obyczaju prysną, roztają...

Inni, którzy przypatrywali się dzieciom Katarzyny Jagiellonki ze Szwecyi przybyłym, tak pobłażliwie na nich nie patrzyli. Chłód, wiejący od młodocianej postaci Zygmunta, zrażał wielu. Kanclerz Zamoyski, przyzwyczajony do wpływu za rządów Batorego, do powagi swego słowa, spodziewający się uprzejmej wdzięczności za tak wiele dokonanych usług w sprawie osadzenia na tronie Zygmunta, zrażony zbyt zimnem przyjęciem, wyrzekł do Leśniowolskiego, który przywiózł młodego króla, te pamiętne wyrazy goryczy: „Jakieżeście nam nieme dyable przywieźli”?... Słowo żółcią zaprawne nie dobiegło w owej chwili uszu królewskich, ale na późniejsze dni i lata stało się dla króla źródłem wielu dotkliwych przykrości.

Tłum wszakże mniej był wrażliwym na te lub owe niewłaściwości młodziutkiego króla. Bo gdy Zygmunt, wjeżdżając do Krakowa, odpowiedział na powitalną mowę bisk. kamienieckiego, Goślickiego, po polsku — a dźwięku własnego języka z ust królewskich od lat piętnastu, t. j. od zgonu Zygmunta Augusta, nie słyszano — zapal tłum wzmógł się niespodzianie. Przemówienie to młodziutkiego króla „taką radością lud cały przejęło — jak świadczy Heidenstein — iż zapomniano wszystkich w sprawie tej podejmowanych trudów”.

Pomimo zapalu tłumów, pomimo iż wielu starało się ułatwić Zygmuntowi pierwsze kroki na polu sprawowania rządów, trudności wielorakie mnożyły się, wzrastały. Szczególnie pierwsze dni, tygodnie znaczone były niedość iż trudnościami, ale niebezpieczeństwami wcale poważnemi. Młody król wahał się, czy ma stawić czoło trudnościom, czy też wracać do Szwecyi, zwłaszcza że i ojciec wzywał go wciąż, upominał i zachęcał do tego kroku. Wszystko to miało miejsce przed przybyciem do stolicy. Nawet Puffendorf — pisarz niekiedy stronny, nam nieprzychylny —

twierdzi, iż Zygmunt projektował zrzec się korony na rzecz Ernesta, arcyksięcia rakuzkiego, pod pewnymi warunkami, wśród których była propozycja, by Ernest zaślubił siostrę królewską, Annę Wazównę.

Poraz pierwszy, ale nie poraz ostatni, występuje tu Anna na polu pewnych kombinacji politycznych. I później, ilekroć prawdziwe, lub domniemane krążyły wieści o tajemnych rokowaniach Zygmunta III z domem rakuzkim, ilekroć zapisywano obawy, czy też ślady rzeczywistych, tajemnicą osłoniętych frymarków, imię Anny spotyka się zawsze: obiecywać ją miano w zamęcie wspomnianemu wyżej arcyksięciu Ernestowi.

Zbyt samodzielnymi zarysowują się przed okiem naszym charakter, usposobienie królowny, aby można było na seryo przypuszczać, iż wydadzą ją za kogoś bez jej woli, iż się stanie kombinacji politycznych ofiarą. Kilkakrotnie szeroko mówiono i pisano o wyżej wskazanych zamiarach królewskich, lecz na wysnutem pasmie przypuszczeń wszystko się skończyło.

Królowna Anna pierwsze lata pobytu w Polsce spędzała u ciotki, u królowej Anny. Dom brata, króla bezennego, nie mógł być jej siedzibą, u starej zaś ciotki posiadała stosowne do swych potrzeb otoczenie, a nawet czas pożytecznie upływał, gdyż młodością, wdziękiem opromieniała dni sędziwej Jagiellonki. Ciotka, patrząc na ów promień młodości, którego wcieleniem bez zaprzeczenia mienić się mogła siostrzenica, zapominała o latach i troskach przebytych, o sieroctwie swem zupełnem a dawnem, o różnicy przekonań religijnych, co legły taką wielką przepaścią między światem jej ducha a dziedzina wierzeń, poglądów siostrzenicy. Patrzała na owe różnice stara ciotka, wdowieństwa wiekuistego szatą okryta, z boleścią, ze smutkiem nieopuszczającym ją już do mogiły, ale z pewną tolerancją, którą z tradycji rodu swego zaczerpnęła.

Wdowa po Batorym, lubo w siostrzanie swym nad

miarę rozkochana, stale nie mieszka na Wawelu, szczególnie od czasu gdy Zygmunt pojął żonę i stara Jagiellonka straciła tem samem pierwsze miejsce podczas przyjęć i wystąpień uroczystych na zamku krakowskim. Drugie miejsce po młodziutkiej żonie Zygmuntovej, Annie rakuzkiej, wcale do smaku nie przypadało starej ciotce, zbyt pamiętającej i swe miejscowe, dynastyczne pochodzenie, i obranie swe ongi na „króla“, i zajmowanie tronu kilkunastolatnie obok Batorego. Bierze ona, wraz z nieodstępną od niej siostrzenicą, Anną Wazówną, udział w uroczystościach wjazdu Anny rakuzkiej i jej zaślubin na Wawelu, ale wyraźnie stroni od murów, które ją niegdyś wykołysały.

Bawi więc z siostrzenicą coraz to częściej w Warszawie, przyzwyczajając jakby młodego siostrzana do miejscowości i do murów grodu, który przezeń na dostojęństwo stolicy państwa miał być wyniesiony; a że Warszawa za daleko leżała, i ani król tak często nie mógł ciotki odwiedzać, ani też ona, przekroczywszy siedemdziesiąty rok życia, niełatwo odbywała dłuższe podróże, bawi niemniej często w Nowym-Mieście Korczynie i już nie rozstaje się ani na chwilę z ulubioną „Janusią“.

Lata i choroby, wynik trosk dawnych, życia sierotego, żalobą bardziej niż radością jaśniejącego, nie powstrzymują starej ciotki od częstych Krakowa odwiedzin, lecz jeno na chwilę, by ujrzeć i uściskać umiłowanego siostrzana, by poczynić niezbędne rozporządzenia tam, gdzie jeszcze gospodarzy jej myśl, czuwa serce. Ogrody Łobzowa, ozdabianie i uposażanie kaplicy Zygmuntovej, gdzie ojciec i brat spoczęli, gdzie dla siebie spoczynek gotuje, troska o wykończenie pomnika dla męża — to cel główny zabiegów zgrzybiałej Jagiellonki w ostatnich życia latach. „Janusia“ wszędzie jej towarzyszy, lecz niewszystkie cele zabiegów ciotki mają dla niej wartość; owszem, nie jej z tych rzeczy nie obchodzi, oprócz ogrodu łobzowskiego. Zamiłowanie ogrodów jedyną jest nicią, łączącą starą

ciotkę z młodziutką siostrzenicą; na tem polu rozumieją się one i zbiegają się ich myśli, upodobania. Lecz i zamiłowania te różne: ciotka przede wszystkim szuka przyjemności i pożytku w pracy około ogrodów, siostrzenica pragnie znaleźć naukę; bada rośliny, klasyfikuje, wytwarza dla siebie zajęcie, którem zapełni później dni życia samotnego, rzuconego na pastwę bezbrzeżnej tęsknicy.

Raz jednak Anna opuszczała na czas dłuższy starą ciotkę, a była to podróż Zygmunta do Szwecyi (1592 r.), w której i ona uczestniczyła.

Pierwsze lata rządów Zygmunta III, jeśli widziały na zamku wawelskim starą Jagiellonkę z nieodstępną „Janusią“, to zawsze w charakterze przemożnym przewodniczących pań zamku stołecznego. Ówczesna broszura niemiecka (*Königliche Heimführung in Polen des Freulein Anna... 1592*), opisująca wjazd do Krakowa Anny Rakuszanek, narzeczonej Zygmunta III, nie zaniedbała wspomnieć o tych paniach Wawelu. Tak się o nich wyrażano: „Stara królowa polska i siostra królewska wyjechały osobiście przed przybywającą arcyksiężniczkę, aż do miejsca, gdzie przywitanie jej w namiotach miało nastąpić“. Kilkakrotnie wspominana w rzeczonyj relacyi Anna Jagiellonka nosi miano „starej królowej“, a Anna Wazówna, znać ani na krok ciotki nie odstępująca, figuruje pod imieniem „siostry królewskiej“.

Ożenienie Zygmunta nie wpłynęło wcale na losy jego siostry. Przebywa ona i nadal pod opieką ciotki i w tych zameczkach, gdzie gości ta ostatnia; bratowa bowiem, acz cicha, łagodna, oddaje się ciągle obcym dla Anny Wazówny praktykom religijnym. Zresztą, wywiązał się pewnego rodzaju stosunek zbyt serdecznej sympatii między siostrzenicą a ciotką, by mogły się one łatwo rozstać. Nie rozstają się przeto aż do owej chwili znaczenia niemałego w dziejach naszych dynastji i ich dworów, gdy z wyżyn katedralnej, zamkowej zabrzmiął za-

łobny Skargi głos, na pogrzebie Jagiellonki: ...„Cnotami swemi zamknęłaś Jagiellońską krew“... Ród dawny wygasił — odpryski owego pnia starego starano się widzieć w rodzinie Wazów; były one niemi rzeczywiście z krwi, lecz nie z ducha. W Wazach naszych za wiele już się spotykało obcego pierwiastku.

Zamek na Wawelu już ich nie wabi, nie przywiązuje serdecznymi węzłami, zadaleko im tam do Szwecyi; nawet wspaniałość pałaców wawelskich nie uderza Zygmunta III, obojętny on na owe piękności, chociaż odnawia niejedno w starej siedzibie królów. Do dziś przechowujące się herby, „snopek“ Wazów, na bramie głównej zamku około katedry i w pojedynczych izbach, na wielu odrzwiach, na kominach w salach pałacu, przypominają, iż dawna Jagiellońska struktura odnawiana była przez pierwszego z naszych Wazów. Dodał on nawet dwie wieże na narożnikach północnej facjaty pałacu, ozdabiał pokoje marmurami kominami i odrzwiami¹⁾; pracę w tym kierunku panegirysty nie zaniedbali wychwalać rymami²⁾. Cała działalność ta, obudzona skutkiem jednego z większych pożarów (1595 r.) sięga pierwszej doby rządów Zygmunta Wazy i nie jest dowodem, by on do siedziby Jagiellońskiej i tradycyi macierzystych dziadów przywiązywał się. Na początku XVII w. dwór na dłuższy czas, wreszcie zupełnie, do Warszawy przenosi się, rzuca tem samem podwaliny wielkości tego miasta, nadaje mu dla przyszłości pewne dziejowe posłannictwo, dla Krakowa zaś zbliżają się dni doszczętnego upadku, który podczas drugiej szwedzkiej inkursyi doszedł do najdalszych kresów, iż można było rzec: „W płomieniach topnieją — Jak świece mia-

¹⁾ „Trzy epoki sztuki na zamku krak.“, Wł. Łuszczkiewicza. 1881

²⁾ K. Miaskowski, „Zbiór rytmów“.

sta... Pochodnia przedniejsza — Zamek krakowski, nad inne widniejsza“...¹⁾.

Przeniesienie się Zygmunta do Warszawy usuwa zupełnie i Annę Wazównę z Krakowa; już odtąd jej nie spotykamy na Wawelu; gości na zamku warszawskim i wreszcie jeszcze bardziej oddala się od ognisk dawnego życia, osiadając nad Drwęcą, gdzie brat nadał jej parę starostw.

Zanim nastąpiło osiedlenie się zupełne w starostwach nad Drwęcą, zanim zgon starej ciotki uwolnił ją od opieki i skazał na życie samodzielne, losy osnuły dla Anny projekt zamążpójścia, który nawet w bardzo prędkim czasie miał się urzeczywistnić. Projekt ten godzien uwagi ze względu, iż zyskał aprobatę Anny i właśnie dlatego, iż ona chętnie nań się zgadzała, nader blizkim był urzeczywistnienia.

Oddawna, tradycyjnie niejako, królowie Rzplitej szukali związków małżeńskich dla córek swych i sióstr w margrabstwie brandenburskiem. Ubodzy, ale skrzętni i ambitni margrabiowie, wcześniej budujący plany przyszłości wielkiej dla swej ziemi wcale niezamożnej, garnęli się skwapliwie do stosunków i spokrewnienia z wielką dynastją. Nie mówiąc o dawniejszych stosunkach powinowactwa, macierzysty dziadek Anny Wazówny, Zygmunt I, swą najstarszą córkę Jadwigę, zrodzoną ze znanej nam Barbary Zapolya, wydał za Joachima II, kurfirsztą brandenburskiego. Zygmunt Waza, idąc za tradycją rodzinną dawnej dynastji, również w domu margrabiów brandenburskich szukał męża dla swej siostry, uprzednie bowiem projektu, dotyczące się domu Habsburgów, rozwiąły różne okoliczności.

Margrabia brandenburski, Jan Jerzy, zapewniwszy się, iż propozycje jego odrzuconemi nie będą, oświadczył

¹⁾ Wiersz z czasów konfeder. Tarnogrodz., u Ambr. Grabowskiego. (Kraków i jego okolice“) str. 339.

się o rękę królewskiej siostry. Przyjęto go, i wprędce (w r. 1596) zaręczyny się odbyły królowny Anny z owym Janem Jerzym. Los, który nigdy nie skąpił Annie niespodzianek smutnych, i nie splotał dla niej zwojów pomyślności na podścielisko gniazda rodzinnego, zarówno i tym razem twardym się stał. Oblubieniec najniespodzianiejszy sprzeniewierzył się danym przyrzeczeniom. Na dzień godów weselnych, zamiast oblubieńca, przybyła wiadomość, że margrabia brandenburski, Jan Jerzy, z inną się ożenił na jednym z burgów niemieckich...

Anna w ten sposób osiadła na koszu; odtąd żaden z projektów małżeńskich nie doszedł do urzeczywistnienia. Odrzącała je królowna, doznawszy już raz tak upokarzającego zawodu... Było owo przejście tembardziej stanowcze i bolesne, iż ta, co matkę jej zastępowała, Anna Jagiellonka właśnie w owym czasie żyć przestała. Ciosy te moralne stanęły niby słupy graniczne na gościńcu życia siostry Zygmunta Wazy.

Dwudziesto-ośmioletnia królowna z dziewicy pełnej swobody ducha staje się naraz niewiastą poważną: sposób jej zachowania, upodobania zmieniają się, wesołość znika. Od ludzi ku przyrodzie zwraca się, ku cudom i tajemnicom natury, której głos nie brzmi w jej duszy bez echa...

Zgon starej ciotki był drugą stanowczą chwilą przełomu w życiu Anny Wazówny. Pobyt jej trzydziestoosmioletni w Polsce na dwa nierówne działy lat rozpada się; zgon Anny Jagiellonki, opuszczenie przez narzeczonego — to granica tych działów. Do dnia zgonu ciotki (1596) bytowanie jej mniej samodzielne; liczy się tego lat dziewięć zaledwie; z ciotką ciągle: pod skrzydłem tej, która była „przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego“¹⁾, stosuje się do upodobań swej przybranej matki, lecz i wówczas zaznacza wybitnie indywidualizm własny. Osamotniona

¹⁾ Skarga, „Kazania“.

śmiercią ciotki, najzupełniej się odosabnia od dworu królewskiego, coraz bardziej się zwraca ku swym wierzeniom, utrwała się w gorliwości dyssydenckiej, otacza się gronem swych współwyznawców, wytwarza dla siebie żywioły inne bytu i inne otoczenie. Przybrana ojczyzna jej nie zadowalnia, szuka otoczenia stosownego do swych upodobań, pojęć, tworzy dla siebie, na polskiej ziemi oazę, jeśli nie zupełnie szwedzką, protestancką przynajmniej, i tam, wśród umiłowanych botanicznych zajęć, spędza ostatnie parę dziesiątków lat życia.

Już za dni wczesnej młodości Anna uwydatnia swe upodobania przyrodnicze, zbiera rośliny, pielęgnuje krzewy i kwiaty, zwiedza pola i lasy, w celu wyszukiwania ciekawych okazów do swego „zielnika“, który pod dłonią jej skrzętną szybko się rozrasta, a z czasem tworzy zbiór bardzo poważny i ciekawy. Poza mury zamku królewskiego rozbiega się sława upodobań naukowych Anny; poeta więc, przypisując jej swe rymy, każe „dryadom, leśnym bogom i boginiom“, składać hołd królownie, miłośniczce puszczy i kwiatów, które w cieniu lasów rozwijają się. Pozdrowienie posyłane królownie tak brzmiało:

Z gęstych lasów, gdzie Narew cicho z dawna bieży,
I od strumieniów, które biegną w Białobieży,
I z wysokich pagórków i skał zawiesistych...
Wszyscy leśni bogowie, boginie dryady...
Pozdrowienie, królowno, tobie posyłają ¹⁾.

Pomimo pozdrowień „leśnych bogów i bogiń“ nie osiadła Anna wśród puszczy; nie widzimy nawet śladu, by Litwę zwiedzała. Myśl jej, podobnie jak brata, zwraca się przeważnie ku okolicom ościennym Bałtykowi: stamtąd

¹⁾ Jędrzej Zbylitowski, „Pisanie satyrów puszczy litewskich, do Anny królowny szwedzkiej, o łowach w Białobieżach“. (Kraków, u Łazarza 1589).

wiatr niesie jakieś powiewy, może atmosferę szwedzką przypominające; tam, w województwach pruskich, rozwielmożnia się protestantyzm, miły sercu Anny; u ujść Wisły grupują się szwedzcy wychodźcy, którzy wiernymi będąc Zygmuntowi i katolickiej wierze, opuszczają swą ojczyznę i na Dolnem Powiślu grób po latach tułactwa znajdują. O parę wieków później, wędrowiec, pod sklepieniem świątyni Gdańska, spotykał głazy kryjące ich groby ¹⁾. Szwedzkie stosunki liczniej się tam niż gdzieindziej spotykały. Było to więc rzeczą naturalną, że Zygmunt, nadając siostrze posiadłości, w których osiedlić się zamierzała, nadaje jej dwa starostwa — Brodnicę i Golub — właśnie na pograniczu tego Dolnego Powiśla położone, u wejścia niejako do prowincyi, gdzie najwięcej znajdowała warunków uprzyjemniających jej życie ²⁾.

Nadanie Brodnicy i Golubia miało miejsce w r. 1605, królowna przekroczyła już wówczas o wiele trzydziesty rok życia, za mąż wyjść nie spodziewała się, w starościńskich swych zameczkach pragnęła wśród ciszy i spokoju kończyć swe dni. Zawsze pełna energii, z jaką ją widziano przed laty, gdy młodziutką wjeżdżała do Polski, gdy stara Jagiellonka z miłością macierzyńską o niej pisała: „Królowna J. M. jako drab nie boi się nie“... obecnie ową energię skierowuje ku pracom w zakresie botaniki, czyni jakieś doświadczenia chemiczne — zapelnia niemi życie. Prace te czynią ją użyteczną sobie i innym. Zamiłowania naukowe królowny i jej stanowisko, ściśle protestanckie — czyniące z niej jakby głównego obrońcę protestantyzmu w Polsce — wywoływały zarówno skupianie się około jej dworu różnych postaci i całych gromad różnowierczych,

¹⁾ Jul. Niemcewicz, „Podróże historyczne“ (1811—1828). Paryż 1858, str. 253.

²⁾ Starostwa niegrodowe Brodnickie i Golubskie leżały w ziemi Michałowskiej, w wojew. chełmińskim, nad Drwęcą; dziś w tak zwanych Prusach Zachodnich, w pow. brodnickim.

jak i ludzi piszących. Ci ostatni, przeważnie różnowiercy, dedykowali jej swe prace. Wśród takich różnowierczych autorów, ofiarujących swe prace Annie, spotykamy Samuela Dambrowskiego, autora „Postilli chrześcijańskiej” (1621), wyżej wspomnianego wierszopisa Jędrz. Zbylitowskiego (1589), do nich zaś przyplątał się i pisarz innego obozu, Jerzy Cerazyn, który jej przypisał polemiczną swą pracę, walczącą z protestantami, p. t. „Przyczyn kilkadziesiąt” (1612 r.).

Nadane królownie starostwa posiadały dwa zamki — Brodnicę i Golub; oba nad Drwęcą, odległe od siebie zaledwie o trzy mile. Zamieszkiwała ona w nich kolejno, częściej latem w Golubiu, zimą w Brodnicy. Zamek brodnicki był obronną, wspaniałą, prawdziwie królewską rezydencją. Olbrzymie jego mury poza miastem, nad rzeką wzniesione, tworzyły jakby oddzielną twierdzę, na straży której wznosiła się wieża, na 175 stóp wyniosła; z jej szczytu oko strażnika objąć mogło z łatwością okolice kilkumilową. W obronnych i obszernych murach, łączących się aż trzema zwodzonymi mostami z miastem i przyległymi przedmieściami, niewygodnie znać było mieszkać królownie, buduje ona przeto wśród murów owej twierdzy obszerny dom mieszkalny, a dla nabożeństwa swych współwyznawców zabiera kościół parafialny katolicki.

W Golubiu zamkowe mury nie uderzają ani wspaniałością, ani też obrotne były tak dalece jak w Brodnicy; sięgał jednak zamek golubski czasów krzyżackich, podobnie jak wszystkie zamki Dolnego Powiśla, tem samem więc odznaczał się mocą budowy i strukturą wcale różną od zwykłych naszych starościnnych zameczków. Wśród sal zamku spotykano wspaniałą kaplicę, również krzyżacką, pcd wezwaniem św. Krzyża, której sklepienia gotyckie, wspaniałe, chór dla śpiewaków i piękne stalle wyróżniały ją od innych świątyń i niepospolicie ozdabiała rezydencję królowny. Tuż przy zamku założyła ona bardzo obszerny,

starannie utrzymany ogród, gdzie na każdym kroku spotykano ślady zamięłowania roślin i troskliwej dłoni pani zamku. Ościeinne, obszerne lasy, przylegające do Brodnicy, w okolicy wsi Karbowa, niezbyt od Golubia odległe, a niemniej łąki, co legły dużemi szmatami nad Drwęcą i w okolicach Brodnicy, tak były rozległe, iż oddzielną nazwę nosiły — „Radne łąki“, dostarczały mnóstwo okazów do „zielnika“, który, jak wyżej nadmieniliśmy, Anna układała. Po jej zaś zgonie dostał się zbiór ten szacowny roślin Radziwiłłom, do Nieświeża: dopiero znacznie późniejszy kłeski, z końca XVIII w., rozproszyły pracę owej skrzętnej przedstawicielki starej, w zapomnienie idącej, dynastii Jagiellowej.

Ogrody i zamki Anny zaludniali często goście ze Szwecyi i wychodźcy szwedzcy. Było ich dosyć w one lata pod niebem religijnej tolerancji dawnej Rzplitej. Prześladowania religijne, coraz bardziej wzmagające się w protestanckiej Szwecyi, szczególnie od r. 1600, a jednocześnie rozdziwienia polityczne, sprowadzały na nasze Pomorze gromady chroniących się Szwedów, nawet ze sfer najwyższych towarzyskich. Wśród tułaczy skandynawskich niektóre rodziny skolidacjonemni się mieniły z Wazami, bo i ojciec Zygmunta powtórne związki małżeńskie zawierał, szukając żony wśród szlachty szwedzkiej, i dziad jego parę razy tożsamo czynił; namnożyło się przeto w Szwecyi bliższych i dalszych powinowatych dynastji Wazów. Wszyscy ci powinowaci, wraz z orszakami innych exulantów szwedzkich, cisnęli się na pokoje zamków w Brodnicy i Golubiu, a za nimi ciągnął jeszcze dłuższy korowód rodzin polskich dyssydentów. Do Brodnicy znali i przedtem wybornie drogę polscy protestanci barw różnych, gdyż mąż nauki wybitnej, Erazm Glicznier, był pastorem tamtecznej gminy ewangelickiej; w r. 1603 tam zmarł, ciesząc się wielką popularnością wśród różnych kół dyssydenckich:

za dni Anny dziedziniec zamku brodnickiego tembardziej trawą nie zarastał.

Pewien, dość dłuższy nawet czas, w murowanym dworcu, wzniesionym przez Annę, wśród murów zamku brodnickiego, widziano miejsce zebrania różnowierców z najdalszych okolic kraju. Nietylko bliska Wielkopolska, ale wszystkie, bodaj dalekimi borami, przestrzenią, bezdrożą oddzielone województwa, za pośrednictwem swych różnowierczych przedstawicieli, nawiedzały progi zamku brodnickiego królowny Anny, lub cieniste wirydarze w Golubiu. Że zadzierzgano tam nietylko nić solidarności różnowierczych rodzin, lecz splatano węzły szczerej sympatii, co ich z królowną łączyła lata całe, rzecz to łatwo dająca się stwierdzić. Po zgonie królowny — i to nie wnet, w lat kilkanaście, gdy ją chowano — skupiły się u jej trumny liczne dyssydenckie rody z różnych kończyn ziem Rzplitej, poczynawszy od wielkopolskich Unrugów, Szlichtingów i Leszczyńskich, do owruckich Niemieryczów, z Polesia ukraińskiego... Nic innego nad miłość i pamięć niewiasty umysłu statecznego i serea wielkiego ich tam nie wiodło... Oddawano hołd nie królownie, lecz kobiecie: wylew to uczucia szczerego; nie schlebiano; dłoń bowiem, otaczająca ich opieką, opadła bezwładnie, a wzrok, co ich żywczliwością darzył, zagaśił już był wówczas na wieki.

Przy wielkim braku świadectw dziejowych, oświecających charakter, wskazujących wartość moralną Anny Wazówny, hołdy pośmiertne, oddawane postaci niezbyt popularnej wśród Rzplitej, hołdy po wielu latach po jej zgonie składane, mówią niemało, mówią i uzupełniają jeden niewyraźny rys, jakiemi postać tę szkicował naprędce rytec historyi.

Opiekowanie się różnowiercami i praca kolektorska w botaniki zakresie czyniły z Anny mecenasa gorliwego. Mecenasowanie pracom naukowym, złączonym ze sferą jej upodobań, wywołało jej nakład na dzieło Syreńskiego,

czyli Syreniusza, i zapisało temsamem imię owej królowny na kartach dziejów rozwoju naszych usiłowań w dziedzinie botaniki. Usiłowania zrobienia czegoś na polu przyrodnictwem niewielkie były wówczas, jednak krzątano się, i w tym kierunku prac — wedle wyrażenia się jednego z naszych pisarzy — „jak na dzieci, które najpóźniej zetknęły się z zachodnią cywilizacją, położenie jeszcze nie najgorsze“¹⁾. Literatura nasza botaniczna, która niżej nieco stała od francuskiej, włoskiej, holenderskiej, niemieckiej, szła zaś tuż za hiszpańską²⁾, błysnęła za dni Anny Wazówny Szymonem Syreńskim i Joannicym.

Botaniczne studia w XVII w. coraz trudniej zdobywały mecenasów; świat nasz ówczesny, podobnie jak gdzieindziej, zużywał siły na dysputy w sprawach różnowierczych; inne kierunki myśli odłogiem leżały. W czasach gaśnięcia plejady mecenasów, spotykamy się z usiłowaniami Anny wspierania poważniejszych prac. Gabryel Joannicy, medyk i profesor Akademii krakowskiej, botanik przytem, był jej lekarzem nadwornym czas pewien; on to zapewne zachęcił do wydania dzieła Szymona Syreńskiego, które, jego uczoną przedmową opatrzone, wyszło po śmierci autora w r. 1613 (Kraków, w druk. Bazylego Skalskiego). Praca Syreńskiego (Syreniuszem pospolicie zwanego) na tem większą zasługuje uwagę, iż, nie poprzestając na botanice, sięgnął do zoologii, i wogóle dał zarys wiadomości lekarskich. Wszystko to wyłożone po polsku uczyniło dzieło popularnem. Do XVIII w., nawet dłużej nieco, w wielu zakątkach kraju posługiwały się babki i prababki nasze Syreniusza wskazówkami o ziołach i ich właściwościach. Dzieło to, nakładem Anny, troskliwością Joannicego wydane, wieki całe dla niewiast naszych akademią było,

¹⁾ Prof. J. Rostafiński, rozprawa o naszej literaturze botanicznej, w „Pam. Akademii Um.“, t. XIV, 1888. Kraków.

²⁾ l. c.

skąd czerpały wiedzę lekarską dla maluczkich, ubożuchnych niesioną. Wiele błogosławieństw księga Syreniusza wywołała. Częstka ich spłynęła zapewne na grobowiec Anny, która, drukiem uwieczniając tę pracę, przyczyniła się do jej upowszechnienia.

We trzy lata po Syreniuszu drukował Joannicy swój katalog roślin, ofiarując go również Annie; widocznie i tu jej grosz i zapobiegliwa myśl o pożytku publicznym złożyły swą daninę.

W pewnej mierze sukcesyjną była w Annie miłość ogrodów i krzewów. Dziecinne lata królowny upływały w cieniu parku, założonego pod Sztokholmem przez ojca dla jej matki, Katarzyny Jagiellonki. Nosił ów park z ogrodem i pałacem miano Drottningholm'u, „Wyspy królowej“. Tam po raz pierwszy zapoznała się z roślinami; lecz przy ciotce dopiero, w Polsce, zamięłowanie krzewów, ziół i ich właściwości rozwijać się w niej zaczęło. „Czasy, które wiele mogą“ — jak mawiała stara Anna Jagiellonka — pod tym tylko względem polską swojskość w Annie Wazównie zaszczepiają. Podobnie jak niewiasty ziemi naszej, z biegiem czasu oddaje się coraz bardziej ogrodom, a wedle pojęć ówczesnych chce z nich mieć pożytek realny, leczniczy. Ówczesne gospodarstwo niewieście, opisane w drugiej połowie XVI w., przez Gostomskiego, wskazuje tożsamo: mniej na ozdobę zwracano uwagę, bardziej na stronę praktyczną, aby pomnożyć środki lecznicze, domowe. Pisano przeto w one wieki: „...ogródek pięknie zasiać zioły ozdobnie pachnącemi, nasadzić róży do wódki, jakoteż dla wieńców, dalej: dzięgielu, biedrzeńcu, kadzidla, macierzanki, ślazu, kopytniku, bukwicu, rumnu“...¹⁾. Uprawa w tym właśnie praktycznym kierunku głównie przez Annę była prowadzoną. Posunęła się ona dalej: nie poprzestając na lecz-

¹⁾ Patrz. Anzelm Gostomski; „Oekonomia abo gospodarstwo ziemiańskie...“ Kraków, 1644, wyd. 3.

niczych właściwościach, uprawianych przez siebie roślin, sama wytwarza jakąś wodę zdrowia, pewien rodzaj *panaceum vitae*, lekarstwo uniwersalne na wszystkie choroby. Oddaje się wreszcie chemii, szukając i w niej środków leczniczych i odkrywając coraz szersze regiony myśli dla swego rzutkiego umysłu... Katalog roślin Schneebergera, prace Siennika obcemi jej nie były, bo obcowanie z księgami rzeczywistą jej ducha tworzyło potrzebę. Po jej ciotce Zofii, brunszwickiej księżnej, pozostały „Satyra“ Kochanowskiego i innych polskich ksiąg karty dotąd „nierozcięte“. Takimi je oglądał i pierwszy rozciął, w połowie naszego stulecia, Aleks. Przeździecki, Wolfenbüttel, rezydencję Zofii, zwiedzając¹⁾. Wśród spuścizny po Annie Wazównie odkrycia tego rodzaju zrobić nie możnaby było. W Brodnicy i Golubiu książki z pewnością miano zwyczaj rozcinać.

Dla rozrywki odwiedzała niekiedy Anna brata w Warszawie i on ją odwiedzał w Golubiu. Czasy poswarków różnowierczych nie przynosiły nawet w zaciszu domowym spokoju. Burdy młodzieniaszków, uczącej się młodzieży, kończące się nieraz krwawą katastrofą, gdy przychodziło do zetknięcia się ludzi różnych przekonań religijnych, niekiedy zbyt dotkliwie uczuć się dawały; stąd też niekiedy podróż Anny do pobliskiej Warszawy przynosiła chwilę rozrywki; owszem, wywoływała czasem nowe troski.

O jednej z takich trosk mówi nam źródło bardzo poważne, własny list Anny, pisany z Warszawy (20 stycznia 1621 r.) do rajców krakowskich. Dowiadujemy się z listu królowny, iż wówczas, gdy bawiła chwilowo w Warszawie, spokój jej zakłócono zawiadomieniem o jakimieś „swawolenstwie studentów“, którzy bójkę wszczęli w Krakowie z jej sługami; jeden z nich, z nazwiska nam nie-

¹⁾ „Jagiellonki Polskie“ A. Przeździeckiego, t. IV, str. 220, przyp.

znany, zginął w tej poswarce krwawej, drugi zaś „haftarz“ królewny, nazwiskiem „Godfred“, ocalając zagrożone życie własne, walczył; był ujęty, sądzony, i królewna musiała się o niego starać, by go od kary gardłowej uwolnić. Anna, podpisująca się na liście „królewna sweczka“, a tytułująca się nie tylko królewną „szwedzką, gotską, wandal-ską“, lecz używająca przytem miana „W. Księstwa Finlandzkiego dziedziczka“, tłómaczyła panom rajcom, że sługa niewinny, „bo on sam przed studentami uchodził do domu“, i wzywała, „by nie nie poczynano bez prawdziwej inkwizycji“...¹⁾. Tego rodzaju zajścia były niejako na porządku dziennym w owej chwili. Tam gdzie nie rozwiązywały kwestyi spory ludzi światła i świadomych dróg, któremi się dochodzi do jednoczenia sprzeczności, tam pięść roznamietnionego tłumu sięgała po tryumf i ostatnie słowo w dysputach i waśniach religijnych. Echo walk ulicznych, poswarków krwawych, zawiści tajonych, a niekiedy niby wulkan gwałtownie wybuchających, wciąż obijało się o mury Brodnicy, o cieniste aleje zamku w Golubiu, zakłócając spokój szybko starzejącej się królewny. Namietności stronnice, bez względu na jakim tle rozwijają się, niszczą niby gwałtowna pożoga najsilniejsze organizmy...

Odwiedziny Zygmunta przynosiły Annie promienne dni wewnętrznej zgody z sobą. Miłość brata koła jej bole i niepokoje, tkwiące w ducha głębinach. Ów brat i siostra, acz tak różni co do swych przekonań religijnych, gorąco wyznawanych, kochali się niezmiernie. Rodzinne przywiązanie najwięcej może w nich przypominało krew Jagiellonów, ono też było dla królewny, nie znającej w życiu innych uczuć rodzinnych, większem stokroć *panaceum vitae* niż jej „woda lecznicza“. Ono ją leczyło, pokrzepiało,

¹⁾ Patrz „Ojczyście Spominki“ Amb. Grabowskiego, t. I, str. 88.

i przywiązywało do życia, którego barwy od dawna dla niej zbladły.

Ostatnie odwiedziny Zygmunta miały miejsce w lecie 1623 r. Król wówczas dążył z rodziną do Gdańska. Królewna przyjmowała brata w Golubiu. Zamek przepelniony był tłumnym dworem, król bowiem prowadził orszak olbrzymi; towarzyszyli mu: żona Konstancya, królewicz Władysław, królewna Anna Katarzyna i niemała ciżba dworzan; wszystko to zaś przybyło w czterdziestu pięciu poszóstnych karetach, dwudziestu dziewięciu węgierskich, otwartych pojazdach, nie licząc cugów prywatnych, rycerstwa konnego, czeladzi zbrojnej i niezbrojnej. Dni pobytu Zygmunta w Golubiu szybko minęły...

W kilkanaście miesięcy po odwiedzinach brata, Anna zgasła...

Życie jej, w swej drugiej szczególnie połowie, mgłą smutku coraz gęstszą zachodziło; równowaga ducha, przy schyłku dni zachwiana, niezem zażegnana być nie mogła. Teorye przez nią wyznawane, przez życie całe ulubione, nie przynosiły ukojenia powątpiewań, nie usuwały smutków, na pastwę których rzuciły ją losy.

Duch samotnej niewiasty u kresu swych dni często cofał się w przeszłość i tam stawały wyraziście obrazy dni jej młodocianych, dni gaśnięcia jej matki biednej, zbolelej... Matka biedna widziała w Annie, od najwcześniejszych lat jej dzieciństwa, duch buntowniczy, nieulegający wpływom macierzystym, wpływom przemożnym religijnym, napomnieniom drżającej o nią matki.

Ciągle rozwijający się opór dziewczeczki wywołał wreszcie tak niezmierne rozżalenie nieszczęsnej, konającej matki, iż słyszała Anna z jej ust zamiast błogosławieństw, goryczy wyrazy, zwrócone do swego spowiednika, Warszewickiego... Wśród reminiscencyj przeszłości i te wyrazy goryczy, po czterdziestu dwóch latach, ożyły w jej pamięci... „Radośnie opuszczam świat, ufna w Boskie miło-

sierdzie — mówiła Katarzyna Jagiellonka do Warszewickiego w chwili zgonu — lecz jedno mnie boli... i nie wiem, co jest dla niej pożądansem — dodawała, wskazując na piętnastoletnią wówczas Annę — czy, żeby zmarła w kwiecie wieku, czy, żeby ją nieszczęśliwa matka wyprzedziła do grobu?... Wiesz dobrze, czego się obawiam... O bodajby jej nigdy nie było nosiło me'lonu!... Oby nie była nigdy się urodziła, albo wraz ze mną zeszła do grobu"...¹⁾.

Dziwnie bolesny obraz matki tak wyrzekającej stawał przed okiem ducha Anny, gdy przypominała chwile jej konania... Lecz tuż za tym obrazem inny jej się nasuwał. Ojciec, na razie niepokieszony po stracie żony, co z nim dzieliła dobrą i złą dolę, w siedemnaście miesięcy po pogrzebie Katarzyny Jagiellonki, niewiasty wyższego umysłu, poślubił, dnia 21 lutego 1585 r., młodziutką szwedzką dziewczeczkę, Gunilę Bielke'ównę.

Gunila Bielke liczyła lat siedemnaście i miała już narzeczonego, w chwili gdy król szwedzki zgłosił się o jej rękę. Podobnie więc jak dwie żony Gustawa Wazy — również bardzo młode, również innym przyręczone — opuszcza ukochanego z lekką myślą, by zająć na tronie szwedzkim miejsce opróżnione po Katarzynie Jagiellonce. Anna zdobyła w swej rówieśnicy macochę.

Gunila była protestantką nader gorliwą. Ci, którym zależało na zdobyciu narzędzia ucisku starej wiary a tryumfu nowych wierzeń, we wpływie młodej ale stanowczej Gunilii, na mało stateczny umysł Jana Wazy, znaleźli to narzędzie. Wdzięk i kaprys Gunili zaczęły u dworu tyleż, a później więcej ważyć, niż ongi oddziaływał poważny umysł, hart ducha i wiara głęboka Katarzyny... Wówczas to w dzieciennym umyśle Anny Wazówny zatarły się wrażenia ostatnich chwil matki, zagasł odblask jej napomnień,

słów przedśmiertnych, pełnych grozy. Anna, od chwili ukazania się na zamku sztokholmskim pięknej Gunili, z lekkiem sercem stała się już na życie całe wyznawczynią niezłomną nowinek protestanckich... Echo słów umierającej matki w jej duszy zamilkło...

Po wielu dopiero latach, gdy sił do życia dalszego Annie zabrakło, gdy młodsza, niż niegdyś jej matka, bo w 57 roku dość napozór pomyślnego życia, gasła powoli — nabierały znów barw, stawały przed jej okiem wyżej wskazane, oddawna zbladłe obrazy... ujrzała, ale już niestety zapóźno, iż kierunek dróg życia wytknięty samowolnie, sprzecznie z wolą i błogosławieństwem matki, nie przyniósł jej dni spokoju, ani tajemnych, cichych radości, któreby dawały moc patrzenia pogodnie w otchłań grobu...

Anna smutnie gasła i samotnie życie skończyła na zamku w Brodnicy, d. 6 lutego 1625 r. Zgaśnięcie niespodzianem znać było, brat bowiem nie stanął u łóża umierającej. Zygmunt w Warszawie otrzymał wieść żalobną o zgonie Anny, a tak boleśnie ciosem tym był dotknięty, iż dni kilka ze swego pokoju nie wychodził, nikogo widzieć nie chciał i dwór swój cały odział w żałobę...

Anna Wazówna reprezentowała ostatnią starej, Jagiellońskiej dynastii latorośl; słuszną więc było rzeczą, aby jej zwłoki spoczęły w grobach królewskich na Wawelu. Stanęły jednak przeważne skrupuły na przeszkodzie, gdyż była protestantką... Zygmunt, nieutulony w żalu po jedynej a ukochanej siostrze, odwołał się do Rzymu, prosząc o pozwolenie wprowadzenia jej zwłok do podziemi wawelskiej świątyni. Płynęły miesiące, wreszcie lata, dyspensa upragniona nie przychodziła, a ciało Anny nieopogrzebane spoczywało w ustronnej Brodnicy. Zygmunt III czekał niecierpliwie owej dyspensy, nie doczekał się i umarł. Czekał Władysław IV, a nie mogąc się doczekać, polecił zwłoki Anny przewieść do pobliskiego, o trzy tylko

¹⁾ Theiner, t. II, str. 15 (ze sprawozdania Warszewickiego).

mile odległego Torunia, i tam, jako w większem mieście, i ówczesnem ognisku protestantyzmu pogrzebać.

Zwłoki Anny Wazówny w więcej niż jedenaście lat po zgonie doczekały się pogrzebu; cały zaś kilkunastoletni przeciąg czasu spoczywały w umyślnie ku celowi temu zbudowanem domostwie w Brodnicy.

Pogrzeb Anny Wazówny, tak bardzo spóźniony, nie wywołał w Rzpltej wrażenia ogólnego. Koła różnowiercze najrozmaitszych odcieni zbiegły się około trumny tej pani, by oddać hołd swej współwyznawczyni i własne różnowiercze pojęcia uroczystości ujawnić. Nieliczne jednostki, ceniące w niej naukę, hojność, cnotę, stając u jej trumny zapomnianej, składały świadectwo osobistym przymiotom... lecz nikt nie widział w jej zgonie zgaśnięcia jednej z ostatnich latorośli, chociaż po kądzieli, starego rodu Jagiellowego.

Poszła jej pamięć w zapomnienie. Jakże daleko stanęła pamięć o niej od tych czasów, gdy cała Piastowska dziedzina zwracała się ku zamorskiemu więzieniu jej matki, gdy z utęsknieniem stamtąd wyczekiwano weselszej „ponowy“, przedniejszy zaś wieszcz owej epoki prorokował matce — którą „Panną świętą“ nazywa — zamianę więzów na koronę szwedzką: „zdarzy tenże Bóg, że tego stolicę — Osiedzisz, u któregoś dziś za niewolnicę“¹⁾. Wielki poeta wyrazem tu troski i miłości ogółu... Pamięć o Annie była już inną; była pamięcią nie narodu, ale stronnictwa, pamięcią jednostek i faley różnowierczych, nie zapuściła przeto głębiej korzeni w glebę swojską; upadły obozy różnowiercze, z nimi i pamięć wygasła. A zresztą wszędzie nieswojsko jej było: od Szwecyi odbiła łódź jej życia, na polskiem wybrzeżu nie znalazła ostoi; liść lipy naszej odmówił jej cienia...

¹⁾ Jan Kochanowski, „Pamiętka wszystkiemi cnotami hojnie obdarzonemu Janowi Baptyscie hrabi na Tenczynie“.

Poraz ostatni zabrzmiała wieść o Annie podczas uroczystości spóźnionego pogrzebu. U cudzoziemskich jedynie pisarzy pozostał ślad wspomnień o owych uroczystościach, bo tam wiele było z obcego obyczaju, z cudzoziemskich pojęć: cudzoziemcy wytworzyli o Annie ostatnie echo; dajemy tym razem pierwszeństwo ich relacyom¹⁾.

Spóźniony, o lat przeszło jedenaście, pogrzeb Anny odbył się, z polecenia Władysława IV, d. 16 lipca 1636 r.

Król na uroczystości pogrzebowe nie przybył; bawił wówczas za granicą, reprezentowali go umyślnie wydelegowani posłowie: Krzysztof Radziwiłł, wojew. wileński, Andrzej Rey, star. libiszowski i Zygmunt Gyldenstierna (czyli Guldensztern), starosta sztumski; ten ostatni był nawet powinowatym Wazów. Przewodniczyli oni licznemu gronu różnego miana dysydentów z bliższych, dalszych i najdalszych województw.

Uroczystości nadano znamię mniej żałobne, niż polspolicie bywa na pogrzebach. Wśród barw przeważała biała, uwydatniała się zaś zielona, przypominając, iż zmarła pędziła życie w dziewictwie. Białemi oponami przykryty był karawan, białe konie go wiozły; biała, srebrna lama na trumnie leżała; w białych szatach szli mieszczanie brodnicy przed trumną; w białych sukniach i zielonych wieńcach otaczało trumnę dwadzieścia cztery panien, i tyluż młodzieńców kroczyło za niemi z przedniejszych dysydentckich rodzin; białe zasłony zdobiły katafalk w kościele toruńskim i takiemiz białemi opony okryto chór i ambonę. Muzyka wyborna, herby szwedzkie, korona i wieniec na trumnie — oto przedniejsze akcesorya pogrzebu. Muzyka wyborna, o nucie smutnej, i kazanie polskie pastora, Pawła Orlicza — złożyły się na część obrzędową uroczystości. O żadnych modłach relacye nie mówią.

Po złożeniu zwłok w podziemiach bocznej kaplicy

¹⁾ Friese, *Reformations Geschichte*, t. III, str. 155.

kościół P. Maryi, w Toruniu, zamknął uroczystość poseł królewski, Radziwiłł, dziękując zebrany licznie ze wszystkich dzielnic kraju, iż pospieszyli na oddanie ostatniej przysługi, iż otaczali zmarłą uczuciem szczerzej miłości. Staropolska stypa w izbach toruńskiego ratusza, gdzie gospodarzył Zygm. Gyldenstierna, powinowaty królewski, Szwed z polskim niedawnym indygenatem, zgromadziła liczny zastęp rodów różnowierczych. Czytając ich spis liczny w źródłach cudzoziemskich, widzimy, że w owym dniu nie brakowało w Toruniu nikogo z tych, co w owej epoce na kartach naszego różnowierczego ruchu zapisali swe nazwiska¹⁾. Było nawet książątko niemieckie, Anhalt, byli dwaj Piastowie z Lignicy i Brzegu, książęta Jan i Krzysztof, mocno zniemczone odpryski starej dynastyi, która po latach niewielu, w temże samem XVII stuleciu miała z imienia wygasnąć, bo z ducha oddawna już dla nas zamarła.

Przesunęły się przed okiem naszym dwie postacie o różnych obliczach, charakterach, uzdolnieniach, postacie oddzielone od siebie przestrzenią całego prawie stulecia, lecz zbliżone poniekąd podobieństwem losów; każda z nich u wejścia na życia gościniec otoczoną była aureolą świetnych nadziei, a łuna wielkiej pogody myśli biła z ich czoła. Życie skwapliwie odarło je ze świetlanych blasków szczęścia i spokoju — obie smutne, z goryczą i rozczarowaniem w duszy zstępują do mogiły. Obie reprezentowały dwie stare dynastye, reprezentowały wszakże nie z jednakim sukcesem: pierwsza za mało czasu posiadała, by zadaniu sprostać, acz głos tradycyi prastarych obcym jej nie był: druga obcą się stała, a poczęści chciała obcą pozostać tradycyi starego pnia, z którego wystrzelała młodą, bujną latoroślą... Los wiele ujął z pamięci o nich: Barbara Zapolya nie miała i niema ani pomnika, ani bodaj kamie-

¹⁾ Loc. cit.

nia z napisem; Anna Wazówna posiada wprawdzie w Toruniu, na swym grobie, sarkofag, na którym widzimy do dziś z marmuru białego wykuta jej postać, spoczywającą na czarnej trumnie marmurowej, lecz na skale wawelskiej zabrakło dla niej miejsca, mogiła jej odbiegła od mogilnika zarówno ojczystych, jak macierzystych dziadów — legła jakby od jednych i drugich odtrącona, legła na rozdrożu, jakim zarysowuje się życie jej całe...

KATARZYŃA JAGIELŁONKA KRÓLOWA SZWEDZKA.

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA.

I.

Stare komnaty zamku na Wawelu, od chwili zgonu Barbary, żony Zygmunta Augusta, coraz częściej, i coraz dłużej bywały niezamieszkałe. Stały wprawdzie w przepychu dawnym, świeciły krasą, bogactwem, co się tam od dwu wieków gromadziły, a za dni króla „Starego“ doszły do szczytu upiększeń, ale już rzadko były zwykłą króla siedzibą. „Młody“ król odbiegał często, i nadługo, starych murów, szukając innego, skromniejszego zacisza, by zapomnieć o bolu, który z nim szedł przez życie całe i stanowiąc opokę, o którą roztrzaskała się łódź jego duchowego istnienia... Obszerne ogrody, otaczające zameczek knyszyński, lub, niekiedy, ówczesna, mała i ubożuchna Warszawa, przedewszystkiem zaś Wilno, pełne dłań wspomnień, świadek pierwszych chwil domowego szczęścia z Barbarą, Wilno, posiadające jej prochy, nęciły go najwięcej — tam najczęściej, najdłużej przebywał ostatni Jagiellończyk. Mieniono Zygmunta Augusta „młodym“ królem; a on duchem wcześniej starzał, wcześniej bladeść osiadła na jego twarzy, siwizną skroń mu bieleć zaczęła, szata zaś czarna prawie nigdy na inną, weselszą barwę zamienianą nie była. Podobnie jak szata była wciąż żałobną, tak i dwór wiał smutkiem i pustkowiem. Król zgromadził około siebie siostry tulące się doń, więcej mu ufające niż matce, ale i ich niewieście, młode oblicza nie rozpraszały pewnej powagi, niby klasztornej, dworu królewskiego.

Wszystkie trzy siostry — wówczas jeszcze niezamężne — Anna, Zofia i Katarzyna — zwykle, w początkach szczególniejszych rządów brata, bawiły tam gdzie bawił brat. Matka przed swym wyjazdem do Włoch, przed zupełnem kraju opuszczeniem, niekiedy pomnażała swą obecnością grono rodzinne, ale i wtedy nie był tu jeden dom, jedna rodzina. Zygmunt August miał bardzo poważne przyczyny, by oziębic z matką stosunek, którego i matka utrzymać na stopie serdeczniejszej ani chciała, ani umiała. Gdy przemieszkiwali wszyscy czas jakiś w Wilnie, pod jednym dachem, wśród otoczenia tychże samych murów, dwór rozpadał się na dwa lub trzy dwory. Król miał najczęściej zupełnie oddzielne izby i w nich gromadził się dwór oddzielny; przebywali tam, coraz to częściej, ludzie pragnący korzystać ze słabostek „pana“ i torujący drogę do owych błędnych ścieżek, któremi z czasem można było pana tego prowadzić. Z orszaku niewieściego królewien na dworze wileńskim wydzielił król otoczenie matki, pragnął i uczynił tak, by Bona kuchnią posiadała oddzielną¹⁾.

Rzecz drobna napozór wskazówką dla nas poważną mienić się może, jak małą spójnią rodziny była Bona po zgonie Zygmunta Starego. Wyjazd jej jednak wyciskał łzy z oczu córek. Zofia, najstarsza z Jagiellonek, już wówczas zamężna, opuściła kraj była nazawsze. Anna i Katarzyna, chociaż obojętnością darzone od matki, „gorzkimi łzami oblały chwilę rozstania się z nią. Przeczuciwały, iż jej nigdy nie ujrzą, iż dla nich zaczyna się nowy okres życia, może również smutny, a może i cięższy od dni przebytych. Przyzwyczajone do obojętności swej rodzicielki, w głębi uczuć żywić mogły nadzieję, że obecna, prędzej lub później, czulszą się stanie; gdy tymczasem jej odjazd

¹⁾ „... Nie chcemy — pisał Zygm. Aug. w liście do Radziwiłła — aby pospołu z królową jejm. mieszkać miały (królewny), ale aby różno mieszkaly i różno kuchnią miały“...

był niejako pogrzebem usuwającym z przed ich oczu nazawsze oblicze matki, — z jej oddaleniem się gasły słabe iskierki nadziei, by w samolubnem sercu tej kobiety rozlala kiedy owa miłość macierzyńska, której córki oddała a napróżno wyglądały.

Współczesne pióro zostawiło nam charakterystyczną wzmiankę o rozstawianiu się Bony z córkami. „Pożegnała dwie panienki, gorzkimi się łzami oblewające — czytamy w owym świadectwie — nie dawszy im, tylko po jednym pierścieniu, łzy nie wypuściwszy sama stara z oczu“... Łzy owe „gorzkie“ oschnąć już nigdy nie zdołały, przynajmniej na czas dłuższy... Wciąż bowiem o te wątłe organizmy były szarugi klęsk licznych, zmartwień trudnych do przeboleń; brzemie życia długo i wytrwale gniotło ich barki, napozór stworzone jeno do dźwigania purpury.

Starsza z dwu królewien, pozostałych po wyjeździe matki, Anna, miała chociaż pociechę, iż sklepienie rodzinnego nieba nad jej głową istniało; Katarzynie i owej pociechy los odmówił. Wśród obcych upływało życie, pełne prób wielkich, zrzadka jeno, i to ku schyłkowi dni, pociechami małemi, w kole rodzinnem, przeplatane.

Jagiellonki, córki Zygmunta Starego, późno wychodziły za mąż. Brakło im zawsze troskliwości macierzyńskiej, któraby ową chwilę zbliżyć, stosownie okolicznościami pokierować zdołała, któraby losami córek sterować chciała, a przygotowywała dla nich przyszłość świetniejszą. Możliwości ich zamążpójścia nierychło nadchodziły i świetnością nie odznaczały się. Po wyjściu za mąż Zofii, po wyjeździe matki do Włoch, Anna młodszą siostrą, Katarzyną, opiekowała się, a chociaż brat pragnął, by przy nasuwających się projektach zamążpójścia Anna miała pierwszeństwo, wszakże ona z tych praw pierwszorzędności korzystać nie chciała.

Za poważniejszy nieco od innych projektów uważano myśl szwedzkiego królewicza, Jana, brata króla Eryka.

Przy urzeczywistnieniu myśli tej ukazywała się w dalszej perspektywie — szwedzka korona.

Nie wiadano... bo i któżby przypuszczał? ile stopni niedoli potrzeba będzie przejść na gościńcu do szwedzkiego tronu wiodącym, z ilu to klęsk, bólów serdecznych uwije los pomost łączący ze spokojniejszym jutrem... Nie przypuszczano, jak wiele znieść zniewoloną będzie nasza Jagiellonka, nim sięgnie po ową koronę, nim światło spokoju na horyzoncie jej istnienia zaświta.

Udziałem Katarzyny miało być zaślubienie Jana, królewicza szwedzkiego.

Projekt ten, z ziarna przypadku urosły, trwał rok, czy też i więcej, zanim się urzeczywistnił. W braku innych projektów trzymało się go oburącz; zdawał się przytem pomyślnym dla przyszłości każdej królowny. Dobrze wróżby otaczały dni przedgodowe i same gody. Rzecz mitrężona długo, wreszcie, w dniach wrześniowych 1562 r., dojrzała niespodzianie i do urzeczywistnienia szła krokiem przyspieszonym.

Młodość królowny Katarzyny od zgonu ojca, jakeśmy wyżej wskazali, upływała z biegiem lat coraz smutniej. Również wola brata, jak przypadkowe wielorakie okoliczności wpływały na tułanie się obu królewien, Anny i Katarzyny, po różnych zameczkach Polski. Letnie miesiące 1559 r. szczególnie niepomyślnymi były dla naszych Jagiellonek. Morowe powietrze, szerzące się w całej Rzplitej, przysparzało im trudności i miało nimi wśród niebezpieczeństw po całym kraju. Same o tem piszą w jednym ze swych listów do szwagra, księcia Brunszwickiego, męża królowny Zofii. „...My, z przyczyny morowego powietrza, po całej prawie szerzącego się Polsce — czytamy w jednym z tych poufnych zwierzeń — wśród tylu niebezpieczeństw miotane jesteśmy, przenosząc się ciągle z miejsca

na miejsce obyczajem Numidów“... ¹⁾). Do trosk płynących z ogólnych niebezpieczeństw dołączała się i boleść wielka: królowny straciły wówczas właśnie siostrę Izabellę, królowę węgierską, którą one — „pozbawione prawdziwej matki, — jak się wyrażają, — uważały i czeiły razem za matkę i siostrę“. Zgon Izabelli jeszcze bardziej osierocił i osamotnił obie Jagiellonki: podwójny ich smutek przeświecał odtąd długo, bardzo długo w listach do siostry Zofii, do jej męża i bliższych ich sercu. Izabella ze zgryzot, które ironicznie „węgierskimi rozkoszami“ nazywa, gasła powoli i ku przedwczesnemu końcowi szybko się zbliżała... „Jużto drugie lecie minęły, — pisze na rok przed zgonem — jako nas bez przestanku głowa nie przestanie boleć“... Te „rozkosze węgierskie“, kopiące przedwczesny grób dla Izabelli, napawały goryczą obie jej siostry. A gdy wreszcie nadeszła wieść, iż ta siostra „matkę zastępująca“ zstąpiła do grobu, „żał tylko i płacz zostawując po sobie“, Katarzyna i Anna czerpią rezygnacją w modlitwie, umartwieniach ciała i innych praktykach religijnych. Posty tak ściśle przez nie były zachowywane, iż sprowadzają chorobę jakąś ciężką obu królewien. Wiadomość o chorobie „z postu“, a zapewne i ze zmartwień ciężkich, stale je nawiedzających, dochodzi do Zygmunta Aug., który z żalnością o tem pisze do Mik. Radziwiłła ²⁾.

Miłość rodzinna ścisłemi węzły wszystkie te siostry łączyła; cierpienie jednej w sercu każdej odbijało się bolesnem wrażeniem. Boleją wciąż, iż nie są z sobą, i w późnej nawet lat swych dobie nie znoszą obojętnie rozłąki, oddalenia. „Wiemy to dobrze — pisze Izabella, na cztery miesiące przed zgonem do Zofii księżny Brunszwickiej — co jest smutek serdeczny: albowiem od tego czasu jakośmy

¹⁾ Korespondencya Jagiellonek, list z d. 18 października 1559 r., z Przemyśla, w dziele *Jagiellonki Polskie*, T. III, str. 27.

²⁾ List Zyg. Augusta (d. 14 stycznia 1562) u Lachowicza.

się rozstawaly, i z matką naszą, i też same między sobą siostry, z tegoż smętku warszawskiego do tych czasów nie mogą się wzmódrz z choroby“... Śmierć Bony przyprowadza o chorobę Zofię; tęsknią do siebie wzajemnie wszystkie cztery siostry, a pisemna wymiana myśli jedyną im się staje pociechą. Biegają przeto listy z Polski do Węgier, do Brunszwiku i naodwrot, lecz korespondencya ich nie zadawalnia. Pragną osobistego widywania się, ale warunki ich bytu królewskiego czynią to zbyt trudnem, a oddalenie i niełatwe ówczesne środki komunikacyjne prawie niepodobnem. Wrywa to im z piersi niejedno westchnienie. „Pan Bóg — mówi Izabella, królowa węgierska — nie dał tego nam, stanom przełożonym, co dał niższym stanom, iż kiedy zechcą mogą być u siebie na obiad, a my tylko przez listy, i te dosyć nierychło do nas dochodzą“... Przekonania, głęboko wkorzenione, o konieczności zachowywania węzłów rodzinnych, a przytem uczucie miłości rodzinnej, wysoce rozwinięte, zniewalały nasze królowny do utrzymywania tych stosunków, tam nawet, gdzie same okoliczności nie sprzyjały.

Przyrodnia ich siostra Jadwiga, Margrabina Brandenburgska, córka pierwszej żony Zygmunta I, Barbary, właśnie była tego rodzaju stosunkiem, do którego ścisłego utrzymywania przykładano się niemało uczucie obowiązku, może więcej, niż przywiązanie. Jadwiga oddawna żoną była i, zdala mieszkając od Polski, nie utrzymywała z siostrami przyrodniemi częstej korespondencyi: one jednak nie przestawały się o nią troszczyć, nie przestawały jej listami nawiedzać, w których brzmi nie tylko zwykłe siostrzane uczucie, ale serdeczność, cechująca nasze Jagiellonki, nie tylko w stosunkach z rodziną, ale i z przyjaciółmi.

Życie obu naszych Jagiellonek, Anny i Katarzyny, upływając w ciszy, stosunek przyjazny z rodziną miało jako jedyny promień jaśniejszy. Rodzina, tak przez nie

ukochana, wciąż była w rozproszeniu, jak wiemy; listowne stosunki za wszystko starczyły: pisano przeto wiele do nieobecnych a dalekich. Nietylko siostry zwyczaj ten posiadały, lecz niemniej i brat, Zygmunt Aug., chętnie listowną prowadził rozmowę z siostrami nieobecnymi. W listach królowien pospolicie mówi się o sprawach potocznych prawie wyłącznie; w królewskich zaś listach, obok spraw pierwszorzędnych, niekiedy zarysowują się i rzeczy domowe, rodzinne.

Takim jest list Zygmunta Aug. do siostry Zofii księżny Brunszwickiej, z d. 13 czerwca 1562 r., w którym porusza, ale już nie poraz pierwszy, sprawę starania się królewiczów szwedzkich o obie siostry jeszcze niezamężne. Źródłem projektów tych była myśl królewicza szwedzkiego, Jana, poddana mu przez posłującego do Szwecyi Jana z Tęczyna, starania się o młodszą Jagiellonkę — Katarzynę; że jednak Zygm. August nie chciał, by młodszą uprzedziła w zamęciu starszą siostrę, Annę — (zdaje się, iż przepisy dworskiej etykiety, czy też obyczaj tego wymagał) — otóż królewicz Jan, wówczas dzierżący prawem lennem księstwo Finlandzkie, namawiał młodszego znacznie od siebie brata, Magnusa — młodziutkie książętko Ostrogoekie, aby się żenił z Anną, wówczas czterdziestoletnią. Magnus zgadzał się; czy szczerze — nie wiemy. Wobec tak postawionej kwestyi, gdy starsza miała zapewnionego starającego się, młodszą, chociaż wcale już nie młodą, Katarzyną — mogła wychodzić za mąż.

Obaj konkurenci dość mile u króla byli widziani. „...Jakośmy przedtem do was pisali — donosi Zygm. August w liście do księż. Zofii — książęta żądają królowien Ich M., sióstr naszych w stadło małżeńskie, tak i teraz są na tem, aby sami osobami swemi do nas dlatego przyjechali“... Spodziewano się więc obu konkurentów w Polsce. Król wyraźnie w wyżej przytoczonym liście zaznacza swe zgodzenie się: „my im nie odmawiamy“ — mówi on —

ale, poza tem zezwoleniem, prześwieca zdziwienie, iż najbliższy z konkurentów, brat ich przyrodni, Eryk, król Szwedzki, łączy się z nieprzyjaciółmi państwa Zygmunto-owego.

Eryk, w istocie, człowiek dziwny, zagadkowy; coś w nim było z szaleńca, a coś z tyrana. Dziwna mieszanina pojęć, uczuć — składała się na wytworzenie duchowej strony tego człowieka. Przedewszystkiem to szalenie, który miał władzę w ręku i z niej w całej pełni korzystał, rządząc się wszakże jedynie przywidzeniami i dzi-
kimi instynktami. Usposobienie chorobliwe Eryka w Pol-
sce znanem nie było, przytem zaś ks. Jan oddzielną po-
siadał dzielnicę — Finlandyą: nie przypuszczano przeto, aby Eryka wyskoki wpłynąć miały na losy tej, która od-
dawała swą rękę Janowi. Eryka zboczenia umysłowe nie
występowały z początku z całą jaskrawością, a zresztą za-
liczały się do rzędu owych objawów, które niekiedy umieją
wybornie maskować się, aby później wybuchnąć z tem
większą mocą.

Po kilku miesiącach różnych przejść w owej swa-
dziebnej sprawie, zamiast dwóch starających się, widzimy
trzech — tym nowym, był książę Holzacyi, któremu wszakże
Zygmunt August daje rekuzę, licząc znać na szwedzkich
królewiczów — a wreszcie już jest jeden tylko Jan, książę
Finlandzki. Magnus z widowni rokowań swadziebnych
ustępuje stanowczo, i już go odtąd wcale w tej roli nie
widzimy.

Ustąpienie Magnusa różnie było tłumaczonem. Jan
ułatwił mu nawet podróż do Polski, bo sam, przybywszy
na polskie Pomorze do Gdańska, odesłał swój okręt, aby
Magnus owym zwróconym statkiem co prędzej przybywał.
Jan czekał na młodszego brata; czekał miesiąc, dwa, trzy,
cztery — Magnus nie przybywał. Wreszcie Janowi do
Gdańska napisał, iż się obawia nieporozumień, zawikłań, —
gdyż brat najstarszy, głowa rodziny, król Eryk, źle na to

patrzy. Stosunek Magnusa był w istocie nader zależnym.
Książę to było młodociane, a węzły lenne zależności
krępowały go na każdym kroku wobec króla Eryka, który,
choć przed kilku miesiącami sam się wstawiał za braćmi
do Zyg. Augusta, w charakterze dziewosłęba, obecnie
przecież nieprzyjaźnie zaczął się zachowywać w stosunku
do Rzplitej. Były i inne pogłoski: mniemali niektórzy, iż
wiek Anny Jagiellonki tak mocno odstraszał Magnusa, iż
się wcale na pobrzeżu gdańskim nie pokazał.

Kilkomiesięczne, bezczynne napozór i bezcelowe, prze-
siadywanie księcia Jana w Gdańsku rozszerzyło nieuzasa-
dnione mniemanie po całej Koronie i Litwie o wychodze-
niu zamąż królowny Katarzyny, co stawało się wreszcie
przykrem dla obu stron. Tworzyły się przytem i mylne
wieści, iż królewicz Jan dostał odkosza. Potrzeba było
kres tej pozycyi położyć i zamknąć usta niechętnym dla
królewicza szwedzkiego pogłoskom. Obowiązek ten tem
bardziej na barkach Zygmunta Augusta spoczywał, iż miał
on z Janem rachunki pieniężne i zobowiązania wobec niego
zaciągnięte. Książę Jan w gruncie rzeczy czasu nie tracił,
gdyż prowadził tajemne rokowania z Zyg. Augustem, bo
oprócz spraw swadziebnych posiadał w zanadrzu plany
polityczne.

I rzeczywiście, Zygmunt August stanowczym krokiem
ów węzeł niepewności i wyczekiwań rozciął; względy po-
wyżej wskazane, poczęści zaś rady i namowy senatorów,
wpłynęły na postanowienie królewskie.

Pospolicie godzina wieczorna, poprzedzająca wiecze-
rę, była chwilą, gdy król odwiedzał siostry. Otóż, w pe-
wien sierpniowy wieczór (1562 r.), wszedł do izby króle-
wien i widząc, że Anna, idąc za zwykłym swym popędem
szlachetności, zrzeka się prawa starszeństwa w wychodze-
niu zamąż, zapytał Katarzyny: czy ma wolę oddania swej
ręki księciu Finlandzkiemu, Janowi? Katarzyna, wobec
kwestyi postawionej tak jasno, i stanowczo — zawahała

się — krok stanowczy przerażał ją. Tłómaczyła się ze drżeniem w głosie, iż stosunki obecne zadowalniają ją najzupełniej, iż pragnie nazawsze pozostać w stanie panieńskim...

To ostatnie wyznanie snąc uderzało zupełną sprzecznością z tem wszystkiem, co siostry z sobą o tych projektach mówiły, gdyż Anna zawołała:

— A wszakżeś przedemną przyzwoliła, a cóż po inszej mowie teraz?...

Kochające serce Anny pragnęło w ten sposób przyspieszyć rozwiązanie swadziebnej kwestyi, mniemając, że wyjście zamaż otwiera dobę pomyślności dla Katarzyny. Zwracając się więc śpiesznie do króla, dodała.

— Przyzwoliła, M. Królu, nie racz W. Kr. Mość więcej pytać...¹⁾

Tak się odbyła cicha scena rodzinna w ustronnej komnacie wileńskiego zamku, którejto sceny następstwa na długie lata zawisły później nad Polską. Związek małżeński Katarzyny Jagiel. spowodował z czasem powołanie na tron opróżniony po Jagiellonach Zygmunta Wazę i wreszcie rządy u nas trzech z kolei Wazów. Pewien konserwatyzm dynastyczny przejawiał się w tym kroku powołania na tron członków jednej rodziny, chociaż drogą elekcyi, nie ginęła bowiem w ciągu całego prawie stulecia pamięć, iż matką, babką tych Wazów była córka i siostra naszych Jagiellonów — królowa Katarzyna.

II.

Skoro tajemna rozmowa Zygmunta Aug. z siostrami stanowczo przychyliła szalę swadziebnych rokowań na stronę księcia Jana, zawrzał zamek wileński gwarem przy-

¹⁾ Ł. Górnicki: *Dzieje w Koronie Polskiej*. Wyd. Mostowskiego.

gotowań weselnych. Król podążył osobiście na spotkanie przybywającego królewicza szwedzkiego. Królewicz, a wówczas, jak wiemy, udzieliłnie prawie rządzące w Finlandyi książętko, w Kownie miał króla powitać. Król dążył na spotkanie nie nader śpiesznie. W poniedziałek (d. 7 września) opuścił Wilno, i po dwóch noclegach, w Wyrwie i w Żyźmorach, dopiero 9 września, we środę, a więc po tygodniowej podróży, stanął w Kownie, zajmując gospodą kamienicę w rynku. Powitanie królewicza odbyło się za miastem, na nadbrzeżnych Wilii łąkach. Gospodę dla zamorskiego gościa przygotowano w oddzielnej kamienicy, ozdobivszy jej izby kosztownie, wspaniale a z gustem¹⁾.

Powitanie pełne przepychu, z nieodzowną przytem mową powitalną, łacińską, którą wygłosił x. podkanclerzy, Myszkowski, a odpowiadał, również po łacinie, książę Finlandzki, wskazuje, iż poza projektami małżeństwa inne jeszcze istniały kombinacye polityczne, nakazujące podnosić powagę owego książętko ubogiej i dalekiej ziemi finlandzkiej. Przymierze z nim ściśle odpowiadało kombinacyom polityki królewskiej, która pragnęła sztandar Rzplitej wznieść na wodach Bałtyku, i zapewnić dla siebie Inflanty. Wiadomo zresztą, iż książę Jan pożyczał pieniądze królowi, co również czynione było gwoili pewnym politycznym względem: spodziewano się wzajemnych ustępstw i pomocy. Książę Jan marzył o niepodległości swego państewka w stosunku do Szwecyi, lub też o szwedzkiej koronie, a myśl Zygm. Augusta zwracała się chętnie ku flocie na Bałtyku, ku utrwaleniu się w Rydzie i posiadaniu Rewla, wraz z całą Estonią, co stanowczo zamknęłoby drogę innym, dążącym wytrwale do Bałtyku.

Górnicki, mówiąc o sprawie małżeństwa Katarzyny, nie zaniedbał włożyć w usta głosującego w radzie królew-

¹⁾ *Relacya o przyjęciu księcia Finlandz.* (z arch. Wolfenbütel-skiego, wydobył Al. Przezdziecki).

skiej za owym projektem, Myszkowskiego, wyrazów nader pochlebnych dla tej swadziebnej sprawy: „Może i do tego przyjsć — mówił Myszkowski, — że na morzu będą polskie okręty, a zatem pruska ziemia i miasta nad morzem w kleszczeby ujęte były, a król duński ciszejby siedział, niż teraz siedzi“... Wierna rada królewska nie poprzestawała na względach politycznych, którymi chciało się utorować drogę do skłonienia myśli królewskiej ku rzeczonym zamiarom, ale podnoszono i inne dodatnie strony projektu. — „Tem fortunniejszą będzie królowna, niż inne jej siostry — mówił tenże Myszkowski — iż pójdzie za tego kogo widzi; one za tych iść muszą, którym się przypatrzeć nie mogły“... ¹⁾).

Ostatni wzgląd trafiał do przekonania Zygm. Augusta bardziej niż inne, gdyż on szczerze przywiązany był do sióstr, chętnie przeto ucho dawał projektom wróżącym pomyślność dla osamotnionych kobiet, szukających jego opiekuńczej dłoni.

Zjazd króla z księciem Janem w Kownie, jeśli ostatecznie nie rozwiązał, to przyspieszył rozwiązanie kwestyi małżeństwa Katarzyny Jagiellonki. Od dni zjazdu kowieńskiego wzmacniać się poczęły przygotowania weselne, które na zamku wileńskim prowadzono. Wyprawę przygotowywano wspaniałą i znać dawnym obyczajem była ona znacznie wcześniej, w głównych zarysach przynajmniej, wykończoną, gdyż w dniach dwudziestu dwóch, czy też trzech załedwie, które upłynęły od zjazdu kowieńskiego do dnia godów weselnych, niepodobna było przygotować tak obfitej, stosownie obmyślanej wyprawy, jaką była wyprawa królowny Katarzyny.

Swedzki królewicz, po zbyt długim gdańskim pobycie, nie mógł przedłużyć bawienia swego w Polsce. Powrót stawał się nagłym z wielu względów: wojna ze

wschodnim sąsiadem była do przewidzenia, prawie dotykalnie uczuć się dawała w atmosferze ówczesnych politycznych stosunków; zbliżająca się zaś zima groziła przerwaniem zupełnem na pewien czas żeglugi. Codziennie można się było spodziewać zamarznięcia pobrzeży Bałtyku, którego fala jedynym bezpiecznym gościńcem mienić się mogła dla jadących do Finlandyi. Spodziewane lada chwila burze i lody na Fińskiej zatoce przecinały ów gościńiec.

Wszystkie te względy zniewalały do szybkiego powrotu; ślub królowny przyspieszano. Odbić się on miał w pierwszą październikową niedzielę, w dniu św. Franciszka — i rzeczywiście odbył się w owym dniu.

Ostateczna decyzja w tej sprawie, jak mówią niektóre źródła, zapadła dopiero po powrocie króla z Kowna. Wówczas to miał się rozmówić Zygm. August z siostrami i przychylić szalę rokowań na stronę księcia Finlandzkiego. Dano mu znać, aby z Kowna przybywał do Wilna i naznaczono dzień ślubu, jak wskazaliśmy, na dzień 4 października, 1562 r.

Kilka dni tylko upłynęło od chwili owej ostatecznej decyzji królewskiej do pośpiesznie przygotowanych godów. Pośpiech dziwny, z powodu zbiegu okoliczności, widocznie był udziałem przygotowań godowych naszych Jagiellonek. Gdy na sześć lat przed ślubem Katarzyny wychodziła zamaż starsza jej siostra, Zofia, również w wielkim pośpiechu wszystko przygotowywano, i wreszcie wszystkiego, pomimo pilnego krzątania się, na czas nie zdążono przygotować; niektóre rzeczy później dopiero, po wyjeździe Zofii, odsyłano jej do Brunszwiku.

Z Katarzyny ślubem działo się inaczej. Wszystko było przewidzianem, obmyślanem, dokonaniem, widocznie znacznie wcześniej. Widzimy tu troskę braterską króla, widzimy pieczołowitą myśl niewieścią królowej Katarzyny Austriaczki, która z naszymi Jagiellonkami w dobrych była stosunkach, dzieliła z niemi swe smutki, na łonie

¹⁾ Ł. Górnicki: *Dzieje w Koronie Polskiej*.

owych siostr przybranych wylewała łzy goryczy, wywołane zgryzotą niezbyt szczęśliwego z mężem pożycia.

Olbrzymia tu różnica od owej chwili, gdy Zofia wychodziła za mąż, podczas bytności Bony, a ta matka, przede wszystkim o sobie zawsze myśląca, z obojętnością trudną do wytłómaczenia wszystko na barki syna zwała, sama zaś chętnie wycofywała się z obowiązków i wszelkiej macierzyńskiej troski. W owymto czasie zaślubin Zofii matka pisała do Zygm. Augusta: „Oprócz sreber dla królowny Zofii, król J. M. niechby pomyślał o srebrach dla pozostałych królowien po wyjeździe matki, gdyż swoich nie mają, oprócz nalewki i miednicy po ojeu; a dotychczas używają sreber mateczynych“...¹⁾ Wyrazy te Bony świadectwem są wymownem, a co ważniejsza, wiarogodnem, jak królowne były zaniedbane pod opieką macierzystą, i to w owej dobie, gdy karawany, złożone z dwunastu wozów sześciokonnych, z kapitałami i kosztownościami, też sama matka do Włoch wysyłała²⁾. Odjąć wszystko najbliższemu, lub ich otoczeniu, aby bodaj drobnością przysporzyć własnego dobytku, na wyłączną swą korzyść, było znać stałem jej prawidłem postępowania. Jednocześnie bowiem z wyżej przytoczonymi wyrazami nie wahała się pisać o swym chwalebnym zamiarze pozabawienia futer panien dworu królowien, aby niemi okryć dwór, który jej do Włoch miał towarzyszyć. Czytamy przeto: „Niech król J. M. każe kupić nieco futer lisich dla panien, które są przy jego siostrach; albowiem te, których one używały dotychczas, królowa J. M. kazała przerobić na użytek swoich panien, które mają towarzyszyć jej do Włoch“...³⁾.

¹⁾ Patrz wyciągi z listów Bony, umieszczone w dziele p. t. „Jagiellonki Polskie“, T. II, 219.

²⁾ List Hetm. Jana Tarnowskiego do podkanc. Porębskiego.

³⁾ List Bony — l. c.

Tak skrzętnie zapobiegająca we własnych drobnych nawet sprawach, królowa-matka nie miała czasu, by o córkach pomyśleć: spadała więc na brata, na Zygmunta Augusta, cała troska wyposażania i przygotowywania niewieściej wyprawy dla siostr. Przygotowano przeto, za jego zleceniem, świetną wyprawę dla Katarzyny Jagiellonki. Narzekały wprawdzie wielokroć różne panie, przyjazne dla naszych królowien, iż król wiele obiecuje, zwleka, mało dla siostr czyni, iż one często w zaniedbaniu; tak jednak nie było, przynajmniej w one dni, gdy wychodziła za mąż królowna Katarzyna. Wyprawa i wszystkie zarządzenia, zmierzające do otoczenia królowny stosowną do jej stanowiska opieką i wygodą, świadczą o troskliwości braterskiej króla, o świetności ówczesnego dworu, o zasobach skarbcu królewskiego, który, acz przed kilku laty znacznie przez Bonę opróżniony, bo wszystkie nawet łyżki srebrne matka córkom pozabierała, a na wydatki bieżące ani grosza w skarbcu nie zostawiła, zdołał sprostać tylu potrzebom, i to w nader krótkim czasie. Poza opieką, troskliwością króla uwidocznia się myśl pieczołowita, niewieścia królowej, trzeciej żony Zygm. Augusta, i wreszcie przyjacielskie troski niewiast, które zaprzyjaźnione były z naszymi Jagiellonkami. Dzieje zachowały nam kilka nazwisk owych wiernych przyjaciółek córek Zygmunta I. Widzimy tam wojewodzinę Sobieńską, widzimy panie ze znanych rodów Górków i Kościeleckich.

Każda z tych dostojnych niewiast niosła swą radę, doświadczenie, wskazówkę, gdy chodziło o przyspieszenie, uzupełnienie prac przygotowujących wyprawę dla królowny Katarzyny. Zabiegi próżnymi nie były: na czas właściwy, a dziwnie prędko, gotową była wyprawa, niedość, iż kosztowna, ale obmyślana nader wszechstronnie, gdzie wszystko przewidziano, o niczem nie zabaczono, na nic nie żalowano.

III.

Dzień niedzielny, 4 października 1562 r., jak było postanowionem, stał się dniem ślubu królowny Katarzyny z księciem Finlandzkim, Janem. Jeśli wyprawa oblubienicy i przyjęcie oblubieńca wspaniałemi były, to nie mniejszy blask przepychu, połączonego z gwarem uczt, zabaw, turniejów napelniał stary zamek wileński. Nie było w jego izbach takiego wytwornego zbytku, jak na Wawelu, ale na każdym kroku wszystko przypominało, iż stara rezydencya jednego z potężniejszych władców Europy święci uroczystość rodzinną swej dynastyi. Rycerskie gonitwy, uczty, „maszkary“, muzyka i śpiew, umyślnie ułożone i starannie wykonywane kantaty, uświetniały ową ostatnią, radosną uroczystość domu Jagiellońskiego. Powtarzano tu, na mniejszą tylko nieco skalę, co na Wawelskim zamku z przepychem roztoczono przed kilku laty, gdy miały miejsce zaślubiny Zyg. Augusta z Katarzyną, Rakuską arcyksiężniczką. Wilno ówczesne współzawodniczyło ze starą stolicą piastowską; liczyło około 100.000 mieszkańców i było siedliskiem rodzin możnych, pragnących prześcignąć w one dni świetność dworu królewskiego. Dla Zygmunta Augusta było owo miasto najmiłszem. „Jedno Wilno August domem swoim nazywał — powiada współczesne świadectwo — inne miasta i pałace swoje za cudze uważając; w Wilnie łąźnie, ogrody, domy, pałace i nie wiedzieć wiele innych rzeczy pozakładał, a ile razy mógł tylko uciec z Polski, zaraz się do Wilna udawał“...¹⁾ To zamilowanie Wilna sprawiło, iż miasto tak wówczas wzrastało, jak nigdy przedtem i potem. Wówczas jeszcze mogło ono z całą słuszością rzec, iż nie widziało dotąd w swych murach nieprzyjaciela, chyba jeńca, a innej po-

¹⁾ Warszawicki.

żogi nad pożar z przypadku. Lecz i pożary za Zyg. Augusta czasów szerzyć się tam nie mogły z taką gwałtownością, jak w innych ówczesnych miastach Rzpltej, zapobiegając bowiem klęskom ogniowym, darował ten król miastu sto sikawek, co wytworzyło straż ogniową, instytucją wtedy, i znacznie później, nieznaną w żadnym z miast państwa Jagiellonów. Dobrobyt, a nawet zbytek, krzewiące się wśród owego stołecznego grodu, mogły w bezpieczeństwie i większym spokoju, niż gdzieindziej, rozwijać się i wzrastać.

Gród ów wspaniały, świetny, uczęszczany, od lat ośmnastu, z małemi przerwy, rezydencya Augusta, miał wszelką możność roztoczenia wielkiego przepychu podczas owych godów królowny Katarzyny. Jeśli w zwykłych chwilach zamek górny i dolny, acz pomnożony wielu oficynami, które na dolnym zamku wznosił August, nie mieścił całego dworu — dla rzemieślników dworskich bowiem w domach kapitulnych wynajmowano mieszkania — tembardziej na dni godowe zbyt szczupłymi się stały gmachy zamkowe.

Poza świetnością i gwarem wesołym biesiad i turniejów umysły nastroju smutniejszego widziały w niektórych błahych objawach złe wróżby dla nowożeńców. Okoliczności drobnych, nieharmonizujących z powagą i radością chwili oko ponuro na świat patrzące doliczyć się mogło niemało. A ci lub owi, niechętni królowi, — a tacy znajdą się wszędzie i zawsze — rozdmuchiwali iskry drobne do rozmiaru wielkiego płomienia złych wróżb.

Wśród turniejów ktoś padł pod ciosem kopii, i zaraz to było za zły prognostyk uważane; to znowu jakiś natrętny, może nieszcześliwy, ale niecierpliwy suplikant, nazwiskiem Wójcik, szlachcie z Podlasia, nie mogąc się doczekać chwili audyencyi królewskiej, przykleił paszkwil na bramie zamkowej. Sprawca został wprawdzie narazie odszukany i srodze za obrazę majestatu ukarany, ale

sprawa wywołała w mieście wrażenie — i znowu za zły omen to uważano: a takich wróżb złowrogich, na mniemaniach zabobonnego tłumu opartych, sporo się zebrało. Były i uzasadnione obawy, aby wschodnie, ościenne książe nie targnęło się na podróżną karawanę nowozaślubionych; czuło się ono podobno obrażonem, iż mu Katarzyny w zamęcie nie dano.

Obok smutnych wróżb tłumu torowały drogę oblubienicy ku przyszłości nieznanej smutne przeczucia, z innego, z poważniejszego źródła reflexyi zaczerpnięte... Królowa Katarzyna Austriaczka przed kilku laty (1553), w chwili gdy dla niej zapalono na Wawelu pochodnią hymenu, pragnęła widzieć naszą Katarzynę Jagiellonkę żoną swego brata, Ferdynanda; obecnie, gdy tażsama Jagiellonka stała się innego żoną, przeczucia złowrogie niepokoić królową zaczęły. Lubila ona Katarzynę, a rojenia, iż ta bratową jej się stanie, oparte były nie na przywidzeniach. Ferdynand, odprowadzając siostrę do Polski, upodobał sobie Katarzynę i owa sympatya, zdaje się, wzajemnością cieszyła się. Trwało to niedługo: dni kilkanaście sierpniowych 1553 r., podczas uroczystości weselnych królowej. Ferdynand nie pozyskał sympatyi Zygm. Augusta, zrobił złe wrażenie na panach rady koronnej — i marzenia jego prysnęły, ale od owej chwili trwalsze węzły wzajemnej sympatyi związane między dwiema Katarzynami, Rakuszą i Jagiellonką, czas utrwalał. Królowa, kochając Jagiellonkę, drżała o jej los, bo ten los wydawał się tak niepewnym, jak niepewną była toń Bałtyku, która księżnę świeżo zaślubioną od ojczyzny miała oddzielać.

Oblubienica w licznym orszaku dworzan opuszczała ziemię rodzinną. Niepewność morskiej żeglugi w dniach spóźnionej jesieni trwożyła wielu jadących, i nakazywała przyspieszać odjazd. Król odradzał podróż natychmiastową: zalecał oczekiwanie sannej, lub spędzenie zimy w Wilnie, a w ostatecznym razie powrót przez Gdańsk. Książe Fin-

landzki w postanowieniu swem powrotu drogą jaknajkrótszą, i to jak najprędzej, niezłomnym pozostał. Ósmego dnia przeto od chwili, gdy związek nowożeńców pobłogosławił biskup wileński, Waleryan Protaszewicz, orszak zaślubionych, po całotygodniowych godach, wyruszył z Wilna do Finlandyi.

Na cztery dni przed odjazdem urzędownie została oddana wyprawa królowy urzędnikom dworu księcia Finlandzkiego. W komisji odbiorczej zasiadali nietylko przedniejsi z otoczenia królewskiego i z orszaku Księcia Finlandzkiego, ale byli obecni znawcy, byli „osobliwie wysadzeni, jak się wyraża współczesna relacya, szacunkarze, probierze, złotnicy, hafciarze, ile tak ze strony J. Kr. M., jako ze strony księcia J. M. Finlandzkiego“.

Spisy owej wyprawy tworzą wielki manuskrypt, w którym rozczytując się, łaćno dopatrzeć i troskliwości braterskiej króla i hojności monarszej. Bije z kart spisu blask bogactw, które jeszcze wtedy skarbiec zapełniały. Nikt wówczas nie przewidywał, jak dalece skarbiec zubożeje po stu, po dwustu latach, a wreszcie zniknie drogą do dziś dostatecznie niezbadaną...

Najcenniejsze miejsce w wyprawie zajmowały klejnoty i przedmioty ozdobione cennymi kamieniami lub perłami. Ogół wartości klejnotów oceniano na sto kilka tysięcy talarów, nie licząc różnych kosztownych ozdób. Srebro liczne było i kilkorakie: „komorne“, stołowe, „łaziebnie“ i kościelne. Nawet ten ostatni dział, chociaż miał na celu zaopatrzenie domowej jedynie kapliczki królowy w utensylia niezbędne, posiadał srebra, które mogły być ozdobą niejednego parafialnego kościoła.

Szaty, tworząc główny balast całej wyprawy, liczbą i wytwornością imponowały. Oko prawdziwie gubić się mogło w szeregu sukien o rozmaitych nazwach, barwach i z mnóstwem większych lub mniejszych dodatków, aksamitnych, futrzanych i innych. Wszystkie szaty ze złoto-

głowu, ze srebrogłowu, z aksamitu, z atłasu, nader szczególnie opisane w „spisie“ wyprawy, były bezwątpienia owocem długich przygotowań, tyle w nich bowiem wykwintnych i misternych uzupełnień, dodatków cennych, drobnych, kosztownych, które narazie powstać nie mogły, ale czasu potrzebowały, by je wykonać dokładnie, wedle mody, która i w XVI w. również wszechwładnie jak dziś królowała. Futer było aż sześć, na które składały się sobole, gronostaje, bobry, kuny, popielice, a przytem było jeszcze i siódme, w formie błamu soboli. Suknie dla panien dworu doliczano do wyprawy królowej, ale to już szaty skromniejsze i ich futra były tylko lisie i kunami podbite, ozdoby zaś nieliczne, chociaż nie zabaczano i o aksamitnych dodatkach, i o adamaszkach, i różnych misternych figlikach. Zamiast dzisiejszych kapeluszy miała królowa „czapki“ — zimowe i letnie, te ostatnie z aksamitu lub kitajki czerwonej z takimiż sznurami i chwastami. Pewien nader zbytkowny przepych spotykamy w dziale pościeli, gdzie nie zapomniano nawet o łózkach składanych, które wieziono do Finlandyi, i o orłach srebrnych, któremi ozdobione być miały owe łoża, a nad nimi wznosiły się namioty ze złotogłowu, bądź z adamaszku. Zapobiegliwość, troskliwość, przezorność uwidoczniła się w obfitości zaopatrzeniu kuchni, piwnicy, przyrządów do prania. Wielorakie naczynia kuchenne wskazywały, iż sztuka kulinarna doszła już była u nas do rozkwitu zupełnego. Przeflancowana z Zachodu zdobyła sobie pewne cechy miejscowe, i służba, poświęcająca się tej sztuce, wyłącznie z Polaków była złożona, podczas gdy nad piwnicą — Włoch rządy sprawował.

Dwór niewieści królowej, który miał jechać do Finlandyi, składał się z dwóch pań poważnych (p. Biechowska i p. Ostolska) z sześciu panien „fraucymeru górnego“, z jednej panny komornej (Anna Witkowska) i z czterech „dolnego fraucymeru“; były przytem dwie karlice (Dośka

i Baśka). W „górnym fraucymerze“ spotykamy dwie Niemojewskie (Dorota i Orszula), dwie Krupskie (Marusia i Helena), Annę Biechowską i Barbarę Wąsowiczównę. Były przytem i inne kobiety dworu, lecz na podrzędnych, służbowych stanowiskach.

Męzki dwór posiadał dwóch kapelanów, kleryka, aptekarza i kilkunastu sług do różnych funkcji, ale lekarza nie widzimy. Podobnie jak wśród niewieściego dworu widzieliśmy karlice, spotykamy w męzkim gronie służby dwóch karłów, konieczny atrybut wszystkich większych dworów ówczesnych.

IV.

Dwunasty Października, Poniedziałek, ostatnim dniem był pobytu królowej w Wilnie. W owej, tak pamiętnej chwili w jej życiu, poraz ostatni żegnała ona, nie tylko mury Wilna i wyżyny Ponarskie, ale poraz ostatni widziała swych najbliższych a ukochanych — Augusta i Annę. Odtąd nigdy już nie miała ujrzeć ani owych osób drogich sercu, ani też ziemi rodzinnej. Nawet jej kości nie wróciły do Polski z dalekiej, zamorskiej ziemi. Pamięć jej wszakże została wśród swoich, i ta pamięć sprowadziła później jej dzieci na rodzinne niwy.

Odprowadzała królową cała rodzina poza miasto. Późną znać dobą wyjechali z zamku wileńskiego, w pierwszym dniu bowiem wędrówki ujechano zaledwie jedną milę i nocowano w Werkach, w tamiecznym obszernym, drewnianym wówczas dworze biskupów wileńskich. Budowla w Werkach, acz obszerna, zamałą była dla liczego dworu jadących i odprowadzających. Szczęściem, iż spóźniona jesień piękną pogodą obdarzała; rozbito więc namioty dla króla i jego rodziny; tam odbyły się pożegnania. Król siedł na stronę z królową Katarzyną i oświadczył, że

wszystko się stało wedle jej woli, „a jeśliby co złego na nią przypadło, żeby go o to nie winowała“... W tych słowach, które powtarzamy za Górnickim, prześwieca jakieś złe przeczucie. Na karb przeczuć złych policzono również obfite łzy królowej, wylane przy pożegnaniu. Królowa Katarzyna Rakuszanka, niewiasta podniosłego umysłu, wykształcenia wyższego i pewnego życiowego doświadczenia, odgadywała zapewne, w pewnej mierze przynajmniej, iż stromą i twardą mogła być ścieżka przyszłości królowny; ale przeczucia, bodaj wieszczę, nie rozwinęłyby, prawdopodobnie, tak wielkiej grozy nieszczęść, jakie spotkały Jagiellonkę w zamorskiej dziedzinie jej małżonka. Łzy Katarzyny Rakuszanki płynęły poczęści i z bólów własnych; w przybranej siostrze traciła królowa jedną z powiernic swych trosk, traciła tę, którą jej brat był ukochał i za małżonkę pragnął mieć... Werki, łzami pożegnań oblane, pamiętnymi się stały we wspomnieniach Katarzyny Jagiellonki, która już odtąd wspomnieniami tylko żyła, w dziedzinie wspomnień szukała ukojenia.

Zanim orszak podróżny ruszył z Werek dalej, gościńcem rzykim, zaszedł na owym pierwszym noclegu fakt prywatnej natury, który zaniepokoił wielu i był uważany za nowy, „złowróźbny omen“. Stanisław Gębicki, młody kucharz z dworskiej czeladzi, towarzyszącej Katarzynie do Finlandyi, padł martwy w jakiejś bójce, zapewne wywołanej pożegnaniem libacyami. Skoro wieść się rozbiegła, iż Stanisław „jest zabity“, wywarło to przykre wrażenie, a na miejsce zabitego król posłał z kuchni swej innego kucharza, też Stanisława¹⁾.

Krwawym wypadkiem rozpoczęta podróż, do Rygi tylko pomyślnie odbywała się. Jechano w licznych poczęściach Polaków i Szwedów. Jechano do Rygi krajami Rzpltej; polską, litewską i żmudzką mowę wciąż aż do morza spo-

tykano; komisarze królewscy ułatwiali wszystko; na wygodach i bezpieczeństwie nie zbywało, ze skarbcza królewskiego koszt na to łożono; nawet mrozy nie nadechodziły, jakby nie chciały zakłócać zimnym powiewem ostatnich chwil spędzanych wśród swoich. W Rydze komisarze królewscy pożegnali Jagiellonkę, która już tylko wśród orszaku dworzan i sług mogła słyszeć mowę ojczystą i uobecniać sobie wspomnieniem owych drogich a pożegnanych pod Wilnem, pożegnanych zapewne nazawsze.

Od Rygi rozpoczął się szereg niepowodzeń.

Skoro w rzykim porcie orszak podróżny wsiadł na statki, jesień polska — słoneczna, pogodna, ciepła — odbiegła wraz z łodem Rzpltej, a mrozy nagle ścięły fale u inflanckich pobrzeży. Okręty, co wiozły naszą królową i jej orszak, zaledwie odbiły od brzegu — zamarzły. Pozycya stała się zbyt trudną. Nie podobna było ani dalej płynąć, ani też wracać na brzeg po lodzie nader wątlym. Obrano wreszcie ostatni sposób odwrotu, pełen niebezpieczeństw i trudu: podążono przeto od Rygi ku północy drogą lądową, podążono pobrzeżem Fińskiej zatoki, narażając się na niewygody podróży po drogach małych, gdzie nic na ich przyjęcie nie przygotowano, gdzie niebezpieczeństwa były nader poważne: pobrzeża w rękach szwedzkich tym razem roily się niebezpieczeństwami, bo Eryk wówczas właśnie rozpoczął swe coraz wyraźniejsze majaczenia. Zaczął podejrzewać brata o knowania, sam coraz wyraźniej przeciw niemu wrogo występując i łącząc się z tymi, którzy mienić się mogli nieprzyjaciołmi brata. A takim nieprzyjacielem był bezzaprzeczenia książę sąsiedniej wschodniej potencji, który ku Bałtykowi spoglądał z żądzą zdobyczy i rościł jakieś dziwne, nieczem nie dające się usprawiedliwić prawa do ręki królowny Katarzyny. Chcieć i mieć prawo do czego — dwie rzeczy tak różne — były to pojęcia identyczne u owego władcy; otóż, pragnąc spowinowacenia z domem Jagiellońskim,

¹⁾ Jagiellonki Polskie... T. III, str. 326.

mniemał temsamem, iż posiada zupełne prawo do ręki królowny Katarzyny.

Tego rodzaju roszczenia rzeczonoego władcy wywoływały rzeczywiście niebezpieczeństwa dla księcia Finlandzkiego i jego małżonki. Podróż Katarzyny od Rygi aż do Abo, stolicy Finlandyi, stała się prawdziwą odyseą, złożoną z trwóg różnych na lądzie i morzu. Zanim przybyli do Rewla, tysiące obaw wstrząsało biedną Jagiellonką; a niepróżne to były obawy, gdyż ich droga legła obok zasadzek wspomnianego władcy ościennego państwa i przebiegała przez zamki również nieprzyjawnego króla Eryka. „Sam Pan Bóg ostrzegł — mówi współczesna relacya — że uszli... nocą i dniem przeskakując mimo ono wojsko nieprzyjacielskie (ościennego państwa); wielkie niewczasy, głody, złe gospody wycierpieć musieli“...

Po długiej, męczącej dla ciała i ducha podróży, do Rewla wreszcie przybyli, skąd już wodą dążyli do finlandzkich brzegów. Burze, właściwe owej spóźnionej porze roku, szalały na niewielkiej wód przestrzeni, między Estonią a Finlandyą, przybito jednak szczęśliwie i wylądowano na finlandzkich skałach. Tam już, wjechawszy w głąb kraju, rycerze księcia Jana spotykali Jagiellonkę jako panią i władczynię i podróż jej saniami do stolicy mężowskiej, do dość odległego miasta Abo, była prawdziwie tryumfalnym pochodem. Pierwsze tygodnie w nowej siedzibie upłynęły wśród spokoju, który wcale nie wróżył złej doli. Owszem, tydzień pierwszy zapełniano ucztami, uświetniano zabawą, tańcem i, jakby przedłużając gody wileńskie, urządzano świetne wesela dla kilku panien dworskich. Pierwsze to bliższe zetknięcie się nasze ze Szwedami, znaczone oznakami wzajemnej sympatyi, stwierdzone ślubami małżeńskimi, w przyszłości miało się zamienić na walki długie, ciężkie, ruiną okrywające nasze ziemie; ale tych dni dalekiej przyszłości, zarówno jak i bliższej grozy nieszczęść, co zawisły były nad głową Jagiellonki,

nikt jeszcze nie przeczuwał: oddawano się radości chwili z całem upojeniem. A właśnie wówczas, gdy na książęcym zamku w Abo biesiadowano, w szwedzkiej stolicy burzliwe myśli wstrząsały chorobliwym króla Eryka umysłem. Zaczęły się wtedy Erykowe przywidzenia i coraz to bardziej wzrastające przypuszczenia, iż książę Jan dąży do oderwania Finlandyi od Szwecyi, lub do obalenia króla; Eryk znalazł stosownych doradców, którzy rozniecali nienawiści płomień i szerzeniem obaw zręcznie nasuwanych zwiększali objawy jego drażliwego, chorobliwego usposobienia.

Na następstwa podejrzeń i gniewu Eryka niedługo oczekano. Kazał się on stawić bratu w Sztokholmie, dla zdania sprawy ze swych kroków; podejrzewał go o tajemne knowania z Danią i Polską. O ile w tem prawdy było co do Danii, nie wyświetlono należycie; ale z Zygmuntem Augustem były jakieś rokowania, na mocy których książę Jan spodziewał się posiłków z Polski. Posiłki nie nadeszły; lecz i ta szczupła garstka dworzan, która jego małżonce towarzyszyła, niemalą pomocą się stała przez wierność swą i poświęcenie.

Dalszy bieg wypadków wskazał, iż książę Jan nie mógł polegać ani na Szwedach, ani na Finlandczykach; iż własne jego szyki w wierze się swej chwiały. W tak przykrych okolicznościach garstka polskiego dworu i polskiej czeladzi królowny Katarzyny starczyła za straż, opiekę, za wszystko.

Zima przeszła na niesnaskach z Erykiem, które się przedzierzgnęły wreszcie na wiosnę i latem roku następnego w otwartą wojnę. Walka była tembardziej nierówną, iż wojska Jana zdradzały go, wypowiadały posłuszeństwo, ułatwiały działanie wojskom Eryka: książę finlandzki pozostawał osamotnionym, mógł tylko liczyć na dworzan swej żony i jej niewieście, pełne poświęcenia otoczenie.

Zaiste, pomoc maluczka.

Wobec tak ciężkich warunków, Katarzyna doradza mężowi opuścić Finlandyę; morzem przez Gdańsk wracać do Polski, schronienia i odsieczy tam szukać. Jedyna to praktyczna była rada w danej chwili. Jan chciał z niej korzystać, ale karta losów szybko się odwróciła: niestety, nie na lepsze.

Król Szwedzki rozporządzał siłami większemi i stokroć większej zażywał powagi, niż maluczkie książątko finlandzkie. Przed fantastyczną a groźną wolą Eryka upadano na twarz, każdy jego rozkaz spełniano gorliwie, bez szemrania; sytuacji panem on był. Miano go za szaleńca, za okrutnika, lecz przekonani w tym względzie nie wyjawiano, a z wolą i kierunkiem szaleńca tego rachowano się jeszcze wówczas z całą ścisłością.

Skoro więc Eryk zwolnił Finlandczyków od posłuszeństwa ks. Janowi i wojsko przeciw niemu wysłał, wnet wszyscy, najbliżsi nawet, odstępować odeń zaczęli. Myśl uciekania do Polski okazała się spóźnioną. Flota Eryka odcięła odwrót. Zapóźno spostrzegł książę Jan, iż zdrada zewsząd go otacza, iż z tej sieci knońców zdradliwych wyjść nie zdoła. Kiedy zaś zarówno o ucieczce, jak i o obrocie dłuższej i zwyciężkiej, na zamku w Abo, niepodobna było myśleć, gdyż załoga zamkowa w wierności swej chwiała się, a nawet księżna prosiła męża, by raczej poddał się, niż pomnażał klęskę uporem dłuższym — ks. Jan, chociaż skutecznie odpierał oblegających Szwedów, wreszcie poddał zamek. Dłuższa obrona niemożliwą już była; nieprzyjaciół, kilkakrotnie odparty, zajął górujące stanowisko nad warownią i pociskami swymi skutecznie raził nawet gmachy mieszkalne. Godzina zguby wybiła — poddano się...

V.

W dziesięć miesięcy po opuszczeniu Wilna (12 sierpnia 1563 r.) nasza Jagiellonka stała się wraz z mężem i całym swym polskim dworem jeńcem króla Eryka. W kilkanaście dni po swej kapitulacji (24 sierpnia) księstwo Finlandzcy byli wsadzeni na okręty z garstką Polaków i fraucymerem królowej, tudzież z domownikami i wiernymi księciu sługami, którzy ich nie opuszczali w dobrej i złej doli. Całe to jeńców grono wyprowadzono do Sztokholmu.

Ów pamiętny dzień rozpoczynał dla Katarzyny szereg dni długiej niewoli a bezbrzeżnej niedoli.

Wnet po przybyciu jeńców do szwedzkiej stolicy król Eryk zażądał od Katarzyny, by męża, jako oskarżonego o zdradę stanu, opuściła, sama zaś może w takim razie osobą swą rozrządzać. Wedle jej woli, albo do Polski będzie odesłana, bądź też pozostać może w Szwecyi, gdzie zamieszka, jak się wyrażano „na swej oprawie“. Katarzyna odtrąciła z wielkim hartem woli tę propozycję. Groźba, iż jeżeli nie opuści wnet męża, z nim więzienie dzielić będzie, jej nie przeraziła. Współczesna relacja opowiada o pełnem szlachetności zachowaniu się Katarzyny w owej chwili stanowczej. „Ta cna, świątobliwa pani — czytamy w rzeczonej relacji — zdjawszy pierścień z palca, na którym był napis (łaciński): „Których Bóg połączył, człowiek nie rozdzieli“, wejrząwszy nań z wielkim płaczem, a żałośliwym ku Bogu wzdychaniem, pokładając swą wszystką nadzieję w Panu Bogu, odrzekła, iż ufa Opatrzności, co ich może z rąk tyrana wybawić, męża zaś nie opuści „jakakolwiek każn nań a przygoda przyjdzie“... „raz to Panu Bogu swemu poślubiłam — mówiła bohaterska niewiasta — póki on żyw jest, jego w żadnem nie szczęściu nieopuszczać“... W dalszych słowach królowe

przebija się, obok uczucia dla męża, pamięć na obowiązki żony chrześcijanki, kobiety, pochodzącej ze społeczeństwa wysoko trzymającego sztandar moralności i cnót domowych. Słowa jej nie były próżnem dźwiękiem: szedł czyn za niemi, czyn nie chwili, lecz całych lat strapień ciężkich do przebycia dla każdego, a cóż rzec o kobiecie, zrodzonej na najpotężniejszym tronie ówczesnego świata, dalekiej od wszelkich prywacyj!

Dni szwedzkiej niewoli upływały Katarzynie wśród podwójnych trosk: ducha i ciała.

Myśli Eryka, wirując w sferze fantazyi i krwawych widziadeł, wywoływały szereg rozkazów coraz groźniejszych, szereg wysiłen szwedzkiego władcy, by niewolę brata i bratowej uczynić cięższą, by pomnożyć prywacye ciała, a boleść ducha pogłębić.

Rozkazy wydawane w chwilach szału, a spełniane niewolniczo, oprócz niewygód, oprócz trosk, wywoływały poniewieranie wielkie osób, uczuć. Wykonawcy rozkazów prześcigali się niejako w srogościach: deptano wszystkie uczucia ludzkie, zapominano o względach należnych nieszczęściu kobiety, która dzieliła jeno los męża, a daleką była od posądzeń, nawet o tę rzekomą zbrodnię stanu, którą na barki księcia Jana włączano. Przyroda surowa Północy wypiastrowała tłumy wykonawców, nieraz tak srogich, jak ów szaleniec, co rozkazy wydawał. Bardzo rzadko spotykano wśród wykonawców woli Erykowej ludzi z sercem, z myślą jaśniejszą, którzy los oplakany jeńców pragnęli łagodzić.

Księżna Katarzyna wraz z mężem pozbawioną była wszelkiego mienia, ruchomości, kosztowności, sług, dworzan. Nie wpuszczono księstwa do stolicy, ale wysadzono ich na wyspę skalistą, pustą, wystawioną na wichry groźnej jesieni skandynawskich pobrzeży. Z żagli uczyniona kotara jedyną stała się osłoną nieszczęśliwych jeńców, póki nie

rozstrzygnął się ich los: gdzie i w jaki sposób osadzeni być mają.

Na dzikiej skale, pod osłoną płachty żaglowej, miała miejsce owa scena podniosła, gdy Katarzyna wysłańcom Eryka rzekła, wskazując na swój ślubny pierścień: „Co Bóg złączył człowiek nie rozłączy... Niewiastą jestem, ale mam umysł i serce odważnego męża... Przysięgam księciu Janowi miłość i przyjaźń do śmierci, wiernie i statecznie przysięgi dochowam. Zarówno żyć z nim, jak ginąć jestem gotową... w szczęściu i w niedoli zawsze będę jego małżonką. Najsroższe postrachy, ani żadne uludne nadzieje mnie od niego nie odłączą... Może mi król grozić, ale oderwać od męża mego nie może“...¹⁾.

Tak przemawiała najmłodsza latorośl Jagiellowego szczepu, a w jej głosie tyle było stanowczości, ile mocy w duszy, by wszystko dotrzymać co zapowiadała, by sprostać trudnym zadaniom i wytrwać na stanowisku, przez los wskazanem. Sprostala zadaniu, wytrwała...

Wierząc mężowi, posiadając jego zupełne zaufanie, mniemała, iż może być świadkiem w jego sprawie, iż świadectwem swem na postanowienie króla wpłynie. Nie brała nieszczęsną kobietą w rachubę wrodzonej przewrotności i skłonności do okrucieństw tego szaleńca. Ufna przeto, iż coś może polepszyć we wspólnej niedoli mówiła: „Zawinił mój mąż, — mówicie, — toć i ja, jako jego żona, wiadomą jestem najskrytszych jego tajemnic... To jednak na przestrozę królowi Erykowi daję; wiadomą mi jest dokładnie niewinność mego męża: niechże król pamięta, że niewinność ma swoją opiekę i obronę u króla nad królami“...²⁾.

Wielką moc ducha i rezygnacją czerpała Katarzyna

¹⁾ Patrz „Historia prawdziwa o przygodzie żalosnej“... relacja współczesna, z odpisu XVI w., druk. w „Jagiellonkach“. (T. III).

²⁾ L. c.

z uczuć religijnych, które przewodnią gwiazdą były w życiu wszystkich naszych Jagiellonek. Pełna wiary głębokiej, mówiła Katarzyna do sług i urzędników królewskich, iż „jeszcze Pan Bóg, jako z lwiej paszczęki, tak z mocy a srogości onego tyrana wybawić ich będzie raczył“. Ta wiara z rodzicowej kolebki, z murów Wawelu wyniesiona, dźwigała ją potężnem ramieniem z otechłani zwątpień, chroniła ją od pochyłości rozpacz.

Chwilowe schronienie pod płachtą z żagla, znalezione na dzikiej skale, zamieniono na stały pobyt więzienny na zamku Gripsholm, odległym o siedm mil od stolicy. Przewieziono tam oboje księstwo pod strażą, ze szczupłym orszakiem sług; pozwolono Katarzynie zabrać z sobą jedynie dwóch Polaków, dwie panny i dwie karlice.

Zamek Gripsholm, smutny, samotny, od dróg większych odsunięty; wyznaczono im tam jedną zaledwie izbę na mieszkanie. Więzienie to, jak współczesny pisze, „dosyć srogie i tęskliwe“; za całą rozrywkę mieli możliwość rozglądania się po okolicy przez okno jedyne w izbie więziennej. Korzystano z tej możliwości znać dowoli, od wspierania się bowiem na kamiennych węgarach okna pozostały wklęsłości, do dziś widoczne...¹⁾

Kamień ustępował nawet pod naciskiem ramion samotnych więźniów... cóż się więc działo ze zbolałą ich duszą?...

Do szczupłej izby więziennej wszystko zostało zastosowane. Otoczenie tak ubożuchnem było, jak mała przestrzeń samej izby. Zabrano nieszczęsnym więźniom „szaty, skarby, klejnoty“; sług Finlandczyków orszak liczny, wraz z całą wierną księciu drużyną oddzielono jeszcze u sztokholmskiego portu, i tam owych wiernych, jako zdrajców stanu, na innej, sąsiedniej, skalistej wysepce męczono, torturowano, tracono... Jęk ofiar dobiegał do uszu nieszcze-

snego księcia i jego małżonki, dobiegał do uszu ich polskiego dworu, który został rozdzielony na grupy i rozesłany na wygnanie do różnych miejscowości.

Po przybyciu do Gripsholmu rozpoczęła się ostra zima Północy, tem dotkliwsza dla Jagiellonki, iż stan jej zdrowia większych, niż zwykle, wygód wymagał: a tu tymczasem o żadnej wygodzie mowy być nie mogło; niewygody na każdym kroku nieszczęsną księżną spotykały, — pożywienia nawet stosownego nie miała. Choroba jej, która wprędce nadeszła, nie zdołała wpłynąć na zmianę pożywienia; przysyłano tężsamą grubą strawę, którą żywili się żołdacy, co straż trzymali u drzwi więzienia.

Wśród warunków tak ciężkich, bez żadnej zgody ani lekarskiej, ani innej pomocy, powiła księżna Katarzyna córkę; dano jej imię Izabelli, przypominające najstarszą z Jagiellonek, która w wielu chwilach życia zastępowała Katarzynie matkę.

Biedne to wnuczę Jagiellonów nie miało nawet najliehszych pieluch... „Królowa Jej Mość — pisze relacya współczesna — w takim tam niedostatku na ten czas była, że i dziecięcia onego powijać w co nie miała; aż u knechtów tych stare, złe koszule kupowali, co ich strzeegli, i te na pieluchy drapali“... Ów jeden szczegół dostatecznie uprzytomnia nam nędzę, wśród której przyszło na świat pierwsze dziecko naszej Jagiellonki... Matka, niedoświadczona i słaba, chociaż sama karmiła i powinna była wielu rzeczy wystrzegać się, poprzestawała z konieczności na potrawach grubych, niezdrowych, których — jak pisze współczesny — nie używała w Polsce „żeby najnędzniejsza zagrodniczka“... Przy niestosownem pożywieniu i zgryzotach, dziecko z mlekiem matki zdobywało zarody chorób, skracało swe dni.

Nie było ani dłoni, ani rady, któreby stanęły w przygodzie biednej, niedoświadczonej matce. Parę panien fraucymeru nie zdołało skutecznie zastąpić doświadczonej

¹⁾ Pisał o tem J. I. Kraszewski, który zwiedzał zamek Gripsholmski, w r. 1874. (Porów. „Tygodn. ilustr. 1874 r.).

i umiejętnej niewiasty, a jednak na tem poprzestać musiano. Dojście z zewnątrz, bodaj z maluczką pomocą, stanowczo uniemożliwiała straż kilkudziesięciu „knechtów“, zbrojnych, czuwających, aby nikt nie mógł z onej izdebki więziennej ujsć, — „ani do nich wnieść, nie im nie dodać“... Znaleźli się jednak tacy, co dochodzili, jeśli nie swą osobą, to pomocą, wsparciem, do wnętrza więzienia. Kupcy polscy, mieszkający w Sztokholmie, których znać w one lata wielu tam było, „mając litość nad królowną, krwią panów swych“, niejednokrotnie do bram więzienia kołatali, niosąc naczynia z winem, bądź kosze róż, a ukrywając pilnie również w barylach i flaszkach, jak i w listkach róż, dukaty i talary. Ta „litość nad żalosną przygodą a więzieniem niewinnych“ nieraz była dla nich opatrnościową dźwignią, ze wszystkich bowiem środków pieniężnych zupełnie byli ogoloceni. Królowna w fałdach swej sukni miała ukrytych kilka cennych klejnotów i te jej stawały pomocą w czarnej godzinie utrapień i nędzy.

Stan nędzy i moralnych katuszy, które wywoływało więzienie, a pomnażała ciągle obawa gwałtownego zamachu coraz bardziej szalejącego Eryka, trwał lata, a te wydawały się wiekami dla nieszczęsnej Katarzyny. Mężkie tylko serce zaledwie mogłoby znieść całe brzemień owych klęsk, co runęły na barki tej niewieściej latorośli Jagiełłońskiego szczepu. Gięła się ona od poddmuchu wichrów niedoli, ale hart jej ducha nie prysnął; rdza niedoli nie zdołała skruszyć by najmniejszej cząstki jej zasad, zaiste, spiżowych.

Dziwne, nieprzewidziane komplikacje, niebezpieczeństwa do uwierzenia trudne, możliwe tylko w czasach panowania bezwzględnej siły brutalnej, nawet w stosunkach międzynarodowych, wzmogły trwogę i niebezpieczeństwa Katarzyny.

Władca wschodniego, ościennego Finlandyi państwa zażądał jej dłoni, acz już zamężną była, a opierał swe

prawa na swej uprzedniej chęci jej zaślubienia... Erykowi stało się to bodźcem do nowych nieprzyjaznych przeciw bratu i bratowej wystąpień. Korzystał z pozoru; oświadczył się z gotowością wydania Katarzyny w ręce niewczesnego pretendenta do jej dłoni: niedoli więźniów przysparzał nowych, ciężkich, bo moralnych katuszy.

Zdziechały, twardego obyczaju, a z umysłem skołatanym i zaćmionym chorobą, Eryk spostrzegł wszakże całe okrucieństwo czynionego nacisku na uwięzioną bratową. Zanim jednak szaleniec zdołał się rozpatrzyć w pozycji, nacisk był silny. Żądał szaleniec, aby Katarzyna zerwała swój związek małżeński i jechała z poselstwem sąsiedniego mocarstwa, które po nią przybyło. Orszak zbrojny owego poselstwa, złożony z 500 orężników, czekał jeno skinienia Erykowego, by uwieść nieszczęsną księżnę... Obok mieczów, poselstwo zaopatrzone było w dary, futra i inne cenne podarunki; tak znać wierzono w łatwość uwiezienia Katarzyny.

Wówczas to powtórzyła się wzniosła scena, pełna męztwa a godności w oporze. Powtórzyła nieszczęsna słowa już nam znane, iż nie jej od męża nie oderwie, a na wszelką niedolę i Erykowe srogości, w modlitwie czerpie moc ducha. Co wyrzekła — spełniła. Postrach, groźby, nie przeraziły jej; owszem, opór niewiasty męznego ducha rozbroił dłoń rozszałałą Eryka. Poprzestał on wreszcie na posłaniu kogoś ze swych zaufanych i kilku niewiast, by namawiano Katarzynę do opuszczenia męża i wyjazdu na Wschód, gdzie na nią czeka potężny władca, chcący ją zaślubić. Władca obiecywał Erykowi ustąpienie niektórych zamków; polityczne przeto względy nakazywały Erykowi prowadzić te negocjacje. Opór wytrwałej kobiety zawsze był jednaki... „Dość dla mnie zaszczytu i szczęścia — mówiła ona do powiernika królewskiego, — dość zaszczytu, że jestem żoną księcia Jana, brata króla Szwedzkiego; większego ani pragnę, ani upatruję, póki żyje mój

małżonek: a chociażby Bóg go zabrał, we wdowieńskim pozostanę stanie..." Gdy negocjator prowadził rokowania coraz natarczywiej, zamknęła je słowami, które dobitnie jej zasady wskazywały: — „Bogu i księciu Janowi przysięgam, i dotrzymam tej przysięgi do śmierci...”

Pod tem hasłem upływały twarde żywota jej dni. Temu hasłu wierną pozostała nazawsze.

VI.

W Polsce nieszczęścia Katarzyny budziły współczucie głębokie: królowne posiadały w kraju miłość powszechną. W kole rodziny Jagiellońskiej nieszczęścia te stały się klęskami, co, jako kolce ciernia, wpiły się w serca sióstr, zatrwały spokój brata. Współczucie powszechne przejawiało się wyprawami tajemnymi pojedynczych rycerzy i całych grup rycerskich, śpieszących za Bałtyk na sztokholmskie pobrzeża, w sukniach kupieckich, z wrzekomo pokojowymi zamiarami, w rzeczywistości zaś w celu stawienia się orężnego przy boku królowny, jeśliby zaszła jakaś ostateczność. Ostateczności, t. j. zamordowania księcia Jana i jego małżonki, codziennie można się było spodziewać. Wrzekomi ci więc kupcy wciąż dawali pilne ucho wieściom z dworu Erykowego, azali jaka gromada zbirów nie dąży w kierunku Gripsholmu. Od owych to wrzekomych kupców, bardziej może niż od rzeczywistych, płynęły bukiety róż z ukrytymi talarami i baryły wina, o których tu wspominaliśmy. Oni byli pośrednikami w listowaniu tajemnem Katarzyny z królowną Anną Jagiellonką.

Zygmunt August na drodze politycznych negocjacji starał się uzyskać uwolnienie siostry. Lecz rokowania dyplomatyczne mogłyby jedynie stać się zbawiennymi dla Katarzyny, co nie rozwiązywało kwestyi, gdyż na jej małżonka król szwedzki zapatrywał się jak na więźnia stanu,

i, sprawę jego mianując swą kwestyą wewnętrzną, państwową, nie pozwalał o niej nikomu mówić; Katarzyna zaś, chociażby mogła wyjść z więzienia, nie chciała opuszczać męża w niewoli i niebezpieczeństwie: było to więc koło zakłęte kolizyj, z których siostry wypłatać Zygmunt August nie zdołał. Pomoc królowny Anny, lub Zofii księżny Brunszwickiej, na modlitwie, łzach i listowaniu w tej sprawie ograniczać się musiała. Wyrzekały tedy w swych listach na losy, i, rozżalone, powtarzały niekiedy wyrzekania pań sobie przyjaznych, które zwały długotrwałą niewolę Katarzyny na niezaradność Zygmunta Augusta.

Niewola przedłużała się całe lata.

Malutka Izabella, ukochanie rodziców, w niewoli zgasiła. Niewygody i troski biednej matki zatrwały jej pokarm i przyspieszyły zgon dzieciny.

Na gripsholmskiej skale pogrzebano wnuczę Zygmunta Starego. Jedynemu to dziecięciu Katarzyny Jagiellonki usypano mogiłę w szwedzkiej, tak niegościnnej dla niej ziemi; inne jej dzieci, wnuki i prawnuki w łonie jej ojczyznej, polskiej gleby, której ona sama już nigdy ujrzyć nie miała, grób dla siebie znalazły...

Śmierć półtorarocznej Izabelli wytworzyła z więzienia większe jeszcze pustkowia. Dla nieszczęsnych więźniów gasły ostatnie promienie nadziei; niewola przedłużała się do nieskończoności; na zmianę usposobień Eryka, która jedyną być mogła deską ratunku — niepodobna było rachować... Usposobienia te nie zmieniały się. Jeżeli w życiu więźniów zachodziły zmiany, to błahe, maluczkie. Obszerniejsze im nieco wyznaczono izby na mieszkanie, ale wygód życia nie przysporzono, i kordon straży podawnemu ściśle strzegł wszelkiego stosunku więźniów z zewnętrznym światem.

Po zgonie malutkiej córki powiła Katarzyna w więzieniu (20 czerwca, 1566 r.) syna, którego nazwano Zygmuntem. Imię to przypominało biednej matce jej najbliż-

szych — ojca i brata. Przyjście na świat syna ostatnią było pociechą więźniów, gdyż wtedy właśnie nieszczęścia z całą grozą rozszalały się: zdawało się, iż jeszcze dni niewiele, a w otchłani klęsk utonie ich istnienie. Wówczas książę Jan pisał do brata, żądając sądu. Sąd umyślnie był posłany z osób niekompetentnych do sądzenia spraw tego rodzaju; Jan nie uznał kompetencji sądu, a sama akcja zwoływania sądu i stawania przed nim połączoną była z przykrościami niezmiernymi. Księcia Jana spotykały obelgi, urągania; wreszcie, gdy nie uznał kompetencji sądu, w sroższym więzieniu osadzono go, a nieszczęsna Katarzyna rozchorowała się pod naciskiem tych ciosów, do których przyłączyły się nowe obawy, by jej nie wydano w ręce księcia ościennego, sąsiedniego państwa, o czem wyżej mówiliśmy. Nalegania owego księcia wzmagaly się: słał on do Eryka wciąż posłów, dary i namowy, obiecywał niemało korzyści politycznych ¹⁾. Polityki nacisk był silny, Eryk mógł łatwo uleść, do uszu więźniów wieść ta dobiegała, stąd nowe i ciężkie obawy, stąd pogorszenie choroby Katarzyny. Nie przyszło wszakże do wydania w ręce obcych posłów księżny Finlandzkiej i rok 1567, wprawdzie dopiero ku końcowi, stał się ostatnim rokiem jej niewoli.

Do końca mężnie wytrwała księżna przy boku męża w więzieniu; do końca smutnych lat niewoli była osłoda i pociechą męża, dzieląc z nim obawy i groźne niebezpieczeństwa, czynem świadcząc, iż nienapróżno mówiła o stałej swej woli wytrwania przy boku mężowskim...

Polepszenie losu nastąpiło nagle. Eryk nie był miany za szaleńca wówczas, gdy występował nieprzyjaźnie wobec brata, ale z czasem, kiedy zakres jego okrucieństw rozszerzył się, kiedy umyślił zamordować brata i wysłał w tym celu zbirów do Gripsholmu, którzy jednak w ostatniej chwili odmówili posłuszeństwa, gdyż nie ośmielili się targ-

nąć na życie księcia Jana i jego rodziny, kiedy wreszcie zaczęły spadać głowy przedniejszych Szwedów i sam Eryk własną dłonią zaczął mordować — uznano go za szaleńca i w każdym jego kroku widziano objaw zboczeń umysłowych. Jako chory, uznany został za niepoczytalnego, a następstwem tego stała się abdykacya. Role zmieniły się szybko. Jan z więźnia staje się królem, Eryk zaś z tronu zstępuje do więzienia.

Zmiana stanowisk, odwrócenie się koła fortuny, które podniosło więźniów z otchłani nieszczęść do szczytu znaczenia, przepełnione były mnóstwem wstrząśnień, tak, iż zaiste, z trudnością zdajemy sobie sprawę, jak zdrowie Katarzyny mogło przenieść taką nawalnicę wrażeń, często zbyt bolesnych a nagłych.

Przeżyła ona to wszystko szczęśliwie, lecz wrażenia ostatnich miesięcy niewoli, dorzucające nowe cierpienia do trosk i niebezpieczeństw doznanych, w ciągu czteroletniej prawie niewoli, zostawiły nazawsze ślady w kamiennym napozór organizmie Katarzyny. Rozwinęły się chorobliwe objawy długie, nieuleczalne. Lata całe miały upływać wśród tych nowych fizycznych cierpień, chociaż inne warunki składały się dla niej dość pomyślnie w dalszej dobie życia.

Zanim dni uwolnienia nadeszły, Eryk wysłał oprawców do więzienia brata z rozkazem zabicia zarówno księcia Jana, jak i nieletniego jego „synaczka“, kilkomiesięcznego wówczas Zygmunta. Oddział zbirów wypowiedział — jak rzekliśmy — posłuszeństwo; „jakaś osobliwa Boską sprawą i natchnieniem wrócili się we dwu mil od owego zamku nazad“ — pisze o tym wypadku Anna Jagiellonka do swej przyrodniej siostry Jadwigi ks. Brandenburskiej. „A gdzieby było księżę Jego M. zabito — dodaje ks. Anna — czego Pan Bóg uchował, tedy zatem miał księżnę Jej M.,

¹⁾ Porów. *Karamzina* T. X.

siostrę naszą najmiłszą, posłać... niezbożnemu okrutnikowi, z pewnej już zmowy przedtem z sobą uczynionej"...¹⁾).

W tymże samym dniu św. Franciszka (4 października 1567 r.), który przed pięciu laty był dniem jej ślubu, Katarzyna opuściła z mężem więzienie i wnet wysłała do Polski jednego ze swych dworzan, z listem do siostry Anny Jag. i do brata Zygmunta Augusta, a ci z kolei zawiadomili, również przez umyślnego gońca, obie siostry, Zofią i Jadwigę. Królowa Anna radośną tę wieść wzięła mocno do serca. Listy jej ówczesne do sióstr przepełnione są objawami radości bezbrzeżnej. Goniec, który tę wieść przyniósł, dostaje od Anny łańcuch złoty, jaki ona w owej chwili miała na sobie; wszyscy bliżsi i mili jej sercu otrzymują własnoręczne zawiadomienia królowy o szczegółach uwolnienia Katarzyny, o ostatnich miesiącach niewoli gripsholmskiej, przepełnionych tylu okropnemi wrażeniami.

Oprócz listów Katarzyny Jagiellonki, szły ze Szwecyi do Polski inne listy, mówiące o szczegółach ostatnich miesięcy niewoli, o szaleństwie Eryka; szły listy powtarzające legendy, któremi ubarwiała fantazyja ludowa wypadki ówczesne, towarzyszące abdykacyi Eryka i wstąpieniu na tron księcia Jana, którego pospolicie relacye polskie nazywają „księciem Wilandzkim“ (Finlandzkim). Do relacyj ciekawszych zalicza się list Doroty Ostolskiej, karlicy, która dzieliła z Katarzyną Jagiel. jej więzienie, wiernością a nadzwyczajną czujnością odznaczała się i udzielała wiadomości piśmiennych, zarówno królowie Annie, jak i Zofii, księżnej Brunzwickiej. Świadeństwo to naocznego świadka, acz niekiedy zabarwiał się przesadami wieku, lub przewidzeniami otoczenia, nosi na sobie znamiona prawdy i jest jednym z tych wyłomów w murze przeszłości, przez który rozglądnać się możemy wśród całego obszaru spraw ówczesnych. I w owem świadectwie uwydatnia się cała

¹⁾ List królowy Anny, z d. 21 stycz. 1567.

głębia niebezpieczeństw, klęsk nawiedzających Katarzynę Jagiel., a zarazem niezrównany hart jej ducha i wierne spełnianie obowiązków strażniczki ogniska domowego.

VII.

Rok 1569 ustalił tron księcia Jana. W owym roku, d. 20 czerwca, był on w Upsali, wraz z małżonką koronowany jako król szwedzki, Jan III. Korona, którą uwieńczono Katarzynę, miała zatrzeć w jej pamięci cztery lata niewoli i niedoli. U stopni tronu szwedzkiego widziano wtedy dwoje pacholąt: Zygmunt liczył trzy lata, a obok niego zaledwie dwuletnia jego siostra, Anna, która na świat przyszła wnet po wyjściu z więzienia Katarzyny.

Od owych chwil koronacyjnych w Upsali, i wogóle od chwili objęcia rządów Szwecyi przez jej małżonkę, rozaczają się przed Katarzyną Jag. nowe pole czynu, a tem samem zaś nowa doba w zakresie działalności tej niewiasty niepospolitej. Na tronie jest ona niemniej pomocną mężowi, jak była za dni niewoli. W tej jednak dobie działalność jej ma szerszy zakres; sprawy krajowe stają się przedmiotem niejednej troski. Kołacze do brata w każdej potrzebie swej nowej, szwedzkiej ojczyzny. Każda troska męża ma w niej rzecznika gorliwego i umiejętnego. Większe i mniejsze sprawy szwedzkie obrońcą w niej znajdują zaiste chętnego. Czy chodzi o pojedynczych kupców, czy też wogóle o swobodę handlu na Bałtyku, niekiedy zagrożaną przez Gdańszczan, czy wreszcie występuje na widownią polityki kwestya pokoju lub wojny z Danią, bądź z innym sąsiadem, czy pożyczka, której wciąż wtedy potrzebowano, — nikt inny, jeno królowa Katarzyna pośredniczy w rokowaniach z Polską. Negocjuje bezpośrednio z Zygmuntem Aug., szuka jego pomocy, prosi, nagli i pospolicie zwyczajko z tych rokowań wychodzi... Zygmunt

wszakże nie zawsze mocen uczynić wszystko wedle życzeń królowej; krępuje go bowiem nie tylko interes własny, ale wola sejmu: w takich razach często król się przed siostrą tłumaczy i, wreszcie, rzecz załatwia się ku wspólnemu zadowoleniu.

Czynne występowanie w sprawach publicznych uwiocznioło nowy rys w charakterze i uzdolnieniu Katarzyny. Staje ona przed nami jako niewiasta przerastająca inne współczesne; widzimy, iż się ima steru nawy państwowej i umie sprostać męskim, twardym a ciężkim zadaniom polityki. Niemniej jednak w nowej fazie działalności zachowuje skromne mniemanie o sobie; siostrom starszym oddaje pierwszeństwo, uchyla się zwykle od przewodniczenia, steruje w ciszy, nie pragnie rozgłosu; chodzi jej o skutek, o rzecz, nie o sławę.

Do bardziej doniosłych spraw, które dla dobra przybranej podejmowała ojczyzny, zalicza się bezzaprzeczenia usiłowanie nawrócenia męża, który jeszcze z protestantyzmem niezupełnie był się zespolił.

Nawrócenie króla orzekało o przyszłości religijnej Szwecji całej. Fala protestantyzmu z łatwością spłynąć mogła w one lata ze skał skandynawskich. Była to wówczas świeża naleciałość, i do Szwecji zastosować można było orzeczenie ówczesne Commendoniego o Brandenburskiej: „Dość tu poruszyć ziemię na łokieć, by mieć pod stopą grunt katolicki“.

„Poruszano“ ową „ziemię“ skandynawską, ostrożnie wszakże; do gruntu nie dokopano się. Małżonek Katarzyny, król Jan III, nie był dalekim od powrotu na łono katolicyzmu; czytywał biblię, wobec ówczesnych sporów religijnych nie zachowywał się obojętnie: ale właśnie owe czytania biblii przez niepowołanego do interpretacji budziły w jego umyśle różne wątpliwości i snuły coraz to nowe religijne rojenia. Te przeto rojenia stały się przyczyną, iż nie dokopano się do owego stałego „dawnego“

gruntu. Król Jan utrzymał się i nadal przy nowinkach, a Katarzyna niewzruszenie w wierze ojców pozostała.

Przychodziły w późniejszych latach wieści do Polski, iż Katarzyna chwieje się w wierze, iż lat kilkanaście pobytu wśród obcych gasi ogień jej religijnego uczucia. Przesadnymi nieco były te głosy. Zresztą, w późniejszych latach miała ona troskliwą duchowną opiekę, czuwającą nad jej wierzeniami i nigdy nie była pozbawioną kapłana katolickiego. Towarzyszyli jej dwaj kapelani, gdy wyjeżdżała do Finlandyi z ziemi rodzinnej; z czasem zaś, gdy ci się zestarzel i, tęsknicą trawieni, wśród swoich kości złożyć zapragnęli, prosiła Zygm. Augusta o innych kapłanów z Polski, bo — tłumaczyła się w liście do brata — „gdy tamci dwaj odemnie odjadą, tedy tak Panu Bogu, jakom zmlodu zwykła i wychowana jest, i jakoby przystało, nie będę mogła służyć“.

W półtora roku po koronacyi, Katarzyna widzi zupełną niemożność pozyskania małżonka swego dla katolicyzmu. Otwarcie i wyczerpująco, chociaż w niewielu wyrazach, kwestyą wyluszcza w liście do Kromera, mówiąc, iż ilekroć poruszała ową sprawę, małżonek jej odpowiadał: „jakom jest nauczony od starszych swoich, tedy tak trzymać muszę; a też, chociażbym rad, tedy poddani na to nie przyzwolą“. Słowa małżonka, który radom jej dość powodował się, przekonywały ją o niemożności rozwiązania tej kwestyi: poruczała więc odtąd rozwiązanie Bogu, pisząc do tegoż Kromera: „A wszakże to Pan Bóg sprawić może — dać i panu i poddanym Ducha swego świętego“... Poprzestawała Katarzyna na wychowaniu dzieci w wierze i obyczaju swych ojców, starannie przytem przestrzegając nietykalnego zachowywania związków rodzinnych. *Zys* i *Janusia* (t. j. późniejszy Zygmunt III i siostra jego Anna Wazówna) z listów swej matki wybornie znany byli ciotkom — Annie i Zofii Jagiellonkom. „Zys“ już w trzecim roku życia swego słynie wśród ciotek, jako

ładne dzieciątko; opowiadają o tem sobie wzajemnie ciotki w listach, obdarzając ową „Janusię“ i „Zysia“ to uściśnieniami listownemi, to upominkami. „Zysiowi“ podobała się myśl otrzymania od ciotki Zofii „ruszniczki brunszwickiej“, i królowa Katarzyna przypomina księżnie Brunszwickiej obietnicę zrobioną.

Tego rodzaju wskazówek o rodzinnych stosunkach, utrzymywanych z całą troskliwością, mnóstwo prześwieca w całej korespondencji naszych Jagiellonek. Stosunek rodzinny, wciąż wzmacniany, odżywiany — rozluźnieniu, przedawnieniu, nie uległ; nici związków rodzinnych utrwalają się, i lata nie wpływają na ich moc, a z biegiem czasu, kiedy nasuwają się okoliczności otwierające drogę do tronu Polski dla syna szwedzkiej królowej, Katarzyny, syn ten uważany jest w Rzeczypospolitej jako spuścizna krwi Jagiellońskiej, jako cenny odbłask umiłowań narodu.

Katarzyna wychowała syna z myślą, iż może się stać spadkobiercą, nie tylko szwedzkiej, lecz i polskiej korony. Pierwsze wyrazy, jakich go matka uczyła, były nie szwedzkie, ale polskie; wiara ojców i dziadów matki — jego wiarą była. Wyznawał ją gorliwie od dzieciństwa. Pobyt w Szwecyi kilkoletni takich gorliwych apostołów, jak Benedykt Herbest i Stanisław Warszewicki, wzmacniał wiarę w sercu Zygmunta i niemałą sprawiał pociechę jego matce. Przynosiło to bliższe zestosunkowanie z ziemią rodzinną, do której ta matka wciąż wzdychała.

Bawienie trzyletnie Herbesta na szwedzkim dworze (1574—77), w charakterze spowiednika królowej, jest dobą większej działalności w życiu Katarzyny. Czujną a pracowitą być mogła wówczas, jeszcze bowiem zdrowie jej dopisywało. Wymowa Herbesta zachwycała i podnosiła ją na duchu. Tracąc z kolei swych bliższych — brata, siostrę Zofią — widząc, jak węzły łączące z krajem i rodziną rozluźniają się, a z czasem przyzwyczajając się coraz bardziej do Szwecyi, zespałała się z otoczeniem. Ciało słabnie,

moralne znużenie, bodaj chwilowo, górę brać nad granitową mocą charakteru zaczyna. Słabnące siły ciała, stopniowe zdrowia gaśnięcie tak srodze wielokroć wypróbowanego, sprowadzały szczyby w twierdzy ducha.

Szczerby wszakże pozorne raczej, niż prawdziwe były. Więcej istniało obaw, niż rzeczywistych do nich podstaw. Obawy płynęły z zaćnej gorliwości Hozyusza, z troskliwości królowny Anny. Troskliwość, by prąd reformy nie wtargnął do obronnej twierdzy ducha Katarzyny, wywołała i korespondencją Hozyusza i posyłanie do Szwecyi Herbesta, później zaś Warszewickiego ¹⁾. Ten ostatni dwukrotnie gościł na Sztokholmskim dworze. Poraz pierwszy Jagiellonka witała go tam, gdy przybywał (w r. 1574) z misją od papieża Grzegorza XIII do króla Szwedzkiego Jana, i roztrząsał z nim kwestyą powrotu tego monarchy na łono dawnej wiary. Misja nie przyniosła, jak wiemy, pomyślnych następstw. Później, w rok po wyjeździe Ben. Herbesta, znowu Warszewicki podążył na dwór szwedzki: tym razem królowa wzywała go tam. Zajął on stanowisko Herbesta, był spowiednikiem Katarzyny, mistrzem jej syna, Zygmunta, świadkiem jej długiej choroby, cierpień fizycznych, mocy ducha, który jeszcze niekiedy blaskiem większym gorzał, i wreszcie zgonu tej pani, d. 16 września 1583 r. Życie pełne bólu i łez, życie, na którego ścieżki los zgromadził wszystkie prawie smutki, obawy i cierpienia doli ludzkiej, w ostatnich godzinach gaśnięcia swego zakłócone było trwogą i złowrogiem przecuciem...

Wyższy umysł niewiasty, serce matki gorąco milujące dzieci, ich dobro doczesne i wieczne, w usposobieniu swej „Janusi“ przeczuwały obojętność dla wiary, w której matka żywot strawiła, w której Zygmunt wychował się i którą umiłował. Córka Katarzyny, Anna, dorastająca z dziecka na dziewczkę, w epoce, gdy oko matki, wal-

¹⁾ Patrz „Starożytności“ Amb. Grabowskiego, T. II.

czącej z chorobą, czuwać nad nią nie mogło — zaczęła myśleć swą skłaniać do protestantyzmu. Dojrzała to matka i spokój ją odbiegł w chwilach ostatnich ziemskiego istnienia...

Pożegnaniu z ziemią towarzyszyły smutne przeczuć. Myśl, iż Warszawicki sprostuje, co sprostowaniem być może, osładza nieco troskę umierającej matki. Los zrządził inaczej. Wnet po zgonie królowej, rząd szwedzki usunął ze swego kraju Warszawickiego i jego towarzyszy, którzy tam prowadzili misyjną działalność. Nikt nie sprostowywał już potem pojęć religijnych Anny — i wybujały one w kierunku wręcz przeciwnym wierzeniom, pragnieniom matki... Obawy jej i trwogi przedzgonne ziściły się...

Umierająca Katarzyna Bogu i Annie Jagiellonce — już wówczas ostatniej z rodziny — poruczała dolę swych dzieci. Opieka niebieska i ziemską ich nie opuściła. Polska stała się dla nich drugą ojczyzną. Dzieci, wnuki i prawnuki Katarzyny Jagiellonki w starych murach wawelskich siedzibę, kolebkę i grobowce dla siebie znalazły, trzech wśród nich koroną Chrobrego skronie swe wieńczyło, o sto lat prawie przedłużając na tronie Rzplitej tradycję krwi Jagiellońskiej.

Wędrowiec, zwiedzając Upsalę, w bocznej kaplicy tamiecznego tumu podziwia i dziś jeszcze wspinały, marmurowy sarkofag, na którym spoczywa niewiasta uśpiona, lecz dłonie jej złożone jak do modlitwy. To grobowiec Katarzyny Jagiellonki... ona jeszcze i po zgonie modli się za wszystkich i za wszystko, co było jej ukochaniem na ziemi... Orły lechickie i lwy szwedzkie strzegą popiołów niewiasty, która umiała sprostać obowiązkowi życia, mężnie stawiała czoło nawałnicom losu i tem męstwem a miłością zdobyła dla pamięci swej znaczenie dziejowe.

Stojąc u stopni upsalskiego sarkofagu, widzimy, iż zmartwychwstają w naszym umyśle dni ponure Erykowej doby, bojuwania Katarzyny z losem, wytrwałe stanie przy

sztandarze obowiązku, co z niej wytworzyły wzór dla wieków i pokoleń.

Legendy skandynawskich ludów oddawna szatą poezji grobowiec jej ozdobiły; u nas jeno pamięć Katarzyny Jagiellonki we wspomnieniach ogółu bardzo blado się zarysowuje.

Nawet ten gród stary, mazowiecki, co tyle winien jej synowi i wnukom, dzięki którym z nicości na stolicę urósł, a stał się znanym światu ze swej zmiennej, często twardej doli, nie wie, zaiste, że ostatnia latorośl Katarzyny rodu, jej prawnuczka, skupiająca w sobie krew Wazów i Jagiellonów, spoczywa w jego murach. Przysłulek ubóstwa i zmiennych losów otacza popioły ostatniej dzieciny z naszych dynastji ongi potężnych, jakby na świadectwo niestateczności losów ludzi i ludów ¹⁾.

¹⁾ Prawnuczka Katarzyny Jagiel, córka malutka Jana Kazimierza, Marya Teresa, w r. 1661 zm., pogrzebana pod wielkim ołtarzem w kościółku św. Teresy, w Warszawie, na Krakowskim Przedm.; obecnie świątynia ta jest kaplicą Towarzystwa Dobroczynności.



56003

SPIS RZECZY.

	Str.
Kaffa, osada genueńska i jej stosunek do Polski w XV wieku.	
Studyum historyczne	1
Zawiazki dziejów Siczy Zaporozkiej	43
Zarysy instytucyj Zaporozża	91
Mohort, rycerz kresowy, wobec późniejszych badań. (Fragmenty studyum literackiego)	119
Dwie królowe. Szkic dziejowy	145
Przedstawicielki dawnych dynastyj. Zarys historyczny	195
Katarzyna Jagiellonka, królowa szwedzka. Opowieść historyczna.	279
